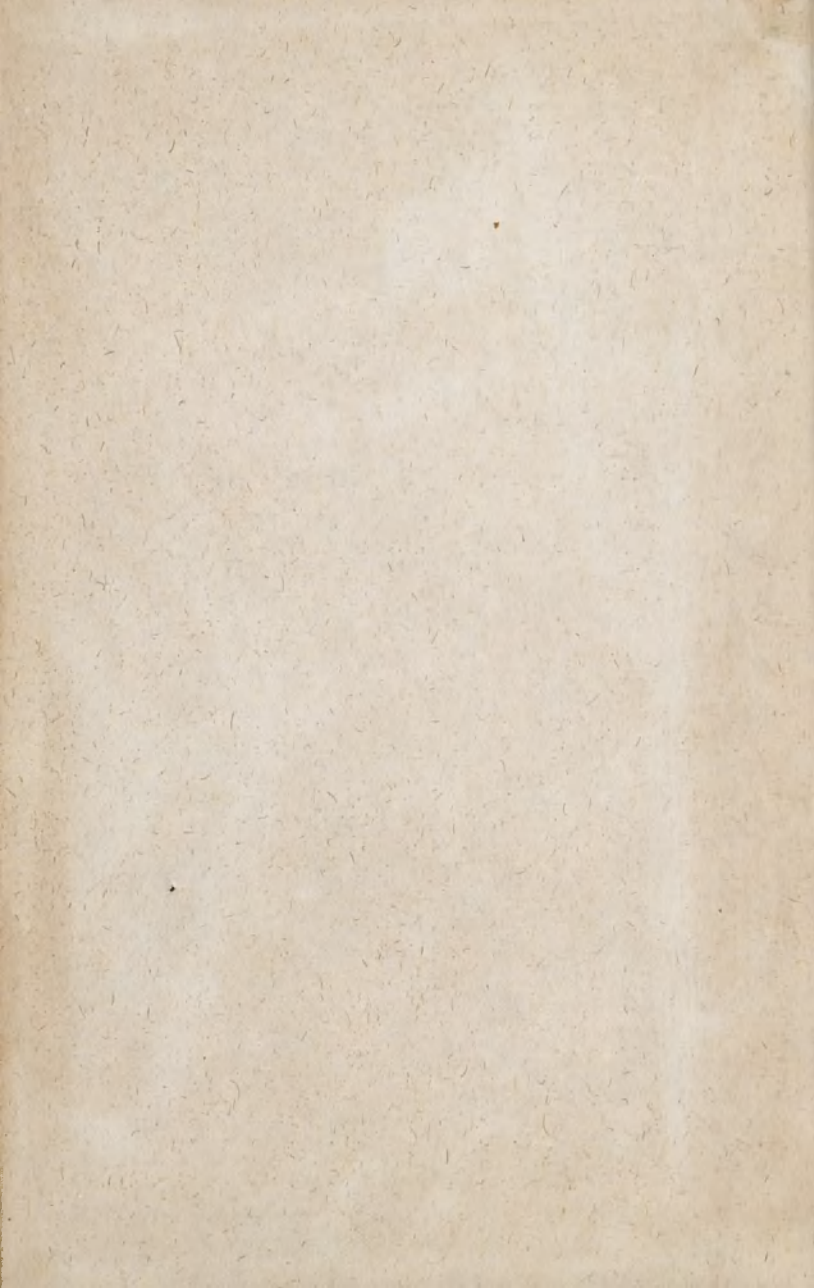


Alfred Dumary

95 | 5500

K





ALEKSANDER DUMAS

(OJCIEC)

DWADZIEŚCIA LAT
PÓŹNIEJ

(TRZEJ MUSZKIETEROWIE)

POWIEŚĆ

TOM I



WARSZAWA
NAKŁADEM BIBLIOTEKI RODZINNEJ
1928

K 71368
862.3167

D-95/5500



10.10.

3,00 zł

ROZDZIAŁ I

WIDMO RICHELIEU'GO

W pałacu kardynalskim, w znanym nam już pokoju, przy stoliku, wykładanym po bokach malachitem, siedział jakiś człowiek z głową, wspartą na rękę.

Za nim na kominku płonął suty ogień, a głównie gorejące od czasu do czasu przewalały się jedna na drugą. Blask kominka oświetlał z tyłu wspaniałe szaty zamyślnego, na którego świecznik z płonącymi świecami rzucał światło z przodu.

Gdy się widziało tę suknię purpurową i te bogate koronki, to czoło pobladłe i zmarszczone w zadumie, tę samotność jego w gabinecie, ciszę w przedpokojach, odgłos kroków straży, dolatujący z przedsionka, możnaby sądzić, że widmo Richelieu'go zasiadło w tym pokoju.

Niestety! był to w istocie tylko cień wielkiego człowieka.

Francja osłabiona, władza królewska poniżona, wróg, pładrujący w granicach państwa — wszystko to świadczyło, że Richelieu'go już zbrakło.

A że suknia purpurowa nie była szatą starego kardynała, wyraźniej jeszcze, niż to wszystko, wskazywała ta samotność, ta pustka, która wydawała się właściwsza raczej dla widma, niż dla człowieka żyjącego, wskazywały to korytarze bez dworaków, podwórze, pełne straży, wrzawa, płynąca tu z ulicy i wglądająca przez szyby do tego pokoju, wstrząsanego odgłosami z całego miasta, sprzyśniętego przeciw ministrowi, — wreszcie te dalekie echa zgiełku i padające bezustannie strzały po to jedynie, ażeby pokazać strażom, szwajcarom, muszkietierom i żołnierzom, otaczającym pałac królewski, — bo pałac kardynalski zmienił nawet nazwę, — że lud także ma broni poddostatkiem.

Tem widmem Richelieu'go był Mazarini. Otóż Mazarini był sam i czuł się słaby.

— Cudzoziemiec! — wyszeptał — Włoch! ot, co wymyślili! Tym razem zamordowali, powiesili i pożarli Cru-
ciniego, a gdybym tylko pozwolił, i mnie zamordowaliby,
powiesili i pożarli, jak jego, chociaż nie zrobiłem im ni-
gdy nic złego, tylko tyle, że ich troszkę naciskałem. Głup-
cy! więc oni nie czują, że ich nieprzyjacielem jest bynaj-
mniej nie ten Włoch, mówiący kiepsko po francusku, ale
raczej ci, którzy umieją prawić im piękne słówka tak
czystym i ładnym akcentem paryskim.

— Tak!, tak! — mówił dalej minister, z właściwym
mu przebiegłym uśmiechem, który teraz dziwacznie wyglą-
dał na bladych jego ustach — tak, wrzawa wasza mi po-
wiada, że los ulubieńców królewskich bywa opłakany, ale
powinniście również i to wiedzieć, że ja nie jestem wcale
zwyczajnym ulubieńcem! Hrabia Essex miał wspaniały
pierścień z brylantami od swej kochanki królewskiej; ja
mam tylko prostą obrączkę z cyfrą i datą, ale ta obrącz-
ka poświęcona została w kaplicy pałacu królewskiego¹⁾;
i mnie nie złamiecie tak, jakbyście pragnęli, a gdy krzy-
czeń będziecie zawsze: „Precz z Mazarinim!“ ja wam od-
krzyknę albo: „niech żyje pan de Beaufort“, albo: niech
żyje książę pan!“ albo: „niech żyje parlament“. A co!
Pan de Beaufort znajduje się w Vincennes, książę pan
połączy się z nim lada dzień, a parlament...

Tu uśmiech kardynała przybrał wyraz nienawiści, do
jakiej ta postać łagodna, wydawała się niezdolna.

— A parlament!... ba! parlament... zobaczymy, co
z niego zrobimy, mamy Orleanów i Montargis! O! zajmie
mi to sporo czasu; ale ci którzy zaczęli krzyczeń: „precz
z Mazarinim!“ wkońcu krzyczeń będą: „precz z tymi
wszystkimi ludźmi!“; na każdego z nich przyjdzie kolej.

— Richelieu, którego nienawidzili za życia, — chwałą
go ciągle, odkąd umarł, — jesoze gorzej stał ode mnie,
bo kilkakrotnie był wypędzany, a ileż razy jeszcze tego się

¹⁾ Wiadomo, że Mazarini, nie otrzymawszy żadnych
święceń, któreby przeszkadzały mu się żenić, zaślubił An-
nę Austrjacką. (Patrz pamiętniki Laporta i księżny pa-
latyńskiej).
(Przyp. Autora).

obawiał. Mnie królowa nigdy nie usunie, a jeśli zmuszony będę kiedy ustąpić ludowi, ona wraz ze mną ustąpi, jeśli ucieknę i ona ucieknie, a wtedy zobaczymy, co poczyna buntownicy bez swej królowej i bez swego króla.

O! gdybym nie był cudzoziemcem, gdybym tylko był Francuzem, gdybym był tylko... tylko... szlachcicem!

I znów wpadł w zadumę.

Rzeczywiście położenie było trudne, a dzień tylko co ubiegły uczynił je bardziej jeszcze zawiętem. Mazarini łaknący wciąż, brudny skąpiec, przygniatał lud podatkami, a ten lud, któremu, jak się wyrażał adwokat generalny Talon, nie pozostało nic, prócz duszy, i to dlatego jeszcze, że duszy nie można było sprzedać na licytacji; ten lud, który starano się udobruchać wieściami o zwycięstwach, gdy on uczuwał, że wawrzyny nie zastąpią mięsa, którego mu brakło, lud ten oddawna zaczął szemrać.

Ale nie dość jeszcze na tem; gdy szemrze tylko lud, bez udziału, jak zwykle, mieszczaństwa i szlachty, przeważnie nikt tego nie słyszy; lecz zuchwały Mazarini podrażnił i urzędników, sprzedał dwanaście nominacyj, a ponieważ urzędnicy płacili bardzo drogo za swe dyplomy, a dodanie dwunastu nowych kolegów zmniejszyło ich dochody, zaprzysięgli na ewangelję, iż nie ścierpią tego powiększenia i że opierać się będą wszelkim prześladowaniom ze strony dworu, przyrzekając sobie wzajemnie, że w razie, gdyby który z nich przez swój opór, stracił urząd, złożą się między sobą, ażeby mu to wynagrodzić.

Oto, co się wydarzyło z obu stron:

Siódmego stycznia około ośmiuset kupców winnych w Paryżu zebrało się na naradę z powodu nowego podatku, jaki chciano nałożyć na nich i na właścicieli domów, i wydelegowali spośród siebie dwunastu do księcia Orleańskiego, który dawnym zwyczajem lubił być popularnym.

Przyjęci przez księcia Orleańskiego, oświadczyli, że postanowili wcale nie płacić nowego podatku, choćby przyszło z bronią w rękę bronić się przeciw poborcom królewskim.

Książę Orleański wysłuchał ich z wielką pobłażliwością, dał im jakąś nadzieję ulgi, obiecał pomówić o tem z królową i pożegnał ich zwykłemi w ustach książęcych słowy: „że zobaczy się, zobaczy“.

Urzędnicy 9 stycznia znów udali się do kardynała, a jeden z nich, przemawiał tak stanowczo i tak śmiało, że aż się kardynał zadziwił, i odpowiedział im, również tak samo, jak księżę Orleański, że zobaczy się, zobaczy.

I wtedy, ażeby *zobaczyć*, zwołano radę i posłano po nadintendenta skarbu Eney'ego.

Eney'ego lud nie cierpiał, naprzód dlatego, że był nadintendentem skarbu, a nadintendent skarbu musi być niecierpiany, zwłaszcza że trzeba przyznać, trochę na to zasłużył. Był on synem bankiera lyońskiego, nazwiskiem Particelli, który, zmieniawszy nazwisko po zbankrutowaniu, zwał się później Eney. Kardynał Richelieu, który w nim odkrył wielkie zdolności finansowe, przedstawił go królowi Ludwikowi XIII-mu pod nazwiskiem pana Eney'ego, chciał go mianować intendentem skarbu i bardzo wiele mówił o nim dobrego.

— O! doskonale się składa, — odrzekł król — rad jestem, że mi mówisz o panu Eney'm, i przedstawiasz go, jako uczciwego człowieka. Powiedziano mi, że protegujesz tego oszusta Particellego, i bałem się, abyś na mnie nie wymógł posady dla niego.

— O! najjaśniejszy panie, — odrzekł kardynał — niech Wasza Królewska Mość będzie spokojny, ten Particelli, o którym mowa, został już powieszony.

— Tem lepiej! tem lepiej! — odpowiedział król — przecież nie bez racji nazywają mnie Ludwikiem Sprawiedliwym.

I podpisał nominację pana Eney'ego, który został też później nadintendentem skarbu.

Posłano po niego na naradę; przybył blady i stroskany, mówił, że mu o mało co nie zamordowano syna na placu przed Pałacem; tłum go napotkał i zaczął mu wymyślać za zbytki żony, która miała pokój, wybity aksamitem czarnym z haftem złotym. Była to córka Michała Lecouman, sekretarza królewskiego z 1617 roku, a teraz, pozostawiwszy sobie czterdzieści tysięcy dochodu, podzielił dziesięć milionów między dzieci. Syn Eney'ego o mało co nie został uduszony, gdyż jeden z wichrzycieli zaproponował, ażeby go dusić dopóty, dopóki nie wyrzuci z siebie złota, które pożarł.

Rada dnia tego nic nie postanowiła, gdyż nadintendent zajęty był wypadkiem i nie miał głowy do myślenia.

Nazajutrz naczelny prezydent Mateusz Molé, którego odwaga we wszystkich tych sprawach, jak powiada kardynał de Retz, dorównywała odwadze księcia Beauvais i księcia Kondeusza, to jest dwóch ludzi, uważanych za najdzielniejszych w całej Francji, — nazajutrz zatem prezydent naczelny z kolei został napadnięty i lud groził mu także męczarniami.

Ale prezydent naczelny odpowiedział ze zwykłym spokojem, niezdziwiony ani niewzruszony, że, jeśli wichrycyiele nie będą słuchali woli królewskiej, postawić każe na wszystkich placach szubienice i natychmiast wywiesza najburzliwszych... Ci na to mu odpowiedzieli, że bardzo pragną postawienia tych szubienic, bo posłużą im one do wywieszania złych sędziów, którzy kupują łaski dworu za cenę nędzy ludu.

To jeszcze nie wszystko.

Dnia 11 stycznia, kiedy królowa udała się na nabożeństwo do Najświętszej Marji Panny, jak zwykle w każdą sobotę, przeprowadzało ją przeszło dwieście kobiet, krzycząc i błagając sprawiedliwości.

Zresztą nie miały one żadnych złych zamiarów, chciały tylko na klęczkach prosić ją o zlitowanie nad ludźmi; lecz strażę nie pozwoliły im tego uczynić, i królowa przeszła dumna i wyniosła, nie wysłuchawszy ich wrzasków.

Po południu znowu odbyło się posiedzenie rady, a na niem uchwalono, żeby podtrzymać powagę królewską; w następstwie tej uchwały, parlament odroczonej został nazajutrz do 12-go.

Dnia tego, w którym wieczorem otwieramy tę nową historję, król, mający wówczas lat dziesięć, przebywszy świeżo ospę, zamierzał jakoby dla dziękczynienia za wyzdrowienie udać się do kościoła Najświętszej Marji Panny i w tym celu kazał wystąpić strażom swym: szwajcaram i muszkietierom, którzy ustawili się dokoła pałacu królewskiego, na wybrzeżu i na Nowym Moście, a po ukończeniu nabożeństwa poszedł do parlamentu, gdzie na przygotowanym tronie nie tylko potwierdził dawne edykty, ale wydał jeszcze pięć czy sześć nowych, a wszystkie one, jak opowiada kardynał Retz, były jedne od drugich bardziej rujnujące.

Wobec tego sam prezydent naczelny, który dni poprzednich, o czem wszyscy wiedzieli, trzymał stronę dworu, teraz bardzo śmiało wystąpił przeciw podobnemu wprowadzeniu króla do parlamentu dla pogwałcenia wolności głosowania.

Ale najbardziej przeciw nowym podatkom gardłowali prezes Blancoumil i radca Broussel.

Po wydaniu edyktów król powrócił do pałacu królewskiego; na drodze zebrał się wielki tłum, ale, ponieważ wiadano, że idzie z parlamentu, a nie wiadano, czy wymierzył sprawiedliwość ludowi, czy też na nowo go gnębił, ani jeden okrzyk na drodze nie wieszował mu powrotu do zdrowia. Przeciwnie twarze wszystkich były posępne i niespokojne, a niektóre wyglądały nawet groźnie.

Pomimo powrotu króla wojska pozostały na placu; obawiano się wybuchu rozruchów, gdy wieść rozniesie, co uchwalone zostało w parlamencie.

I w istocie, zaledwie rozeszła się wiadomość po ulicach, że król zamiast zmniejszyć podatki, jeszcze je bardziej powiększył, natychmiast zebrały się tłumy i rozległy się głośnie okrzyki. „Precz z Mazarinim! niech żyje Broussel!... niech żyje Blancoumil!“ Lud dowiedział się bowiem, że Broussel i Blancoumil za nim przemawiali i, choć wymowa ich na nic się nie przydała, zachował dla nich swą wdzięczność.

Chciano te tłumy rozproszyć, chciano poskromić krzyki, ale, jak się to zdarza w podobnych razach, tłumy jeszcze bardziej wzrosły, a krzyki się podwoiły.

Rozkaz wydany został strażom królewskim i szwajcarskim, ażeby nietylko trzymały się ostro, ale odbywały nadto patrole na ulicach św. Djonizego i św. Marcina, gdzie tłumy wydawały się najgroźniejsze i najbardziej ozywione.

Wtem oznajmiono w pałacu królewskim starszego zgromadzenia kupców. Wprowadzono go natychmiast; przybywał on oświadczyć, że, jeżeli nie ustaną natychmiast te demonstarcje wojskowe, za dwie godziny cały Paryż będzie pod bronią.

Rozprawiano nad tem, co począć, gdy Comminges, porucznik gwardji, wszedł w podartem ubraniu i z zakrwawioną twarzą.

Królowa, zobaczywszy go, krzyknęła ze zdziwienia i spytała, co się stało.

Otóż widok straży, jak to przewidział starszy zgromadzenia, rozdrażnił lud niezmiernie. Opanowano dzwony i zaczęto dzwonić na alarm. Comminges trzymał się dobrze, aresztował jakiegoś człowieka, który wydał mu się jednym z główniejszych wichrzycieli i dla przykładu kazał go powiesić.

Żołnierze pociągnęli go za sobą, dla wykonania tego rozkazu, ale na placu targowym powitano ich kamieniami i halabardami; wichrzyciel skorzystał z tego zamieszania, ażeby umknąć, pobiegł na ulicę Tiquetonne i wpadł do domu, gdzie zaraz wyłamano bramę.

Gwałt ten był już zbyt wielki, gdyż winowajcy nie odnaleziono. Comminges został zresztą na ulicy i z resztą oddziału powrócił do pałacu królewskiego, ażeby zdać raport królowej. Przez całą drogę ścigały go okrzyki i pogroźki, kilku żołnierzy zranionych zostało pikami i halabardami, a jego samego trafił kamień i skaleczył w brwi.

Opowiadanie Comminges'a dowodziło słuszności rady starszego zgromadzenia, a nie miano sił dostatecznych dla zmierzenia się z większym buntem.

Kardynał kazał rozpuścić wieść wśród ludu, że wojsko rozstawione zostało na wybrzeżu i na Nowym Moście tylko dla ceremonji i że zaraz będzie cofnięte.

W istocie około godziny czwartej po południu wojsko zebrało się całe przy pałacu królewskim; postawiono jednak posterunek przy rogatce Sierżantów, drugi u świętego Rocha. Podwórze pałacu i dół napełniono szwajcarami i muszkietierami i czekano.

Tak stały rzeczy, kiedy wprowadziliśmy czytelników do gabinetu kardynała Mazarini'ego, do tego gabinetu, który należał dawniej do Richelieu'go i widzieliśmy, w jakim stanie umysłu Mazarini słuchał dolatującego doń szemrania ludu i wystrzałów, które rozlegały się aż w jego pokoju.

Naraz podniósł głowę, jak człowiek, który już się namyślił; spojrział na ogromny zegar, mający wydzwonić godzinę szóstą i, wzięwszy ze stołu gwizdawkę, leżącą tuż pod jego ręką, zagwizdał dwukrotnie.

Ukryte w obiciu drzwiczki otworzyły się, wszedł bez

słowa jakiś człowiek, czarno ubrany, i stanął za fotel.

— Bernouinie — odezwał się kardynał, wcale się nawet nie odwracając do niego, bo wiedział, że po dwukrotnem gwizdnięciu, wejść może tylko jego kamerdyner — jacy muszkietierowie są dziś na straży w pałacu?

— Muszkietierowie czarni, Wasza ekscelenjo.

— Która kompanja?

— Kompanja Tréville'a.

— Czy jest w przedsiönku, który z oficerów tej kompanji?

— Porucznik d'Artagnan.

— Zuch, jak mi się zdaje?

— Tak, Wasza ekscelenjo.

— Daj mi ubranie muszkieterskie i pomóż mi się odziać.

Lokaj wyszedł równie milcząco, jak się zjawił, i po chwili wrócił, przynosząc żądany strój.

Wtedy kardynał, milczący i zamyślony, zaczął się pozbywać ubioru ceremonjalnego, który przywdział na sesję parlamentu i włożył na siebie kaftan wojskowy, który nosił z pewną swobodą, dzięki kampanjom, dawniej odbytym we Włoszech; poczem, kiedy się ubrał już zupełnie, rzekł:

— Idź mi po pana d'Artagnana.

Lokaj wyszedł tym razem przez drzwi środkowe, wciąż jednak milczący i niemy.

Rzec możnaby, że był to tylko cień.

Kardynał, pozostawszy sam, z pewnem zadowoleniem przeglądał się w lustrze; młody był jeszcze, bo miał czterdzieści lat zaledwie; postawy eleganckiej, wzrostu nieco więcej, niż średniego, cery żywej i śniadej; spojrzenie pełne ognia, nos wielki, ale dosyć kształtny, czoło duże, majestatyczne, włosy czarne i trochę kędziorowate, broda czarniejsza od włosów i zawsze starannie ufryzowana żelazkiem, co nadawało jej wdzięku. Z przyjemnością też przypatrywał się rękom: miał bardzo ładne i bardzo troskliwie je pielęgnował; potem odrzuciwszy wielkie rękawice łosiowe, które już włożył, bo należały do munduru, włożył zwyczajne rękawiczki jedwabne.

W tej chwili otworzyły się drzwi.

— Pan d'Artagnan — oznajmił lokaj.

Oficer wszedł.

Był to mężczyzna lat trzydziestu do czterdziestu, niewielkiej, ale zgrabnej postawy, szczupły o żywych i sprytnych oczach; brodę miał czarną a włosy siwiejące, jak to bywa zawsze, gdy życie płynie zbyt dobrze lub zbyt źle, a zwłaszcza kiedy kto jest silnym brunetem.

D'Artagnan, znalazłszy się w gabinecie, przypomniał sobie natychmiast, że był tu raz za Richelieu'go, a widząc, że w gabinecie tym niema nikogo prócz muszkietera z jego kompanji, zatrzymał wzrok na tym muszkietrze i pomimo stroju od pierwszego rzutu oka poznał kardynała.

Stanął więc w postawie, pełnej uszanowania, ale i pełnej godności, jaka przystoi człowiekowi na jego stanowisku, który w życiu miewał często sposobność widywać się z wielkimi panami.

Kardynał zwrócił nań oczy przebieglejsze, niż głębokie; przyglądał mu się uważnie, poczem po kilku sekundach milczenia wyrzekł:

— To pan jesteś panem d'Artagnan?

— Ja sam, Wasza ekscelencjo — odpowiedział oficer.

Kardynał patrzył jeszcze przez chwilę na tę głowę tak inteligentną i na tę twarz, której zbytnią ruchliwość skrępowały lata i doświadczenie; ale d'Artagnan wytrzymał to badanie, jak człowiek, któremu niegdyś przyglądały się oczy o wiele przenikliwsze od tych, których egzaminowaniu teraz był poddawany.

— Mój panie — odezwał się kardynał — pójdziesz pan ze mną, a raczej ja pójdę z panem.

— Na rozkazy Waszej ekscelencji — odpowiedział d'Artagnan.

— Chciałbym sam obejrzeć warty, otaczające pałac królewski; sądzisz pan, że jest niebezpieczeństwo?

— Niebezpieczeństwo, Wasza ekscelencjo?... — spytał d'Artagnan — a jakie?

— Powiadają, że lud jest bardzo wzburzony.

— Mundur muszkietarów królewskich jest bardzo szanowany, Wasza ekscelencjo, a choćby tylko samoczwart, obowiązują się rozpędzić setki tej hałastry.

— Widziałeś pan, co spotkało Comminges'a.

— Pan de Comminges jest w gwardji, a nie w muszkietarach — odpowiedział d'Artagnan.

— To chcesz pan powiedzieć — podchwycił kardynał

z uśmiechem — że z muszkietarów lepsi żołnierze, niż z gwardji?

— Nikt nie jest wolny od miłości dla własnego munduru, Wasza ekscelencjo.

— Ze mną jednak inaczej — podchwycił Mazarini z uśmiechem — bo widzisz pan, że zrzucił swój mundur, ażeby wasz przywdziać.

— E! Wasza ekscelencjo — rzekł d'Artagnan — to tylko przez skromność. Ja, gdybym miał mundur Waszej ekscelencji, to byłbym mu rad.

— Tak, ale na wyjście dziś wieczorem nie jest on dla mnie zbyt bezpieczny. — Bernouinie, mój kapelusz.

Lokaj wszedł, przynosząc kapelusz mundurowy o szerokich skrzydłach. Kardynał włożył go na głowę junacko i, zwróciwszy się do d'Artagnana, spytał:

— Pan masz w stajni konie osiodłane, nieprawdaż?

— Mam, Wasza ekscelencjo.

— To chodźmy.

— Ilu Wasza ekscelencja chce ludzi?

— Powiedziałeś pan, że w czterech obowiązuje się rozpędzić setkę motłochu, a, ponieważ moglibyśmy napotkać dwie steki, weź pan ośmiu.

— Kiedy Wasza ekscelencja jedzie?...

— Ja idę za panem — podchwycił kardynał — nie, tedy, poświęć nam, Bernouinie.

Lokaj wziął świecę, kardynał wyjął mały kuferek z biurka i, otworzywszy drzwi na potajemne schody, znalazł się po chwili na dziedzińcu pałacu Królewskiego.

ROZDZIAŁ II

PATROL NOCNY

W dziesięć minut później mały oddział wyruszał ulicą Dobrych Dzieci, z za sali teatralnej, którą kardynał Richelieu zbudował, ażeby grać w niej *Mirama*, a kardynał Mazarini większy amator muzyki, niż literatury, kazał wystawiać tu pierwsze opery francuskie.

Miasto przedstawiało widok wielkiego wzburzenia, liczne gromadki przebiegały ulice i zatrzymywały się przy ukazaniu żołnierzy, z miną groźnego szyderstwa, znamionującego, że mieszczenie, zwykle spokojni, nabrali ducha wojowniczego.

Chwilami wrzawa dolatywała od strony hal targowych. Strzały z fuzyj huczały w ulicy św. Djonizego, a niekiedy, ni stąd ni zowąd, odzywały się dzwony, wprawione w ruch z fantazji ludu.

D'Artagnan przebywał drogę z zupełnym spokojem człowieka, na którego nie działają wcale takie drobnostki. Kiedy gromadka jaka zawałała sobą ulicę, najeżdżał na nią konno, wcale nie ostrzegając, a ponieważ wicherzyciele, albo też i buntownicy, z których składał się ten tłum, widzieli, z kim mają do czynienia, rozstępowali się i przepuszczali patrol.

Kardynał zazdrościł mu tego spokoju, który przypisywał przyzwyczajeniu do niebezpieczeństw, ale niemniej na rachunek oficera, pod którego dowództwem chwilowo stanął, składał i ten wzgląd, że przezorność sama nadaje niezamąconą odwagę. Kiedy się zbliżono do warty przy rogatce Sierżantów, szyldwach krzyknął: „kto idzie!“

D'Artagnan odpowiedział, poczem, zapytawszy kardynała o hasło, wymówił je; hasłem tem było: „Ludwik

i Rockroy.“ Po wymienieniu tych znaków porozumienia, d'Artagnan zapytał, czy to pan Comminges dowodzi placówką.

Wtedy wartownik wskazał mu oficera, rozmawiającego z jakimś jeźdźcem.

— Oto pan Comminges — rzekł d'Artagnan, wróciwszy do kardynała.

Kardynał skierował ku oficerowi konia, a d'Artagnan usunął się na bok przez delikatność; zauważył jednak po sposobie, w jaki obaj rozmawiający zdjęli kapelusze, iż poznali jego Eminencję.

— Bravo! Guitaut!... — rzekł kardynał do jeźdźcy — widzę, że, pomimo lat sześćdziesięciu czterech, zawsze jesteś ten sam, rzeźki i przywiązany; cóż tak opowiadasz temu młodzieńcowi?

— Wasza ekscelencjo — odrzekł Guitaut — opowiadam mu, iż żyjemy w szczególnej epoce i że dzień dzisiejszy bardzo przypomina dzień Ligi, jaki widziałem zamłodu. Czy Wasza ekscelencja wie, że myślano już ni mniej ni więcej o stawianiu barykad na ulicach św. Djonizego i św. Marcina?

— A cóż ci na to odpowiedział Comminges, mój drogi Guitaut?

— Wasza ekscelencjo — odezwał się Comminges — i dla utworzenia Ligi brakowało im pewnej rzeczy, która wydała mi się dosyć ważna, brakowało im księcia Gwizjusza; zresztą nie robi się dwa razy tego samego.

— Nie, ale oni robią *frondę*, jak to nazywają — podchwycił Guitaut.

— Cóż to jest fronda?... — spytał Mazarini.

— Wasza ekscelencjo, taką nazwę nadają oni swej partji.

— A skądże pochodzi ta nazwa?...

— Zdaje się przed kilku dniami radca Bachaumont powiedział w pałacu, że wszyscy autorowie rozruchów podobni są do żaków *frondujących*, t. j. zbierających się do rowów pod Paryżem, a rozlatujących na widok policjanta, poczem znów się zbierają, gdy przejdzie. Słowo to pochwycono w locie; nazwano ich frondystami. Dzisiaj i wczoraj wszystko mieliśmy *frondowe*: chleb, kapelusze, rękawiczki, wachlarze, a oto, proszę posłuchać...

„Dzisiaj już jest fronda,
Słuchaj, Mazarini!
W skórę ona ci da,
Słuchaj, Mazarini!”

— Zuchwalec! — mruknął Guitaut.

— Wasza Ekscelencjo — rzekł Comminges, którego rana wprowadzała w zły humor i chętnie pragnąłby doczekać się odwetu, czy chcesz, ażebym posłał kulę hultajowi, niechby nie śpiewał tak fałszywie!...

I ręką sięgnął do olster na koniu swego wuja.

— Nie! nie! — wykrzyknął Mazarini — *Diavolo!* mój drogi przyjacielu, byłbyś wszystko popsuł, rzeczy idą pysznie; znam ja waszych Francuzów, jakbym ich sam zrobił od pierwszego do ostatniego; śpiewają, to zaplącą. Podczas Ligi, o której Guitaut mówił przed chwilą, śpiewano tylko mszę. Chodź z nami, Guitaut! chodź!... zobaczymy, czy tak dobrze pilnują rogateki Trzydziestu pięciu, jak tych rogatek.

I, ukłoniwszy się Comminges'owi ręką, połączył się z d'Artagnanem, idącym na czele małego oddziału, za którym podążał Guitaut i kardynał; pochód zamykała reszta eskorty.

— Racja... wyrzekł Comminges, patrząc na oddalające się kardynała, — zapomniałem, że byleby płacono, on niczego więcej nie pragnie.

Powrócono na ulicę św. Honorego, odsuwając wciąż gromadki ludzi; w gromadkach tych mówiono tylko o edyktach, świeżo wydanych; żalowano młodego króla, który tak rujnował swój lud, nic o tem nie wiedząc, całą winę zwalano na Mazariniego i mówiono o odwołaniu się do księcia Orleańskiego, wysławiano Blancmesnila i Broussela.

D'Artagnan przejeżdżał pośród tych ludzi z najzupełniejszym spokojem, jakgdyby on i koń jego byli z żelaza, Mazarini rozmawiał pośrodku z Guitaut; muszkietierowie, którzy już poznali kardynała, jechali w milczeniu.

Tak przebył on ulicę S-go Tomasza i przybył do Luwru, gdzie znajdował się wspomniany posterunek; Guitaut przywołał podwładnego oficera, ażeby zdał raport.

— I cóż? — zapytał Guitaut.

— O!... mój kapitanie — odrzekł oficer — tutaj wszystko dobrze, tylko tam dzieje się coś... w tym pałacu.

I ręką wskazał wspaniały pałac, stojący na miejscu, gdzie potem był teatr Wodewil.

— W tym pałacu? — podchwycił Guitaut — ależ to pałac Rambouillet.

— Nie wiem, czy to pałac Rambouillet — podchwycił oficer — ale wiem, że widziałem tam wchodzących ludzi z bardzo podejrzanymi minami.

— Ba!... — odparł Guitaut, wybuchając śmiechem — to są tylko poeci!

— E!... Guitaut — rzekł Mazarini — mógłbyś też z większym uszanowaniem wyrażać się o tych panach; nie wiesz, że i ja byłem także poetą zamłodu i pisywałem wiersze w rodzaju pana de Benserade.

— Wasza Ekscelencja?...

— Tak, ja. Chcesz, ażebym ci je powiedział?

— Dla mnie to wszystko jedno, bo nie rozumiem po włosku.

— Tak, ale rozumiesz po francusku, nieprawdaż, mój poczciwy i dzielny Guitaut — podchwycił Mazarini, po przyjacielsku kładąc mu rękę na ramieniu — i jeżeli w tym języku dany ci będzie przeze mnie rozkaz, wykonasz go, nieprawdaż?

— Bezwątpienia, Wasza Ekscelencjo, jak to uczyniłem nieraz, byleby rozkaz ten pochodził od królowej.

— A! tak — wyrzekł Mazarini, przygryzając sobie usta — wiem, że jesteś jej zupełnie oddany.

— Jestem kapitanem jej gwardji przeszło od lat dwudziestu.

— W drogę, panie d'Artagnan — podchwycił kardynał — tutaj wszystko dobrze.

D'Artagnan znów pojechał na czele oddziału, nie powiedziawszy ani słowa, z tem biernem posłuszeństwem, jakie cechuje starego żołnierza.

Skierował się ku wzgórzu św. Rocha, gdzie stał trzeci posterunek, przejrząwszy po drodze ulicę Richelieu'go i Villers, bardzo ustronne, bo graniczące prawie z wałami miejskimi, i bardzo mało zaludnione.

— Kto dowodzi tym posterunkiem? — zapytał kardynał.

— Villequier — odpowiedział Guitaut.

— Do djabła!... — rzekł Mazarini — pomów z nim sam, wiesz, żeśmy na siebie krzywi, odkąd ty miałeś polecenie aresztować księcia de Beaufort; on utrzymywał, że to jemu, jako kapitanowi gwardji króla, należało się to szczęście.

— Wiem o tem dobrze i już mu sto razy mówiłem, iż nie ma najmniejszej racji; król nie mógł mu dać tego rozkazu, bo król wówczas miał dopiero lat cztery.

— Tak, ale ja mogłem być ten rozkaz mu dać, a wybrałem ciebie.

Guitaut, nic nie odpowiedziawszy, pojechał naprzód, dał się poznać szyldwachowi i kazał przywołać pana de Villequier.

Ten zaraz podszedł.

— A!... to pan Guitaut — rzekł kwaśno, a zwykle był kwaśny — cóż pan u djabła tu porabiasz?

— Przychodzę pana zapytać, czy tu co nowego słyhać.

— A cóż pan chcesz, u djabła, żeby tu było słyhać. krzyczą: „niech żyje król“ i „precz z Mazarinim“, ale to nie nowina, już od dość dawna przywykliśmy do tych krzyków.

— I należycie do chóru — odpowiedział Guitaut ze śmiechem.

— Dalibóg, miałbym wielką ochotę, bo, mój panie Guitaut, według mnie, oni mają rację; ja sam oddałbym przez pięć lat moją pensję, której mi wcale nie płacą, a żeby tylko król był o pięć lat starszy.

— Doprawdy? a cóżby się przez to zmieniło, gdyby król miał o lat pięć więcej?

— To, że król stałby się pełnoletni i sam wydawałby rozkazy, a większą przyjemnością przecie byłoby słyhać wnuka Henryka IV, niż syna Piotra Mazarini'ego. Dla króla choćby na śmierć dałbym się zabić z ochotą!... ale gdybym zabity został za Mazarini'ego, jak siostrzeniec pański o mało co dziś nie został, żaden raj najbardziej błogi, nie pocieszyłby mnie nigdy.

— Dobrze, dobrze, panie Villequier — odezwał się Mazarini — bądź pan spokojny, nie omieszkać o tem przywiązaniu zawiadomić króla.

Potem, zwróciwszy się do eskorty, wyrzekł.

— Jedźmy, panowie, wszystko idzie dobrze, wracajmy.

— O! — wyrzekł Villequier — i Mazarini był tutaj!

Tem lepiej, oddawna pragnąłem mu w oczy powiedzieć, co o nim myślę; dostarczyłeś mi tej sposobności, Guitaut, a chociaż twoje względem mnie zamiary nie były może najlepsze, jednak ci dziękuję.

I, wykręciwszy się na pięcie, wszedł do kordegardy, gwizdząc śpiewkę frondystów.

Tymczasem Mazarini powracał głęboko zadumany; to, co usłyszał kolejno od Comminges'a, Guitauta i Villequiera, utwierdziło go w myśli, że — w razie ważniejszych wypadków—miałby po swojej stronie tylko królową, a nadomiar królowa tak często opuszczała swych przyjaciół, że ministrowi, pomimo wszelkich przedsięwziętych ostrożności, poparcie jej wydawało się bardzo niepewne.

Przez cały czas tej przejażdżki nocnej, która trwała prawie godzinę, kardynał, przyglądając się kolejno Comminges'owi, Guitautowi i Villequierowi, badał szczególnie postawę jednego człowieka.

Człowiek ten, który wobec pogroźek ludu pozostał niewzruszony i ani się zmarszczył na żarty Mazariniego, zarówno jak na te, które je wywołały, człowiek ten wydawał mu się wyjątkową istotą, wydawał mu się zahartowany na wypadki, jakie się odbywały obecnie, a zwłaszcza na te, które łatwo dawały się przewidzieć już w bliskiej przyszłości.

Zresztą nazwisko d'Artagnana nie było mu zupełnie nieznanem, jakkolwiek Mazarini przybył do Francji dopiero w roku 1634 czy 1635, to jest w siedm czy ośm lat po wypadkach, które opowiedzieliśmy w poprzedniej historii; zdawało się kardynałowi, że nazwisko to jest wstawione, jako należące do człowieka, który w pewnej okoliczności, jakiej już sobie nie przypominał, złożył dowody wzorowej odwagi, zręczności i poświęcenia.

Myśl ta tak opanowała jego umysł, że postanowił ją wyjaśnić niezwłocznie; ale tych wiadomości o d'Artagnanie mógł jawnie żądać tylko od niego samego.

Z kilku słów, które wyrzekł porucznik muszkieterów, kardynał poznał pochodzenie gaskońskie, a włosi i gaskończycy znają się zbyt dobrze, zbyt są do siebie podobni, aby nie przypisywali sobie nawzajem swoich cech.

Kardynał, powróciwszy do pałacu królewskiego od strony parkanu ogrodowego, zapukał do małej furtki i, podziękowawszy d'Artagnanowi oraz poprosiwszy go,

żeby zaczekał na dziedzińcu pałacu, skinął na Guitaut, ażeby za nim podążył.

— Mój drogi Guitaut, — rzekł kardynał, opierając się na ramieniu starego kapitana gwardji, — mówiłeś mi przed chwilą, że już od lat dwudziestu służysz królowej.

— Tak, to prawda, — odpowiedział Guitaut.

— Otóż, drogi mój Guitaut!... — ciągnął dalej kardynał — zauważyłem, że oprócz odwagi aż nazbyt znanej, i wierności nieporównanej, odznaczasz się jeszcze doskonałą pamięcią.

— Wasza Ekscelencja to zauważył — odrzekł kapitan — do djabła, tem gorzej dla mnie.

— Dlaczego!...

— Bo jednym z najpierwszych przymiotów dworaka jest umieć zapominać.

— Ale ty nie jesteś dworakiem, Guitaut, jesteś dzielnym żołnierzem, a także kapitanem, jakich zostało kilku jeszcze z czasów Henryka IV, ale jakich niestety w przyszłości już nie będzie.

— O!... Wasza Ekscelencjo, czy kazałeś mi tu przyjść, ażeby postawić mi mój horoskop?

— Nie — odparł Mazarini ze śmiechem — prosiłem, ażebyś tu przyszedł, bo chciałem się od ciebie dowiedzieć, czyś nie zauważył naszego porucznika gwardji.

— Pana d'Artagnana?

— Tak.

— Nie potrzebowałem go zauważać, Wasza Ekscelencjo, znam go oddawna.

— Cóż to za człowiek?

— Ależ to gaskończyk — odrzekł Guitaut, zdziwiony pytaniem.

— Tak, to wiem, ale chciałem cię zapytać, czy to człowiek, któremu można zaufać?

— Pan de Tréville bardzo go szanuje, a pan de Tréville, jak panu wiadomo, należy do wielkich przyjaciół królowej.

— Chciałem się dowiedzieć, czy ten człowiek dał się już dobrze poznać.

— Jeżeli Wasza Ekscelencja pyta, czy był dzielnym żołnierzem, to mógłbym odpowiedzieć twierdząco. Przy oblężeniu Roszelli, pod Suze, pod Perpignan, więcej on, jak słyszałem, dokazał, niż było jego obowiązkiem.

— Ale widzisz, mój Guitaut, my, biedni ministrowie, potrzebujemy często ludzi nietylko walecznych. Potrzebujemy i ludzi zręcznych. Czy za czasów kardynała, pan d'Artagnan nie był zamieszany w jaką intrygę, z której potem bardzo zręcznie się wywikłał?

— Co do tego — rzekł Guitaut, widząc, że kardynał chce od niego wszystkie wiadomości wydobyć — zmuszony jestem powiedzieć Waszej Ekscelencji, że nie wiem nic więcej ponad to, co te same pogłoski mogły panu donieść. Nigdy ja się nie mieszałem do intryg, a, jeżeli kiedykolwiek doszło mnie jakie zwierzenie o intrygach cudzych, to ponieważ tajemnica do mnie należy, Wasza Ekscelencjo, uznaję za stosowniejsze zachować ją dla tych, którzy mi zawierzyli.

Mazarini wstrząsnął głową.

— O!... — rzekł — daję słowo, że są ministrowie szczęśliwi, wiedzący o wszystkim, czego chcą.

— Wasza Ekscelencjo — podchwycił Guitaut — to może dlatego, że nie wążą oni wszystkich ludzi na jednakowych szalach i mogą udawać się do ludzi wojny, gdy idzie o wojnę, a do ludzi intryg, gdy idzie o intrygi. Niech się Wasza Ekscelencja zwróci do jakiego intryganta z epoki, o której mowa, a otrzyma od niego, co zechce, naturalnie, płacąc za to dobrze.

— E! do licha!... — podchwycił Mazarini, krzywiąc się tak, jak zwykle, gdy chodziło o pieniądze w takim znaczeniu, — ha! to się zapłaci, jeżeli niema innego sposobu.

— Czy Wasza Ekscelencja na serjo żąda, ażebym jej wskazał człowieka, który też wmieszany był we wszelkie intrygi?

— *Per Bacco!*... — podchwycił Mazarini, bo już się niecierpliwił, — od godziny o to tylko cię proszę, żelazna głowo.

— Jest jeden, za którego ręczę, jeżeli tylko zechce mówić.

— To już do mnie należy.

— O! Wasza Ekscelencjo, nie zawsze łatwo skłonić do mówienia takich ludzi, którzy mówić nie chcą.

— Ba! przy cierpliwości i tego można dokazać. I cóż to za człowiek?

— To hrabia de Rochefort.

— Hrabia de Rochefort!...

— Na nieszczęście, znikł on przed czterema, czy pięciu laty, i nie wiem, co się z nim stało.

— To ja się dowiem, mój Guitaut — odrzekł Mazarini.

— Więc dłaczegóż Wasza Eminencja skarżył się przed chwilą, że o niczem nie może wiedzieć?

— I sądzisz — podchwycił Mazarini — że Rochefort...

— On był duszą oddany kardynałowi; ale uprzedzam Waszą Ekscelencję, kosztować to będzie drogo; kardynał hojny był dla swoich ludzi.

— Tak, tak, mój Guitaut — odrzekł Mazarini — był to wielki człowiek, ale miał tę wadę; dziękuję ci, skorzystam z twojej rady, i to nawet tego wieczora.

A ponieważ w tej chwili rozmawiający przybyli już na dziedziniec pałacu królewskiego, kardynał pożegnał Guitaut skinieniem ręki i, spostrzegłszy oficera, który przechadzał się wzdłuż i wszerz, zbliżył się do niego.

Był to d'Artagnan, który czekał, zgodnie z rozkazem kardynała.

— Chodź, panie d'Artagnan — rzekł Mazarini najśłodszym głosem — mam dla ciebie polecenie.

D'Artagnan skłonił się, podążył za kardynałem i w chwilę później znalazł się znowu w gabinecie, z którego był wyszedł. Kardynał usiadł przed biurkiem, wziął arkusz papieru, na którym napisał kilka wierszy.

D'Artagnan stał niewzruszony i czekał bez niecierpliwości, zarówno jak bez zaciekawienia. Stał się on automatem urzędowym, działającym, albo raczej spełniającym rozkazy, jak za naciśnięciem sprężyny.

Kardynał złożył list i przyłożył pieczęć.

— Panie d'Artagnan — wyrzekł — zaniesiesz tę depeszę do Bastylji i przyprowadzisz osobę, o której tu mowa: weźmiesz karetę, eskortę i pilnować będziesz więźnia tego bacznie.

D'Artagnan wziął list, rękę podniósł do kapelusza, odwrócił się na pięcie, jak dokładniej nie mógł uczynić sierżant, uczący żołnierzy, wyszedł i za chwilę słychać było, jak rozkazywał krótko, głosem jednostajnym:

— Czterech ludzi do eskorty, karetę i mego konia.

W pięć minut potem rozległ się turkot kół karety, żelazta i koni, tętniących po bruku podwórza.

ROZDZIAŁ III

DWAJ DAWNI NIEPRZYJACIELE

Kiedy d'Artagnan przybył do Bastylji, wybiło pół do dziewiątej.

Kazał się oznajmić gubernatorowi, który, dowiedziawszy się, że przybywa — w imieniu i z rozkazu ministra — wyszedł na jego spotkanie aż na ganek.

Gubernatorem Bastylji był wtedy pan du Tremblay, brat słynnego kapucyna Józefa, owego starszego ulubieńca Richelieu'go, zwanego „szarą eminencją“.

Kiedy marszałek Bassompierre znalazł się w Bastylji, gdzie pozostał okrągłe lat dwanaście, i gdy jego towarzysze w marzeniach o wolności mówili sobie: „Wtedy a wtedy stąd wyjdę“, — Bassompierre powtarzał im zawsze: „A ja, moi panowie, wyjdę stąd, kiedy pan du Tremblay wyjdzie“. To znaczyło, że ze śmiercią kardynała pan du Tremblay nie omieszka stracić miejsca swego w Bastylji, a Bassompierre odzyskać swego miejsca u dworu.

Przepowiednia ta o mało co się nie sprawdziła, ale w inny sposób, niż myślał Bassompierre, bo chociaż kardynał umarł, wbrew wszelkim przewidywaniom, nic się nie zmieniło. Pan du Tremblay nie wyszedł z Bastylji, a pan Bassompierre też nie wyszedł wcale.

Pan du Tremblay był tedy jeszcze gubernatorem Bastylji, kiedy d'Artagnan stawił się z rozkazem ministra; przyjął go z największą grzecznością, a ponieważ zasiąść miał do stołu, zaprosił d'Artagnana na kolację.

— Z największą przyjemnością służyłbym panu — rzekł d'Artagnan — ale jeżeli się nie mylę, na kopercie listu jest andotacja: *bardzo pilne*.

— Prawda — odrzekł du Trembalay. — Hej! majorzeli!... niechaj przyprowadzą numer 256.

W Bastylji człowiek nie miał już nazwiska, stawał się tylko numerem.

D'Artagnan wzdrygnął się mimowoli na brzęk kluczów; pozostał też na koniu, nie chcąc z niego zsiąść; patrzył na sztaby żelazne, na okna zakratowane, na mury ogromne, które widział dotąd tylko zdaleka, a których tak się bał ongiś przed laty dwudziestu.

Rozległ się odgłos dzwonu.

— Muszę pana opuścić — rzekł doń pan du Tremblay — wzywają mnie, abym podpisał wyjście więźnia. Do widzenia, panie d'Artagnan.

— Niech djabeł mnie porwie, jeżeli powtórzę ci takie życzenie! — mruknął d'Artagnan, dodając do tego przekleństwa, jak najprzejmniejszy uśmiech — pięć minut tylko byłem na podwórzu, a już o mało co się nie rozchorowałem... No, no, widzę, że jeszcze wolałbym umrzeć na barłogu, co mnie spotka prawdopodobnie, niżli pobierać dziesięć tysięcy liwrów rocznie, jako gubernator Bastylji.

Zaledwie dokończył tego monologu, ukazał się więzień. D'Artagnan, zobaczywszy go, okazał zdziwienie, które jednak powściągnął natychmiast.

Więzień wsiadł do karety, jakgdyby nie poznał d'Artagnana.

— Panowie — odezwał się d'Artagnan do czterech muszkietarów — polecono mi jak największą bacność rozciągnąć nad więźniem, a ponieważ kareta nie ma zamków u drzwiczek, wsiadę, ażeby być przy nim. Panie de Sollebrune, bądź łaskaw prowadzić konia mego za cugle.

— Najchętniej, mój poruczniku! — odrzekł jeździec, do którego zwrócone były te słowa.

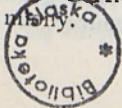
D'Artagnan zsiadł na ziemię, dał cugle konia swego muszkietarowi, wsiadł do karety, usadowił się przy więźniu i głosem, w którym niepodobna było rozróżnić najmniejszego wzruszenia, wyrzekł:

— Do pałacu królewskiego, klusem.

Powóz zaraz się potoczył, a d'Artagnan, korzystając z ciemności, panującej pod sklepieniem, kędy przejeżdżano, rzucił się więźniowi na szyję.

— Rochefort!... — zawołał — wszak to ty!... to ty!... Nie myślę się bynajmniej!...

— D'Artagnan!... — zawołał znów Rochefort zdumiony.



— O! biedny mój przyjacielu!... — mówił dalej d'Artagnan — nie widziałem cię od lat czterech czy pięciu i myślałem, żeś już umarł.

— Dalibóg — odrzekł Rochefort — niema wielkiej różnicy, jak sądzę, między umarłym a pochowanym, ja zaś jestem, jak pochowany.

— I za jaką zbrodnię dostałeś się do Bastylji?

— Chcesz, ażeby ci wprost powiedział.

— Naturalnie.

— Otóż nic a nic nie wiem.

— Nie ufasz mi, Rochefortcie!

— Nie, słowo szlacheckie, bo niepodobna, ażebym tu siedział za to, o co mnie obwiniają.

— O cóż takiego?

— O kradzież po nocy.

— O kradzież po nocy?... ciebie... Rochefortcie!... kpisz sobie!

— Rozumiem. Wymaga to objaśnienia, nieprawdaż?

— Wyznaję.

— Otóż tak się to stało. Pewnego wieczoru, po orgji u Reinard, w Tuilleries, wespół z księciem d'Harcourt, Fontraillem, de Rieux oraz innymi, ksiązę d'Harcourt zaproponował, by iść na Nowy-Most i ściągać tam płaszcze z przechodniów; jak wiesz, ksiązę Orleański w modę wprowadził tę zabawkę.

— Doprawdy, Rochefortcie, w twoim wieku! czyś zwarzował?

— Nie, byłem tylko pijany, a ponieważ zabawa wydawała mi się licha, zaproponowałem kawalerowi de Rieux, ażeby zamiast aktorem, zostać widzem, i, ażeby przyglądać się scenie, jak z pierwszych łóż, wsiąść na konia spiżowego. Co się powiedziało, to się zaraz zrobiło! Dzięki ostrogom, za chwilę już siedzieliśmy na grzbiecie nieruchomego rumaka; miejsce było rozkoszne, widzieliśmy stamtąd wszystko jak najlepiej. Już cztery, czy pięć płaszczy porwanych zostało z niezrównaną zręcznością, a nikt z tych, którym je zabrano, nie śmiał pisnąć ani słowa, gdy wtem jakiś głupiec zaczął drzeć się na całe gardło i sprowadził nam na kark patrol łuczników. Ksiązę d'Harcourt, Fontrailles i inni uciekli; de Rieux chce to samo uczynić. Wstrzymuję go, mówiąc, że nas nie odkryją tam, gdzie jesteśmy; on mnie nie słucha, chce zejść po murze; ka-

wał muru się obrywa, on spada, łamie nogę i— zamiast milczeć — krzyczy, jak wisielec. Wtedy i ja już chciałem zeskoczyć, ale było zapóźno; skaczę w same ręce łuczników, którzy mnie prowadzą do więzienia Châtelet, gdzie zasypiam na oba uszy, przekonany najzupełniej, że nazajutrz stamtąd się wydostanę. Dzień następny mija i po nim jeszcze jeden, wreszcie cały tydzień; piszę do kardynała: tego samego dnia przychodzą po mnie i prowadzą mnie do Bastylji; pięć lat już tutaj siedzę. Czy sądzisz, że to za świętokradstwo, jakie popełniłem, siadając na koniu z tyłu Henryka IV?

— Nie, mój drogi Rochefortcie, to musi być za co innego; ale dowiesz się prawdopodobnie teraz.

— A! tak, bo zapomniałem cię zapytać, dokąd mnie wiesziesz?...

— Do kardynała.

— Czegóż on ode mnie chce?...

— Nic nie wiem, bo nie wiedziałem nawet, że po ciebie jadę.

— Niepodobna!... ty, będąc ulubieńcem?...

— Ja, ulubieńcem!... — wykrzyknął d'Artagnan — A! mój biedny hrabio, jestem ja teraz jeszcze biedniejszym gaskończykiem, niż wtedy, gdy cię zobaczyłem w Meung, pamiętasz, lat temu dwadzieścia dwa, niestety!...

I ciężkie westchnienie dokończyło zdania.

— Przecie przybyłeś po mnie, jako dowódca?

— Bo przypadkowo znalazłem się w przedpokoju i dlatego kardynał zwrócił się do mnie tak, jakby wziął każdego innego; ale ja zawsze jestem tylko porucznikiem muszkietarów, a jeżeli, dobrze liczę, to jestem już nim od lat dwudziestu jeden.

— No, ale przynajmniej nie przytrafiło ci się żadne nieszczęście, a to już wiele.

— A jakież nieszczęście miało mi się przytrafić?... Jak powiada jakiś wiersz łaciński, którego zapomniałem, a nawet nigdy go dobrze nie umiałem, piorun nie uderza w doliny, a ja mój drogi jestem doliną i to jedną z najniższych.

— Więc Mazarini zawsze jest jeszcze Mazarinim.

— O! teraz bardziej, niż kiedykolwiek; powiadają, że się ożenił z królową.

— Ożenił!

— A jeżeli nie jest jej mężem, to z pewnością jej kochankiem.

— Oparła się Buckinghamowi, a uległa Mazariniemu!

— O! kobiety!... — podchwycił filozoficznie d'Artagnan.

— Kobiety, to co innego, ale królowe!

— E! mój Boże!... pod tym względem królowe są podwójnie kobietami.

— A pan de Beaufort czy jeszcze siedzi w więzieniu?

— Ciągłe; dlaczego pytasz?

— O! bo on mi był życzliwy, więc mógłby mnie wyciągnąć z biedy.

— Prawdopodobnie ty bliższy jesteś wolności i prędczej go z biedy wyciągniesz.

— Więc będzie wojna?

— Tak, będzie zapewne.

— Z Hiszpanją.

— Nie, ale z Paryżem.

— Co mówisz?

— Czy słyszysz tę strzelaninę?

— Tak, więc cóż?

— Tak to się mieszczuchy wprawiają, zanim wezmą się do rzeczy na dobre.

— Czy sądzisz, że można co zrobić z mieszczan?

— Takby się zdawało, gdyby mieli wodza, któryby ich gromadki zebrał do kupy.

— Ah! jakie to nieszczęście, że nie jestem wolny.

— E! mój Boże!... nie rozpaczaj. Jeżeli Mazarini cię szuka, to dlatego, że cię potrzebuje, a skoro cię potrzebuje, to ci winszuję szczerze. Mnie od tylu lat nikt nie potrzebuje, to też widzisz czem jestem.

— O! zaczekaj! zaczekaj! radzę ci!

— Wiesz co, Rochefortcie, zrobimy układ...

— Jaki?

— Jesteśmy przecie dobrymi przyjaciółmi.

— Bagatela! noszę jeszcze ślady naszej przyjaźni: trzy uderzenia szpadą!

— Otóż jeżeli znów odzyskasz łaskę, nie zapomnij o mnie.

— Słowo Rocheforta, ale pod warunkiem wzajemności.

— Zgoda, naturalnie, oto moja ręka.

— Przy pierwszej też sposobności, gdy będziesz mógł o mnie mówić...

— To będę mówił... a ty?...

— Ja także.

— Ale, a twoi przyjaciele?... czy o nich także trzeba mówić?...

— Co za przyjaciele?...

— Athos, Porthos i Aramis; czyżes o nich zapomniał?

— Prawie!

— Cóż się z nimi stało?

— Nic a nic nie wiem.

— Doprawdy!

— A tak, mój Boże! rozstaliśmy się, jak ci wiadomo; żyją, tyle tylko mogę o nich powiedzieć. Ale w którym kącie ziemi są, niech mnie djabeł porwie, czy wiem choć odrobinę. Nie, na honor! Jednego tylko mam przyjaciela, Ciebie, Rochefortcie!

— A ten znakomity... jak nazywałeś tego chłopca, którego zrobiłem sierżantem w pułku piemontckim?

— Planchet.

— Tak, tak. Cóż się stało ze znakomitym Planchetem?

— Zaślubił cukiernię przy ulicy Lombardyjskiej; chłopiec zawsze bardzo lubił słodczyce. Teraz jest mieszczaninem paryskim i prawdopodobnie czynny bierze udział w rozruchach. Zobaczysz, że ten hultaj zostanie jeszcze jakim dygnitarzem miejskim, zanim ja się dochrapię kapitanostwa.

— E! mój drogi d'Artagnanie, trochę otuchy; kiedy się jest najniżej u kół, koła się obracają i człowiek znówu na wozie. Może od dzisiejszego wieczora los twój zaraz się zmieni.

— Adieu! — wyrzekł d'Artagnan, zatrzymując karete.

— Co robisz?... — zapytał Rochefort.

— Już przybyliśmy na miejsce, a nie chciałbym, ażeby mnie widziano wysiadającego z karety od ciebie, my się niby nie znamy.

— Masz rację. Adieu!...

— Do widzenia; pamiętaj o obietnicy.

I d'Artagnan wsiadł na konia i pojechał przed eskor-

ta. W pięć minut później znajdowano się już na dziedzińcu pałacu królewskiego. D'Artagnan poprowadził więźnia głównymi schodami przez przedsionek i korytarz.

Gdy stanęli przed drzwiami gabinetu Mazariniego, porucznik miał go już oznajmić, gdy Rochefort trącił go w ramię.

— D'Artagnanie!... — rzekł Rochefort — winienem przyznać ci się do tego, co myślałem przez całą drogę, widząc wszędzie gromady mieszczańskie, przyglądające się oczami rozplomienionemi tobie i czterem ludziom.

— Cóż takiego?... — zapytał d'Artagnan.

— Że dość byłoby mi krzyknąć na pomoc, a rozszarpanoby w kawałki i ciebie i twoją eskortę, a ja wtedy byłbym wolny.

— Dlaczegożes tego nie uczynił?... — rzekł d'Artagnan.

— Cóż znowu! — podchwycił Rochefort — a przyjaźń zaprzysiężona? Ale gdyby to kto inny mnie prowadził, wierz... w takim razie...

I d'Artagnan stracił głowę.

— Czyżby Rochefort stał się lepszy ode mnie? — rzekł i kazał się oznajmić ministrowi.

— Wprowadzić pana Rocheforta — odezwał się niecierpliwym głosem Mazariniego, skoro usłyszał wymienione dwa nazwiska — i poprosić pana d'Artagnana, ażeby czekał, może jeszcze będzie mi potrzebny.

Słowa te ucieszyły d'Artagnana. Jak już powiedział, od dawna nikt go nie potrzebował, a to zajęcie się nim Mazariniego wydawało mu się dobrą wróżbą. Co się tyczy Rocheforta, postanowił on jeszcze bardziej mieć się na baczności.

Wszedł do gabinetu i zastał Mazariniego, siedzącego przy stole w zwykłym ubraniu, to jest po kardynalsku, a strój ten prawie niczem się nie różnił od takiego, jaki naówczas nosili opaci, z wyjątkiem, iż należały doń ponoczochoy i płaszcz fioletowy.

Drzwi się zamknęły, Rochefort spojrział z ukosa na Mazariniego i pochwycił spojrzenie kardynała, które się skrzyżowało z jego wzrokiem.

Minister zawsze wyglądał tak samo, starannie uczesany, starannie utrefiony, wyperfumowany obficie, a dzięki tej zalotności nie wyglądał na tyle lat, ile miał.

Inaczej było z Rochefortem. Przez te pięć lat, które spędził w Bastylji, mocno się postarzał godny przyjaciel pana de Richelieu; czarne włosy mu posiwiały, a kolor śniady twarzy ustąpił miejsca błądźci, znamionującej jakby wyczerpanie sił.

Mazarini, spostrzegłszy go, wstrząsnął niedostrzegalnie głową, jakgdyby chciał powiedzieć:

— O! ten człowiek wydaje mi się już do niczego!

Po chwili milczenia, która w rzeczywistości było dośyć długa, a Rochefortowi wydała się całym wiekiem, Mazarini wyciągnął z pliki papierów jakiś otwarty list i, pokazując go szlachcicowi, rzekł:

— Znalazłem ten list, w którym dopominasz się pan wolności, panie Rochefort. Więc pan jesteś w więzieniu?

Rochefort drgnął.

— Ależ?... — ozwał się — myślałem, że Wasza Eminencja lepiej o tem wie od wszystkich.

— Ja? wcale a wcale, w Bastylji mnóstwo jest jeszcze więźniów z czasów Richelieu'go, a ja nawet nie znam ich nazwisk.

— O!... ale ze mną co innego, panie kardynale, nazwisko moje było panu znane, ponieważ z rozkazu Waszej Eminencji przewieziono mnie z Châtelet do Bastylji.

— Tak pan sądzisz?

— Jestem tego pewny.

— A tak, zdaje mi się, że sobie przypominam. Czyś pan w swoim czasie nie odmówił odbycia dla królowej podróży do Brukselli?

— O! o!... — podchwycił Rochefort — więc to byłaby prawdziwa przyczyna. Szukam jej od lat pięciu. A to ze mnie głupiec, że nie mogłem jej znaleźć.

— Ależ ja nie powiadam, ażeby to była przyczyna pańskiego aresztowania; musimy się dobrze zrozumieć, ja tylko zadałem panu pytanie, czyś nie odmówił pojechania do Brukselli w służbie królowej, kiedy zgodziłeś się tam pojechać ongi dla nieboszczyka kardynała?

— Właśnie dlatego że byłem w służbie kardynała, nie mogłem tam pojechać dla słuźenia królowej. Znajdowałem się w Brukselli w okropnych okolicznościach. Było to za czasów spisku Chalais'a. Udałem się tam, ażeby przejąć korespondencję jego z arcyksięciem, i już wówczas, gdy mnie poznano, o mało co nie zostałem porąba-

ny w kawałki. Jakżeż mogłem tam powrócić? Zgubiłbym królową — zamiast jej usłużyć.

— Otóż pojmujesz, jak najlepsze zamiary mogą być źle tłumaczone, mój drogi panie Rochefortcie. W odmowie twojej królowa widziała tylko czystą i zwykłą odmowę; dałeś się dobrze we znaki Jej Królewskiej Mości za czasów nieboszczyka kardynała.

Rochefort uśmiechnął się pogardliwie.

— Dlatego właśnie, że służyłem wiernie panu kardynałowi de Richelieu przeciw królowej, gdy umarł, zapewne Wasza wielbność pojmuję, że służyłbym panu równie wiernie przeciw wszystkim.

— Ja, panie Rochefort — odparł Mazarini — ja nie jestem taki, jak Richelieu, ja nie dążę do wszechwładzy, jestem prostym ministrem, który sług nie potrzebuje, bo sam jest sługą królowej. Otóż Jej Królewska Mość jest bardzo podejrzliwa i musiała się dowiedzieć o pańskiej odmowie; wzięła to za wypowiedzenie wojny, a wiedząc, że z pana człowiek wyższy, a zatem niebezpieczny, mój drogi panie Rochefort, kazała mi zapewne, ażebym ją zabezpieczył przed tobą. W taki to sposób znalazłeś się pan w Bastylji.

— A zatem, panie kardynale — odezwał się Rochefort — jeżeli przez omyłkę znajduję się w Bastylji...

— Tak, tak — podchwycił Mazarini — zapewne wszystko da się jeszcze zrobić; pan jesteś zdolny rozumieć pewne sprawy, a zrozumiawszy je, poprowadzić dobrze.

— Takie było zawsze zdanie pana kardynała de Richelieu, a uwielbienie moje dla tego wielkiego człowieka tembardziej się zwiększa, kiedy widzę, że i pańskie jest takie zdanie.

— Przystępuję więc do rzeczy; potrzebuję dobrych przyjaciół, wiernych sług, a kiedy powiadam, że potrzebuję, to znaczy, że ich potrzebuje królowa. Ja, pojmuję pan, czynię wszystko tylko z rozkazu królowej, a nie tak, jak pan kardynał de Richelieu, który rządził się zawsze swemi kapryсами. Ja też nigdy nie będę takim wielkim człowiekiem, jak on; ale natomiast jestem sobie pœcziwcem, panie de Rochefort, i spodziewam się, że tego panu dowiodę.

Rochefort znał ten głos słodziutki, w jakim od czasu do czasu odzywało się jakby syczenie żmii.

— Gotów jestem uwierzyć Waszej wielebności — rzekł, chociaż na sobie mało miałem dowodów tej dobrotliwości, o jakiej Wasza Eminencja mówi. Nie zapominaj, panie kardynale—dodał, widząc ruch, którym minister usiłował go powściągnąć — nie zapominaj, że od lat pięciu siedzę w Bastylji i że nic tak nie paczy poglądów, jak patrzeć na świat przez kraty więzienne.

— O! panie Rochefort! jużem panu powiedział, że ja niczem nie przyczyniłem się do trzymania cię w więzieniu. Królowa, gniew kobiecy, który zresztą tak prędko przemija, jak przychodzi, i potem nawet się o nim nie myśli...

— Sądzę, że ona o nim już nie myśli, bo te lat pięć spędziła w pałacu królewskim pośród zabaw i dworzan, ale ja, co je przesiedziałem w Bastylji...

— E! mój Boże!... drogi panie Rochefort, czy sądzisz, że pobyt w pałacu królewskim jest tak rozkoszny? O... co to, to nie. I my mieliśmy bardzo wiele zmartwień. Ale nie mówmy już o tem. Ja, jak zawsze, gram w otwarte karty. No, powiedz, panie Rochefort, czy należysz do naszych?

— Pojmuje, Wasza wielebność, że z ochotą chciałbym należeć, ale ja nie wiem teraz o niczem. W Bastylji mówi się o polityce tylko z żołnierzami i strażnikami, a Wasza wielebność nie ma nawet pojęcia, jak ci ludzie mało są rozgarnięci i świadomi w rzeczach polityki. Ja należę do Bassompierra... Czy zawsze jest jeszcze w liczbie siedemnastu magnatów?

— Umarł, mój panie, i to wielka strata. Był to człowiek, przywiązany dla królowej, a ludzie przywiązani tak są rzadcy!

— Naturalnie!... — odrzekł Rochefort. — Kiedy się jaki znajdzie, zaraz go pan posyła do Bastylji.

— Ale bo to jeszcze pytanie, po czem przywiązanie można poznać?

— Po czynach — odpowiedział Rochefort.

— A tak, po czynach — podchwycił minister, zamyślając się — ale gdzież to znaleźć ludzi czynu?

Rochefort wstrząsnął głową.

— Nie brak ich, panie kardynale — wyrzekł — tylko pan ich źle szukasz.

— Źle szukam? Co chcesz przez to powiedzieć, panie

Rochefort? I owszem, naucz mnie. Musiałeś sam wiele się nauczyć, żyjąc tak blisko nieboszczyka kardynała: o! to był wielki człowiek!

— Czy Wasza wielobność rozgniewa się, jeżeli się odezwę z nauką moralną?

— Ja, bynajmniej. Wiesz pan dobrze, że mnie wszystko można powiedzieć. Ja chcę, ażeby mnie kochano, a nie idzie mi o to, ażeby mnie się bano.

— Otóż! panie kardynale, w mojej celi jest wypisane na ścianie końcem klucza przysłowie.

— A cóż to za przysłowie?... — zapytał Mazarini.

— Ot, takie, panie kardynale: *jaki pan,...*

— Wiem, wiem: *taki lokaj.*

— Nie: *taki sługa.* Tę pewną zmianę zaprowadzili dla własnej satysfakcji owi ludzie wierni i przywiązani, o których tylko co panu mówiłem.

— Więc cóż znaczy to przysłowie?

— Ono znaczy, że pan de Richelieu potrafił znaleźć wierne sługi i to całemi tuzinami.

— On! cel wszystkich sztyletów! On, który całe życie spędził na odbijaniu zadawanych mu ciosów.

— Ale je przecież odbijał, a ciosy były potężne. Lecz dlatego mu się udawało, że jeżeli miał wielu nieprzyjaciół, miał i wielu przyjaciół.

— Ja też tylko tego pragnę.

— Znałem ludzi, — mówił dalej Rochefort, sądząc, że nadeszła chwila, by dotrzymać słowa d'Artagnanowi, — którzy — dzięki swej zręczności — sto razy wyprawdzili w pole przezorność i przenikliwość kardynała; dzielnością swą pobili gwardję jego i szpiegów, — ludzi, którzy bez pieniędzy, bez poparcia, bez kredytu zachowali koronę głowie ukoronowanej i zniewalali kardynała do tego, ażeby sam przepraszał.

— Ale ci ludzie, o których pan mówisz — rzekł Mazarini, uśmiechając się w głębi duszy z tego, do czego Rochefort prowadził — ci ludzie nie byli oddani kardynałowi, ponieważ walczyli przeciw niemu.

— Nie; choć byliby lepiej wynagrodzeni, ale mieli nie-szczęście być oddanymi tej królowej, dla której przed chwilą żądał pan sług.

— Ale skąd pan możesz wiedzieć o takich rzeczach?

— Znam te rzeczy, ponieważ ci ludzie byli moimi nie-

przyjaciółmi w owych czasach i walczyli przeciw mnie, ponieważ wyrządzałem im zło, jakie tylko mogłem, a oni mi się wyplacali nawzajem; ponieważ jeden z nich, z którym miałem sprawę bardziej osobistą, pchnął mnie szpadą raz jeszcze przed siedmiu laty i to po raz trzeci... na zakończenie starego rachunku.

— O!... — wyrzekł Mazarini z zachwycającą dobroduszością — gdybym ja znał takich ludzi.

— O! panie kardynale, jednego z nich masz przy swych drzwiach od lat sześciu i od lat sześciu uważasz go za całym nieprzydatnego.

— Któż to taki?

— Pan d'Artagnan.

— Ten gaskończyk?... — zawołał Mazarini z doskonale udanem zdziwieniem.

— Gaskończyk ten ocalił królową, a pana kardynała zmusił do przyznania się, że w sprawach zręczności, sprytu i dyplomacji był tylko żakiem.

— Doprawdy?

— Jak miałem zaszczyt powiedzieć Waszej ekscelencji.

— Opowiedz mi o tem trochę, drogi panie Rochefort.

— To bardzo trudno, panie kardynale — odrzekł szlachcic z uśmiechem.

— To on sam mi opowie.

— Wątpię, Wasza ekscelencjo.

— A to dlaczego?

— Bo tajemnica nie do niego należy; bo, jak panu powiedziałem, jest to tajemnica wielkiej królowej.

— I on sam tego dzieła dokonał?

— Nie, panie kardynale, miał trzech przyjaciół, trzech zuchów, którzy mu pomagali; takich zuchów, jakich pan szukał przed chwilą.

— I ci czterej ludzie, powiadasz pan, byli z sobą w łączności?

— Tak, jakby to był z czterech jeden tylko człowiek, tak, jakby czworo tych serc biło w jednej tylko piersi. Czego też oni nie dokazali we czterech!

— Mój drogi, panie Rochefort, doprawdy, nie możesz sobie nawet wyobrazić, jak zaostrzasz moją ciekawość. Czy nie mógłbyś mi opowiedzieć tej historii?

— Nie, ale mogę panu opowiedzieć bajkę, prawdziwą bajkę czarodziejską.

— O! powiedz, panie Rochefort; ja bardzo lubię bajki.

— A zatem proszę posłuchać. Była sobie pewna królowa... ale potężna królowa, królowa jednego z największych państw na świecie; — królowej jeden z ministrów życzył źle, ponieważ dawniej życzył jej aż zanadto dobrze. Nie domyślaj się, panie kardynale, nie zgadniesz nic: wszystko to działo się bardzo dawno, zanim jeszcze pan przybyłeś do tego królestwa, gdzie panowała ta królowa. Otóż zawitał na dwór królewski ambasador tak dzielny, tak bogaty i tak elegancki, że wszystkie kobiety szalały za nim na zabój, a nawet sama królowa, zapewne w dowód wdzięczności za jego stosunek do interesów tego państwa, była na tyle nieroztropna, że dała mu pewną ozdobę, tak wyróżniającą się, iż nie można jej było niczem zastąpić. Ponieważ klejnot ten pochodził od króla, minister namówił go, ażeby zażądał od małżonki wystąpienia na najbliższym balu dworskim w tym klejnocie. Zbyteczne byłoby mówić Waszej ekscelencji, iż minister ów dowiedział się najpierw z dobrego źródła, że klejnot podążył razem z ambasadorem, ambasador zaś był bardzo daleko, za morzami.

Wielkiej królowej groziła zguba, była ona zgubiona, la-da dzień mogła znaleźć się w położeniu ostatniej ze swych podwładnych, bo spadłaby ze szczytu swej wielkości.

— Doprawdy?... — odezwał się Mazarini.

— Otóż czterech ludzi postanowiło ją ocalić. Ludzie ci nie byli książętami, ani żadnymi możnowładcami, ani nawet bogatymi, byli to czterej żołnierze o wielkich sercach, dzielnych ramionach i świetnych szpadach. Pojechali. Minister wiedział o ich wyjeździe i po drodze rozstawił ludzi, ażeby im przeszkodzili dostać się do celu. Trzej znaleźli się w stanie opłakanym, niezdolni już do walki, lecz jeden z nich dotarł do portu, zabił lub poranił tych, którzy chcieli go przytrzymać, przebył morze i odniósł klejnot wiekiej królowej, która mogła go być przypiąć oznaczonego dnia do sukni, co o mało nie spowodowało upadku ministra. Cóż Wasza dostojność powie o tym fakcie?

— To wspaniałe!... — rzekł Mazarini zadumany.

— A ja mógłbym jeszcze przytoczyć dziesięć podobnych.

Mazarini nie mówił już nic, tylko myślał. Tak upłynęło pięć czy sześć minut.

— Czy Wasza ekscelencja ma mnie jeszcze o coś zapytać?... — odezwał się Rochefort.

— I owszem. Więc powiadasz pan, że d'Artagnan był jednym z tych czterech ludzi?...

— I to tym, który przeprowadził całą sprawę.

— A któż byli inni?

— Wasza ekscelencja pozwoli, że panu d'Artagnanowi pozostawię ich wymienienie. Byli to przyjaciele jego, a nie moi, on tylko miałby pewien wpływ na nich, a ja nie znam ich nawet pod ich prawdziwymi nazwiskami.

— Nie ufasz mi, panie Rochefort! A ja chcę być z panem szczery aż do końca; ja potrzebuję pana, jego i wszystkich.

— Zaczniemy ode mnie, Wasza ekscelencjo, ponieważ posłałeś po mnie i jestem oto przed tobą, potem przejdziemy do innych. Nie dziwi przecie pana moja ciekawość; kiedy się pięć lat siedziało w więzieniu, chciałoby się bardzo wiedzieć, gdzie człowiek będzie się obracał.

— Pan, mój drogi panie Rochefort, otrzymasz stanowisko zaufane, udasz się pan do Vincennes, gdzie pan de Beaufort jest więźniem, i będziesz mi go pilnował bacznie. No, czy masz co przeciw temu?

— A mam! Bo pan mi proponuje rzecz niemożliwą — rzekł Rochefort, wstrząsając głową, z zawiedzioną miną.

— Jakto, rzecz niemożliwą? A dlaczegóż to niemożliwe?

— Bo pan de Beaufort należy do moich przyjaciół, a raczej ja jestem jego przyjacielem. Czyś zapomniał, Wasza ekscelencjo, że to on zaręczył za mnie przed królową?

— Pan de Beaufort od tego czasu stał się wrogiem rządu.

— Tak, Wasza ekscelencjo, to może być, ale ponieważ ja nie jestem ani królem, ani królową, ani ministrem, nie jest on wrogiem moim i nie mogę przyjąć tego, co mi pan ofiarowuje.

— I to pan nazywasz poświęceniem? Doprawdy, winszuję panu. Poświęcenie niezbyt daleko pana posuwa, panie Rochefort.

— A zresztą, Wasza ekscelencjo — podchwycił Roche-

fort — pojmuje pan, że wyjść z Bastylji po to, ażeby się dostać do Vincennes, to tylko tyle, co zmienić więzienie.

— Powiedz pan odrazu, że należysz do partji pana de Beaufort, to będzie szczerzej z pana strony.

— Wasza ekscelencjo, od tak dawna siedzę w więzieniu, że nie należę do żadnego stronnictwa i pragnę tylko świeżego powietrza. Przeznacz mnie pan do czego innego, daj mi jakie mozolne zlecenie, byleby tylko na otwartem powietrzu.

— Mój drogi panie de Rochefort — odrzekł Mazarini z miną wyniosłą — gorliwość zanadto cię unosi; masz się jeszcze za młodego człowieka, bo serce twoje zawsze jeszcze jest młode, ale sił ci już brakuje. Wierzaj mi, że teraz potrzebujesz spoczynku, o! i to jeszcze jakiego!...

— Nic więcej nie postanowiłeś co do mnie, Wasza Eminencjo.

— I owszem postanowiłem.

Wszedł Bernouin.

— Przywołać woźnego, — rzekł — a ty zostań przy mnie — dodał po cichu.

Woźny wszedł, Mazarini napisał kilka słów, oddał je temu człowiekowi, potem kiwnął głową.

— Adieu, panie Rochefort — rzekł.

Rochefort skłonił się z szacunkiem.

— Widzę, Wasza ekscelencjo, że mnie odprowadzają do Bastylji.

— Jesteś pan domyślny.

— Powracam, panie kardynałe, ale powtarzam panu, iż źle robisz, że ze mnie nie korzystasz...

— Z pana?... Przecież jesteś przyjacielem moich nieprzyjaciół.

— Ha!... dlaczego mnie pan nie zrobił wrogiem swoich wrogów?

— Czy pan sądzisz, że na świecie nie mam nikogo, prócz ciebie, panie Rochefort. Wierzaj mi pan, znajdę ja takich, którzy tyle będą wari, co i ty.

— Życzę tego Waszej ekscelencji.

— To dobrze. Ale naprózno byś się pan trudził pisywaniem do mnie listów, panie Rochefort. Listy pańskie nie miałyby żadnego celu.

— Wyciągnąłem kasztany z pieca — wyszeptał Rochefort, odchodząc — a jeżeli d'Artagnan nie będzie za-

dowolony ze mnie, gdy mu zaraz opowiem pochwałę, jaką dałem o nim, byłby zanadto wybredny. Ale dokądże mnie prowadzą, u diabła.

W istocie prowadzono Rocheforta małemi schodami zamiast przez przedpokój, gdzie czekał d'Artagnan.

Na podwórzu zastał karetę i czterech ludzi z eskorty, lecz napróżno wypatrywał swego przyjaciela.

— Ho! ho! — rzekł do siebie Rochefort — to zmienia okrutnie postać rzeczy. Ale jeżeli na ulicach jest jeszcze sporo ludzi, ha! to pokażemy Mazariniemu, żeśmy, chwala Bogu, zdadni jeszcze do czego innego, niż do pilnowania więźnia.

I wskoczył do karety tak lekko, jak gdyby miał dopiero lat dwadzieścia pięć.

ROZDZIAŁ IV

ANNA AUSTRJACKA W 47-ym ROKU ŻYCIA

Mazarini, pozostawszy sam z Bernouinem, przez chwilę siedział zadumany; wiedział już wiele, ale nie wiedział jeszcze wszystkiego. Mazarini oszukiwał w grze, jak zapewnia Brienne. Postanowił też rozpocząć grę z d'Artagnanem dopiero wtedy, gdy pozna dobrze wszystkie karty swojego przeciwnika.

— Czy Wasza Eminencja nic mi nie rozkaże? — zapytał Bernouin.

— I owszem — odpowiedział Mazarini — poświęć mi... pójdę do królowej.

Bernouin wziął świecznik i poszedł pierwszy.

Między pokojami i gabinetem Mazariniego znajdowało się potajemne przejście do pokojów królowej; tym korytarzem udawał się teraz właśnie kardynał do Anny Austrjackiej.

Bernouin, przybywszy do sypialni, dokąd wychodziło to przejście, napotkał panią Beauvais.

Pani Beauvais i Bernouin byli powiernikami tych nader doletnich miłostek; pani Beauvais podjęła się oznajmić kardynała Annie Austrjackiej, która się znajdowała w modlitewni z młodym królem Ludwikiem XIV.

Anna Austrjacka siedziała w wielkim fotelu, łokciem oparłszy się na stole, z głową, wspartą na rękę, i patrzyła na dziecko królewskie, które, leżąc na dywanie, przeglądało dużą księgę z obrazkami bitew.

Anna Austrjacka była królową, która najlepiej umiała się nudzić ze swoją dostojną godnością, nieraz też siedziała całymi godzinami w pokoju swym lub oratorjum,

ani czytając, ani się modląc. Książka, którą się dziecko bawiło, przedstawiała zwycięstwa Aleksandra Wielkiego.

Pani Beauvais ukazała się we drzwiach modlitewni i oznajmiła kardynała Mazariniego. Dziecko podniosło się od książki — z brwią zmarszczoną — i spojrzało na matkę.

— Dlaczego — rzekło — wchodzi on tak, nie prosząc wprzód o posłuchanie?

Anna zarumieniała się zlekka.

— Niezbędne jest, — odparła — ażeby w takich, jak teraz, czasach mógł pierwszy minister zdawać sprawę królowej każdej chwili z tego, co się dzieje, bez wywoływania ciekawości i domysłów całego dworu.

— Ale, zdaje mi się, że pan Richelieu tak nie wchodził? — odpowiedziało niezadowolone dziecko.

— Skądże możesz pamiętać, co robił pan de Richelieu?.. nie możesz o tem wiedzieć, byłeś wówczas za mały.

— Ja też nie pamiętam, ale pytałem i tak mi powiedziano.

— A któż ci powiedział? — podchwyciła Anna Austrjacka ze źle tajonym gniewem.

— Wiem, że nigdy nie powinienem wymieniać osób, które odpowiadają na pytania, przeze mnie im zadawane — odrzekło dziecko — bo nicby mi już nie powiedziano nigdy.

W tejże chwili wszedł Mazarini. Wtedy król podniósł się zupełnie, wziął książkę, zamknął ją i położył na stole, przy którym stanął, zmuszając tem Mazariniego, ażeby także stał.

Mazarini sprytnem okiem przyglądał się tej scenie, chcąc poznać tę, która ją poprzedziła.

Sklonił się z szacunkiem przed królową; oddał głęboki ukłon królowi, który mu odpowiedział kiwnięciem głowy dosyć dumnym, ale, gdy spojrzenie matki napomniało go, ażeby nie okazywał nienawiści, którą Ludwik XIV od dzieciństwa żywił dla kardynała, przyjął z uśmiechem na ustach komplement ministra.

Anna Austrjacka starała się z twarzy kardynała odgadnąć przyczynę tych niespodziewanych odwiedzin, gdyż kardynał przychodził zwykle, gdy u niej nie było nikogo.

Minister uczynił głową niedostrzegalny znak, a wtedy królowa, zwróciwszy się do pani Beauvais, wyrzekła:

— Czas już, by król poszedł spać, przywołaj pani Laporta.

Już królowa dwa czy trzy razy powiedziała młodemu królowi Ludwikowi, ażeby się oddalił, ale dziecko wciąż prosiło, ażeby mogło jeszcze zostać; tym razem jednak nie odezwało się wcale; zbladło tylko i przygryzło wargi.

Po chwili wszedł Laporte. Dziecko zbliżyło się wprost do niego, nie ucałowywszy matki.

— Dlaczego, Ludwiku — rzekła Anna — nie pocałujesz mnie?

— Myślałem, że pani się na mnie gniewa, bo pani mnie prawie wypędza.

— Nie wypędzam cię, ale miałaś niedawno ospę wietrzną, nie jesteś jeszcze zdrow i boję się, ażeby cię nie męczył brak snu.

— Jednak się pani nie obawiałaś o to, kiedy kazałaś mi dziś udać się do pałacu i wydać te szkaradne edykty, na które tak szemrze lud.

— Najjaśniejszy Panie, — wyrzekł Laporte, ażeby zmienić przedmiot rozmowy — komu Wasza Królewska Mość każe trzymać świeczniki?

— Komu chcesz, Laporcie, — odpowiedziało dziecko — byleby — słowa te wyrzekł głośno — byleby nie panu Manciniemu.

Pan Mancini był siostrzeńcem kardynała. Mazarini umieścił go przy królu do towarzystwa, a Ludwik XIV przelał nań część nienawiści, jaką żywił dla swego ministra. I król wyszedł, nie ucałowywszy matki, ani nie ukłoniwszy się kardynałowi.

— A! — rzekł Mazarini — przyjemnie mi widzieć, że Jego Królewską Mość wychowują we wstręcie do wszelkiego udawania.

— A to dlaczego? — zapytała królowa głosem prawie lękliwym.

— Ależ zdaje mi się, że wyjście króla nie potrzebuje tłumaczenia. Zresztą Jego Królewska Mość nie zadaje sobie trudu, aby tać przede mną, jak mało czuje dla mnie życzliwości, co przecie nie przeszkadza, ażebym ja był całkiem oddany na jego usługi, jak i na usługi Waszej Królewskiej Mości.

— Przepraszam cię za niego, kardynale — rzekła kró-

lowa — to dziecko jeszcze... i nie może on wiedzieć, ile ma panu do zawdzięczenia.

Kardynał uśmiechnął się.

— Ale — mówiła dalej królowa — przyszedłeś pan zapewne w jakiejś ważnej sprawie. Cóż takiego?...

Mazarini usiadł, a raczej rozłożył się na szerokim fotelu i rzekł tonem smętnym:

— Ha!... Zapewne wkrótce będziemy musieli się rozstać, chyba, że przywiązanie do mnie posuniesz, pani, aż do towarzyszenia mi do Włoch.

— A to dlaczego? — zapytała królowa.

— Ponieważ, jak mówi Tisbé w operze: „*By zburzyć wasze szczęście, świat cały spiskuje*”.

— Żartujesz pan — rzekła królowa, usiłując odzyskać choć nieco dawną godność.

— Niestety nie, pani — odrzekł Mazarini — nie żartuję bynajmniej; prędeż gotówem płakać, a doprawdy byłoby dość powodów, bo, zapamiętaj pani dobrze: „*By zburzyć wasze szczęście, świat cały spiskuje*”. A ponieważ pani stanowisz część świata, otóż powiadam, że pani także mnie opuszczasz?

— Kardynale!

— A tak!... mój Boże!... czyż nie widziałem, jak pani niedawno uśmiechałaś się bardzo łaskawie do księcia Orleańskiego, a raczej na to, co on wtedy mówił.

— A cóż on do mnie mówił?

— Mówił pani, że Mazarini jest tutaj kamieniem obrazy i że, jeżeli on się wyniesie, wszystko pójdzie dobrze.

— A cóż miałam uczynić?

— O! pani, zdaje mi się, że jesteś królową.

— Ładna królewskość! na łasce pierwszego lepszego pisarka z pałacu lub pierwszego lepszego szlachetki.

— Jednakże pani jesteś dość silna, ażeby móc od siebie oddalić ludzi, którzy ci się nie podobają.

— To jest takich, jacy się panu nie podobają — odpowiedziała królowa.

— Mnie?

— A tak. Któż oddalił panią de Chevreuse, która przez lat dwanaście prześladowana była pod innymi rządami?

— To intrygantka! chciała ona prowadzić przeciw mnie spiski, rozpoczęte przeciw Richelieu'mu!

— Kto oddalił panią de Hautefort, tę wzorową przy-

jaciółkę, która odrzuciła łaski królewskie, ażeby zachować moje.

— To skromnisia, która powtarzała ci co wieczór przy rozbieraniu, że duszy zaprzepaszczeniem jest kochać księdza tak, jakby ten, kto jest kardynałem, był tem samemu księdzem!

— Kto aresztował pana de Beaufort?

— Przecież on mówił tylko o zamordowaniu mnie!

— Widzisz, kardynale — podchwyciła królowa — że twoi nieprzyjaciele są moimi.

— Tego jeszcze niedość; należałoby jeszcze, aby przyjaciele pani byli także moimi.

— Przyjaciele moi!... — królowa wstrząsnęła głową. — Niestety nie mam ich wcale.

— Jakto? nie masz pani przyjaciół, będąc szczęśliwa, podczas gdy miałaś ich w kłopotach?

— Bo w szczęściu zapomniałam o tych przyjaciółach, ponieważ postąpiłam tak, jak królowa Marja Medyceuszka, która po powrocie z wygnania pogardzała tymi, którzy za nią cierpieli, a potem, wygnana po raz drugi, umarła w Kolonji, opuszczona przez wszystkich, nawet przez syna, bo każdy ją pogardzał.

— No!... — rzekł Mazarini — może czas byłby właśnie to zło naprawić; poszukaj pani swych przyjaciół i to najdawniejszych.

— Co chcesz przez to powiedzieć?

— Nic, mówię tylko: poszukaj, pani.

— Niestety! daremnie rozglądam się dokoła siebie, nie mam wpływu na nikogo. Bratem króla, jak zawsze, rządzi ulubieniec. Wczoraj był nim Choisy, dziś jest Rivière, jutro będzie kto inny. Księciem panem kieruje pani de Longueville, która sama znajduje się pod wpływem księcia de Marsillac, swego kochanka. Panem de Cooni rządzi Koadjutor, którym znów rządzi pani de Guemenée.

— Ja też nie mówię, ażeby pani rozglądała się wśród dzisiejszych przyjaciół, ale wśród dawniejszych.

— Wśród dawniejszych?... — podchwyciła królowa.

— Tak, wśród dawniejszych, wśród tych, którzy pani pomagali walczyć przeciw księciu de Richelieu, a nawet zwyciężać go.

— Dokąd on zmierza?... — wyszeptwała królowa, spoglądając na kardynała niespokojnie.

— Tak — ciągnął tenże — w pewnych okolicznościach przy tym umyśle potężnym i zręcznym, jaki cechuje Wąszą Królewską Mość, potrafiłaś pani — przy pomocy swych przyjaciół, — odeprzeć atak tego przeciwnika.

— Ja — odrzekła królowa — ja tylko cierpiałam. Oto wszystko.

— Tak, jak cierpią kobiety, mszcząc się — rzekł Mazarini. — Ale przystąpmy do rzeczy: czy znasz pani pana Rocheforta?

— Pan de Rochefort nie był nigdy moim przyjacielem, — odrzekła królowa — lecz przeciwnie jednym z moich najzaciętszych wrogów, jednym z najwierniejszych popleczników kardynała. Myślałam, że panu to wiadome.

— Wiem o tem dobrze, — odpowiedział Mazarini — to też wsadziliśmy go do Bastylji.

— Czyżby z niej wyszedł?... — spytała królowa.

— Nie, uspokój się pani: przebywa tam nadal. Mówię też tylko dlatego o nim, ażeby zaraz przejść do innego. Czy znasz pani pana d'Artagnan?... — mówił dalej Mazarini, patrząc królowej wprost w oczy.

Anna Austriacka otrzymała ten cios w same piersi.

— Czyżby gaskończyk się wygadał?... — szepnęła do siebie, poczem dodała głośniej. — D'Artagnan? Poczekaj pan. Tak, rzeczywiście nazwisko to jest mi znane. D'Artagnan, muszkietier, kochał się w jednej z moich kobiet, biednej istocie, która z mojej przyczyny została otruta.

— Czy to już wszystko?... — spytał Mazarin.

Królowa spojrzała na kardynała ze zdziwieniem.

— Ależ, panie — wyrzekła — cóż to? badać mnie chcesz?

— A pani bądź co bądź — odrzekł Mazarini z wiecznym uśmiechem i głosem zawsze słodziutkim — pani opowiadasz mi tylko tak, jak ci się podoba.

— Wyraż pan jasno swe życzenia, odpowiem tak samo — wyrzekła królowa, okazując zniecierpliwienie.

— O! pani — odrzekł Mazarini, kłaniając się — pragnąłbym, ażebyś pani udzieliła mi swych przyjaciół, jak ja pani udzielałam tej odrobiny wiedzy i wolności, jakimi mnie niebo obdarzyło. Okoliczności są poważne i trzeba będzie działać energicznie.

— Doprawdy!... — odrzekła królowa — a ja myślałam, że po panu de Beaufort będziemy już spokojni.

— Tak, pani widziałaś tylko potok wszystko rwący, a nie zwróciłaś uwagi na stojącą wodę. A jednak jest przysłowie o tej cichej wodzie.

— Dokończ pan — rzekła królowa.

— A więc!.. — mówił dalej Mazarini — codzień znosić muszę zniewagi, jakie mi wyrządzają pani księżęta i służebne, te wszystkie utytułowane automaty, które nie widzą, że trzymam je za sznurek, nie odgadują pod moją poważną cierpliwością śmiechu człowieka rozdrażnionego, który poprzysiągł sobie, że będzie kiedyś najsilniejszy. Kazaliśmy aresztować pana de Beaufort, to prawda, ale był on najmniej niebezpieczny; jest jeszcze brat nieboszczyka króla.

— Zwycięzca z pod Rocroi?... doprawdy pan i o nim myślisz?

— Tak, pani, i to bardzo często; ale *patienza*, jak mówimy my, włosi. Następnie pan Kondeusz, jest i ksiązę Orleański.

— Co pan też mówisz! stryj króla?

— Nie stryj króla, lecz podły spiskowiec, który pod innym rządem, pchany charakterem kapryśnym i fantastycznym, trawiony nędną nudą, pożerany płaską ambicją, zazdrosny o wszystko, przewyższające go uczciwością i odwagą, rozdrażniony, iż nie jest niczem, stał się dzięki swej nicości echem wszystkich szkodliwych wieści, duszą wszelkich intryg, kazał naprzód iść wszystkim tym ludziom dzielnym, ale głupim, bo zbyt zawierzili słowu człowieka królewskiej krwi, a on się ich wyparł, gdy weszli na szafot. Nie, to nie stryj króla, powtarzam, — to morderca Chalais'a, Montmorency i Cinq - Marsa, który stara się dziś odegrać tę samą grę, i wystawia sobie, że wygra partję, ponieważ zmienił przeciwnika, ponieważ zamiast człowieka gorącego, ma przeciw sobie uśmiechającego się człowieka. Ale myli się on wielce, bo wiele stracił, tracąc pana de Richelieu; ja nie mam interesu w zachowywaniu wokół królowej tego fermentu niezgody, w którym nieboszczyk kardynał przez lat dwadzieścia gotował honor królewski.

Anna zarumieniła się i ukryła głowę w dłonie...

— Nie chcę bynajmniej upokarzać Waszej Królewskiej

Mości — podchwycił Mazarini, tonem już nieco spokojniejszym, ale zarazem dziwnie stanowczym — chcę, ażeby szanowano królową i aby szanowano jej ministra, ponieważ w oczach wszystkich tem tylko jestem.

— Więc cóż ja mam począć? — odezwała się Anna Austrjacka, pokonana tym głosem rozkazującym.

— Powinnaś pani w pamięci poszukać nazwisk tych ludzi wiernych i poświęcających się, którzy morze przebyli, naprzekór Richelieu'emu, znacząc całą drogę swą krwią, ażeby przywieźć Waszej Królewskiej Mości pewien klejnot, który dałaś panu Buckinghamowi!

Anna zerwała się gwałtownie, jakby pod naciśnięciem sprężyny stalowej i, patrząc na kardynała, z tą wyższością i dumą, jakie czyniły ją tak potężną zamłodu, wyrzekła:

— Pan mnie znieważasz!

— Chcę wreszcie — mówił dalej Mazarini, kończąc myśl, przerwana poruszeniem królowej, — ażebyś pani uczyniła dziś dla męża swego to, co uczyniłaś niegdyś dla kochanka.

— Znowu ta potwarz! — zawołała królowa. — Sądziałam, że już dawno umarła, że dawno zagasła, bo dotąd mi jej pan oszczędzałeś; ale oto pan znowu mi o niej mówisz. Tem lepiej, bo tym razem będzie o niej mowa między nami i wszystko się skończy, rozumiesz pan?

— Ależ, pani, — rzekł Mazarini — zdziwiony tym powrotem sił — i owszem, właśnie tego pragnę, ażebyś mi pani powiedziała wszystko.

— A ja chcę panu wszystko powiedzieć — odpowiedziała Anna Austrjacka. — Chcę panu powiedzieć, że rzeczywiście było w owe czasy czworo serc, poświęcających się, cztery dusze szlachetne, cztery szpady wierne, które ocaliły mi więcej, niż życie... tak, mój panie, bo ocaliły mi honor.

— A więc pani przyznajesz!... — rzekł Mazarini.

— A czy to tylko honor winowajców bywa zagrożony, mój panie, czy nie można pozbawić czci kogoś, a szczególnie kobietę, samemi tylko pozorami? Tak... pozory były przeciw mnie, a jednak przysięgam, nie byłam wcale winna... Przysięgam!...

Królowa szukała jakiegoś przedmiotu świętego, na który mogłaby przysiąc, i, wyciągając z szafy, ukrytej pod

obiciem, małą szkatułkę z drzewa różanego, inkrustowaną srebrem i, stawiając na ołtarzyku, wyrzekła: — Przysięgam na te relikwie święte; kochałam pana Buckingham, ale pan Buckingham nie był moim kochankiem.

— A cóż to są za relikwie, na które pani tak przysięga? — wyrzekł z uśmiechem Mazarini — bo, uprzedzam panią, że, jako rzymianin, jestem niedowiarkiem... są relikwie i relikwie...

Królowa zdjęła z szyi mały kluczyk złoty i podała go kardynałowi.

Mazarini, zdziwiony, wziął klucz, otworzył szkatułkę, a w niej znalazł tylko nóż zardzewiały i dwa listy, z których jeden był poplamiony krwią.

— Co to jest? — zapytał Mazarini.

— Co to jest? mój panie! — powtórzyła Anna Austrjacka z gestem królewskim, wyciągając ku otwartej szkatułce ramię, pomimo lat jeszcze piękne. — Zaraz to panu powiem. Te dwa listy są to jedyne listy, jakie ode mnie miał. Nożem tym ugodził go Felton. Przeczytaj pan te listy, zobaczysz, czym skłamała.

Pomimo danego mu pozwolenia, Mazarini, powodowany uczuciem naturalnem, zamiast czytać te listy, ujął nóż, który Buckingham, umierając, wydarł ze swej rany i potajemnie przesłał królowej.

Klinga była całkiem zniszczona przez rdzę od krwi; potem, po chwilowych oględzinach, gdy królowa zbladła, jak obrus ołtarzyka, na którym była wsparta, włożył — z mimowolnym dreszczem — nóż z powrotem do szkatułki.

— To dobrze — rzekł — polegam na pani przysiędze

— Nie, nie, czytaj pan — odrzekła królowa, marszcząc brwi — czytaj, chcę tego, rozkazuję, ażeby, jak postanowiłam, wszystko się skończyło już raz i ażebyśmy nie wracali do tego przedmiotu... Wierzaj mi pan, — dodała z okropnym uśmiechem — że gotowa jestem otwierać tę szkatułkę przy każdym pańskim oskarżeniu.

Mazarini pokonany tą energją, nieomal machinalnie spełnił rozkaz i przeczytał oba listy.

W jednym z nich królowa prosiła o zwrot zapinek; był to ten, który d'Artagnan Buckinghamowi zawiózł ogniś; drugi zaś był to ten, który Laporte oddał księciu z ostrze-

żeniem od królowej o grożącym mu zabójstwie, a który doszedł jego rąk zapóźno.

— Tak, to dobrze — wyrzekł Mazarini — na to nic nie możemy powiedzieć.

— I owszem — odparła królowa, zamykając szkatułkę i opierając na niej — i owszem, możemy na to powiedzieć, że zawsze wdzięczna była względem ludzi, którzy wszystko zrobili, co mogli, ażeby mnie ocalić, że dzielnego d'Artagnana, o którym mówiłeś pan przed chwilą, wynagrodziłam tylko daniem ręki do pocałowania i tym oto dżamentem.

Królowa wyciągnęła piękną rękę ku kardynałowi i pokazała mu wspaniałą, drogocenny kamień, błyszczący na jej palcu.

— Podobno sprzedał go, — podchwyciła — znalazłszy się w potrzebie — sprzedał go, ażeby po raz drugi mnie ocalić, bo na to, ażeby wysłać posłańca do księcia i ostrzedz go, że ma być zamordowany.

— Czyż d'Artagnan wiedział o tem?

— On wiedział o wszystkim... Skąd?... Nie domyślam się. Ale bądź co bądź sprzedał dżament panu Des Essarts, na którego palcu zobaczyłam ten kamień i odkupiłam, ale ten klejnot do niego należy, oddaj mu go pan ode mnie, a ponieważ masz szczęście posiadać przy sobie takiego człowieka, postaraj się go zużytkować.

— Dziękuję, pani — rzekł Mazarini — skorzystam z rady.

— A teraz — wyrzekła królowa, jakby wyczerpana wzruszeniem — czy masz mnie pan jeszcze o co zapytać?

— Nie, pani, już o nic — odpowiedział głosem jaknajpieszczotliwszym — błagam cię tylko pani, ażebyś przebaczyła mi moje niesłuszne podejrzenia, ale tak panią kocham, że nic dziwnego, iż jestem zazdrosny, nawet o przeszłość.

Uśmiech nieokreślonego znaczenia przebiegł po ustach królowej.

— Ha!... — rzekła — jeżeli nie masz mnie pan już o nic pytać, zostaw mnie samą, musisz pan rozumieć, że po takiej scenie potrzeba mi samotności.

Mazarini skłonił się.

— Odchodzę, — rzekł — ale czy pozwolisz pani powrócić?...

— Tak, ale jutro; jeszcze niedość będę miała czasu, ażeby przyjść do siebie.

Kardynał ujął rękę królowej i ucałował ją z dworskością, poczem oddalił się. Za ledwie wyszedł, królowa udała się do pokoju swego syna i spytała Laporta, czy król już się położył. Laporte pokazał jej ręką śpiące dziecko królewskie.

Anna Austrjacka pochyliła się nad łóżkiem, zbliżyła usta do zmarszczonego czoła syna i złożyła na niem delikatny pocałunek, poczem oddaliła się równie spokojnie, jak przysła, rzekłszy tylko do kamerdynera:

— Postaraj się, mój drogi Laporte, ażeby król miał lepszą minę dla kardynała, któremu zarówno on, jak i ja, mamy tak wiele do zawdzięczenia.

ROZDZIAŁ V

GASKOŃCZYK I WŁOCH

Kardynał wrócił tymczasem do swego gabinetu, przy którego drzwiach czuwał Bernouin, i zapytał go, czy nie zaszło co nowego i czy nie ma jakich wiadomości z miasta. Otrzymawszy odpowiedź przeczącą skinął nań, ażeby się oddalił. Zostawszy sam, otworzył drzwi, wiodące na korytarz, potem drzwi od przedpokoju.

D'Artagnan znużony spał na ławce.

— Panie d'Artagnan — odezwał się łagodnie.

D'Artagnan nie ruszył się wcale.

— Panie d'Artagnan — rzekł głośniej.

D'Artagnan spał dalej.

Kardynał zbliżył się i trącił go w ramię.

Tym razem d'Artagnan drgnął, obudził się a, obudziwszy się, stanął na równe nogi, jak żołnierz pod bronią.

— Jestem!... — rzekł — kto mnie woła?

— To ja... — wyrzekł Mazarini, z twarzą najuprzejmiej uśmiechniętą.

— Przepraszam Waszą Eminencję, — rzekł d'Artagnan — ale byłem tak znużony.

— Nie przepraszaj mnie pan, — odrzekł Mazarini — bo zmęczyłeś się na usługach dla mnie.

D'Artagnan podziwiał uprzejmą minę ministra.

— U... — mruknął pod nosem. — Czyżby się sprawdziło przysłowie, że szczęście przychodzi we śnie?

— Pójdź pan za mną — rzekł Mazarini.

— Ho!... ho!... — mruczał dalej d'Artagnan — Rochefort dotrzymał słowa — ale którądy, u diabła, wyszedł?

I obejrzał się po wszystkich kątach gabinetu, ale Rocheforta już nie było.

— Panie d'Artagnan — odezwał się Mazarini, siadając i rozpierszając się w fotelu — zawsze mi się wydawałeś dzielnym i uczciwym człowiekiem.

— Być może — pomyślał d'Artagnan — ale do tej chwili już dawno mógłby być mi to powiedzieć; nie przeszkodziło mu to pokłonić się Mazariniemu aż do ziemi — w odpowiedzi na jego komplement.

— Otóż — mówił dalej Mazarini — nadeszła stosowna chwila, ażeby skorzystać z pańskiej zdolności i wartości.

Oczy oficera zalśniły blaskiem radości, która natychmiast jednak zgasła, gdyż nie wiedział, dokąd zmierza Mazarini.

— Rozkazuj, panie kardynale — wyrzekł — gotów jestem słuchać Waszej Eminencji.

— Panie d'Artagnan!... — mówił dalej Mazarini — za poprzedniego panowania dokonałeś pan czynów pewnych...

— Wasza Eminencja zbyt dobry jest, że to pamięta... Rzeczywiście, miałem na wojnie dosyć powodzenia.

— Nie mówię o pańskich zasługach wojennych — odrzekł Mazarini — bo chociaż miały one pewien rozgłos, przewyższają je jeszcze inne.

D'Artagnan udał zdziwionego.

— I cóż?... — podchwycił Mazarini — nie odpowiadasz pan wcale?

— Czekam — podjął d'Artagnan — ażeby pan kardynał powiedział mi, o jakich to zasługach chce mówić.

— Mówię o przygodzie... E!... wie pan przecie, o czym chcę powiedzieć.

— Niestety!... nie, panie kardynale — odpowiedział d'Artagnan zdumiony.

— Umiesz pan dochować sekretu, tem lepiej! Mówić chcę o przygodzie królowej, o zapinkach owych, o podróży, którą odbyłeś pan z trzema przyjaciółmi.

— Ho! ho!... — pomyślał gaskończyk — czy to zasadzka. Trzymajmy się bacznie.

I uzbroił twarz w zdumienie, jakiego pozazdrościłby mu Mandori lub Bellerose, najlepsi aktorzy w owej epoce.

— Bardzo dobrze! — odezwał się Mazarini z uśmiechem — brawo!... słusznie mi powiedziano, że jesteś pan człowiekiem, jakiego mi potrzeba... No... zobaczymy, co byś pan dobrego zrobił dla mnie?...

— Wszystko, co Wasza Eminencja rozkaże mi zrobić — rzekł d'Artagnan.

— Uczyniłbyś pan dla mnie to, co niegdyś uczyniłeś dla królowej.

— Tak — pomyślał d'Artagnan — chce, ażebym się wygadał; zobaczymy, co to znaczy. O!... nie jesteś ty sprytniejszego od Richelieu'go. — Dla królowej, panie kardynale?... — dodał głośno. — Doprawdy nie rozumiem...

— Nie rozumiesz pan, że potrzebuję pana i pańskich trzech przyjaciół?

— Jakich przyjaciół?... panie kardynale.

— Pańskich przyjaciół z dawnych czasów.

— Za dawnych czasów, panie kardynale, nie trzech przyjaciół miałem, ale pięćdziesięciu. W dwudziestym roku życia wszystkich nazywamy przyjaciółmi.

— Dobrze, dobrze, panie oficerze, dochowywanie sekretów jest piękną rzeczą, ale dziś może przychodzi panu żałować, żeś zbyt mało mówił.

— Panie kardynale, Pytagoras kazał przez lat pięć nie odzywać się swoim uczniom, ażeby ich nauczyć milczeć.

— A pan nie odzywałeś się przez lat dwadzieścia. Mów więc pan dziś, gdyż sama królowa zwolniła pana od przysięgi.

— Królowa!... — zawołał d'Artagnan, ze zdziwieniem, tym razem wcale nieudawanem.

— Tak, królowa... i na dowód, że mówię do pana w jej imieniu, oświadczam, że kazała, abym ci pokazał ten djament, który, jak utrzymuje, poznasz, a który ona odkupiła od pana Des Essarts.

I Mazarini wyciągnął rękę ku oficerowi, który westchnął, poznawszy pierścionek, dany mu przez królowę na balu w ratuszu.

— To prawda — odrzekł d'Artagnan — poznaję, iż ten djament należał do królowej.

— Widzisz więc pan, że mówię do ciebie w jej imieniu. Odpowiadaj mi więc, nie grając już komedji. Powiedziałem panu i powtarzam, że chodzi tu dla pana o przyszły los, o dorobienie się czegoś.

— Dalibóg, panie kardynale, bardzo mi jest potrzebne dorobienie się; Wasza Eminencja tak długo o mnie nie pamiętał.

— Tydzień wystarczy, ażeby to powetować. Tak, ale to co do pana, a gdzie są przyjaciele pańscy?...

— Nic o nich nie wiem, panie kardynale.

— Jakto?... nic pan nie wiesz?...

— Rozstaliśmy się bardzo dawno, bo wszyscy trzej porzucili służbę wojskową.

— Więc gdzie ich pan znajdziesz?...

— Wszędzie, gdzie będą, — to już moja rzecz.

— Dobrze. A warunki pańskie?

— Pieniędzy, panie kardynale, tyle, ile potrzeba będzie na przedsięwzięcie nasze. Przypominam sobie aż nadto dobrze, ile razy byliśmy w kłopotcie, z powodu braku pieneędzy; gdyby nie djament, który zmuszony byłem sprzedać, bylibyśmy stanęli w drodze.

— Do djabła!... pieneędzy i to wiele — odrzekł Mazarini — o!... jak się zaraz puszczasz, panie oficerze! Przecie pan wiesz dobrze, iż niema pieneędzy w skarbcu królewskim?

— To zrób pan, jak ja, panie kardynale; sprzedaj klejnoty korony; niech mi Wasza Eksceleńcja wierzy, nie targujmy się; wielkie rzeczy przy małych środkach nie dadzą się dobrze robić.

— Ha! — wyrzekł Mazarini — postaramy się pana zadowolić.

— Richelieu — pomyślał d'Artagnan — byłby mi już dał pięćset pistołów.

— Będiesz więc pan po mojej stronie?

— Tak, jeżeli przyjaciele moi zechcą.

— Ale w razie ich odmowy, będę mógł na pana liczyć?

— Ja sam nigdy nic dobrego nie zrobiłem — odrzekł d'Artagnan, potrząsając głową.

— To poszukaj ich pan i znajdź.

— Cóż im powiedzieć, ażeby nakłonić ich do służenia Waszej Eminencji?

— Znasz pan ich lepiej ode mnie. Obiecasz im, stosownie do ich charakteru.

— Co im mam obiecać?

— Niechaj mi służą tak, jak służyli królowej, a wdzięczność moja będzie sowita.

— Cóż mamy robić?

— Wszystko, ponieważ, jak się zdaje, umiecie wszystko.

— Panie kardynale, gdy się ma zaufanie do ludzi i je-

żeli się chce, ażeby i oni mieli zaufanie do nas, to się ich lepiej objaśnia, niż to czyni Wasza Eminencja.

— Kiedy nadejdzie chwila działania, bądź pan spokojny — podchwycił Mazarini — będziecie znali wszystkie moje myśli.

— A do tego czasu?

— Poczekaj pan i szukaj przyjaciół.

— Panie kardynale, może ich niema w Paryżu, co nawet prawdopodobne; trzeba będzie podróżować. Ja jestem tylko bardzo ubogim porucznikiem muszkietarów, a podróże kosztują drogo.

— Ja — odrzekł Mazarini — nie chciałbym, ażebyś pan tę podróż odbywał z wielką pompą, projekty moje wymagają tajemnicy, a wyekwipowanie pańskie mogłoby zwrócić uwagę.

— Ależ, panie kardynale, nie mogę podróżować z mojej pensji, bo zalegają mi z jej wypłatą od trzech miesięcy, a nie mogę też podróżować z mych oszczędności, gdyż przez lat dwadzieścia dwa, odkąd służę, dorobiłem się tylko długów.

Mazarini wstał i przez chwilę trwał w zamyśleniu, jak gdyby toczyła się w nim wielka walka; potem, przystąpiwszy do szafy, zamkniętej na trzy zamki, wydobył z niej worek i, dwa czy trzy razy zważywszy go w rękę, zanim oddał go d'Artagnanowi, wyrzekł z westchnieniem:

— Masz pan to na podróż.

— Jeżeli to są dolary hiszpańskie, a choćby nawet talary w złocie — pomyślał d'Artagnan — możemy jeszcze razem prowadzić interesa.

Skłonił się kardynałowi i schował worek do obszernej kieszeni.

— Zatem, to już rzecz umówiona — podchwycił kardynał — udasz się pan w podróż.

— Tak, panie kardynale.

— Pisuj pan do mnie codziennie, ażebym wiedział, jak ci idzie.

— Nie omieszka, panie kardynale.

— Bardzo dobrze... Ale... ale... a nazwiska pańskich przyjaciół?

— Nazwiska moich przyjaciół? — powtórzył d'Artagnan, jeszcze trochę niespokojny.

— Tak, gdy pan będziesz szukał na swoją rękę, ja także będę się dowiadywał i może się czego dowiem.

— Hrabia de La Fère, przewany Athosem, pan du Vallon, czyli Porthos i kawaler d'Herblay, dziś opat d'Herblay, czyli Aramis.

Kardynał uśmiechnął się.

— Młodzieńcy ci — rzekł — zaciągali się do muszkietarów, pod przybranymi nazwiskami, ażeby nie kompromitować nazwisk swych rodzin. Długie rapiry, ale worki lekkie... znamy to, znamy.

— Jeżeli Bóg da, że te rapiry przejdą do służby Waszej Eminencji — wyrzekł d'Artagnan — ośmielam się wyrazić życzenie, ażeby z kolei worek pana kardynała stał się lekki, a ich cięższy, bo z tymi trzema ludźmi i ze mną, poruszyć mógłby Wasza Eminencja nie tylko całą Francję, ale i całą Europę, gdyby tylko zechciał.

— Gaskończycy — dodał Mazarini z uśmiechem — prawie tyleż są warci w junactwie, co i włosi.

— A w każdym razie — odrzekł d'Artagnan z uśmiechem, podobnym do kardynalskiego — warci są więcej w czynie.

I wyszedł, poprosiwszy wprzód o urlop, który został mu natychmiast dany i podpisany przez samego Mazariniego.

Zaledwie znalazł się na podwórzu, zbliżył się do latarni i zajrzał prędko do worka.

— Talary srebrne!... — wyrzekł z pogardą — domyślałem się!... O!... Mazarini!... Mazarini!... ty mi nie ufasz! Tem gorzej, to ci przyniesie nieszczęście!

Tymczasem kardynał zacierał sobie rękę.

— Sto pistolów!... — mruzczał — sto pistolów!... za sto pistolów dostałem tajemnicę, za którą pan Richelieu byłby zapłacił dwadzieścia tysięcy talarów. Nie licząc tego djamentu — dodał, rzucając miłośnie oczyma na pierścionek, który zatrzymał, zamiast go dać d'Artagnanowi — nie licząc tego djamentu, który wart conajmniej dwadzieścia tysięcy franków.

I kardynał wszedł do swego pokoju, bardzo zadowolony z całego wieczoru, w którym tyle miał zysku; umieścił pierścionek w pudełku, pełnem brylantów wszelkiego rodzaju, bo Mazarini lubił drogie kamienie, i przywołał Bernouina, ażeby go rozebrał, nie troszcząc się o krzyki,

objające się o szyby, ani strzały, rozlegające się w Paryżu, chociaż było już po jedenastej wieczorem.

Tymczasem d'Artagnan podążył ku uliczce Tiquetonne, gdzie mieszkał w hotelu „pod Kozą“. Powiemy teraz, dlaczego d'Artagnan wybrał sobie to mieszkanie.

ROZDZIAŁ VI

D'ARTAGNAN W 40-ym ROKU ŻYCIA

Niestety od czasu, kiedy w romansie naszym *Tzej muszkieterowie* opuściliśmy d'Artagnana przy ulicy Grabarzy pod Nr. 12-ym, wiele się rzeczy przewinęło, a zwłaszcza wiele lat.

D'Artagnan nie pomijał okoliczności, ale okoliczności pomijały d'Artagnana. Dopóki przyjaciele go otaczali, d'Artagnan zachowywał młodość i energję; była to natura delikatna i uczciwa, łatwo przyswajająca sobie przymioty innych. Athos nadawał mu szlachetności, Porthos wesołości, Aramis elegancji.

Gdyby d'Artagnan był żył dłużej z tymi ludźmi, stałby się niepospolitym człowiekiem.

Lecz Athos pierwszy go opuścił, by osiąść w małych dobrach, które odziedziczył w stronie Blois; następnie — Porthos, ożeniwszy się z notariuszową, wreszcie — Aramis, który ostatecznie wstąpił do stanu duchownego i został opatem.

Odtąd d'Artagnan, który, jakby połączył swą przeszłość z przyszłością trzech przyjaciół, pozostał odosobniony i słaby; czuł, że dojść może do czegoś tylko o tyle, o ile każdy z przyjaciół ustąpiłby mu cząstkę tej iskry, jaką mieli oni z nieba.

To też nawet po osiągnięciu stopnia porucznika d'Artagnan czuł się jeszcze bardziej samotny; nie był z tak wielkiego rodu, jak Athos, ażeby mógł mieć dla siebie otwarte domy arystokratyczne; nie był na tyle prózny, jak Porthos, ażeby wmówić w siebie, iż bywa w wyższym

towarzystwie; nie był takim szlachcicem wytwornym, jak Aramis, ażeby móc poprzestać na wrodzonej elegancji, z samego siebie czerpanej.

Na pewien czas wspomnienie urocze pani Bonacieux owiało umysł młodego porucznika pewną powagą, ale, jak wszystko bywa znikome na tym świecie, tak i to wspomnienie stopniowo się zatarło; życie żołnierskie działa fatalnie nawet na organizmy arystokratyczne.

Z dwóch natur, składających się na charakter d'Artagnana, materjalna wkrótce wzięła górę, i d'Artagnan powoli, ani się spostrzegając, stał się prawdziwym *żołdakiem*.

Nie mówimy bynajmniej, iż d'Artagnan zatracił pierwotny spryt. Przeciwnie spryt ten może się jeszcze wzmógł, a przynajmniej wydawał się zdwojony pod trochę ordynarniejszą powłoką; ale spryt ten stosował on w życiu nie przy wielkich, lecz przy małych rzeczach: w sprawach dobrobytu materjalnego, a dobrobyt w pojmowaniu żołnierskiem polega na dobrem mieszkaniu, dobrym wikcie i dobrej gospodyni.

I d'Artagnan znajdował to wszystko od lat sześciu przy ulicy Tiquetonne, pod znakiem Kozy.

W początkach pobytu jego w tym hotelu gospodyni domu, ładna i świeża Flamandka lat dwudziestu pięciu do sześciu, szczególnie się nim zajęła; po miłostkach, zakłócanych przez męża bardzo niedogodnego, którego d'Artagnan z dziesięć razy niby przeszył szpadą, małżonek ten znikł pewnego pięknego poranku, sprzedawszy pokryjomu trochę zapasów wina i zabrawszy pieniądze i kosztowności.

Miano go za nieboszczyka, szczególnie żona, która sobie pochlebiała słodką myślą owdowienia, utrzymywała zawzięcie, że zmarł.

Wreszcie po trzech latach tego związku, którego d'Artagnan nie myślał zrywać, uważając z każdym rokiem schronienie u kochanki za przyjemniejsze, przy zupełnym kredycie z jej strony, kochanka powzięła wygórowaną pretensję, iżby się d'Artagnan z nią ożenił i sama mu to zaproponowała.

— O!... o!... — odpowiedział d'Artagnan — Dzieciństwo, moja droga. Cóż znowu, chyba żartujesz?

— Ależ mąż mój zmarł, jestem tego pewna.

— To był człek tak kłótlivy, tak lubił robić na złość,

że zobaczyłabyś, jakby powrócił zaraz po to tylko, iżby nas powieszono.

— No więc, gdyby nawet powrócił, tobyś go zabił, jesteś tak dzielny i zręczny!

— E! moja kochana, to znów inna tylko droga na szubienicę!

— Więc odrzucasz moją prośbę?

— A naturalnie! I to stanowczo.

Piękna gospodyni była w rozpacz. Ona byłaby chętnie z pana d'Artagnana uczyniła nietylko swego męża, ale nawet swe bóstwo; taki piękny był z niego człowiek i takie piękne miał wąsy.

Okolo czwartego roku tego związku nastąpiła kampanja do Franche - Comté. D'Artagnan był na nią przeznaczony i gotował się do wyjazdu. Wtedy były łyzy bez końca, uroczyste obietnice wierności najzupełniejszej, wszystko to naturalnie ze strony gospodyni.

D'Artagnan zbyt wielkim był panem, ażeby cokolwiek bądź obiecywać, przyrzekł też tylko, iż wszystko uczyni, co będzie mógł, ażeby jeszcze większym blaskiem otoczyć swe imię. Pod tym względem znana nam jest odwaga d'Artagnana; osoby swej ani trochę nie szczenił; pędząc do ataku na czele oddziału, otrzymał w piersi kulę tak, że padł, jak długi, na polu bitwy.

Widziano, jak spadł z konia, nie widziano, ażeby się podniósł, myślano, że umarł, a wszyscy ci, którzy mieli nadzieję, że po nim otrzymają awans, głosili stanowczo o jego śmierci. Łatwo daje się wiarę temu, czego się pragnie, a w wojsku, poczawszy od generałów dywizji, którzy pragną śmierci naczelnego wodza, a skończywszy na żołnierzach, pragnących, ażeby kaprale wyginęli, każdy pragnie czyjejs śmierci. Ale d'Artagnan nie był z tych, co się dają zabijać w ten sposób.

Pozostawszy w ciągu dnia upalnego w omdleniu na polu bitwy, przyszedł do siebie — dzięki orzeźwiającemu powietrzu nocy; dowłókł się do wioski, zapukał do najbliższego domu, i przyjęty został, jak wszędzie przyjmowani są Francuzi, gdy są sami; pielęgnowany był, leczony, i zdrowszy, niż kiedykolwiek, udał się pewnego piękne-go poranku traktem do Paryża, a stanawszy w Paryżu, na ulicę Tiquetonne.

Lecz d'Artagnan zastał swój pokój, zawałony czyjemiś ubraniami męskimi.

— Mąż musiał powrócić — rzekł do siebie — tem gorzej, a może tem lepiej!

Zaczął pytać: nowi byli chłopcy, nowa służąca, pani poszła zaś na przechadzkę.

— Czy sama? — zapytał d'Artagnan.

— Z panem.

— Więc pan powrócił?

— A tak — odpowiedziała naiwnie służąca.

— Gdybym miał pieniądze — rzekł do siebie d'Artagnan — tobym zaraz sobie poszedł, ale ponieważ ich nie mam, muszę zostać i iść za radami mej gospodyni, krzyżując projekty jej natrętnego męża.

Właśnie kończył ten monolog, co dowodzi, że w poważnych chwilach życia, monologi są najnaturalniejsze, kiedy służąca, czekająca przy drzwiach, nagle zawołała:

— A! oto i pani powraca z panem!

D'Artagnan rzucił okiem na ulicę i zobaczył rzeczywiście na rogu ulicy Montmartre gospodynię, powracającą pod rękę z jakimś olbrzymim szwajcarem, który, idąc, kołysał się, miał przytem minę, która przypomniała d'Artagnanowi jego dawnego przyjaciela Porthosa.

— To to jest pan?... — rzekł do siebie d'Artagnan — ho! ho! znacznie przez ten czas urósł, jak mi się zdaje!

I usiadł przy stole, na widocznem miejscu. Gospodyni, wchodząc, spostrzegła przedewszystkiem d'Artagnana i krzyknęła. Na ten krzyk d'Artagnan, widząc, że go poznała, pobiegł ku niej i ucałował ją czule.

Szwajcar patrzył z miną zdumioną na gospodynię, która pobladła.

— A! to pan!... czego pan ode mnie chcesz?... — zapytała wysoce niespokojna i pomieszana.

— Czy ten pan jest pani kuzynem, a może bratem?... — odezwał się d'Artagnan, wcale nie wychodząc ze swej roli i, nie czekając na odpowiedź gospodyni, rzucił się w objęcia Helweta, który przyjął to z wielkim chłodem.

— Cóż to za człowiek?... — zapytał Szwajcar.

Gospodyni odpowiedziała tylko łkaniem.

— Cóż to za Szwajcar?... — zapytał d'Artagnan.

— Ten pan ma się ze mną żenić!... — odpowiedziała gospodyni, ledwie mogąc mówić.

— Więc mąż pani wreszcie umarł?

— A co to pana obchodzi? — ozwał się Szwajcar.

— Obchodzi bardzo, — rzekł d'Artagnan — bo nie możesz pan zaślubić pani bez mego pozwolenia i że...

— I sze?... — zapytał Szwajcar.

— I sze... ja go nie daję — wyrzekł muszkietier.

Szwajcar sponsonował, jak piwonja; nosił na sobie mundur złocisty, d'Artagnan owinięty był w płaszcz szary; Szwajcar miał sześć stóp, d'Artagnan nie miał nawet pięciu, Szwajcar uważał, że jest u siebie, d'Artagnan wydawał mu się intruzem.

— Szy chcesz pan fyjść stąd — zapytał Szwajcar, tupiąc gwałtownie nogą, jak człowiek, który gniewa się już nie na żarty.

— Ja? bynajmniej!... — odparł d'Artagnan.

— Ale dość będzie iść po straż — odezwał się jeden z chłopców usługujących, nie mogąc zrozumieć, jak taki mały człowiek może się opierać tak wielkiemu.

— A ty — rzekł d'Artagnan, któremu gniew poczynał już uderzać do głowy — a ty! — i złapał chłopca za ucho — stój mi na miejscu i nie ruszaj mi się stąd, bo urwę, za co cię schwyczę. Co zaś do pana, znakomity potomku Wilhelma Tella, spakujesz swoje manatki, które są w moim pokoju i zawadzają mi i pójdiesz sobie poszukać innej oberży.

Szwajcar zaczął się śmiać głośno.

— Ja mam sobie iść?... — rzekł — a to dlaszego?

— A! to dobrze — odrzekł d'Artagnan — widzę, że pan nie rozumiesz po francusku.—To chodź się pan ze mną przejść, a wytłumaczę ci resztę.

Gospodyni, wiedząc, jak d'Artagnan doskonale włada szpadą, jęła płakać i rwać sobie włosy. D'Artagnan zwrócił się do rozpaczającej pięknej kobiety.

— To go, pani, odpraw — wyrzekł.

— Ba!.. — odparł Szwajcar, który po niejakiem dopiero czasie zdał sobie sprawę z propozycji, uczynionej mu przez d'Artagnana — kto pan jesteś, sze mi proponujesz przejść się z tobą?

— Jestem porucznikiem muszkietierów Jego Królewskiej Mości — odparł d'Artagnan — a więc w każdym razie starszy jestem od pana; ale ponieważ tu nie idzie o rangę, ale o kwaterę, znasz pan obyczaj. Idź pan po

swój bilet kwaterunkowy, a pierwszy z nas, który powróci zajmie ten pokój.

D'Artagnan uprowadził Szwajcara, pomimo lamentacji gospodyni, która wprowadzie czuła już w sercu więcej skłonności do dawnego kochanka, ale nie gniewałaby się, gdyby dać mogła była nauczkę temu dumnemu muszkieterowi, który ją obraził odrzuceniem jej ręki.

Przeciwnicy udali się wprost do rowów Montmartre; noc była, kiedy tam przyszli; d'Artagnan poprosił grzecznie Szwajcara, ażeby mu ustąpił pokoju i nie wracał, ten odmówił potrząśnięciem głowy i dobył szpady.

— To będziesz pan spał tutaj — rzekł d'Artagnan — a to kiepska kwatery; ale nie moja w tem wina, sam pan tego chciałeś.

I przy tych słowach wyciągnął żelazo i skrzyżował je ze szpadą przeciwnika. Miał do czynienia z ciężką ręką, ale zręczność jego brała górę ponad wszelką siłą.

Szwajcar dostał dwa pchnięcia szpadą, zanim się spostrzegł przy panującym zimnie; jednakże nagła utrata krwi i osłabienie, jakie wywołała, kazały mu przerwać walkę i usiąść.

— A co?... — odezwał się d'Artagnan — co panu mówiłem? Masz pan już za swoje. Na szczęście za dwa tygodnie już się wyliziesz. Zostań tu, a ja przyślę ci ubranie przez chłopca. Do widzenia! Ale radzę panu, zamieszkać pan przy ulicy Montorgmeli pod *Igrającym Kotem*. Jadło tam dobre, jeżeli tylko ta sama jest gospodyni. Muszkietier, znalazłszy się sam z gospodynią, rzekł do niej.

— Teraz, piękna Magdaleno, wiesz, jaka jest różnica między Szwajcarem a szlachcicem; co do ciebie, postąpiłaś jak karczmarka. Tem dla ciebie gorzej, bo po takim postępowaniu tracisz mój szacunek i moją klientelę. Wypędziłem Szwajcara, ażeby cię upokorzyć, ale nie będą tutaj mieszkać; nie biorę kwatery u tych, którymi pogardzam. Hola! chłopcze, niech zaniósą moją walizę do oberży przy ulicy Bourdonnais. Żegnam panią.

D'Artagnan był zdaje się przy tych słowach zarówno wspaniały, jak rozrzewniający. Gospodyni rzuciła mu się do nóg, prosiła o przebaczenie: zatrzymała go łagodną przemocą.

Tak więc d'Artagnan mieszkał przy ulicy Tiquetonne, w hotelu pod Kożą.

ROZDZIAŁ VII

ZAKŁOPOTANEMU D'ARTAGNANOWI PRZYCHODZI W POMOC DAWNA ZNAJOMOŚĆ

D'Artagnan powracał więc zamyślony głęboko, z przyjemnością niosąc worek kardynała Mazariniego i myśląc o pięknym djamencie, który należał był do niego, a teraz błyszczał na palcu pierwszego ministra.

— Jeżeli ten djament kiedykolwiek dostanie się w moje ręce — rzekł — natychmiast go sprzedam i kupię kilka posiadłości obok zamku mego ojca, zamku, który ładnie stanowi pomieszkanie, ale nic doń nie należy prócz ogrodu, — i tam czekać będę, aż jaka bogata panna, podbita moją miną, zapragnie mnie zaślubić, potem będę miał trzech synów; z pierwszego zrobię wielkiego pana, jak Athos, z drugiego pięknego żołnierza, jak Porthos, z trzeciego sympatycznego opata, jak Aramis! Dalibóg! lepszeby to było od tego życia, jakie teraz prowadzę, ale, niestety jegomość Mazarini taki kutwa, że nie oddały mi djamentu.

Coby d'Artagnan był rzekł, gdyby wiedział, że djament ten królowa powierzyła Mazariniemu, właśnie dla niego! Powróciwszy na ulicę Tiquetonne, zobaczył, że panuje tu jakiś zgiełk, że zbiegowisko jest jakieś obok jego kwatery.

— Ho! ho!... — rzekł do siebie — czyżby pożar wybuchł w hotelu „pod Kozą“, lub mąż pięknej Magdaleny powrócił.

Nic jednak złego się nie stało; d'Artagnan, zbliżywszy się, spostrzegł, że tłum się kupił nie przed hotelem, lecz przed domem sąsiednim. Krzyczano głośno, biegano z pochodniami, a przy blasku pochodni d'Artagnan zobaczył

mundury. Zapytał, co się stało. Odpowiedziano mu, że jakiś mieszczanin z dwudziestką swych przyjaciół napadł na powóz, eskortowany przez gwardję pana kardynała, ale przybyły jej posilki i mieszczanie zostali rozproszeni.

Przewódca napadu schronił się do sąsiedniego domu przy hotelu i dom ten rewidowano teraz. Zamłodu d'Artagnan byłby pobiegł tam, gdzie zobaczyłby mundury, i samby dopomógł żołnierzom przeciw mieszczaninowi, ale teraz głowa mu wystygła. Zresztą miał w kieszeni sto pistołów kardynalskich, nie chciał się więc narażać w takim zbiegowisku.

Powrócił do hotelu, o nic więcej nie wypyując. Dawniej d'Artagnan chciał wszystko wiedzieć, teraz to, co wiedział, wystarczało mu całkowicie. Zastał piękną Magdalenę, która się go nie spodziewała, bo myślała, że d'Artagnan, jak jej powiedział, przepędzi całą noc w Luwrze.

Chciała więc wszcząć z nim rozmowę i opowiedzieć o wszystkim, co się stało, ale d'Artagnan dziwnie nie był usposobony do rozmowy. Pokazała mu dymiącą się kolację, lecz d'Artagnan prosił, ażeby wieczerzę zaniecono mu do pokoju i dodano do niej butelkę starego burgunda.

D'Artagnan zamykał się w tym pokoju, kiedy pragnął nieobecnością swoją ukarać piękną Magdalenę. Pierwszem jego staraniem było schowanie, do starego biurka, mającego tylko nowy zamek, otrzymanego worka; potem, gdy po chwili podano mu zimną kolację wraz z butelką wina, pożegnał chłopca, zamknął drzwi i zasiadł do stołu.

D'Artagnan nie należał do ludzi, którzy sądzą, że noc przynosi radę; w nocy d'Artagnan spał. Zrana zaś przeciwnie świeży i rzeźki czuł najlepsze natchnienie. Oddawna już nie miał sposobności myśleć zrana, ale w nocy spał zawsze dobrze. O świcie obudził się, wyskoczył z łóżka ze stanowczością żołnierską i, rozmyślając, przechadzał się po pokoju.

— W 43 roku, na pół roku prawie przed śmiercią nieboszczyka kardynała, otrzymałem list od Athosa. Gdzie to było?... Zobaczmy... A!... było to przy oblężeniu Besançon... przypominam sobie... znajdowałem się właśnie w bastjonie. Cóż mi opowiadał?... Że mieszka w małym mająteczku, tak... w małym mająteczku, ale gdzie?... Kiedy to właśnie czytałem, wiatr porwał ten list. Dawniej — byłbym go poszukał, choćby nawet wiatr zaniósł

go w zupełnie otwarte miejsce... Ale młodość jest wielką wadą... gdy się nie jest młodym... Pozwoliłem listowi z adresem Athosa pofrunąć do Hiszpanów, których wcale nie obchodził, tak, że powinni mi go byli zwrócić. Nie mam więc poco myśleć o Athosie... Teraz przypomnijmy sobie... Porthosa. Dostałem od niego list, zapraszał mnie na wielkie polowanie do swych dóbr na wrzesień 1646 roku. Niestety, ponieważ w owym czasie byłem w Bearn z powodu zgonu ojca, list podążył wślad za mną; wyjechałem już, kiedy on przybył... Pogonił za mną i dostał się do Montauban w kilka dni po wyjeździe moim z tego miasta. Nareszcie list ten dostał mi się w miesiącu kwietniu 1647 roku, nie mogłem więc z niego skorzystać. Ale poszukajmy tego listu...

D'Artagnan otworzył starą szkatułkę, leżącą w kącie pokoju, pełną pergaminów, dotyczących dóbr d'Artagnana, które od lat dwustu zupełnie wyszły z jego rodziny, i wydał okrzyk radości. Poznał szeroki charakter pisma Porthosa, a u dołu kilka wyrazów, podobnych do łapek muchy skreśliła sucha ręka godnej jego małżonki.

D'Artagnan nie bawił się w odczytywanie listu, wiedział, co on zawiera, poszukał tylko adresu. Adres wskazywał zamek Vallon. Porthos zapomniał udzielić bliższych wiadomości. W dumie swej myślał, że wszyscy na świecie powinni znać zamek, któremu nadał swe nazwisko.

— Zawsze, do diabła, próżny!... — rzekł d'Artagnan — zawsze ten sam!... a jednak najlepiej byłoby od niego zacząć, gdyż zapewne nie brak mu pieniędzy, skoro odziedziczył ośm kroć sto tysięcy franków po panu Coquenard...

D'Artagnan raz jeszcze rzucił okiem na list Porthosa... Był tam przypisek, zawierający następujące zdanie: „Poślij przez tego samego posłańca, do naszego kochanego Aramisa w jego klasztorze“.

— W jego klasztorze!... tak... ale w którym klasztorze?.. W Paryżu jest tych klasztorów dwieście, a w całej Francji trzy tysiące. A!... gdybym był biegłym w teologii i mógł sobie tylko przypomnieć przedmiot tych rozpraw, które prowadził on tak dobrze w Crèvecoeur z wikarym z Montdidier i z przełożonym jezuitów, wiedziałbym, jakiej się doktrynie poświęca, i stąd wywnioskowałbym, pod którego świętego oddał się opiekę...

Ale zaraz, zobaczymy! Dostałem list od tego drugiego

przyjaciela nawet z prośbą o małą przysługę, którą mu wyświadczyłem... A! tak, ale gdzież położyłem ten list?

D'Artagnan namyślał się przez chwilę i przysunął się do wieszadła, gdzie wisiała stara odzież i poszukał kaftana z roku 1648, a ponieważ lubił wszystko trzymać w porządku, znalazł poszukiwane ubranie na gwoździu. Obejrzał kieszeń i wyciągnął z niej papier; był to właśnie list od Aramis'a.

„Kochany d'Artagnanie — pisał do niego — wiesz, że miałem sprzeczkę z pewnym szlachcicem, który mi wyznaczył spotkanie tego wieczora na placu królewskim; ponieważ jestem osobą duchowną, i sprawa ta mogłaby zaszkodzić mi, gdybym się zwierzył komu innemu, niż takiemu, jak ty, przyjacielowi, proszę tedy ciebie, ażebyś mi służył za sekundanta.

„Wjedziesz przez ulicę Nową Ś-tej Katarzyny; pod drugą latarnią na prawo zastaniesz swego przeciwnika. Ja pod trzecią latarnią będę ze swoim.

Twój *Aramis*“.

D'Artagnan usiłował zebrać wspomnienia: poszedł na miejsce spotkania; zastał wskazanego przeciwnika, którego nazwiska niegdy się nie dowiedział, poczęstował go ładnem pchnięciem w ramię, poczem zbliżył się do Aramis'a, który szedł też ku niemu, rozprawiwszy się już zupełnie...

— Skończyłem — wyrzekł d'Artagnan. — Zdaje mi się, że zabiłem zuchwalca. Ale, mój drogi przyjacielu, jeżeli byś mnie potrzebował, wiesz, jak jestem ci oddany.

Przy tych słowach Aramis uścisnął mu rękę i zniknął pod Arkadami.

Nie wiedział więc także, gdzie jest Aramis, tak samo, jak nie wiedział nic o Athosie i Porthosie, i położenie stało się dość kłopotliwe, gdy wtem usłyszał jakby trzask szyby, tłuczonej w jego pokoju. Pomyślał natychmiast o worku z pieniędzmi, schowanym do biurka i pobiegł do gabinetu.

Nie omylił się; w chwili, gdy wchodził drzwiami, jakiś człowiek wchodził tam oknem.

— A!... nędzniku!... — zawołał d'Artagnan, biorąc tego człowieka za złodzieja i chwytając za szpadę.

— Panie! — wykrzyknął ten człowiek — na miłość Bo-

ską, schowaj szpadę do pochwy; nie zabijaj mnie, zanim nie wysłuchasz. Nie jestem wcale złodziejem. Jestem porządnym mieszczaninem, nawet zamożnym. Nazywam się... Oh!... ale nie myślę się, to pan d'Artagnan!...

— Planchet!... — zawołał porucznik.

— Do usług pańskich — odparł Planchet u szczytu radości — gdybym tylko na co się panu przydał.

— No dobrze — odrzekł d'Artagnan — ale skąd wpadło ci do łba biegać po dachach o godzinie siódmej zrana w miesiącu styczniu?

— Proszę pana — odezwał się Planchet — musi pan wiedzieć... Ale zapewne pan jeszcze nie wie...

— Nie wiem! — podchwycił d'Artagnan. — Ale przedewszystkiem załóż serwetą okno i zapuść roletę.

Planchet spełnił rozkaz.

— I cóż?... — zapytał d'Artagnan.

— Proszę pana — odezwał się przezorny Planchet — przedewszystkiem, jak pan teraz jest z panem Rochefort?... —

— Ależ ja z Rochefort'em jestem doskonale. Nie wiesz, że to teraz jeden z moich przyjaciół?

— A! to tem lepiej.

— Ale cóż ma Rochefort wspólnego z takim wchodzeniem do mego pokoju.

— O!... panie!... Muszę panu naprzód powiedzieć, że Rochefort jest...

Planchet zawahał się.

— O!... — odrzekł d'Artagnan — wiem ja dobrze, że Rochefort jest w Bastylji.

— Czyli że był? — odparł Planchet.

— Jakto?... był?... — zawołał d'Artagnan — czyżby miał szczęście uciec?...

— O!... panie!... — zawołał Planchet — jeżeli pan nazywasz to szczęściem, to już wszystko dobrze; muszę więc panu powiedzieć, że wczoraj, jak się zdaje, posłano po pana Rocheforta do Bastylji.

— A! wiem o tem bardzo dobrze, ponieważ to ja po niego jeździłem.

— Ale pan go już nie odprowadzał, na jego szczęście, bo gdybym pana poznał pośród eskorty, — niech mi pan wierzy, iż zawsze mam dla pana zbyt wiele szacunku...

— Dokończże, bydlę!... Więc cóż się stało?...

— Otóż stało się to, że na środku ulicy Féronierie, kiedy

kareta z panem Rochefort przejeżdżała wpośród gromadki ludu, a ludzie z eskorty rozpychali mieszczan, zaczęto szemrać; więzień pomyślał, że nadarza mu się wyborna sposobność; wymienił swe nazwisko i zaczął krzyczeć na pomoc!... Poznałem nazwisko tego, który uczynił mnie sierżantem w pułku piemontckim; powiedziałem głośno, że ten więzień to przyjaciel księcia. Zaraz rzucono się na karete, zatrzymano konie, rozproszono eskortę. Ja tymczasem otworzyłem drzwiczki, pan de Rochefort wyskoczył z karety i znikł w tłumie. Na nieszczęście, przechodził w tej chwili patrol; przyłączył się do gwardji i rzucał się na nas. Dokonałem odwrotu w stronę ulicy Tiquetone, mając pościg tuż za sobą. Skierowałem się do domu, sąsiadującego z tym; otoczono go, rewidowano, — daremnie; znalazłem na piątym piętrze litościwą osobę, która schowała mnie w łóżku między materacami. Pozostałem w tej kryjówce prawie do świtu, a, myśląc, iż znów wieczorem może rozpoczną poszukiwania, zaryzykowałem wędrowkę po dachach, szukając najprzód wejścia, a potem wyjścia z jakiegokolwiek domu, który nie był strzeżony.

— Oto moja historia i, słowo honoru, bardzoby mnie zmartwiło, gdyby się panu nie podobała.

— Nie — odrzekł d'Artagnan — przeciwnie; cieszę się bardzo, iż Rochefort jest na wolności; ale wiesz co?... Jeżeli wpadniesz w ręce ludzi królewskich, powieszony zostaniesz bez litości.

— Dalibóg, wiem ja to dobrze! — odrzekł Planchet — to nawet dręczy mnie najbardziej, i dlatego tak się cieszę, że pana odnalazł, bo jeżeli pan zechcesz mnie schować, nikt lepiej tego nie potrafi uczynić.

— Tak — odrzekł d'Artagnan — nie jestem wcale od tego, chociaż narażam się ni mniej ni więcej tylko na utratę rangi, gdyby wyszło na jaw, że pomagałem powstańcowi.

— O!... pan wie, że ja życie naraziłbym dla pana.

— Mógłbyś nawet dodać, że już je narażałeś, Planchecie. Ja zapominam tylko o takich rzeczach, o których powinienem zapomnieć, o tej zaś sam chcę pamiętać. Usiądź więc tu i jedz spokojnie, bo widzę, że patrzysz na resztki mej kolacji bardzo wyrazistym wzrokiem.

— Tak, panie, gdyż śpiżarnia sąsiadki miała mało po-

silających rzeczy, i od wczorajszego południa zjadłem tylko kawałek chleba i trochę konfitur.

— Biedny chłopcze! — odrzekł d'Artagnan — posil się.

— O! pan mi dwa razy ratuje życie — rzekł Planchet.

I usiadł przy stole i zaczął pożerać jedzenie, niczem za pięknych dni przy ulicy Grabarzy...

D'Artagnan zaś chodził wzdłuż i wszecz po pokoju, szukając w myśli korzyści, jaką mógłby mieć z Plancheta w obecnych okolicznościach. Planchet wreszcie odetchnął, jak człowiek, dobrze już najedzony, gdy chce sobie trochę odpocząć, posiliwszy się dostatecznie.

— No — odezwał się d'Artagnan, myśląc że czas nadzedł aby rozpocząć badanie — zaczniemy po porządku. Czy wiesz, gdzie jest Athos?...

— Nie, proszę pana — odpowiedział Planchet.

— U!... do djabła!... A wiesz, gdzie jest Porthos?

— Tak samo nie wiem.

— U!... do djabła!... do djabła!... — A Aramis?...

— Nie wiem.

— U!... do djabła!... do djabła!... do djabła!...

— Ale — odezwał się Planchet chełpliwym tonem — wiem, gdzie jest Bazin.

— A gdzież on jest?...

— Służy za szwajcara u Najświętszej Marji Panny.

— To on musi wiedzieć, gdzie jest jego pan.

— Niezawodnie.

D'Artagnan zamyślił się, potem wziął płaszcz i szpadę i zmierzał ku wyjściu.

— Panie!... — odezwał się Planchet żałośnie — to pan mnie tak opuszcza?... Pomyśl, pan, że w panu tylko mam nadzieję!

— Ależ nikt tu nie przyjdzie cię szukać — odrzekł d'Artagnan.

— A, jeżeli przyjdzie — podchwycił przezorny Planchet — niech pan pomyśli, że dla ludzi z tego domu, którzy nie widzieli, jak wchodziłem, jestem złodziejem.

— To prawda — odrzekł d'Artagnan. — A umiesz ty mówić jakim obcem narzeczem.

— O! jeszcze lepiej, proszę pana — podchwycił Planchet — umiem mówić obcym językiem; mówię po flamandzku...

— A gdzież u djabła się nauczyłeś?

— W Artois, gdzie byłem na wojnie przez dwa lata. Niech pan posłucha. *Goeden morgen, mynheer, ik ben begeerd te weeten hoe uwe gezondheid bestaet.*

— Co to znaczy?...

— Dzień dobry panu, śpieszę dowiedzieć się, jak się pan miewa.

D'Artagnan podszedł ku drzwiom, zawołał chłopca i kazał poprosić piękną Magdalenę, ażeby do niego przyszła.

W tej chwili weszła gospodyni; biegła, uśmiechnięta, spodziewając się zastać d'Artagnana samego; spostrzegłszy Plancheta, cofnęła się, stropiona.

— Moja droga pani gospodyni — rzekł d'Artagnan — przedstawiam ci brata twego, który przybywa z Flandrii, a ja na kilka dni biorę go do swej usługi.

— Mego brata?... — wyrzekła gospodyni, coraz bardziej zdziwiona.

— A powiedzże dzień dobry swej siostrze, master Peter.

— Wilkom, zuster — rzekł Planchet.

— Goeden dag, broder — odpowiedziała gospodyni, zdziwiona.

— A widzisz — rzekł d'Artagnan — to brat pani, którego pewnie nie znałaś, ale ja go znam; przybył z Amsterdamu. Ubierzesz go pani podczas mojej nieobecności; za moim powrotem, to jest za godzinę, przedstawisz mi go pani, i na rekomendację pani, której nic nie mogę odmówić, przyjmę go do służby, chociaż nie umie ani słowa po francusku... rozumiesz, pani?...

— To znaczy, że się domyślam, czego pan pragniesz, a to mi wystarcza — odrzekła Magdalena.

— Jesteś nieoszacowaną kobietą, moja piękna gospodyni, zdaję się na ciebie zupełnie.

Poczem, skinąwszy znacząco na Plancheta, d'Artagnan wyszedł i udał się do kościoła Najświętszej Marji Panny.

ROZDZIAŁ VIII

JAK RÓŻNY WPŁYW WYWIERAĆ MOŻE PÓŁ PISTOLA NA SZWAJCARA KOŚCIELNEGO I NA DZIECKO Z CHÓRU

D'Artagnan skierował się na Nowy Most, winszując sobie, że odnalazł Plancheta.

W rzeczywistości bardzo był mu teraz potrzebny służący dzielny, oddany i sprytny. Wprawdzie Planchet nie miał długo pozostawać w jego służbie, ale nawet po powrocie do swego stanowiska społecznego, przy ulicy Lombardyjskiej, Planchet poczuwać się będzie musiał do wdzięczności względem d'Artagnana, który, ukrywszy go u siebie, ocalił mu życie bezmała; a d'Artagnanowi było wcale na rękę, mieć stosunki z mieszczaństwem w chwili, gdy gotowało się wszystko do wojny z dworem.

Było to dlań zawsze jakby porozumienie z obozem nieprzyjacielskim, a dla człowieka tak sprytnego, jak d'Artagnan, najdrobniejsze rzeczy mogły prowadzić do wielkich. W usposobieniu więc dość radosnem d'Artagnan przybył do kościoła Najświętszej Marji Panny. Wszedł na ganek, potem do świątyni i, zwróciwszy się do zakrystjana, zamiatającego kaplicę, zapytał, czy zna pana Bazina.

— Tak... A!... właśnie służy przy mszy tam, w kaplicy Najświętszej Panny.

D'Artagnan zadrzał z radości; zdawało mu się, że — pomimo wszelkich zapewnień Plancheta — nie znajdzie nigdy Bazina; ale teraz, gdy trzymał już jeden koniec nitki, ręczyć mógł, że dojdzie do kłębka. Ukłękł naprzeciw kaplicy, ażeby nie stracić tego człowieka z oczu.

Na szczęście była to cicha msza, więc nie mogła trwać długo. D'Artagnan nie omieszkał jednak skorzystać i z tego czasu, ażeby przypatrzeć się Bazinowi. Bazin nosił swój strój, rzecz można, z równą dumą, jak tępość umysłu. Zrozumieć można było, że dosięgnął już prawie szczytu swoich marzeń i że laska, przyozdobiona srebrem, którą trzymał w ręce, wydawała mu się równie zaszczytną, jak buława marszałkowska...

Kapłan kończył mszę w tymże czasie, co d'Artagnan swe oględziny; wymówił słowa sakramentalne i oddalił się, ku wielkiemu zdziwieniu d'Artagnana, dając błogosławieństwo, które każdy przyjmował na klęczkach.

Ale zdziwienie d'Artagnana ustąpiło, gdy w księdzu poznał samego koadjutora, to jest słynnego Jana Fromenila de Gonde, który, przeczuwając, w owych czasach rolę, jaką ma odegrać, zaczął, dzięki jałmużnom, wyrabiać sobie popularność.

D'Artagnan, jak i inni, ukląkł, otrzymał błogosławieństwo, przeżegnał się, ale w chwili, gdy Bazin przechodził z oczami, wzniesionemi ku niebu, postępując skromnie ostatni, d'Artagnan uczepił się jego sukni. Bazin opuścił oczy i skoczył w tył, jakgdyby spostrzegł węża.

— Pan d'Artagnan!... — zawołał — *vade retro, satanas!*

— Tak to, mój drogi Bazinie, przyjmujesz dawnych przyjaciół — rzekł oficer ze śmiechem.

— Panie — odpowiedział Bazin — prawdziwymi przyjaciółmi chrześcijanina są ci, którzy mu pomagają do zbawienia, a nie ci, którzy go od zbawienia odwracają.

— Mój drogi Bazinie — podchwycił d'Artagnan — teraz mnie spotykasz bardzo już zmienionego. Wiek uczy rozsądku, a ponieważ nie wątpię, że pan twój przygotowuje się do swego zbawienia, przychodzę cię zapytać, gdzie on jest, ażeby mnie również pomógł radami do pozyskania zbawienia.

— Powiedz pan raczej, że chcesz go zaprowadzić znów do świata. Na szczęście — dodał Bazin — nie wiem, gdzie jest, a w takim świętym miejscu, jak to, nie śmiabym kłamać.

— Jakto? — zawołał d'Artagnan u szczytu rozpaczynie wiesz, gdzie jest Aramis?...

— Naprzód — rzekł Bazin — Aramis — było to nazwisko jego zatracenia: w Aramisie mieści się Simara,

która jest imieniem szatańskim; szczęście więc dla niego, że wyrzekł się tego imienia na zawsze.

— Ja też — rzekł d'Artagnan, postanowiwszy być cierpliwym do końca — nie szukam wcale Aramis, ale opata d'Herblay. No... powiedz mi, mój drogi Bazinie, gdzie on jest?

— Czyż nie słyszałeś, panie d'Artagnan, że nie wiem.

— Tak, słyszałem, ale odpowiedziałem ci, że to niemożliwe.

— A jednak to, proszę pana, prawda, prawda szczerą, prawda najświętszą.

D'Artagnan wiedział dobrze, iż nic nie wydobędzie z Bazina; widoczne było, że Bazin kłamał, ale kłamał z takim uporem i stanowczością, iż łatwo dawało się odgadnąć, iż kłamstwa swego nie cofnie.

— To dobrze, Bazinie — odrzekł d'Artagnan — ponieważ nie wiadomo ci, gdzie mieszka twój pan, nie mówmy już o tem, zostanmy dobrymi przyjaciółmi; weź te pół pistola i wypij za moje zdrowie.

— Ja nie piję, proszę pana — odrzekł Bazin, odsuwając majestatycznie rękę oficera — to dobre dla świeckich!

— Nieprzedajny!... — wyszeptał d'Artagnan. — Doprawdy, nie szczęści mi się wcale...

A ponieważ d'Artagnan, zadumany, puścił suknię Bazina, Bazin skorzystał z wolności, ażeby szybko dokonać odwrotu do zakrystji, w której jednak uczuł się bezpieczny dopiero, gdy drzwi zamknął za sobą.

D'Artagnan pozostał nieruchomy, zadumany, z oczyma, utkwionemi we drzwi, które utworzyły przegrodę między nim i Bazinem, gdy wtem uczuł, jak go ktoś lekko trącił w ramię.

Odwrócił się i o mało nie krzyknął ze zdziwienia, kiedy ten, który dotknął go, przyłożył palec do ust na znak milczenia.

— Ty tutaj, mój drogi Rochefort? — wyrzekł półgłosem.

— Cyt!... — odrzekł Rochefort. — Czy wiedziałeś, że jestem wolny?

— Wiedziałem z pierwszej ręki. Od Plancheta.

— Jako od Plancheta?

— A tak; to on cię przecie ocalił.

— Planchet?... Doprawdy... zdawało mi się, że go po-

znają... Ot mam dowód, mój drogi, że nigdy dobry uczynek nie idzie na marne.

— Ale cóż tu porabiasz?

— Przychodzę podziękować Bogu za moje szczęśliwe uwolnienie — wyrzekł Rochefort.

— A pozatem, po co jeszcze?... bo przypuszczam, że to jeszcze nie wszystko.

— A pozatem zasięgnąć rozkazów od koadjutora, czy nie będzie można jakoś porozumieć się z Mazarinim.

— E!... Głupstwo!... Zaraz się wpakujesz do Bastylji.

— O!... co do tego będę się pilnował, mówię ci. Tak przyjemnie być na świeżem powietrzu!... — mówił dalej Rochefort, wciągając powietrze pełną piersią — udam się na wieś, odbędę wędrowkę po prowincji.

— Wiesz co!... — rzekł d'Artagnan — i ja także.

— A czy można cię zapytać, dokąd?...

— Szukać będę przyjaciół.

— Co za przyjaciół?... —

— Tych, o których zapytywałeś wczoraj.

— Athosa, Porthosa i Aramis?... To ty ich szukasz.

— Tak.

— Cóż w tem tak dziwnego?

— Słowo honoru?

— Nic, to tylko szczególne. A z czyjego szukasz ich rozkazu?...

— Nie domyślasz się?...

— No tak.

— Na nieszczęście, nie wiem, gdzie oni się znajdują.

— I nie masz żadnego sposobu powziąć o nich wiadomości?... Zaczekaj tydzień, a ja ci ich dostarczę.

— Tydzień, to za długo; muszę ich znaleźć w ciągu trzech dni.

— Trzy dni to za krótko — odrzekł Rochefort. — Francja jest wielka.

— To nic; znasz powiedzenie *musi być*; tem powiedzeniem wiele się robi.

— A kiedy zaczniesz ich szukać?

— Już szukam.

— Powodzenia!

— A tobie szczęśliwej podróży!

— Może się spotkamy po drodze.

— To nieprawdopodobne.

— Któż to wie?... Przypadek bywa tak kapryśny.

— Adieu.

— Do widzenia. Ale, jeżeli Mazarini mówić z tobą będzie o mnie, powiedz mu, że poleciłem ci, abyś mu oświadczył, że niezadługo zobaczy, czy, jak się wyraził, niezdolny już jestem do niczego.

I Rochefort oddalił się z szatańskim uśmiechem.

D'Artagnan, obróciwszy się, zobaczył Bazina, który, zdjawszy szaty kościelne, rozmawiał z zakrystjanem, znanym d'Artagnancwi, bo go zagadnął przy wejściu do kościoła. Bazin wydawał się wielce ożywiony, gdyż rozprawiał zawzięcie grubemi a krótkimi rękoma. D'Artagnan zrozumiał, że według wszelkiego prawdopodobieństwa zalecał największą ostrożność względem niego. Skorzastał z tego, że ludzie ci zajęci byli rozmową, wyslizgnął się niepostrzeżenie z katedry i zaczął się na rogu ulicy Canettes.

Bazin nie mógł wyjść żadną miarą, aby go stąd nie zauważył d'Artagnan. W pięć minut później ze swojego stanowiska d'Artagnan zobaczył istotnie Bazina, ukazującego się na progu.

Rozejrzał się na wszystkie strony, ażeby zobaczyć, czy nie jest strzeżony, ale nie dostrzegł naszego oficera, którego głowa tylko wystawała z poza węgła domu, oddalonego o pięćdziesiąt kroków.

Uspokojony pozorami Bazin, zapuścił się w ulicę Najświętszej Marji Panny.

D'Artagnan wybiegł ze swej kryjówki i zdążył jeszcze zobaczyć, jak skręcił on w ulicę Żydowską i wszedł w ulicę Calandre do jakiegoś przyzwoicie wyglądającego domu. Oficer nasz nie wątpił, że w tym domu mieszka ten godny szwajcar kościelny.

Wszedł do małej szynkowni na rogu ulicy Ś-go Eljasza i Calandre i zażądał miarki *hypokrasu*. Napój ten wymagał półgodzinnego przygotowania; d'Artagnan miał więc czas śledzić Bazina, nie budząc żadnego podejrzenia.

W knajpie zauważył jakiegoś wyrostka od lat dwunastu do piętnastu, z miną rozgarniętą, którego, jak mu się zdawało, widział przed dwudziestu minutami na chórze. Ponieważ chłopiec nie był zainteresowany w okłamywaniu go, d'Artagnan dowiedział się odeń, że od godziny szóstej



Dał znak wejścia młodzieńcowi, który ukazał się na progu.

do dwunastej służy organiście, a od dwunastej do północy w szynku.

Kiedy rozmawiał z tem dzieckiem, przyprowadzono konia pod bramę domu Bazina. Koń był osiodłany. W chwilę potem wyszedł Bazin.

— O — rzekło dziecko — nasz szwajcar kościelny wybiera się w podróż.

— Pół pistola — wyrzekł d'Artagnan — jeżeli się dowiesz, dokąd!

— Dla mnie — podchwyciło dziecko, a oczy mu się zaświeciły — jeżeli się dowiem, dokąd jedzie pan Bazin?... To nie tak trudno. Ale pan nie kpi ze mnie?...

— Nie, słowo oficerskie, ot widzisz pół pistola — i pokazał mu brzęczącą monetę, ale mu jej nie dał.

— Pójdę go zapytać...

— To właśnie nie dowiesz się nic — rzekł d'Artagnan — zaczekaj, aż odejdzie, a potem, wypytaj, badaj, dowiaduj się... To już twoja rzecz, pół pistola jest tutaj — włożył monetę do kieszeni.

— Rozumiem — odrzekł chłopiec ze sprytnym uśmiechem, właściwym tylko ulicznikom paryskim. — No!... to się zaczeka.

Długo czekać nie było potrzeby. W pięć minut później Bazin ruszył małym treuhtem, przyspieszając bieg konia uderzeniami parasola. Zaledwie skręcił w ulicę Żydowską, dziecko, jak wyżeł, rzuciło się za jego śladem.

D'Artagnan usadowił się znów przy stole, najzupełniej pewny, że za dziesięć minut będzie wiedział, co pragnął wiedzieć. W istocie, zanim dwadzieścia minut upłynęło, chłopiec powrócił.

— I cóż?... — zapytał d'Artagnan.

— Hm!... — rzekł chłopak. — Coś się wie.

— Dokądże pojechał?

— A czy pół pistola jest jeszcze dla mnie?...

— Naturalnie!... Opowiadaj.

— Chciałbym go zobaczyć!... Pokaż mi go pan, ażebym zobaczył, czy nie fałszywy.

— Masz go.

— Proszę pana gospodarza — odezwał się chłopiec — pan prosi o zmianę pół pistola.

Gospodarz siedział przy bufecie, dał drobną monetę

i wziął pół pistola. Dziecko schowało drobną monetę do kieszeni.

— No, teraz powiedz, dokąd pojechał?... — rzekł d'Artagnan, przyglądając się z uśmiechem temu sprytnemu postępowaniu dziecka.

— Pojechał do Noisy...

— Skąd o tem wiesz?...

— O!... nie potrzeba było znów być tak mądrym. Poznałem konia: należy on do rzeźnika, który go od czasu do czasu wynajmuje panu Bazinowi. Otóż pomyślałem sobie, iż rzeźnik nie wynajmie konia, ażeby nie zapytał dokąd, chociaż nawet wie dobrze, że pan Bazin konia mu nie świśnie.

— I on ci powiedział, że pan Bazin...

— Pojechał do Noisy. Zresztą, zdaje się, że to już jego zwyczaj. Jeździ tam dwa lub trzy razy tygodniowo.

— Czy w Noisy jest jaki klasztor?...

— I jeszcze jaki wspaniały!... klasztor jezuitów!

— Wybornie!... — rzekł d'Artagnan — niema wątpliwości.

— Więc pan zadowolony?...

— Tak. Jakże się nazywasz?

— Friquet.

D'Artagnan wyjął z kieszeni karteczkę i zapisał nazwisko dziecka i adres szynkowni.

— Panie oficerze — zagadnął chłopiec — czy jeszcze więcej pół pistolów będzie można zarobić?...

— Może — odrzekł d'Artagnan.

A ponieważ dowiedział się, czego wiedzieć chciał, zapłacił za miarkę hypokrasu, którego wcale nie pił, i ruszył żywo z powrotem na ulicę Tiquetonne.

ROZDZIAŁ IX

JAK D'ARTAGNAN, SZUKAJĄC ARAMISA BARDZO DALEKO, SPOSTRZEĞŁ, ŻE SIEDZI ON NA KONIU Z TYŁU ZA PLANCHETEM

D'Artagnan, wszedłszy do domu, zobaczył jakiegoś człowieka, siedzącego przed kominkiem; był to Planchet, ale Planchet tak dobrze przeinaczony, dzięki starej odzieży, którą mu, odchodząc, zostawił, że sam ledwieby się poznał.

Magdalena przedstawiła mu go wobec wszystkich służących; Planchet wypowiedział do oficera piękne zdanie po flamandzku; a oficer odpowiedział mu kilka słów w jakimś nieistniejącym języku, i rzecz została załatwiona. Brat Magdaleny przyjęty został do służby przez d'Artagnana.

Plan d'Artagnana był już ułożony jasno: za dnia nie chciał przyjechać do Noisy, z obawy, ażeby go nie poznało. Zresztą miał dość czasu przed sobą, gdyż Noisy jest położone tylko o trzy mile od Paryża na drodze do Meaux.

Zaczął od posilnego śniadania, co może być złym początkiem, kiedy głowa ma działać, ale co jest wybornem przygotowaniem, gdy ma być czynne ciało; potem zmienił ubranie, obawiając się, ażeby kaftan muszkieterski nie budził nieufności; następnie wziął najmocniejszą z trzech szpad, używaną tylko w najuroczystszych okolicznościach; wreszcie około godziny drugiej kazał osiodłać dwa konie i wraz z Planchetem, jadącym poza nim, wyruszył w drogę przez rogatkę miejską. W sąsiednim domu obok hotelu „pod Kozą“ wciąż prowadzono energiczne poszukiwania w celu odnalezienia Plancheta.

O milę od Paryża d'Artagnan, widząc, że z niecierpliwości wyjechał jeszcze za wcześnie, zatrzymał się, ażeby

konie wyczęły; zajazd pełen był ludzi o minach podejrzanych, którzy jakby się gotowali do jakiejś wyprawy nocnej.

We drzwiach ukazał się jakiś człowiek, otulony w płaszcz, ale — na widok nieznanego — dał znak ręką i dwaj pijący wyszli, ażeby z nim pomówić.

Tymczasem d'Artagnan przysunął się dość obcesowo do gospodyni domu, pochwalił jej wino, które było obrzydliwym zieleniakiem, zadał jej kilka pytań o Noisy i dowiedział się, że znajdują się tam tylko dwa duże domy, z których jeden należy do arcybiskupa paryskiego, — przebywa tam właśnie jego siostrzenica, księżna Longueville; — w drugim zaś gmachu, mieści się klasztor jezuitów, a więc gmach — zgodnie ze zwyczajem — był niezawodnie ich własnością.

O godzinie czwartej d'Artagnan udał się w dalszą drogę, jadąc stępą, bo przybyć chciał już o zmroku.

Jedno słówko gospodyni zajazdu nadało szczególny bieg myślom d'Artagnana; słówkiem tem było nazwisko księżny Longueville. W istocie pani de Longueville posiadała dostatecznie dużo cech dodatnich, ażeby o niej myśleć; była to jedna z największych dam w królestwie, jedna z najładniejszych kobiet u dworu. Zaślubiona staremu księciu Longueville, którego nie kochała, z początku uchodziła za kochankę Coligny'ego, który dał się dla niej zabić księciu Gwizjuszowi w pojedynku na placu królewskim; potem mówiono o jej przyjaźni nieco zbyt czulej dla księcia Kondeusza, jej brata, która to przyjaźń gorszyła najwyrozumialsze dusze na dworze; wreszcie opowiadano, jak po przyjaźni tej nastąpiła głęboka i prawdziwa nienawiść; w tym też czasie pozostawała ona w stosunku politycznym z księciem Marsillac, którego urabiała na wroga dla swego brata księcia Kondeusza.

D'Artagnan myślał o tem wszystkim. Myślał też, że gdy był w Luwrze, widywał często mimochodem promieniącą i olśniewającą piękną panią Longueville.

Myślał o Aramisie, który, nielepszy zgoła od niego, był niegdyś kochankiem pani de Chevreuse; ta zaś przy poprzednim dworze była tem, czem pani de Longueville przy obecnym.

I zapytywał się sam siebie, dlaczego niektórym ludziom na świecie wszystko się uda, czego zapragną, gdy inni —

czy to przypadkiem, czy skutkiem braku szczęścia — pozostają zawsze w połowie drogi swych nadziei. Musiał też przyznać, że pomimo całego sprytu, pomimo zręczności, sam prawdopodobnie należy do ostatnich. Wtem Planchet zbliżył się do niego i rzekł:

— Gotów jestem się założyć, że pan myśli o tem samem, co i ja.

— Wątpię, mój Planchecie — rzekł z uśmiechem d'Artagnan — ale o czemże ty myślisz?

— Myśię, proszę pana, o tych ludziach podejrzanym, którzy pili w oberży, gdzieśmy się zatrzymali.

— Zawsze jesteś przezorny, Planchecie.

— Proszę pana, to instynktowne.

— I cóż ci powiada instynkt w danym razie?

— Instynkt, proszę pana, mówi mi, że ci ludzie zebrali się w oberży w jakichś złych zamiarach, i właśnie w najciemniejszym kącie stajennym rozmyślałem nad tem, co mi mój instynkt mówi, gdy do tejże stajni wszedł wraz z dwoma ludźmi jakiś człowiek, otulony płaszczem.

— O! o!... — wyrzekł d'Artagnan, gdyż opowiadanie Plancheta łączyło się z jego spostrzeżeniami. — I cóż?

Jeden z tych ludzi mówił: „z pewnością musi być on w Noisy, lub przybędzie tam wieczorem, bo poznałem jego służącego“.

— „Czyś tego pewny?... — odezwał się człowiek w płaszczu.

— „Tak, mój książę...

— „Mój książę?... — przerwał d'Artagnan.

— Tak, „mój książę“. Ale niech pan posłucha? „Jeżeli jest, zobaczymy, co z nim trzeba zrobić?“... — rzekł inny z tych ludzi.

— „Nie da się on odrazu wziąć. Popróbuje szpady.

— „Ha! to trzeba tak zrobić, jak on, ale postaraj się go mieć żywego. Czy masz sznury do związania go i chustkę na usta?

— „Mam to wszystko.

— „Zwróć na to uwagę, że prawdopodobnie przebrany będzie po cywilnemu.

— „O! książę panie; niech pan będzie spokojny.

— „Zresztą i ja tam będę wami kierował.

— „I ręczy pan, że będzie.

— „Ręczę za wszystko“ — odpowiedział książę.

— „To dobrze, zrobimy jak najlepiej“. I przy tych słowach wyszli ze stajni.

— Więc cóż to nas obchodzi?... — rzekł d'Artagnan.— Takie historje zdarzają się codzień.

— I pewny pan jest, że to nie przeciw nam?

— Przeciw nam? a to dlaczego?

— O! niech pan sobie tylko przypomni ich słowa. „Poznałem jego służącego“, powiedział jeden z nich... to mogłoby się stosować do mnie.

— No, a dalej?

— „Musi być w Noisy, albo przybędzie tam wieczorem“ — to musiało się odnosić do pana.

— Cóż dalej?

— Dalej książę powiedział: „Zwróć uwagę, że będzie przebrany po cywilnemu“, to już nie pozostawia mi żadnej wątpliwości, ponieważ pan jest po cywilnemu ubrany, nie jako oficer muszkietarów, i cóż pan na to powie?

— Niestety! mój drogi Planchecie — odrzekł d'Artagnan, wzdychając — nie jestem już na nieszczęście w tych czasach, kiedy książęta czyhali na moje życie. A były to dobre czasy. Bądź spokojny, ci ludzie nie myślą o nas.

— Czy jest pan tego pewny?

— Ręczę ci.

— To dobrze; nie mówmy już o tem.

I Planchet powrócił na swe miejsce za d'Artagnanem z tą wspaniałą ufnością, jaką zawsze pokładał w swym panu, a której lat piętnaście rozłączenia wcale nie nadwyrężyło.

Tak ujechano prawie milę. W końcu tej mili Planchet zbliżył się do d'Artagnana.

— Proszę pana.... — odezwał się.

— Co?... — odparł tenże.

— Niech pan będzie łaskaw spojrzeć w tę stronę, — rzekł Planchet — czy nie wydaje się panu, iż tam w ciemności przesuwają się jakieś cienie? Niech pan posłucha; zdaje mi się, jakby słychać było nawet tętent koni.

— Niepodobna — rzekł d'Artagnan — ziemia rozmokła od deszczu, jednak zdaje mi się, że coś widzę.

I przystanął, ażeby patrzeć i słuchać.

— Jeżeli nie słychać tętentu koni, proszę pana, to przynajmniej ich rzenie, o!..

W istocie rzenie konia doleciało zdaleka wśród ciemności i obito się o uszy d'Artagnana.

— To ci ludzie są w drodze — rzekł — ale nas to nie obchodzi; jedźmy dalej.

I ruszyli w dalszą drogę. W pół godziny później dojeżdżali do pierwszych domów w Noisy; mogła być godzina ósma lub pół do dziewiątej wieczorem. Według zwyczaju wiejskiego, wszyscy już się pokładli i żadne światelko nie błyszczało w całej wsi. D'Artagnan i Planchet jechali dalej.

Na prawo i na lewo od gościńca zarysowały się na ciemno szarem niebie jeszcze ciemniejsze dachy domów; od czasu do czasu pies zbudzony szczechnął za bramą lub kot przestraszony opuszczał nagle środek bruku i pierzchał w kąt, skąd widać było jego błyszczące przerażone ślepie; zdawało się, że tylko te żywe istoty mieszkają we wsi.

Pośrodku miasteczka na rynku mieściła się między dwiema uliczkami masa czarna, osamotniona, przed której frontem ogromne lipy wyciągały zeschnięte konary.

— To musi być — rzekł d'Artagnan — zamek arcybiskupi, siedziba pięknej pani Longueville. Ale gdzie klasztor?

— Klasztor — odrzekł Planchet — jest na końcu wsi. Ja go znam.

— Ha!... — wyrzekł d'Artagnan — to ruszaj tam galopem, Planchecie, a ja zatrzymam się tu z koniem; ty zaś wracaj z wiadomością, czy u jezuitów świeci się jeszcze w którym z okien.

Planchet — posłuszny — oddalił się w ciemności, a d'Artagnan zsiadł i poprawiał uprzęż na koniu. W pięć minut później Planchet powrócił.

— Proszę pana — rzekł — świeci się tylko w jednym oknie, od strony pola.

— Hm!... — rzekł d'Artagnan — gdybym był frondystą, zapukałbym tutaj i byłbym pewny dobrego schronienia; gdybym był mnichem, zapukałbym tam i byłbym pewny dobrej kolacji; ale ponieważ nie jestem ani tym, ani tamtym, prawdopodobnie będę musiał między zamkiem i klasztorem położyć się na gołej ziemi, mrząc z pragnienia i głodu.

— Tak — dodał Planchet — jak słynny osioł Buridana. Ale może tymczasem zapukać, jeżeli pan chce?

— Cicho!... — odrzekł d'Artagnan — i w tem jedynem oknie zagasło światło.

— Słyszysz pan?... — odezwał się Planchet.

— Rzeczywiście, co to za hałas?

Był to jakby odgłos zbliżającego się huraganu. W tej chwili dwa oddziały jeźdźców, każdy z tuzina ludzi złożony, wypadły z dwóch uliczek, ciągnących się przy gmachu, i zamykając wszelkie wyjście, otoczyły d'Artagnana i Plancheta.

— A!... — zawołał d'Artagnan, dobywając szpady i chroniąc się za swego konia, gdy Planchet wykonywał taki sam manewr — czyżby rzeczywiście, jak myślałeś, na nas się zrywano.

— O!... mamy go! — rzekł jeździec, rzucając się na d'Artagnana z obnażoną szpadą.

— Trzymajcie go!... — wyrzekł dobitnie czyjś głos.

— Niech Wasza ekscelencja będzie spokojny.

D'Artagnan uznał, że nadeszła chwila stosowna, by wmieszać się do rozmowy.

— Hola! moi panowie — wyrzekł akcentem gaskońskim — czego chcecie, o co wam idzie?

— Zaraz się dowiesz — ryczeli jeźdźcy chórem.

— Stójcie! stójcie!... — zawołał ten, którego nazwano ekscelencją — stójcie, to nie jego głos.

— Ejże panowie — rzekł d'Artagnan — czyżby przypadkiem wścieklizna panowała w Noisy? Ale strzeżcie się, bo uprzedzam, że pierwszego, który się zbliży na długość mojej szpady, a szpada moja długa, rozplątam, jak nic.

Zbliżył się sam dowódca.

— Co tu robicie?... — wyrzekł głosem wyniosłym. jakby przywykłym do rozkazywania.

— A ty?... — rzekł d'Artagnan.

— Proszę być grzecznym, albo się da nauczkę, bo jeżeli kto chce być szanowany, jak mu przystoi, to raczy zawsze wymieniać swe nazwisko.

— Pan nie chcesz swego wyjawić, bo kierujesz zasadzką — odrzekł d'Artagnan — ale ja podróżuję spokojnie z lokajem i nie mam tedy powodu do ukrywania swego nazwiska.

— Dosyć! dosyć! jak się pan nazywasz?

— Powiem panu swe nazwisko, ażebyś wiedział, gdzie

możesz mnie odnaleźć, panie, ekscelencjo, czy książę, bo nie wiem, jak mam tytułować — rzekł nasz gaskończyk, który nie chciał okazać, że ulega pogrożce. — Czy znasz pan pana d'Artagnan?

— Porucznika muszkietarów królewskich? — wyrzekł głos.

— Tak.

— O! naturalnie.

— To musiałeś pan słyszeć — ciągnął dalej gaskończyk — że dzielnie władza szpada?

— Pan jesteś panem d'Artagnan?

— Ja jestem.

— Więc przybywasz tu, ażeby go bronić?

— Kogo?

— Tego, którego szukamy.

— Zdaje się, — mówił dalej d'Artagnan — że zamiast do Noisy przyjechałem, ani się spodziewając, do królestwa zagadek!

— No, odpowiedz pan!... — wyrzekł tenże głos wyniosły — czy to na niego czekasz pan pod temi oknami? Czy przybywasz pan do Noisy, ażeby go bronić?

— Nie czekam na nikogo — odrzekł d'Artagnan, zacinając się niecierpliwie — nie myślę nikogo bronić, oprócz siebie, ale siebie, uprzedzam wszystkich, będę bronił zacięcie.

— To dobrze — rzekł głos — odjedź pan stąd i nam pozostaw to miejsce.

— Odjechać stąd — odrzekł d'Artagnan, któremu ten rozkaz psuł projekty — to niełatwo, gdyż upadam ze zmęczenia, a mój koń także, chyba, że pan mi ofiarujesz kolację i nocleg gdzie w pobliżu.

— Także dowcipny!...

— Ej! panie — rzekł — pilnuj słów swych, bardzo proszę, bo jeżeli raz jeszcze tak się odezwiesz, to choćbyś był margrabią, księciem, członkiem domu królewskiego a nawet królem, wpakuję ci to słowo napowrót, w sam brzuch, rozumiesz pan.

— No, no!... — odrzekł dowódca — nie można się mylić, tak przemawia tylko gaskończyk, a więc nie ten, którego szukamy. Nasz plan nie udał się dziś, ale znajdziemy się jeszcze, panie d'Artagnan — mówił dalej, podnosząc głos.

— Tak, ale nigdy z tak równemi siłami — rzekł gaskończyk drwiąco — bo kiedy mnie pan znajdziesz, może będziesz sam i będzie to we dnie, a więc widno.

— Dobrze, dobrze!... — wyrzekł głos — w drogę, panowie.

I oddział cały, mrużąc i szemrząc, znikł w ciemnościach, wracając w stronę Paryża.

D'Artagnan i Planchet pozostali jeszcze przez chwilę w postawie obronnej; ale ponieważ zgiełk stale się oddalał, schowali szpady do pochwy.

— Widzisz, głupcze — rzekł spokojnie d'Artagnan do Plancheta — że to nie na nas mieli chrapkę.

— Więc na kogóż?... — zapytał Planchet.

— Dalibóg nie wiem, ale to mniejsza. Ważniejsza jest, jak się dostać do klasztoru jezuitów. Więc na koń i zapukajmy. Toż, choćby byli djabełkami nie pożrą nas przecie!

I d'Artagnan wsiadł na siodło. Planchet uczynił to samo, gdy ciężar jakiś niespodziewany spadł na tył jego koniowi, aż się ten przygiął.

— Oj! proszę pana — zawołał Planchet — mam jakiegoś człowieka na koniu.

D'Artagnan obrócił się i zobaczył rzeczywiście kształty ludzkie na koniu Plancheta.

— Czy djabeł nas się czepił, czy co?... — zawołał, dobywając szpady i szykując się znów do ataku.

— Nie, mój drogi d'Artagnanie, — ozwał się ów człowiek — to nie djabeł, — to ja, Aramis. Galopem, Planchecie, a na końcu wsi skręć na lewo.

I Planchet, mając Aramisa poza sobą na koniu, pojechał galopem, a za nim d'Artagnan, który począł już wierzyć, że znajduje się w jakimś śnie fantastycznym i niedorzecznym.

ROZDZIAŁ X

OPAT D'HERBLAY

Na końcu wsi Planchet skrzył na lewo, jak mu polecił Aramis, i zatrzymał się pod oknem, w którym się świeciło. Aramis zeskoczył na ziemię i trzykrotnie klasnął w ręce. Natychmiast otworzyło się okno i spuściła się drabinka sznurowa.

— Mój drogi — rzekł Aramis — jeżeli chcesz wejść, będę bardzo rad cię przyjąć.

— A!... — odrzekł d'Artagnan — więc to tak wchodzi się do ciebie?

— Po dziewiątej wieczorem tak trzeba robić, do licha — rzekł Aramis — reguła klasztorna jest bardzo surowa.

— Przepraszam, mój drogi przyjacielu — podchwycił d'Artagnan — zdaje mi się, żeś powiedział: do licha!

— Tak sądzisz?... — odrzekł Aramis ze śmiechem — nie wyobrażasz sobie mój drogi, jak w tych lichych klasztorach człowiek ordynarnieje! Ale cóż, nie wchodzisz?

— Idź naprzód, ja pójdę za tobą.

— Jak mówił nieboszczyk kardynał do nieboszczyka króla: „Ażeby pokazać drogę Najjaśniejszemu Panu!“

Aramis wszedł lekko na drabinę i w jednej chwili dostał się do okna. D'Artagnan wszedł za nim, ale wolniej; znać było, że mniej jest przyzwyczajony do takiej drogi, niż jego przyjaciel.

— Przepraszam — odezwał się Aramis, zauważywszy jego niezgrabność — gdybym wiedział, że mnie spotka przyjemność twoich odwiedzin, kazałbym był przynieść drabinę ogrodnika. Bo dla mnie ta jest zupełnie dobra.

— Proszę pana — wtrącił Planchet, gdy zobaczył d'Artagnana już na końcu drabiny — to dobre dla pana Ara-

misa, to dobre i dla pana, i dla mnie jeszczeby uszło, ale konie nie mogą wejść po drabinie.

— Zaprowadź je, mój przyjacielu, do szopy — rzekł Aramis, wskazując Planchetowi jakiś budynek, wznoszący się na równinie. — Tam znajdziesz słomę i owies dla koni.

— A co dla mnie?... — zapytał Planchet.

— Ty powrócisz pod to okno, kłaśniesz trzy razy w dłoń i spuścimy ci prowiant; bądź spokojny, do kata, tu nikt z głodu nie umrze.

I Aramis, wciągnąwszy drabinę, zamknął okno. D'Artagnan przypatrywał się pokojowi. Nigdy nie widział jeszcze mieszkania tak wojowniczego i zarazem tak eleganckiego.

W każdym narożniku widniały trofea broni, a cztery wielkie obrazy przedstawiały w ubiorze wojennym kardynała lotaryńskiego, kardynała Richelieu, kardynała Lavalette i arcybiskupa Bordeaux.

Nic więcej nie wyróżniało specjalnie coprawda mieszkania księżego, obicia były damaszkowe, dywany pochodziły z Alençon, a łóżko zwłaszcza, przybrane koronkami z wyhaftowanym dywanikiem, wyglądało raczej na miejsce snu damy światowej, niż na łożo człowieka, mającego przez śluby swe zyskać sobie niebo przez powściągliwość i umartwienie.

— Przyglądasz się memu gniazdku?... — odezwał się Aramis — o! mój drogi, wybac; cóż robić? Mieszkam, jak kartuz. Ale czego oczyma szukasz?

— Patrzę, kto ci rzucił drabinę, i nie widzę nikogo, a przecież drabinka sama nie mogła przyjść.

— Nie, to Bazin.

— O! o!... — wyrzekł d'Artagnan.

— A tak — mówił dalej Aramis — mój Bazin jest dobrze wytresowany, bo, widząc, że przychodzę nie sam, oddalił się przez delikatność. Siadaj, mój drogi, i porozmawiajmy.

I Aramis przysunął d'Artagnanowi szeroki fotel, w którym ten zaraz się rozparł.

— Przedewszystkiem zjesz kolację ze mną, nieprawdaż?

— O! i owszem — odrzekł d'Artagnan, a nawet, przyznając, z wielką przyjemnością; droga dodała mi djabelskiego apetytu.

— O! mój biedny przyjacielu, — odrzekł Aramis — trafiłeś źle, bom się ciebie nie spodziewał.

— Czy znowu grozi mi omlet i szpinak, jak wtedy w Crèvecoeur?

— E! trzeba mieć nadzieję, — wyrzekł Aramis — iż przy pomocy Boga i Bazina znajdziemy coś lepszego w spiżarni czcigodnych ojców jezuitów. Bazin, mój przyjacielu, Bazin, a chodźże!

Drzwi się otworzyły i ukazał się Bazin, ale, spostrzegłszy d'Artagnana, wydał okrzyk, podobny do okrzyku rozpaczy.

— Mój kochany Bazinie — wyrzekł d'Artagnan — przyjemnie mi widzieć, z jak poważną miną kłamiesz nawet w kościele.

— Proszę pana — odrzekł Bazin — nauczyłem się od czcigodnych ojców jezuitów, że wolno kłamać, gdy człowiek kłamie w dobrym celu.

— Dobrze już, dobrze, mój Bazinie, d'Artagnan umiera z głodu i ja także, podaj nam kolację, jak możesz najlepszą, a zwłaszcza przynieś nam dobrego wina.

Bazin skłonił się na znak posłuszeństwa, westchnął głęboko i wyszedł.

— Teraz, kiedy jesteśmy sami, mój drogi Aramisie — rzekł d'Artagnan, zwracając oczy z umeblowania na osobę Aramisa i kończąc na ubraniu jego badanie, rozpoczęte od sprzętów, powiedz mi, skąd u diabła się wziąłeś, gdyś spadł na konia z tyłu Plancheta?

— E! do kaduka!... — wyrzekł Aramis, widziałeś przecie... z nieba!

— Z nieba?... — podchwycił d'Artagnan, kiwając głową — nie wyglądasz mi na to, ażebyś miał stamtąd wracać, ani ażebyś tam miał iść.

— Mój drogi, — odezwał się Aramis z pyszałkowatością, której d'Artagnan nigdy w nim nie zauważył, kiedy był muszkietierem — jeżeli nie przybyłem z nieba, to przynajmniej wychodziłem z raju; a jedno do drugiego bardzo jest podobne.

— No, to uczeni nareszcie się upewnią... Dotąd nie mogli się zgodzić na to, gdzie stanowczo raj był położony; jedni umieszczali go na górze Ararat, inni odnajdywali go między Tygrem i Eufratem, a tu widać szukano go za daleko, skoro on był daleko bliżej. Raj oto jest,

w Noisy na terytorjum zamku jego ekscelencji arcybiskupa paryskiego. Wchodzi się tam nie bramą, lecz oknem; schodzi się zaś nie po schodach marmurowych, ale po gałęzi lipy, a strzegący go anioł z mieczem ognistym zdaje się zmienić swe imię niebiańskie Gabryel na bardziej ziemskie księcia de Marsillac.

Aramis wybuchnął śmiechem.

— Zawsze jesteś wesołym kolegą, mój drogi — wyrzekł — i nie opuścił cię twój humor gaskoński. Tak, wszystkiego jest potroszę w tem, co mi mówisz, tylko przynajmniej nie przypuszczaj, że w pani Longueville jestem zakochany.

— E! uchowaj Boże!... — rzekł d'Artagnan. — Tyle lat byłeś zakochany w pani de Chevreuse, toć przecie nie oddałbyś serca jej śmiertelnej nieprzyjaciółce.

— Tak, to prawda — rzekł Aramis żałośnie — tak, biedna księżna, bardzo ją niegdyś kochałem i trzeba jej oddać sprawiedliwość, że była nam bardzo użyteczna, ale cóż!... musiała opuścić Francję; straszny był człowiek z tego przekłętogo kardynała!... — mówił dalej Aramis, rzucając okiem na portret dawnego nimistra — wiesz, wydał rozkaz, ażeby ją zaaresztowano i odstawiono do zamku Loches; słowo honoru, byłby jej głowę uciął, jak Chalais'owi, Montmorency'emu i Cing Marsowi; uciekła, przebrana po męsku, ze swą pokojówką, biedną Katty; słyszałem nawet, że się jej wydarzyła szczególna przygoda, — nie wiem już z jakim proboszczem, którego prosiła o schronienie, a on, mając tylko jeden pokój i biorąc ją za mężczyznę, zaproponował, ażeby z nim go podzieliła. Bo też droga Marja nosiła ubiór męski niezrównanie. Tak, pomówmy o księżnej.

— O której? O księżnej de Chevreuse, czy o księżnej de Longueville?

— Mój drogi, powiedziałem ci już, że niema nic wspólnego między mną i księżną de Longueville; mogę trochę kokietowania, ale nic więcej. Nie, mówiłem o księżnej de Chevreuse. Czy widziałeś ją, gdy wróciła z Brukselli, po śmierci króla?...

— Widziałem... była jeszcze bardzo piękna.

— Tak — rzekł Aramis. — To też widywałem ją trochę wówczas; dawałem jej wyborne rady, z których nie skorzystała wcale; zabijałem się, przekonywując ją, że

Mazarini jest kochankiem królowej; nie chciała mi wierzyć, twierdząc, że zna Annę Austrjacką, że za dumna ona jest, ażeby kochać takiego sługusa. Potem, niedługo czekając, wdała się w intrygi z księciem de Beaufort, i sługa aresztował księcia de Beaufort, a panią de Chevreuse wypędził.

— Wiesz o tem — rzekł d'Artagnan — że pozwolono jej wrócić.

— Tak, i nawet powróciła... Znowu zrobi jakie głupstwo.

— O!... tak, ale tym razem usłucha twoich rad...

— O!... tym razem — rzekł Aramis — nie widziałem jej wcale: zmieniała się bardzo.

— To nie tak, jak ty, mój drogi Aramisie, boś ty zawsze ten sam; zawsze masz piękne włosy czarne, figurę elegancką, ręce kobiety, które teraz stały się zachwycającymi rękami pałata.

— Tak — odrzekł Aramis — to prawda, ale pielęgnowję je bardzo. Wiesz, mój drogi, że się starzeję; będę miał lat trzydzieści siedem.

— Posłuchaj; mój drogi — rzekł d'Artagnan z uśmiechem — ponieważ się znaleźliśmy, umówmy się co do jednej rzeczy, to jest co do wieku, jaki będziemy mieli na przyszłość.

— Jakto?... — zapytał Aramis.

— Tak — podchwycił d'Artagnan — dawniej to ja młodszy byłem od ciebie o dwa, czy trzy lata, a teraz, jeżeli się nie mylę, mam już czterdziestkę z okładem.

— Doprawdy!... — podchwycił Aramis. — Ha!... to ja się tedy mylę, boś ty, mój drogi, zawsze był wybornym matematykiem. Miałbym więc, podług twej matematyki, lat czterdzieści trzy... E!.. do djabła!... do djabła!... nie powiedz tego, mój drogi, w pałacu Rambouillet, toby mi zaszkodziło.

— Bądź spokojny — rzekł d'Artagnan — ja tam nie chodzę.

— Aj! ale co robi to bydlę Bazin?... Bazin! a śpiesz się, głupcze! wściekamy się z głodu i pragnienia!

W tej chwili wszedł Bazin, trzymając ręce, wzniesione ku niebu, a w każdej z nich po butelce.

— No — rzekł Aramis — czyśmy gotowi, co?...

— Tak, panie, w tej chwili — rzekł Bazin — ale nie mogłem tak zaraz wszystko...

— Bo zawsze myślisz, że ciągle masz swój kosztur kościelny na ramieniu — przerwał mu Aramis — i że zaczynasz się w brewiarzu... Otóż uprzedzam cię, że, jeśli skutkiem czyszczenia wszystkich rzeczy, które są w kaplicy, zapomnisz trzymać moją szpadę w porządku, rozpalę wielki ogień ze wszystkich twoich obrazów świętych i ciebie na nim upiekę.

Bazin, zgorzony, przeżegnał się trzymaną w rękę butelką. D'Artagnan zaś, bardziej, niż kiedykolwiek, zdziwiony tonem i obejściem opata d'Herblay, tak rażąco innym, niż to, jakie cechowało ongiś muszkietera Aramisa, wlepił zdumione oczy w twarz przyjaciela.

Bazin nakrył prędko stół serwetą adamaszkową, a na niej ustawił tyle rzeczy złożonych, pachnących i apetycznych, że d'Artagnan osłupiał.

— Chyba musiałeś się kogo spodziewać?... — zagadnął oficer.

— E... — rzekł Aramis — zawsze się to ma od przypadku; zresztą wiedziałem, że mnie szukasz.

— Od kogo?...

— Od jegomościa Bazina, który wziął cię za diabła... i który tu przyleciał, ażeby ostrzedz mnie o niebezpieczeństwie, grożącym mej duszy, gdybym znów wpadł w takie złe towarzystwo, jak oficera muszkieterów.

— O!... panie! — odezwał się Bazin z rękami złożonymi i tonem błagalnym.

— No! bez obłudy!... Wiesz, że tego nie lubię. Lepiejbyś otworzył okno i spuścił chleba, kurczaka i butelkę wina swemu przyjacielowi Planchetowi, któremu już ręce puchną od klaskania.

W istocie, Planchet, zaopatrzwszy swe konie w siano i owies, wrócił pod okno i dwa, czy trzy razy powtórzył znak umówiony.

Bazin spełnił rozkaz, przywiązał do sznura trzy wskazane mu przedmioty i spuścił je Planchetowi, który, więcej nie pragnąc, oddalił się zaraz do szopy.

— Teraz jedzmy kolację — odezwał się Aramis.

Przyjaciele zasiedli do stołu i Aramis zaczął rozkrawać kurczęta, kuropatwy i szynkę ze zręcznością iście gastro-nomiczną.

— Ho!... ho!... — rzekł d'Artagnan — to się tu nieźle karmicie.

— O! tak, wcale nieźle; mam na dnię postne dyspensy z Rzymu, które mi wyrobił pan koadjutor, dla braku zdrowia; przytem wziętem na kucharza byłego kucharza Lafollona, wiesz?... dawnego przyjaciela kardynała, tego słynnego żarłoka, który po każdym obiedzie mawiał, zamiast modlitw wszelkich: „Boże!... uczyni łaskę, ażebym dobrze strawił, co tak dobrze zjadłem“.

— Co mu nie przeszkodziło umrzeć z niestrawności — rzekł d'Artagnan ze śmiechem.

— Cóż chcesz!... — podchwycił Aramis — człowiek nie uniknie swego przeznaczenia.

— Ale przepraszam cię, mój drogi, i to z góry przepraszam za pytanie, jakie chcę ci zadać — podjął d'Artagnan.

— I owszem!... zapytuj... wiesz, że między nami nie może być mowy o drażliwości.

— Więc stałeś się bogaty?

— O! mój Boże, nie!... zarabiam sobie tuzin tysięcy franków rocznie, nie licząc pensyjki tysiąca talarów, którą mi przyznał stryj króla.

— A jak zarabiasz ten tuzin tysięcy franków? — zagadnął d'Artagnan — piszesz poematy?...

— Nie, wyrzekłem się poezji i nie piszę nic, chyba, że epigramaty. Robię kazania, mój drogi.

— Jakto robisz kazania?...

— O!.. i to kazania, jak widzisz, bardzo intratne.

— I wygłaszasz je z ambony...

— Nie, ja je sprzedaję.

— Komu?...

— Tym z moich kolegów, którzy chcą być wielkimi mówcami... tak!

— Doprawdy!... A sam nie próbowałaś sławy dla siebie?

— I owszem, mój drogi, ale natura mnie unosi za daleko. Kiedy jestem na ambonie, i przypadkiem patrzy na mnie ładna kobieta, i ja na nią patrzę, ona się uśmiechnie, i ja także. Wtedy zwijam chorągiewkę; zamiast prawić o mękach piekielnych, mówię o rozkoszach rajskich... A wiesz, co mi się wydarzyło pewnego dnia w kościele Ś-go Ludwika w Marais. Jakiś jegomość rozśmiał mi się w nos; wtedy, przerywając kazanie, powiedziałem mu, że

jest głupiec. Lud wyszedł nazbierać kamieni, ale ja tymczasem tak nastroiłem umysły obecnych, że to jego obrzucano kamieniami... Coprawda nazajutrz zjawił się u mnie, myśląc, że ma do czynienia z takim opatem, jak wszyscy opaci.

— I cóż wynikło z tej wizyty? — zagadnął d'Artagnan, zrywając sobie boki od śmiechu.

— A to wynikło, że nazajutrz wieczorem mieliśmy spotkanie na placu królewskim... E!... przecie, do kaduka!... i ty o tem wiesz trochę...

— Czyżbym to w sprawie z tym impertynentem służył ci za świadka? — zapytał d'Artagnan.

— Właśnie... Widziałeś, jakem go urządził.

— Czy umarł z tego?

— Nie wiem nic a nic. Ale na wszelki wypadek dałem mu rozgrzeszenie *in articulo mortis*. Dość zabić ciało, nie należy zabijać duszy.

Bazin przybrał minę rozpaczliwą, która mówiła, że zgadza się może na ten wniosek, lecz bardzo przeciwny jest tonowi, jakim został wygłoszony.

— Bazinie, mój przyjacielu, nie rozumiesz, że cię widzę w tem lustrze i że raz na zawsze zabroniłem ci wszelkich oznak zadowolenia lub niezadowolenia. Sprawisz mi więc przyjemność, podając nam wino szampańskie i odchodząc do siebie. Zresztą przyjaciel mój, d'Artagnan ma mi powiedzieć pewien sekret. Nieprawdaż, d'Artagnanie?...

D'Artagnan skinął głową potwierdzająco i Bazin się oddalił, postawiwszy na stole wino hiszpańskie. Przyjaciele, pozostawszy sami, siedzieli przez chwilę w milczeniu naprzeciw siebie. Aramis jakby się oddawał błogiemu trawieniu. D'Artagnan przygotowywał przemowę. Każdy z nich, gdy drugi nie patrzył, ukradkiem na niego spoglądał. Pierwszy przerwał milczenie Aramis.

ROZDZIAŁ XI

DWAJ GASPARDOWIE

— O czym tak myślisz, d'Artagnanie — rzekł — i tak się uśmiechasz?

— Myślę, mój drogi, że, kiedy byłeś muszkietерem, zawsze wyglądałeś na księdza, a teraz, kiedy jesteś opatem, wielce wyglądasz mi na muszkietera.

— To prawda — rzekł Aramis z uśmiechem. — Wiesz, mój drogi d'Artagnanie, że człowiek jest szczególnem zwierzęciem, złożonem z samych sprzeczności. Odkąd jestem opatem, marzę tylko o bitwie.

— To znać po twem umeblowaniu: masz tu rapiry wszelkich rozmiarów, tak że zadowolić mogą najwybredniejszych. Czy dobrze się jeszcze fechtujesz?

— Ja tak się fechtuję, jak ty niegdyś, a nawet może lepiej. Ja po całych dniach to tylko robię.

— A z kim?...

— Z doskonałym szermierzem, którego mamy tutaj!...

— Jakto, tutaj?...

— Tak, tutaj, w klasztorze, mój drogi. Wszystkiego potrochu znajdziesz w klasztorze jezuitów!

— To byłbyś zabił pana de Marsillac, gdyby cię był atakował sam, zamiast przyjść na czele dwunastu ludzi.

— Naturalnie — zawołał Aramis — a nawet z dwudziestu ludźmi, gdyby mnie tylko nie poznano.

— Boże!... — szepnął d'Artagnan — a toż on stał się jeszcze większym gaskończykiem odemnie.

Poczem dodał głośno:

— I cóż? mój drogi Aramisie, pytałeś, po co cię szukałem?...

— Nie, nie pytałem się wcale — odrzekł Aramis z miłą przebiegłą — ale czekałem, aż sam mi to powiesz.

— Otóż szukałem cię po to tylko, ażeby ci poprostu dać sposób zabicia pana de Marsillac, gdyby ci sprawiało to przyjemność, a nicby nie znaczyło nawet, że jest księciem.

— A patrz!... — odrzekł Aramis — dobra myśl!...

— Otóż oddaję ją na twój użytek, mój drogi. Czy z tysiącem talarów z twego opactwa i dwunastu tysiącami franków, jakie zarabiasz, sprzedając kazania... czy jesteś bogaty?... Odpowiedz mi szczerze.

— Ja?... goły jestem, jak Hiob, i choćbyś mi zrewidował kieszenie i kufry, nie wiem, czybyś tu znalazł sto pistołów.

— Ho!... ho!... sto pistołów!... — rzekł do siebie pociachu d'Artagnan — i on to nazywa być gołym, jak Hiob. Ja gdybym zawsze miał tyle, uważałbym się za bogatego, jak Krezus.

Potem dodał głośno:

— A czyś ambitny?...

— I jeszcze jak!

— A więc, mój drogi, chcę cię uczynić bogatym, potężnym, abyś mógł robić wszystko, co zechcesz.

Cień jakiś przemknął po czole Aramisa, tak szybko, jak ów, który kołysze się w sierpniu ponad zbożami; ale, choć przeleciał szybko, d'Artagnan go zauważył.

— Mów — wyrzekł Aramis.

— Przedtem jeszcze jedno pytanie. Czy zajmujesz się polityką?...

Błyskawica mignęła w oczach Aramisa tak szybko, jak ów cień, który przebiegł po czole, ale nie tak szybko, ażeby jej d'Artagnan nie dojrzał.

— Nie — odpowiedział Aramis.

— To wszelka propozycja przypadnie ci do gustu, skoro, jak teraz, nie masz innego pana, prócz Boga — rzekł gaskończyk ze śmiechem.

— To możebne.

— Czyś, kochany Aramisie, pomyślał kiedy o tych pięknych dniach młodości, które pędziliśmy, śmiejąc się, pijąc i bijąc?

— O!... tak, nieraz ich żałowałem. Były to szczęśliwe czasy! *Delectabile tempus!*

— Otóż, mój drogi, te piękne dnię mogą się odnowić, te szczęśliwe czasy mogą powrócić!... Otrzymałem zlecenie, ażeby odnaleźć mych towarzyszóv, i postanowiłem zacząć od ciebie, bo ty jesteś duszą naszego stowarzyszenia.

Aramis skłonił się grzeczniej, niż serdeczniej.

— Powrócić znów do polityki?... — rzekł głosem obumierającym i przewracając się na fotelu — o! drogi d'Artagnanie, widzisz, jak ja żyję regularnie i dobrze. Sprobowaliśmy już niewdzięczności możnych; wiesz o tem dobrze.

— To prawda — odrzekł d'Artagnan — ale może wielcy żałują teraz, że byli względem nas niewdzięcznymi.

— W takim razie — wyrzekł Aramis — to rzecz inna. Każdemu grzechowi należy się miłosierdzie. Zresztą masz słuszość pod jednym względem. Przyznaję, że, gdyby nas ochota wzięła wdać się znów w sprawy państwa, chwila odpowiednia, jak sądzę, nadeszła.

— Skądże wiesz o tem, skoro się nie zajmujesz polityką?

— O!... mój Boże!... chociaż sam się osobiście nie zajmuję, żyję w świecie, gdzie się nią zajmują. Uprawiając poezję, oddając się miłości, wszedłem w stosunki z panem Sarraninem, który stronnikiem jest pana de Conti; z panem Voiture, który stoi po stronie koadjutora, z panem de Bois - Robert, który, odkąd nie należy do pana kardynała Richelieu, nie należy już do nikogo, lub należy do wszystkich, co wolisz; tak, że ruch polityczny nie jest mi wcale obcy.

— Spodziewałem się... — wtrącił d'Artagnan.

— Zresztą, mój drogi, wszystko, co ci powiem, bierz jeno za słowa człowieka, który mówi, jak echo, powtarzając tylko poprostu, co usłyszał — podchwycił Aramis. — Słyszałem, że w tej chwili kardynał Mazarini, bardzo bodaj zaniepokojony jest obecnym biegiem rzeczy. Zdaje się, że dla jego władzy nie mają ludzie takiego poszanowania, jak dla naszego dawnego straszycła, nieboszczyka kardynała, którego portret tu widzisz, bo, cokolwiek o nim dałoby się powiedzieć, był z niego jednak prawdziwie wielki człowiek.

— Nie będę się o to z tobą spierał, mój drogi Aramisie, to on mnie zrobił porucznikiem.

— Pierwsze moje zdanie było w zupełności korzystne dla kardynała; powiedziałem sobie, że może nie jest on kochany, ale przy geniuszu, jaki mu przyznają, prędzej czy później triumfować będzie nad swymi nieprzyjaciółmi i bać się go będą ludzie, co znów nawet lepsze dla niego, niż, gdyby go kochali.

D'Artagnan skinął głową, co miało znaczyć, iż podziela całkowicie tę wątpliwą zasadę.

— Otóż takie było pierwsze moje zdanie — mówił dalej Aramis — ale ponieważ jestem bardzo nieświadomy w tego rodzaju przedmiotach, a pokora, jaką mi nakazuje powołanie moje, nie pozwala mi polegać na własnym sądzie, więc się dowiadywałem. I oto, mój drogi...

Aramis zamilkł.

— Cóż takiego?... — zapytał d'Artagnan.

— Otóż — podchwycił Aramis — muszę upokorzyć swą dumę!... muszę wyznać, żem się omylił.

— Doprawdy?...

— Tak! Oto, co mi oświadczyło kilka osób — różnych zapatrywań i zasad. Pan de Mazarini nie jest wcale człowiekiem genialnym, jak sądziłem.

— Cóż znowu?... — rzekł d'Artagnan.

— A tak... To nieszczególny człowiek; był on sługą kardynała Bentivoglio i wybił się intrygami; dorobkiewicz, człowiek bez imienia, który przejdzie tylko przez Francję. Zbierze sporo talarów, uszczupli bardzo dochody króla, płacić będzie sobie wszystkie pensje, które niebószczyk kardynał Richelieu płacił wszystkim, ale nie będzie panował nigdy prawem silniejszego, większego lub bardziej szanowanego. Zdaje się wreszcie, że nie jest szlachcicem — ani obejściem, ani sercem; to rodzaj bufona, Pulcinella. Czy znasz go?... Bo ja go nie znam.

— Masz słuszność — odrzekł d'Artagnan — jest trochę w tem prawdy, co powiedziałeś.

— O!... wbijas mnie w dumę, mój drogi.

— Ale mówiłeś o nim osobiście, a nie o jego stanowisku, ani też o jego możliwościach.

— To prawda. Ma za sobą królowę.

— Tak... to, zdaje mi się, coś znaczy.

— Ale nie ma za sobą króla.

— To jeszcze dziecko!

— Dziecko, które będzie za cztery lata pełnoletnie...

— Ale to terazniejszość.

— Tak, ale nie przyszłość, a nawet i teraz nie ma za sobą ani parlamentu, ani ludzi, to jest pieniędzy; nie ma za sobą ani szlachty, ani książąt, więc nie ma i oręża.

D'Artagnan poskrobał się w ucho, bo musiał przyznać, że powiedziane było to nietylko pięknie, ale i bardzo słusznie.

— Widzisz więc, mój biedny przyjacielu, że nie straciłem jeszcze swej zwykłej przezorności. Może jednak nie dobrze czynię, że mówię tak otwarcie, bo ty wyglądasz na przychylnego Mazariniemu.

— Ja?... — zawołał d'Artagnan — ja!... o!... wcale a wcale.

— Mówiłeś o zleceniach.

— Mówiłem o zleceniach? To źle mówiłem. Nie; powiedziałem sobie tylko tak, jak ty: sprawy się wikłają. Zatem rzućmy pióro na wiatr i chodźmy w tę stronę, w którą wiatr je poniesie: powróćmy do życia przygód. Byliśmy czterema dzielnymi rycerzami, czworgiem serc, czule połączonych; połączmy znowu nietylko nasze serca, ile nasze majątki i naszą odwagę. Sposobność jest teraz dobra, ażeby zarobić coś lepszego, niż djament.

— Miałeś słuszność, d'Artagnanie, zawsze miałeś słuszność — mówił dalej Aramis — a dowodem to, że i ja nosiłem się z taką samą myślą, co i ty; ale ja nie mam takiej, jak ty, bujnej i płodnej wyobraźni; wszyscy teraz potrzebują sprzymierzeńców, czyniono mi propozycje; przyznam się otwarcie, że mówił ze mną koadjutor.

— Pan de Gondy, wróg kardynała!... — wykrzyknął d'Artagnan.

— Nie, przyjaciel króla — rzekł Aramis — przyjaciel króla, rozumiesz: trzeba byłoby służyć królowi, co jest właśnie obowiązkiem szlachcica.

— Ależ król jest z panem Mazariniem, mój drogi.

— Z postępków, ale nie z woli, z pozorów, ale nie z serca, i właśnie nieprzyjaciele króla zastawiają na biedne dziecko zasadzkę.

— Ależ ty, mój drogi Aramisie, proponujesz mi poprostu, wojnę domową.

— Wojnę za króla.

— Ależ król znajdzie się na czele wojska, gdzie będzie Mazarini.

— Lecz sercem będzie w wojsku, którym dowodzić będzie pan de Beaufort.

— Pan de Beaufort?... przecie on w więzieniu Vincennes.

— Czy wymieniałem pana de Beaufort?... — rzekł Aramis — więc tak... pan de Beaufort, lub kto inny; pan de Beaufort lub ksiązę, stryj królewski.

— Ależ ksiązę uda się wraz z wojskiem, on jest w zupełności oddany kardynałowi.

— Ho! ho! zachodzą między nimi teraz pewne sprzeczki, zresztą, jeżeli nie ksiązę, to pan de Conti.

— Ależ pan de Conti ma zostać kardynałem.

— A czy nie mieliśmy kardynałów wojowniczych?... — podjął Aramis — spójrz oto koło siebie, widzisz portrety czterech kardynałów, którzy na czele wojska warci byli tyle, co dowódca, od urodzenia, będący żołnierzem.

— Czy widzisz wielkie korzyści w tem stronnictwie?... — zapytał d'Artagnan.

— Widzę protekcję możnych ksiąząt.

— I wygnanie przez rząd.

— Zniesione przez parlamenty i rozruchy.

— Wszystko to dałoby się zrobić, jak mówisz, gdyby się udało króla odłączyć od matki.

— A może się i uda.

— Nigdy!... — zawołał d'Artagnan — tym razem z zupełnem przekonaniem. — Aramisie, znasz przecie Annę Austriacką tak dobrze, jak ja. Czy sądzisz, że może ona kiedy zapomnieć, iż syn jest jej bezpieczeństwem, ochroną, rękojmnią jej władzy, jej majątku i jej życia?

Musiałyby chyba wraz z nim przejść na stronę ksiąząt i opuścić Mazariniego; ale wiesz lepiej, niż ktokolwiek, jakie zachodzą powody potężne, dla których nie uczyni tego przenigdy!

— Może masz słuszność — rzekł Aramis zamyślony — ja też się z nimi nie wdam.

— Z nimi — podchwycił d'Artagnan — ale ze mną?

— Z nikim. Jestem księdzem, po co mi polityka, nie czytuję żadnego brewiarza, mam małą klientelę, złożoną z opatów sprytnych i z kobiet ślicznych, im bardziej spr-

wy się powikłają, tem mniej hałasu robić będą moje awanturki; tak, mój przyjacielu, ja się mieszać nie będę.

— Ha! mój drogi, — odrzekł d'Artagnan — twoja filozofja i mnie przekonywa; wiesz co, i ja zamiast wdawać się w awantury, wolę przyjąć zaproszenie Porthosa, pojedę polować w jego dobrach; wszak wiesz, że Porthos, ma dobra.

— A naturalnie. Dziesięć mil lasu, błot i dolin; jest panem gór i równin i procesuje się o prawa feudalne z biskupem de Noyon.

— Dobrze!... — pomyślał d'Artagnan — wiem, czego się chciałem dowiedzieć; Porthos jest w Pikardji.

Potem odezwał się głośno.

— I przybrał już swoje dawne nazwisko du Vallon?

— Do którego dodał jeszcze de Bracieux, od dóbr, które były baronostwem.

— Więc zobaczymy Porthosa w roli barona.

— Nie wątpię; szczególnie baronowa Porthos będzie zachwycająca.

Przyjaciele wybuchnęli śmiechem.

— Zatem — podchwycił d'Artagnan — nie chcesz przejść na stronę Mazariniego?

— A ty na stronę książąt?

— Nie; nie należmy więc do nikogo, a pozostanmy przyjaciółmi i nie bądźmy ani kardynalistami, ani frondystami.

— Dobrze — rzekł Aramis — będziemy muszkietierami.

— Nawet z tą małą tonsurą?... — podchwycił d'Artagnan.

— Szczególnie z tą tonsurą!... — zawołał Aramis — to dodaje uroku.

— Zatem żegnaj cię — odezwał się d'Artagnan.

— Nie zatrzymuję cię, mój drogi — odrzekł Aramis — bo nie wiem, gdzie dałbym ci się przespać, a nie mogę, nie uchylając przyzwoitości, zaproponować ci połowy szopy Plancheta.

— Jestem przecie zaledwie o parę mil od Paryża; konie wypoczęły, za małą godzinę będę tam z powrotem.

I d'Artagnan nalał sobie ostatni kieliszek.

— Za nasze dawne czasy!... — wyrzekł.

— Tak — podchwycił Aramis — niestety, minęły te czasy: *fugit irreparabile tempus*.

— Ba!... — podchwycił d'Artagnan — może jeszcze powrócą, w każdym razie, gdybyś mnie potrzebował, zastaniesz mnie przy ulicy Tiquetonne, w hotelu „pod Kożą“.

— A mnie w klasztorze jezuitów, od szóstej zrana do ósmej wieczorem przez bramę, od ósmej wieczorem do szóstej zrana przez okno.

— Żegnam cię, mój drogi.

— O! tak cię nie puszcze, pozwól, niech cię odprowadzę.

I wziął szpadę swą i płaszcz.

— Chce się upewnić, czy odjadę — rzekł do siebie d'Artagnan.

Aramis zagwizdnął na Bazina, ale Bazin spał w przedpokoju na resztkach wieczerzy i Aramis musiał go szarpnąć za ucho, ażeby go obudzić. Bazin wyciągnął się, przetarł sobie oczy i usiłował znowu zasnąć.

— No, no, panie śpiochu, prędko drabinę.

— Ależ — rzekł Bazin, ziewając tak, że o mało mu szczęki nie powychodziły ze stawów — drabina pozostała przy oknie.

— Ale inną drabinę, ogrodniczą, widziałeś, jak d'Artagnanowi trudno było wejść po tamtej; jeszcze trudniej byłoby zejść.

D'Artagnan zapewnił Aramisa, że zejdzie bardzo dobrze; ale przyszła mu pewna myśl i na tę myśl zamilkł. Bazin wydał głębokie westchnienie i poszedł szukać drabiny.

Po chwili przyniósł mocną drabinę drewnianą i przystawił ją od okna.

Przenikliwe spojrzenie Aramisa chciało dociec myśli przyjaciela — aż do głębi duszy, ale d'Artagnan wytrzymał to spojrzenie — z miną zachwycająco dobroduszną. Zresztą w tej chwili stawiał już nogę na pierwszym stopniu drabiny i schodził. Za chwilę był już na ziemi. Bazin zaś pozostał przy oknie.

— Zostań tu — rzekł Aramis — ja wrócę.

Obaj skierowali się do szopy; na ich spotkanie wyszedł z niej służący, prowadzący dwa konie.

— Ot... to jest służący czynny i czujny — rzekł Ara-

mis — nie taki, jak ten próżniak Bazin. Chodź z nami, Planchecie, pójdziemy, rozmawiając aż na koniec wsi.

Przyjaciele przeszli przez wieś, rozmawiając o rzeczach obojętnych. Potem przy ostatnich domach Aramis rzekł:

— Tak, mój drogi przyjacielu, idź dalej w swym zawodzie, fortuna ci się uśmiecha, ale nie daj jej uciec, pamiętaj, że to zalotnica i traktuj ją też w odpowiedni sposób; ja pozostaję w swej pokorze i próżniactwie, żegnam cię.

Ucałowali się, Planchet był już na koniu, d'Artagnan wsiadł na siodło, uścisnął rękę przyjaciela. Jeźdźcy spiełi konie i oddalili się w stronę Paryża. Aramis pozostał nieruchomy na środku ulicy, dopóki nie stracił ich z oczu.

Ale d'Artagnan, ujechawszy dwieście kroków, zatrzymał się nagle, rzucił cugle Planchetowi, zeskoczył na ziemię, wziął pistolety z olster i zatknął za pas.

— Co tam panu znów?... — spytał Planchet, przerażony.

— Nie chcę, mimo całej jego przebiegłości, zostać wystrychnięty na dudka — rzekł d'Artagnan. — Zostań tu i nie ruszaj się z miejsca; tylko zбочz troszkę z drogi i czekaj na mnie.

Przy tych słowach d'Artagnan przeskoczył rów przydrożny i popędził przez pola tak, ażeby obejść wieś. Zauważył, że między gmachem, zamieszkałym przez panią de Longueville, a klasztorem jezuitów, jest pusta przestrzeń, ogrodzona tylko płotem. Może na godzinę wcześniej nie byłby odnalazł tego płotu, ale księżyc wynurzył się teraz zpoza chmur i jasno oświetlał drogę.

D'Artagnan dostał się więc do płotu i schował się za nim. Przechodząc koło gmachu, przed którym odegrała się opowiedziana przez nas scena, zauważył, że to samo okno znowu jest oświetlone, i przekonany był, że Aramis jeszcze nie wrócił do siebie, a kiedy wróci, nie powróci sam.

Rzeczywiście, po chwili usłyszał zbliżające się kroki i jakby szmer głosów, mówiących po cichu. U płotu kroki się zatrzymały.

W tej chwili ukazało się dwóch mężczyzn, ku wielkiemu zdziwieniu d'Artagnana; ale wkrótce zdziwienie jego ustało, bo usłyszał głos słodki i harmonijny; jeden z tych mężczyzn był przebraną kobietą.

— Bądź spokojny, mój drogi Ireneuszu — mówił głos słodki — to się już nie powtórzy; odkryłem rodzaj podzie-

mia, które przechodzi pod ulicą i dość będzie podnieść jedną z płyt u drzwi, ażeby otworzyć sobie wejście i wyjście.

— O!... — rzekł inny głos, w którym d'Artagnan poznał głos Aramis — przysięgam ci, księżno, że gdyby twoja reputacja nie zależała od tych wszystkich okoliczności i gdyby chodziło tylko o moje życie...

— Wiem, że jesteś dzielny i odważny, ale nie należysz tylko do mnie samej, należysz do całego naszego stronnictwa. Bądź więc ostrożny, bądź przeczorny!

— Zawsze jestem posłuszny — odrzekł Aramis — gdy kto rozkazuje mi tak słodkim głosem.

I pocałował czule w rękę.

— O!... — zawołał jego towarzysz słodkim głosem.

— Co?... — zapytał Aramis.

— Nie widzisz, że wiatr zerwał mi kapelusz.

I Aramis pobiegł za uciekającym kapeluszem. W tej chwili promienie księżyca padły na mężczyznę z odkrytą głową i d'Artagnan poznał duże oczy niebieskie, złociste włosy i piękną głowę księżnej de Longueville.

Aramis powrócił, śmiejąc się, z kapeluszem w ręce i oboje podążyli w stronę klasztoru jezuitów.

— Mam cię teraz!... — rzekł d'Artagnan, wstając i obcierając kolana — jesteś frondystą i kochankiem pani de Longueville!

ROZDZIAŁ XII

PORTHOS DU VALLON, PAN NA BRACIEUX I PIERREFONDS

Korzystając z wiadomości, udzielonych przez Aramisa, d'Artagnan, który wiedział już, że Porthosa nazwisko rodowe jest du Vallon, przekonał się, iż od posiadłości swoich nazywa się on jeszcze de Bracieux i że właśnie z okazji dóbr tych procesuje się z biskupem z Noyon. W okolicach zatem miasta Noyon szukać winien przyjaciela, to znaczy na granicy Ils de-France i Pikardji.

Ułożył naprędce * marszrutę: pojedzie do Damartin, gdzie rozchodzą się dwie drogi, jedna do Soissons, druga do Compiègne, tam zapyta o majątek de Bracieux i stosownie do otrzymanych wskazówek, wyruszy na prawo, lub na lewo.

Planchet, pomimo niepewności, w którą stronę i po co pan jego wyjeżdża oświadczył d'Artagnanowi gotowość pójścia za nim choćby na koniec świata, bez względu, czyby to było na prawo, na lewo, lub wprost. Błagał jedynie dawnego pana, aby wieczorem wyruszyć, ciemności bowiem najlepiej osłaniają wszelkie wyprawy tajemnicze.

D'Artagnan kazał mu zawiadomić żonę, bo pocóż ma niepokoić się zniknięciem męża. Planchet zaś innego był zdania i bardzo rozsądnie wnioskował, iż żona jego nie umrze z niepokoju o męża, nie wiedząc, co się z nim stało, on sam zaś, znając jej długi język, umarłby ze strachu, aby nie wypaplała wszystkiego na cztery strony świata.

Przekonał tedy zupełnie d'Artagnana, który nie wymagał już od niego nic więcej, i około ósmej wieczorem, gdy gęsta mgła spadła na ulice, wyjechał z hotelu „pod Ko-

zą“ i z Planchetem poza sobą opuścił stolicę bramą św. Djonizego. O północy podróżni nasi znaleźli się już w Damartin. Zapóźno było zasięgać wiadomości. Gospodarz oberży pod znakiem Łabędzia zasypiał smacznie.

D'Artagnan odłożył badanie do jutra. Rano przywołał gospodarza. Był to chytry normandczyk, jeden z tych, co to boją się skompromitować, odpowiadając *tak*, lub *nie*, i wprost na zapytanie nigdy nie odpowie. D'Artagnan jednak domyślił się z dwuznacznych objaśnień, iż powinien trzymać się prostej drogi i puścił się dalej przed siebie. O dziewiątej był już w Nanteuil i zatrzymał się tu na śniadanie.

Tym razem trafił na gospodarza, szczerego, otwartego Pikardyjczyka, który, bez trudności dał żądane objaśnienie. Dobra de Bracieux leżały o kilka mil od Villers-Cotterets. D'Artagnan znał tę miejscowość, był tam kilka razy z dworem, gdyż w owej epoce Villers - Cotterets należało do rezydencji królewskich.

Pojechał prosto do tego miasta i zatrzymał się przed zwykłą gospodą, to jest pod „Złotym Delfinem“. Tu dowiedział się o wszystkim; mianowicie, że posiadłość de Bracieux leży o cztery mile od miasta, lecz że Porthosa tam nie znajdzie. Porthos rzeczywiście miał zajście z biskupem z Noyon z powodu dóbr Pierrefonds, stykających się z jego majątkiem.

Znudzony wreszcie wybiegami prawnymi, których nie pojmował wcale, i chcąc raz z tem skończyć, nabył Pierrefonds i tym sposobem jeszcze jedno nazwisko do dawnych imion dołączył. Nazywał się obecnie: du Vallon de Bracieux de Pierrefonds i mieszkał w nowej posiadłości.

Trzeba jednak było czekać do jutra; konie uszły dzień mił w ciągu jednego dnia, potrzebowały zatem odpoczynku. Można było wprawdzie dostać inne, lecz przed podróżnymi las czarny się rozciągał, a Planchet, jak wiadomo, miał wstręt do jazdy nocą przez ciemne bory. Jednej jeszcze rzeczy Planchet nie lubił: wyjeżdżać na czczo z noclegu; to też d'Artagnan, otworzywszy oczy, ujrzał obfite śniadanie na stole. Niepodobna było brać za złe takiej zabiegliwości.

D'Artagnan zaraz też zabrał się do jedzenia, a Planchet powrócił do dawnego obyczaju i nie wstydził się dojadać pokornie resztek po swym panu, podobnie jak pani de

Motteville i pani de Fargis miały sobie za zaszczyt dogryzać kawałki, zostawione przez Annę Austriacką. Pośitek zajął kawał czasu, wyjechano ledwie koło ósmej.

Niepodobna było zabłądzić, trzeba się było trzymać tyłko drogi z Villers - Cotterets do Compiègne, a, minąwszy las, wziąć się na prawo.

Cudowny był poranek wiosenny; śpiew ptaków rozlegał się w gałęziach drzew odwiecznych, promienie słońca przedzierały się przez liście i pokrywały wszystko dokoła, jakby gazą ze złota. Miejscami znów ciemne sklepienia starych dębów nie przepuszczały światła a pnie olbrzymów, po których za zbliżeniem się jeźdźców zmykały zręczne wiewiórki, otaczała ciemność zupełna. Zapach wiosny, ziół, kwiatów leśnych, liści młodych, rozweselał serce.

D'Artagnan, przesycony zatrutem powietrzem Paryża, mówił sobie, że kto nosi trzy nazwiska od trzech majątków, graniczących ze sobą, musi być bardzo szczęśliwy w tym raju ziemskim; następnie kiwał głową i myślał: „Gdybym był Porthosem; gdyby d'Artagnan przyszedł do mnie z propozycją, jaką ja mam zamiar uczynić Porthosowi, wiem doskonale, co odpowiedziałbym d'Artagnanowi.“

Co się tyczy Plancheta, nie myślał on o niczem, trawił jeno śniadanie.

Na końcu boru d'Artagnan znalazł wskazaną drogę, prowadzącą prosto do starego zamku feodalnego, którego ogromne wieże rysowały się na horyzoncie.

— Oho!... — szepnął — myślałem zawsze, iż ten zamek należy do starszej linji Orleanów. Czyżby Porthos nabył go od księcia de Longueville?

— Na honor! proszę pana — odezwał się Planchet — jeżeli te wszystkie grunty, tak uprawione i obsiane wyśmienicie, należą do pana Porthosa, jest mu czego powinnować.

— Cicho — rzekł d'Artagnan — nie nazywaj go Porthosem, ani nawet panem du Vallon, mianuj go ciągle panem de Bracieux lub de Pierrefonds. W przeciwnym razie popsujesz mi interesy i powrócę, nic nie wskórawszy.

Gdy jednak zbliżali się do zamku, który zdaleka wyglądał imponująco, przekonali się, że te pyszne wieże, choć mocne jeszcze i zadziwiające ogromem, puste były i opuszczone, bez okien i drzwi, nawet zdawało się, iż ol-

brzym jakiś w chwili gniewu przeszedł tędy i ślady zniszczenia pozostawił. D'Artagnan zauważył, że przyjaciel jego nie może tu zamieszkiwać.

Minęli opuszczony zamek, wjechali na małą wyniołość, z której roztaczał się widok na czarującą dolinę. W głębi błyszczało małe jezioro, otoczone domkami, krytymi dachówką i słomą; pośrodku wznosił się prześliczny zamek, zbudowany w początkach panowania Henryka IV, uwieńczony chorągiewkami, na znak pobytu właściciela. Tym razem d'Artagnan nie wątpił już, że ma przed sobą siedzibę Porthosa.

Droga szła prosto do tego ślicznego zamku, który był tak podobny do tamtego z basztami, jak elegant z orszaku księcia d'Enghien do rycerza, zakutego w żelazo, z czasów Karola VII. D'Artagnan pognął kłusem, Planchet podązał za panem. Po kilkunastu minutach przebyli aleję topolową i znaleźli się przed kratą żelazną o złoconych strzałach, zamykającą obszerny dziedziniec. Pośrodku tego dziedzińca jegomość jakiś, ubrany zielono i ozłocony galonami i haftami, dosiadał tłustego mierzyna. Po bokach jego stali dwaj lokaje w liberji, naszytej suto galonami złotymi, a w niejakiem oddaleniu mnóstwo służby stajennej w pozach, pełnych uszanowania.

— A!... — rzekł d'Artagnan — czyżby to był jego wielmożność pan du Vallon de Bracieux, de Pierrefonds? Wielki Boże! jakżeż się zmienił od czasu, gdy przestał być Porthosem!

— Ależ to nie może być pan Porthos — odezwał się Planchet — tamten miał blisko sześć stóp wzrostu, a ten i pięciu nie trzyma.

— A jednak — rzekł d'Artagnan — bardzo nisko mu się kłaniają.

Powiedziawszy to, d'Artagnan zwrócił się ku tłustemu podjezdkowi, poważnemu jegomościowi i błyszczącym lokajom. W miarę zbliżania, zdawało mu się, że poznaje tego człowieka.

— Jezu Nazareński!... — wykrzyknął Planchet, który także coś sobie przypomniał... proszę pana, czyżby to on miał być?

Na ten wykrzyknik mężczyzna na koniu odwrócił się z powagą i wielką godnością, a podróżni nasi zobaczyli wyłupiaste oczy, twarz czerwoną i wymowny uśmiech

Mousquetona. Rzeczywiście był to Mousqueton we własnej osobie, Mousqueton tłusty, spasiony, kwitnący zdrowiem, opływający w dobrobycie, który, poznawszy d'Artagnana, nie uczynił tak, jak hipokryta Bazin, lecz zsiadł z konia, zdjął kapelusz i z niskim ukłonem przystąpił do niego, a tym sposobem całe otoczenie zwróciło się z uszanowaniem ku nowoprzybyłemu.

— Pan d'Artagnan!... pan d'Artagnan — powtarzał Mousqueton, czerwony z radości — pan d'Artagnan!... O! co za radość dla pana mojego, jaśnie wielmożnego du Vallon de Bracieux de Pierrefonds!

— O! najpoczciwszy Mousquetonie, więc twój pan jest tutaj?

— Znajduje się pan w jego posiadłości.

— Jakżeś ty piękny, tłusty, jaki strojny — ciągnął d'Artagnan, wyliczając przymioty, jakich dawniej brakowało wiecznie głodnemu i obdartemu Mousquetonowi.

— Dzięki Bogu, proszę pana, nieźle mi się powodzi.

— Czy nie poznajesz, dawnego przyjaciela Plancheta?

— Mój przyjaciel Planchet? czyż to ty jesteś?... — zawołał Mousqueton, wyciągając ręce i płacząc z rozrzewnienia.

— Tak, tak, ja sam!... — rzekł Planchet ze zwykłą ostrożnością — nie odzywałem się pierwszy, chcąc się przekonać, czyś nie zhardział czasem.

— Dla mego starego przyjaciela!... o, Planchet, nigdy, nigdy. Chyba nie znasz wcale Mousquetona.

— To mi się podoba — rzekł Planchet, zsiadając z konia i wyciągając także ręce do Mousquetona — to nie tak, jak ten łotr Bazin, który mi kazał stać dwie godziny pod bramą, udając, że mnie nie poznaje.

Planchet z Mousquetonem wyściskali się serdecznie, co wzruszyło niezmiernie otaczających, i dało im do myślenia, że Planchet jest może jakim przebrany dygnitarzem, gdy tak poufale wita się z Mousquetonem, którego nauczycyli się wysoce szanować.

— A teraz, proszę pana — rzekł Mousqueton, oswojony się nareszcie z ręką Plancheta, który napróżno usiłował objąć tłustą figurę przyjaciela — teraz, panie, wybacz, że cię zostawię, lecz chcę, aby pan mój ode mnie dowiedział się o waszem przybyciu; nie darowałby mi nigdy, gdybym pozwolił uprzedzić się w tem komukolwiek.

— Drogi, kochany przyjaciel — rzekł d'Artagnan, omijając dawne nazwisko Porthosa, a nie chcąc mu dawać nowych tytułów — więc nie zapomniał o mnie?

— On miałby zapomnieć?... on!... — krzyknął Mousqueton — codzień o panu mówimy i codzień spodziewamy się usłyszeć, żeś pan został mianowany marszałkiem na miejsce pana de Gassion, lub pana de Bassompierre.

D'Artagnan uśmiechnął się melancholijnie jednym z tych uśmiechów, które rodzą rozczarowania młodości.

— A wy, błazny — ciągnął Mousqueton — zostańcie tu do usług pana hrabiego d'Artagnana i czyńcie mu honory, jak tylko potrafiacie, ja pobiegnę oznajmić jaśnie panu o jego przybyciu.

Wsiadł — z pomocą dwóch podwładnych — na tłąstą szkapę, a Planchet lżejszy — bez pomocy — dosiadł swojego konia. Mousqueton truchtem pojechał przez trawnik, co dowodziło siły podjezdka.

— Oho!... wcale dobrze idzie!... — rzekł d'Artagnan — niema tu żadnych tajemnic, żadnych płaszczyków, ani polityki; śmieją się serdecznie, płaczą z radości, twarze dokoła rumiane i szerokie na łokieć prawie. Na honor, zdaje się, że tu cała natura obchodzi święto, a drzewa — zamiast liśćmi i kwiatem — pokryte wstążkami zielonemi i różowemi.

— A mnie się zdaje, proszę pana — rzekł Planchet — że czuję tu zapach przewybornej pieczeni, że widzę cały szereg kuchcików, witających nas gościnnie. A!... panie... jakiegoż to kucharza musi posiadać pan de Pierrefonds, on, który lubił dużo i dobrze jadać, gdy się nazywał tylko Porthosem!

— Dosyć tego!... — przerwał d'Artagnan — przerasz mnie. Jeżeli rzeczywistość odpowiada pozorom, jestem zgubiony. Człowiek, tak uposażony, nie będzie miał odwagi wyrwać się z rozkoszy życia codziennego, i tak samo nic u niego nie wskóram, jak nie wskórałem u Aramis.

ROZDZIAŁ XIII

D'ARTAGNAN PRZEKONYWA SIĘ, ODNALAZŁ- SZY PORTHOSA, ŻE MAJĄTEK SZCZĘŚCIA NIE DAJE

D'Artagnan minął kratę żelazną i stanął przed zamkiem; zsiadł z konia, a jednocześnie na ganku ukazał się mężczyzna olbrzymiego wzrostu. Trzeba oddać sprawiedliwość d'Artagnanowi, że — pomimo egoistycznych projektów — serce uderzyło mu radośnie na widok tej postaci marsowej, przypominającej mu człowieka zacnego i poczciwego bez zarzutu. Podbiegł do Porthosa i rzucił się w rozwarłe jego ramiona.

Cała służba, stojąc w przyzwyczajonym oddaleniu, patrzyła z pokorną ciekawością. Mousqueton w pierwszym rzędzie ocierał łzy, płynące obficie; biedny chłopak płakał wciąż z radości od chwili, gdy ujrzał d'Artagnana i Plancheta. Porthos ujął za rękę przyjaciela:

— Al... jakże rad jestem, że widzę cię, najdroższy d'Artagnanie! — zawołał głosem, który z barytonu stał się basem — więc nie zapomniałeś o mnie?

— Czyż mogłem zapomnieć!... czyż zapomina się, drogi du Vallon, najpiękniejsze dni młodości, najlepszych wiernych przyjaciół i niebezpieczeństwa, wspólnie przebyte?... Gdy patrzę na ciebie, każda chwila dawnego naszego życia staje mi w pamięci, jak żywa.

— Tak... tak... — rzekł Porthos, pokręcając węsą, który stracił w samotności kokieteryjny charakter; o tak, dokazywaliśmy swego czasu i zależliśmy nieraz za skórę biednemu kardynałowi!...

To rzekłszy, westchnął głęboko. D'Artagnan zaś przyglądał mu się.

— Co było, to było — ciągnął Porthos z widocznym smutkiem — w każdym razie, witam cię serdecznie w progach moich, drogi przyjacielu, może przy tobie odzyskam dawną wesołość. Będziemy szczeni jutro zające w *mojej* dolinie, która jest niezrównana do polowania, lub sarny w *moich* przepysznych lasach. Posiadam cztery charty, uchodzące za najlotniejsze w okolicy i całą sforę psów myśliwskich, jakim niema równych na dwadzieścia mil wokoło.

Porthos westchnął po raz drugi.

— Oho!... — pomyślał d'Artagnan — czyżby mój przyjaciel nie był tak szczęśliwy, jak się wydaje?...

Następnie odezwał się:

— Przedewszystkiem zaprowadź mnie do pani du Vallon, pamiętam bowiem niektóre listy twoje, zapraszające mnie do was uprzejmie, a także jej serdeczne przypiski.

Trzecie westchnienie Porthosa.

— Straciłem panią du Vallon przed dwoma laty — rzekł — i dotąd pocieszyć się nie mogę. Dlatego to przeniosłem się z *meego* zamku du Vallon, w bliskości Corbeil i zamieszkałem w dobrach *moich* de Bracieux, zmiana ta spowodowała znów kupno tej oto majątności. Biedna, kochana pani du Vallon — ciągnął Porthos, wykrzywiając się żałością, nie była ona kobietą charakteru zbyt łagodnego, lecz wkońcu przerobiłem ją według *moich* przekonań i nauczyłem poniekąd szanować wolę moją.

— Więc jesteś bogaty i wolny?... — rzekł d'Artagnan.

— Tak niestety!... — odparł Porthos — jestem wdowcem i posiadam czterdzieści tysięcy liwrów dochodu rocznego... Lecz, jeżeli pozwolisz, pójdziemy na śniadanie.

— Bardzo chętnie — rzekł d'Artagnan — ranne powietrze zaostrzyło mi apetyt.

— O tak — rzekł Porthos — powietrze *moje* jest doskonałe.

Weszli do zamku; dokoła wszystko błyszczało od złota: korytarze, wyłacane odrzwia złoczone, fotele pozłacane. Stół, wspaniale zastawiony, oczekiwał gości.

— Widzisz — rzekł Porthos — u mnie tak zawsze...

— Winszuję ci — rzekł d'Artagnan — u króla bynajmniej nie jest lepiej.

— Słyszałem właśnie — przerwał Porthos — że jest

bardzo źle żywiony przez pana de Mazariniego. Spróbuj tych kotletów, to z *moich* baranów.

— Wyborne i kruche posiadasz barany, można ci pozazdrościć.

— Pasą się na *moich* łąkach, które są znakomite.

— Proszę cię, daj mi jeszcze.

— O nie, weź lepiej zajęcia; zabiłem go wczoraj w *moim* parku.

— Do licha! cóż za smak przewyborny — rzekł d'Artagnan — chyba samą macierzanką żywisz swoje zajęcia?

— A co myślisz o *mojem* winie?... — rzekł Porthos. — Przyjemne w smaku, nieprawdaż?

— Wyśmienite.

— A to przecież tutejsze.

— Naprawdę?

— Tak; mam winnicę na południowym stoku *mojej* góry; dostarcza mi dwadzieścia okseftów.

— Ależ to ogromna winnica!

Porthos westchnął po raz piąty. D'Artagnan rachował jego westchnienia. Nareszcie, chcąc zbadać przyczynę, odezwał się:

— Mógłbym sądzić, kochany przyjacielu, że masz jakąś troskę tajemną. Czyś nie chory czasem?... Czyżby to zdrowie pozorne...

— W jaknajlepszym stanie, mój drogi, lepsze, niż kiedykolwiek; jestem w stanie wołu zabić uderzeniem pięści.

— Więc może kłopoty rodzinne...

— Rodzinne?... — rzekł Porthos — chwala Bogu, sam jeden jestem na świecie.

— Dlaczegoż zatem wdychasz?

— Drogi przyjacielu — rzekł Porthos — będę z tobą szczery; oto nie jestem szczęśliwy.

— Nie jesteś szczęśliwy, Porthosie? Ty, który posiadasz zamki, łąki, góry i lasy; który posiadasz czterdzieści tysięcy liwrów dochodu rocznego, — z tem wszystkim nie jesteś szczęśliwy!

— Mój drogi, to prawda, mam to wszystko, lecz stoję sam pośród tego.

— A! rozumiem; otaczają cię sąsiedzi niegodni ciebie, na których patrzysz ze wstrętem?

Porthos pobladł zlekka i połknął ogromną szklanicę swego własnego wina.

— Nie zgadłeś, przeciwnie... wyobraź sobie, są to szlachetki, z których każdy posiada tytuł jakiś, a wywodzą się od Tharamonda od Karola Wielkiego, lub conajmniej od Hugona Kapeta. Jako że najpóźniej się sprowadziłem, wypadało mi pierwszemu nawiązać z nimi stosunki; uczyniłem też pierwsze kroki... Lecz wiesz sam najlepiej, mój drogi... Pani du Vallon.

Mówiąc to Porthos z trudnością przełykał ślinę.

— Pani du Vallon — ciągnął — wątpliwego była szlachectwa, pierwszym jej mężem (sądzę, drogi d'Artagnanie, że nic nowego nie usłyszysz) był jakiś notariusz. Powiedziano, że czuć od niej tem małżeństwem... Wyraźnie powiedzieli, że *śmierdzi*... Pojmujesz, iż po takim wyrażeniu czułem się zdolny zabić trzydzieści tysięcy ludzi... Zabiłem dwóch tylko; to uciszyło innych, lecz nie uczyniło mnie ich przyjacielem. To też obecnie nie mam towarzysztwa, żyję samotnie, nudzę się śmiertelnie, gryzę się...

D'Artagnan uśmiechnął się; dojrzał słabą stronę i szykował się do ataku.

— Cóż to wszystko znaczy — powiedział — jesteś szlachcicem niezaprzeczenie; żona ci tego odebrać nie jest w stanie.

— Tak, to prawda, lecz pojmujesz, że szlachta okoliczna, nie posiadając imion historycznych jak de Coucy, którym to wystarczało, lub Rohan'y, którzy nie potrzebowali nawet dodawać *książę*, otóż ta szlachta to wszystko hrabiowie lub wice-hrabiowie, a co zatem idzie, ma przede mną pierwszeństwo, czy w kościele, czy na zebraniach, czy to przy jakich ceremonjach, wszędzie, wszędzie, mówię ci... a ja muszę to cicho znosić... A! gdybym był chociaż...

— Baronem, wszak prawda?... — przerwał d'Artagnan, kończąc frazes przyjaciela.

— O! — zawołał Porthos rozpromieniony. O! gdybym był baronem!

— Dobryś!... — pomyślał d'Artagnan — tutaj mi się uda z pewnością.

A głośno dodał:

— Otóż, kochany przyjacielu, tytuł ten tak przez ciebie pożądany, możesz posiadać; — przywiozłem ci go właśnie...

Porthos podskoczył, aż się sala zatrzęsała: kilka butelek straciło równowagę, spadło na ziemię i rozprysnęło się

w kawalki. Na hałas wpadł Mousqueton, za nim podązał Planchet z pełną gębą i serwetą w rękę.

— Jaśnie pan mnie woła?... — zapytał Mousqueton.

Porthos skinął na niego, aby pozbierał szkło potłuczone.

— Miło mi widzieć — rzekł d'Artagnan — że cenisz tego uczciwego chłopaka i trzymasz go przy sobie.

— Jest on moim intendentem — rzekł Porthos; potem dodał głośnie: pamięta on o sobie, szubrawiec, znać to po nim, lecz — ciągnął, zniżając głos — przywiązany do mnie i za nic w świecie nie rozstałby się ze mną.

— I nazywa go jaśnie panem — pomyślał d'Artagnan.

— Wynos się, Mouston — przemówił Porthos.

— Nazywasz go Mouston?... to zapewne przez skrócenie; Mousqueton to za długie nazwisko.

— Tak — rzekł Porthos — a w dodatku czuć było w tem fagasa na milę dokoła... Ale, ale, mówiliśmy o ważnych sprawach, gdy ten błazen nam przerwał.

— Odłóżmy na później rozmowę; ludzie twoi mogliby coś podejrzewać; kto wie, okolica może być szpiegami zasiana. Rozumiesz przecie, drogi Porthosie, że idzie o rzecz wielkiego znaczenia.

— Do kaduka!... — rzekł Porthos. — Kiedy tak, to dla strawności przejdźmy się po *moim* parku.

— I owszem.

A ponieważ obydwaj najedli się obficie, zaczęli tedy spacerować po wspnianiałym ogrodzie. Długie aleje kasztanowe i lipowe ciągnęły się conajmniej przez trzydzieści morgów.

— Na honor — odezwał się d'Artagnan — park odpowiada godnie całemu otoczeniu; jeżeli w twoich stawach znajduje się tyle ryb, ile królików w twoich królikarniach, jesteś bardzo, bardzo szczęśliwy, drogi Porthosie, jeżeliś w dodatku nie stracił gustu do polowania, a nabrał gustu do rybołówstwa.

— Kochany przyjacielu — rzekł Porthos — pozostawiam rybołówstwo Mousquetonowi; to rozrywka dorobkiewiczów; ja sam poluję niekiedy, to jest, gdy się nudzę; siadam na jednej z tych ławek marmurowych; każę przynieść strzelbę; przyprowadzają mi Gredineta, psa ulubionego, i wtedy strzelam do królików.

— Ależ to bardzo zajmujące!... — rzekł d'Artagnan.

— O tak!... — odparł Porthos z westchnieniem — bardzo zajmujące!...

D'Artagnan przestał już liczyć westnienia Porthosa.

— Następnie — dodał Porthos — Gredinet szuka zabitych królików i odnosi do kucharza; jest do tego ułożony.

— A to pocziwe stworzenie!... — rzekł d'Artagnan.

— Dajmy pokój Gredinetowi, — przerwał Porthos — jeżeli masz ochotę, mogę ci go podarować... zaczyna mnie już nudzić... wróćmy lepiej do naszej poprzedniej rozmowy.

— Najchętniej — rzekł d'Artagnan — uprzedzam jednak, drogi przyjacielu, abyś nie powiedział, żem cię podszedł zdradziecko, iżbyś musiał zmienić sposób życia.

— A to dlaczego?

— Przywdziać musiałbyś zbroję, przypasać szpadę, narażać się na różne awantury i, jak to dawniej bywało, postudać, trzęsąc się na koniu, trochę z terażniejszej objętości; znasz zresztą dobrze nasze dawne obyczaje.

— Do diabła!... — odezwał się Porthos.

— Tak... ja cię pojmuję; zepsułeś się, kochany przyjacielu, dostatkiem; brzusek ci się zaokrąglił, a pięść nie posiada już tej siły i elastyczności, jakiej tyle dowodów otrzymywała przyboczna straż pana kardynała.

— O!.. pięść jeszcze silna, przysięgam ci, — rzekł Porthos, pokazując rękę szeroką, jak pieczeń barania.

— Tem lepiej.

— Więc to o wojnę chodzi?...

— Ależ tak, mój Boże, tak, nie inaczej.

— Przeciw komu?...

— Czy śledziłeś wypadki polityczne, mój przyjacielu?...

— Ja?... wcale nie...

— A zatem czy jesteś za Mazarinim, czy też za księżętami?...

— Ależ ja z nikim nie trzymam.

— To znaczy, że do nas należysz. Doskonale, Porthosie, najlepszy to sposób, aby twoje papiery poszły w górę. Otóż mój drogi, powiem ci szczerze, przychodzę do ciebie z polecenia kardynała.

Porthos uczuł się zelektryzowany, zupełnie jakby to było w roku 1640 i jakby chodziło o prawdziwego kardynała.

— Oho!... — odezwał się — a czegoż to chce ode mnie Jego Eminencja?...

— Pragnie, abys wszedł w jego służbę przyboczną.
— Któż taki powiedział mu o mnie?..
— Rochefort... Czy przypominasz go sobie?..
— O, pamiętam dobrze, na Boga! przecież to on nam tyle nadokuczał, tyleśmy się za nim nauganiali, a ty mu wpakowałeś trzy razy szpadę pod żebra, na co, mówiąc między nami, rzetelnie zasłużył.

— Ale wiesz także, że odtąd stał się naszym wiernym sprzymierzeńcem?... — rzekł d'Artagnan.

— Nic nie wiedziałem. Więc nie ma do nas urazy?...

— Mylisz się, Porthosie, — rzekł d'Artagnan — to ja mu przebaczyłem.

Porthos nic nie rozumiał; lecz, pamiętajmy, iż domyślnością nigdy nie grzeszył.

— Powiadasz zatem — przemówił — że to hrabia Rochefort przypomniał mnie kardynałowi?...

— Tak... on sam, a także królowa.

— Jako, królowa?...

— Żeby nas natchnąć zaufaniem, oddała mu nawet sławny brylant, (wiesz ten, sprzedany ongiś przeze mnie panu Des Essarts), który, nie pojmuje, w jaki sposób, był znów w jej rękach.

— Mój kochany — rzekł Porthos — dlaczegóż go tobie nie oddała?...

— Ja też nad tem myślałem — odparł d'Artagnan — lecz cóż chcesz, monarchowie i monarchinie miewają czasem dziwne kaprysy. Ale koniec końcem, ponieważ rozporządzają pieniędzmi i tytułami i rozdają je ulubieńcom, poświęcamy się im z ochotą.

— Tak, znajdując ludzi z poświęceniem — rzekł Porthos. — A więc jesteś teraz oddany?...

— Królowi, królowej i kardynałowi, a co więcej, przyrzekłem im twoje usługi.

— Powiadasz zatem, żeś czynił układy na moją korzyść, stawiał warunki?...

— Znakomite, mój drogi, znakomite! Otóż podobno jesteś bogaty, wszak prawda?... Masz czterdzieści tysięcy liwrow dochodu, sam mi wszak powiedziałeś?...

Porthos stawał się podejrzliwy.

— E! mój przyjacielu — odpowiedział — pieniędzy nigdy nie jest zanadto. Pani du Vallon pozostawiła spadek w złym bardzo stanie... ja znów nie umiem się proce-

sować, nie znam się wcale na prawie, dosyć, że żyję tak oto z dnia na dzień.

— Oho! boi się, sądzi, że przyjechałem pożyczkę zaciągnąć — pomyślał d'Artagnan. — O, mój przyjacielu — dodał głośno — lepiej daleko, że jesteś w tarapatach!...

— Dlaczego lepiej?... — rzekł Porthos.

— Ponieważ Jego Eminencja da wszystko, czego zapagniemy: majątkości, gotówkę, tytuły...

— Aha!... więc to tak!... — zawołał Porthos, wytrzeszczając oczy.

— Za dawnego kardynała — ciągnął d'Artagnan — nie potrafiliśmy korzystać ze szczęścia; a można było dużo otrzymać... Nie mówię o tobie, który posiadasz czterdzieści tysięcy liwrów dochodu i wydajesz się najszcześliwszym człowiekiem pod słońcem.

Porthos westchnął.

— A jednak — mówił dalej d'Artagnan — pomimo twoich czterdziestu tysięcy liwrów dochodu, a może właśnie dlatego, że je posiadasz, niewielka korona na drzwiczkach twego powozu, bardzoby pięknie wyglądała. E!... e!... cóż o tem myślisz?...

— Ależ tak, mój drogi — odparł Porthos.

— Zapracuj na nią, mój kochany; czy nie widzisz, że masz ją na końcu twej szpady?... Nie będziemy sobie szkodzić wzajemnie. Twój cel, to tytuły; mój zaś pieniądze nagroda. Gdy zarobię tyle, aby odbudować Artagnan, który leży w gruzach od czasu, gdy przodkowie moi zbiegli ze szczętem czasu wojen krzyżowych, gdy będę mógł kupić jakie trzydzieści morgów gruntu dokoła, usunę się ze świata, osiadę na ojcowiznie i umrę spokojny; oto moje marzenia...

— Ja zaś — rzekł Porthos — chcę zostać baronem.

— Będiesz nim napewno.

— Czy nie pomyślałeś o naszych dawnych kolegach?... — zapytał Porthos.

— A jakże, byłem u Aramisa.

— A on czego pragnie?... czy chce zostać biskupem?...

— Aramis — rzekł d'Artagnan, nie chcąc rozczarować Porthosa — wystaw sobie mój kochany, Aramis stał się prawdziwym klechą, jezuitą, a żyje, jak niedźwiedź prawdziwy. Wyrzekł się świata i pokus jego, myśli jedynie

o zbawieniu duszy. Wszystkie moje propozycje, widoki tytułów, nie były w stanie złamać jego postanowienia.

— Szkoda!... — rzekł Porthos — szkoda takiej dobrej głowy... A cóż Athos?...

— Nie widziałem go jeszcze, lecz prosto od ciebie jadę do niego. Czy wiesz, gdzie on mieszka?

— Niedaleko Blois, w małej posiadłości, odziedziczonej po jakimś krewnym.

— A jak się ta posiadłość nazywa?...

— Bragelonne. Gdzie tu sprawiedliwość, mój drogi; Athos, wielki pan, Athos szlachetny, równający się godnością cesarom, odziedziczył majątek z tytułem hrabstwa!... co on będzie robił z tyloma tytułami? Hrabia de le Fère, hrabia de Bragelonne?...

— W dodatku nie ma dzieci — rzekł d'Artagnan.

— Hm... — rzekł Porthos — mówiono mi, że adoptował podobno jakiegoś młodego człowieka, podobnego do niego, jak dwie krople wody.

— Co mówisz?... Athos, nasz zacny Athos, cnotliwy, jak Scypion?... Czy widziałeś go kiedy?...

— Nie.

— Otóż jutro jadę do niego, zawiozę mu wieści o tobie. Chociaż, mówiąc między nami, boję się, czy pociąg do pijaństwa, nadmierne użycie wina nie przyczyniły się u niego do przedwczesnej starości i niedołęstwa.

— Tak — rzekł Porthos — to prawda; pił on okrutnie.

— Najstarszy też był z nas wszystkich — dodał d'Artagnan.

— O kilka lat tylko, — ciągnął Porthos — postawa szlachetna i pełna powagi, czyniła go napozór tylko starszym.

— Tak, to prawda. Jeżeli Athos przystanie do nas, tem lepiej; jeżeli odmówi, obejdziemy się bez niego. My we dwóch staniemy za dwunastu conajmniej.

— Czy na długo się zanosi?...

— Któż to wie, mój drogi!... może na trzy, może na cztery lata.

— Tem lepiej, mój drogi, tem lepiej!... — zawołał Porthos — nie uwierzysz, jak straszliwie po kościach mnie łamie od czasu, jak siedzę tu spokojnie! Niekiedy w niedziele i święta, głównie wychodząc ze mszy świętej,

skaczę na konia, lecę w pole, na sąsiedzkie posiadłości, w nadziei, że przecie znajdę jakąś zaczepkę, jakaś choć niewielką kłótnię, potrzebną zbolałemu sercu i ręce za- stałej; lecz nic, nic, mój drogi, jakby przekleństwo ciążyło nade mną!... Czy to, że wzbudzam szacunek, czy postrach sięję, co prawdopodobniejsze, dość że pozwalają deptać lucernę psom moim, jeździć po brzuchu całemu światu; a ja po takiej wycieczce wracam smutniejszy, bardziej zniechęcony i tyle tylko korzyści. Powiedz mi, przynajmniej, czy łatwiej o awanturę w Paryżu, niż tutaj na wsi?...

— O! jeżeli o to chodzi, to raj, mówię ci, niema edyktów, niema straży kardynalskiej, ani Jussac'ów, ani żadnych innych szermierzy, ani ograniczeń. O, mój Boże! gdzie chcesz... pod latarnią, w oberży, wszędzie bić się możesz; zabiłeś, zmykasz i po wszystkim, nikt cię nie poszukuje, nikt nie śledzi. Pan Gwizjusz zamordował pana de Coligny na środku placu królewskiego i nic mu za to.

— Ależ to rozkoszne życie! — zawołał Porthos.

— W dodatku, rychło mieć będziemy wojnę porządną, z armatami, z pożarami; nie bój się, będzie różnaitość, nie znudzimy się wcale...

— Kiedy tak, decyduję się...

— Mam więc twoje słowo?...

— Tak, już powiedziałem. Będę bił i mordował dla Mazariniego... Ale...

— Ale co?

— Musi mnie zrobić baronem.

— O, dla Boga! — rzekł d'Artagnan — to naprzód postanowione; mówiłem i powtarzam, że odpowiadam głową za twoje baronostwo.

Po tej obietnicy, Porthos, wierzący święcie słowu przyjaciela, powrócił z nim do zamku.

ROZDZIAŁ XIV

GDZIE POKAZUJE SIĘ, ŻE, JEŻELI PORTHOSOWI
NIE WYSTARCZAŁO JEGO STANOWISKO,
MOUSQUETON ZE SWEGO ZADOWOLONY
BYŁ NAJZUPEŁNIEJ

Gdy powracali do pałacu i Porthos rozkołysany był marzeniami o baronostwie, d'Artagnan zastanawiał się nad nędzą biednej natury ludzkiej, niezadowolonej wiecz- nie z tego, co posiada, i zawsze pożądającej tego, czego dosięgnąć trudno. Na miejscu Porthosa, czułby się naj- szczęśliwszym z ludzi, a Porthosowi czegoż brakowało do szczęścia?.. pięciu liter dla wypisania przed nazwiskiem i małej korony dla namalowania po bokach powozu.

— Więc żywot mój przemienie — mówił w duchu d'Ar- tagnan — na daremnem rozglądaniu się w lewo i w pra- wo — dla ujrzenia oblicza ludzkiego z wyrazem rzetel- nego szczęścia.

W chwili, gdy Porthos rozłączył się z nim, dla dania rozkazów kucharzowi, spostrzegł zbliżającego się Mous- quetona. Oblicze tego pocziwca, gdyby nie lekkie za- frasowanie, które je przesłaniało, jak przejrzysty obło- czek wiosenny, wyrażało szczęśliwość w całej pełni.

— Mam nareszcie, czego szukałem — rzekł sobie d'Ar- tagnan — ale niestety!... biedaczysko nie wie, po co tu przybywam.

Mousqueton stanął w oddaleniu. D'Artagnan dał mu znak, aby się zbliżył.

— Panie, odezwał się Mousqueton — korzystając z po- zwolenia, proszę o jedną łaskę.

— Mów, kochanku — odrzekł d'Artagnan.

— Tylko brak mi śmiałości, z obawy, aby pan nie sądził, iż pomyślność mnie psuje.

— Więc jesteś szczęśliwy, przyjacielu? — zagadnął go d'Artagnan.

— O tyle, o ile nim być można, a jednak w pana mocy jest uczynić mnie jeszcze szczęśliwszym.

— Mówże więc, a uczynię, co zechcesz, jeśli to tylko ode mnie zależeć będzie.

— O!... od pana jedynie!

— Słucham.

— Panie, jeżeli chcesz mi wyświadczyć łaskę, nie nazywaj mnie już, proszę, Mousquetonem tylko Moustonem. Odkąd mam zaszczyt być intendentem u jaśnie pana, przybrałem to nazwisko, które brzmi dostojniej i wzbudza uszanowanie w podwładnych moich. Pan wie, jak dla tej hołoty potrzebna jest subordynacja.

D'Artagnan uśmiechnął się; Porthos przedłużał swoje nazwisko, Mousqueton zaś skracał swoje...

— I cóż, panie?... — pytał cały drżący Mousqueton.

— I owszem, drogi Moustonie — odparł d'Artagnan — uspokój się, nie zapomnę o twojem żądaniu i, jeżeli sobie życzysz, mówiąc do ciebie, nie będę cię tykał.

— O!... — wykrzyknął cały czerwony z radości Mousqueton, — gdybyś mi panie uczynił ten zaszczyt, wdzięczność moja trwałaby całe życie; lecz może to zbyt wielkie żądanie?

— Niestety! — pomyślał d'Artagnan — to bardzo niewiele, wzamian za utrapienie, które sprawię temu biedakowi, co mnie tak serdecznie przyjął.

— Czy długo pozostanie pan z nami?... — zapytał Mousqueton, którego uspokojone oblicze, kraśniało, jak kwiat rozwiniętej piwonji.

— Jutro odjeżdżam, kochanku.

— A! panie!... — zawołał Mousqueton — na to więc przybyłeś, aby nam tylko żalu narobić?...

— Bardzo się tego obawiam — powiedział tak cicho d'Artagnan, aby oddalający się z ukłonem Mousqueton nie mógł go usłyszeć.

Pomimo, że d'Artagnan serce miał stwardniałe, przemknął mu przez myśl rodzaj wyrzutu sumienia; nie żał mu jednak było wciągnąć Porthosa na tę drogę, na której życie jego i mienie mogło być narażone. Porthos bowiem

dla tytułu barona, którego od lat piętnastu pragnął osiągnąć, gotów był wszystko poświęcić; lecz Mousqueton, niczego więcej nie pragnął, tylko Moustonem się przezwąć, nie było to więc okrucieństwem wyrwać go z rozkosznego życia, z tego śpichlerza wszelkiej obfitości?... Myśli te trapiły go nieco, gdy zjawił się przed nim Porthos.

— Do stołu!... — zawołał.

— Do stołu?... — zapytał d'Artagnan — a któraż godzina?...

— E! mój drogi, już jest po pierwszej.

— Dom twój to istny raj, Porthosie; zapomina się tu o czasie. Służę ci, chociaż głodny nie jestem.

— Chodź; jeżeli nie jeść, to pić zawsze można; to zasada biednego Athosa, którego osamotnienie pojmuję, odkąd sam nudzę się tak okrutnie.

Gdy już podano deser, na znak d'Artagnana Porthos odprawił służbę i dwaj przyjaciele pozostali sami.

— Porthosie, — odezwał się d'Artagnan — kto ci będzie towarzyszył w twoich wyprawach.

— A któżby, jak nie Mouston — odparł najspokojniej Porthos.

To było dla d'Artagnana prawdziwym ciosem; stanął mu przed oczami pełen dobroduszości uśmiech intendenta, zamieniający się w skrzywienie bolesne.

— A jednak — odparł d'Artagnan — Mouston nie pierwszej już młodości, mój drogi; co więcej, utył niezmiernie i może odwykł już od czynnej służby.

— Wiem o tem. Lecz przywykłem do niego; a zresztą zanadto mnie kocha, aby chciał rozstać się ze mną.

— O! ślepa miłości własna!... — pomyślał d'Artagnan.

W tej chwili wszedł intendent — dla naradzenia się z panem co do potraw na dzień następny, a także w sprawie zamierzonego polowania.

— Powiedz mi, Moustonie, — odezwał się Porthos — czy broń moja w dobrym jest stanie?

— Broń jaśnie pana — zapytał Mouston — jaka broń?

— Cóż u licha! ryszstunek mój!

— Jaki ryszstunek?

— Wojenny.

— Rozumie się, jasnie panie. Tak mi się przynajmniej zdaje.

— Upewnisz się o tem jutro i każesz go oczyścić, jeżeli zajdzie tego potrzeba. Który z wierzchowców moich jest najłżejszy w nogach?

— Wulkan.

— A najwytrwalszy?

— Bayard.

— A ty, którego konia najlepiej lubisz?

— Rustoda, jasnie panie; to dobra szkapa, z którą najłatwiej mi poradzić sobie.

— Mocna, nieprawdaż?

— Normandczyk, skrzyżowany z Meklemburkiem, dzień i noc nie ustanie.

— Tego nam potrzeba. Każesz podpaść te trzy konie, oczyścisz lub każesz oczyścić broń moją; do tego, dla ciebie pistolety i nóż myśliwski.

— Czy w podróż się wybieramy, jasnie panie?... — odezwał się zaniepokojony Mousqueton.

D'Artagnan, który przebierał zlekka palcami po stole, zabębnił teraz marsza.

— Coś lepszego, Moustonie!... — odparł Porthos.

— Na wyprawę; panie?... — wybąkał intendent, którego rumieńce sinieć poczęły.

— Powracamy do służby, Moustonie!!... — odrzekł Porthos, usiłując nadać wąsom swoim wygląd marsowy, który utracił zupełnie.

Zaledwie wymówione zostały te słowa, gdy Mousquetona ogarnęła drżączka, od której mu się zatrzęsiły puciołwate i zbladłe, jak marmur, policzki; spojrzął na d'Artagnana z wyrazem niewysłowienie tkliwego wyrzutu, którego tenże bez rozczulenia znieść nie był w stanie; następnie, chwając się na nogach, rzekł głosem zdławionym:

— Do służby! do służby w szeregach królewskich?

— Tak i nie. Powtórzymy dawne wyprawy, poszukiwanie wszelkich awantur, powrócimy nareszcie do życia, jak niegdyś.

Ostatnie to słowo piorunem spadło na Mousquetona. Właśnie owo przerażające *niegdyś* czyniło tak słodkiem to *dzisiaj*.

— O! mój Boże! co ja słyszę?... — zawołał Mousque-

ton, spoglądając bardziej jeszcze błagalnie, niż poprzednio, w stronę d'Artagnana.

— Co robić, biedny mój Moustonie?... — odezwał się d'Artagnan — fatalność...

Pomimo całej przezorności, jakiej użył d'Artagnan, by nazwać go według jego życzenia, cios dla Mousquetona był okrutny, tak straszny, że nawskroś wzburzony wyszedł, zapomniawszy zamknąć drzwi za sobą.

— Pocziwy Mousqueton nie posiada się z radości — odezwał się Porthos tonem, jakiego musiał użyć Donki-szot, by zachęcić Sansza do osiodłania mu siwki na ostatnią wyprawę.

Dwaj przyjaciele, pozostawszy sami, poczęli gwarzyć o przyszłości, budując zamki na lodzie. Stare wino Mousquetona ukazywało d'Artagnanowi przyszłość, jaśniejącą poczwórnymi i zwyczajnymi pistoletami, a Porthosowi wstęgę błękitną i płaszcz książęcy. Faktem jest, że zasnęli wsparci na stole, i dopiero służba musiała ich nakłaniać do położenia się do łóżka.

Nazajutrz jednak odżył Mousqueton, dzięki d'Artagnanowi, który mu oznajmił, iż wojna prawdopodobnie toczyć się będzie wśród murów Paryża i w pobliżu pałacu du Vallon, który był tuż przy Corbeil, w Bracieux, które leżało blisko Melun, i w Pierrefonds, znajdującem się pomiędzy Compiègne i Villiers - Cotterets.

— Jednak zdaje mi się, że niegdyś... — nieśmiało rzekł Mousqueton.

— O!... — przerwał mu d'Artagnan — dzisiaj nie tak się wojnę prowadzi, jak niegdyś. Teraz chodzi o sprawy polityczne, zapytaj Plancheta.

Poszedł Mousqueton po objaśnienia do starego przyjaciela, który co do joty potwierdził słowa d'Artagnana; to tylko od siebie dodał, że w obecnej wojnie jeńcom grozi szubienica.

— Do paralusza!... — zaklął Mousqueton — zdaje mi się, że wołę oblężenie Roszelli.

Porthos zaś, rozkazawszy zabić koźlątko dla gościa swego, poprowadził go z lasu na górę, a z góry do stawów swoich, zapoznał go z chartami swojemi, ze sforą, Gredinetem i wszystkim, co tylko posiadał, ponowił trzy wspaniałe uczyty i zasięgnął ostatecznych informacji

u d'Artagnana, zmuszonego do pożegnania się z nim dla dalszej podróży.

— Oto tak się rzeczy mają, drogi przyjacielu!... — rzekł mu wysłaniec — potrzeba mi na drogę stąd do Blois czterech dni, jednego, by tam zabawić, trzech lub czterech na powrót do Paryża. Zatem wyrusz za tydzień z całym swoim orszakiem; staniesz przy ulicy Tiquetonne w hotelu „pod Kozą“ i czekaj mojego powrotu.

— Zgoda — rzekł Porthos.

— Zamiary moje względem Athosa są beznadziejne — mówił d'Artagnan — lecz, jakkolwiek sędzę, iż wielce zniedołężniał, należy zachowywać pewne względy w postępowaniu z przyjaciółmi.

— Słusznie. Jedź więc i — odwagi; co do mnie, pełen jestem zapału.

— Wyśmienicie!... — zawołał d'Artagnan.

I rozstali się na granicy posiadłości Pierrefonds, dokąd Porthos pragnął odprowadzić przyjaciela.

— Przynajmniej sam jeden nie będę — mówił do siebie d'Artagnan, jadąc prosto ku Villiers-Cotterets. — Ten Porthos djabło jeszcze zachował swoje siły. Jeżeli Athos nam przybędzie, w takim razie we trzech zadrwiemy z Aramis, tego eleganckiego mnicha ze szczęściem do kobiet.

Stanąwszy w Villiers-Cotterets, napisał do kardynała: „Ekscelencjo, zdobyłem już jednego dla Waszej Eminencji, a ten za dwudziestu wystarczy. Wyruszam do Blois, w której to okolicy zamieszkuje w zamku swym de Bragelonne, hrabia de la Fère“.

To załatwiwszy, ruszył ku Blois, gawędząc potrosze z Planchetem, stanowiącym wielką dla niego rozrywkę w tej długiej podróży.

ROZDZIAŁ XV

DWIE ANIELSKIE GŁÓWKI

Kawał drogi był nielada; nie troszczył się tem jednak d'Artagnan: wiedział on, że konie jego wzmocniły się należyście przy obfitym żłobie pana Bracieux. Pełen więc otuchy udał się w kilkudniową drogę wraz ze swym wiernym Planchetem.

Wiemy już, iż dwaj ci ludzie, jadąc obok siebie, gawędzili nieustannie dla zabicia nudów. D'Artagnan rzucił z siebie pańską skórę, a Planchet pozbył się najzupełniej lokajskiej. Chytry był z niego szpak; od chwili swego improwizowanego mieszczaństwa często żałował on wyżerek przygodnych, jak również rozmów i świetnego towarzystwa szlachty, a czując niejaką osobistą wartość swoją, cierpiał, widząc się zdyskredytowanym przez ustawiczne stykanie się z ludźmi o niskich pojęciach. Z łatwością podniósł się więc do stopnia powiernika tego, którego panem swoim nazywał.

D'Artagnan od wielu lat trzymał uczucia swoje w głębokiej skrytości. Stało się też, że dwaj ci ludzie, odnalezszy się, przedziwnie do siebie przystali.

Zresztą Planchet nie był pospolitym pierwszym lepszym towarzyszem: był on człowiekiem z głową na karku; nie leciał naoslep w niebezpieczeństwa i nie cofał się w potrzebie, jak mierz miał d'Artagnan sposobność zauważyć; nakoniec był żołnierzem, a broń uszlachetnia; nadewszystko jeszcze, że, jeśli Planchet potrzebował go, nie był on także dla pana swego nieużytecznym. Dobili więc do Blois, stanąwszy na stopie przyjacielskiej niedwie.

Wśród drogi d'Artagnan, prześladowany wciąż jedną myślą, mówił, wstrząsając głową:

— Wiem ja dobrze, iż krok mój względem Athosa jest daremny i bezsensowny, lecz winienem postąpić tak z dawnym przyjacielem, człowiekiem najczystszej i najszlachetniejszej rasy.

— O! prawdziwy był szlachcic z pana Athosa! — odezwał się Planchet.

— Wszak prawda? — odrzekł d'Artagnan.

— Spał złotem, jak niebo gradem sieje — ciągnął dalej Planchet, — szpadę nosił po królewsku. A pamięta pan pojedynki z Anglikami w ogrodzie Karmelickim? O! jakież on był dnia tego piękny i wspaniały, gdy mówił do przeciwnika swego: „Żądałeś pan, abym ci nazwisko moje powiedział, tem gorzej dla ciebie, bo będę zmuszony cię zabić!“ Stałem tuż przy nim i słyszałem. Słowo w słowo tak powiedział. A to spojrzenie, panie, — gdy według zapowiedzi swojej — przeszył przeciwnika, a ten padł, krzyku nie wydawszy. O! panie, powiadam, że prawdziwy był z niego szlachcic.

— Tak — odezwał się d'Artagnan — wszystko, co mówisz prawdą jest, jak Ewangelja, lecz te zalety mógł już postradać z powodu jednej wady.

— Pamiętam dobrze — rzekł Planchet — lubił pić a raczej pił dużo. Lecz nie pił, jak inni. Oczy jego dużo mówiły, gdy kielich do ust zbliżał. Doprawdy, nigdy milczenie tak wymowne nie było. Mnie bo zdawało się, iż słyszę, jak szepcze: „Przybywaj, napoju! odpędzaj smutki moje“. A jak odłukł podstawkę kielicha lub szyjkę butelki! on jeden tylko potrafił tak zrobić.

— A dziś! — kończył za niego d'Artagnan — jakież smutny czeka nas widok. Ten wielki pan o spojrzeniu wyniosłym, ów jeździec piękny w błyszczącej zbroi, któremu dziwili się wszyscy, iż szpadę tylko zamiast buławy dzierży w swojej dłoni, on! zmienił się w starca, przygarbionego z nosem czerwonym i zażawionymi oczyma. Zastaniemy go, leżącego na trawie, skąd spojrzy na nas okiem zgąśmem, i nie pozna nas w dodatku. Bóg mi świadkiem, Planchecie, że uciekłbym od tego smutnego widoku, gdyby mi nie chodziło tak bardzo o odzyskanie szacunku mojego dla tego cienia znakomitego, pełnego chwały hrabiego de la Fère, tak szczerze przez nas kochanego.

Planchet w milczeniu głową pokiwał: łatwo było odgadnąć, iż podziela, obawy swojego pana.

— Wreszcie... — ciągnął dalej d'Artagnan — ta zgrzybiałość, bo Athos stary już teraz, niedostatek może, gdyż nie szanował nigdy tego niewielkiego mienia, które posiadał, a ten brudas Grimaud, coraz więcej oniemiały i straszniejszy, niż pan jego pijak... słuchaj, Planchecie, myśl ta rozdziera mi serce.

— Zdaje mi się, że jestem tam, i widzę go bełkocącego i zataczającego się — odezwał się Planchet głosem płaczącym.

— Jedyną moją obawą.. przyznaję — począł znowu d'Artagnan — jest, aby czasami Athos nie przyjął moich propozycji w chwili upojenia wojowniczego. Dla Porthosa i dla mnie byłoby to wielkiem nieszczęściem, nade wszystko prawdziwym ciężarem; lecz w takim razie wyjedziemy od niego podczas pierwszej hulanki, i koniec. Wytrzeźwiawszy, zrozumie, co to znaczy.

— W każdym razie, panie, przekonamy się o tem w niedługim czasie, gdyż, o ile mi się widzi, te mury wysoko czerwieniejące przy zachodzącym słońcu... to gmachy Blois.

— Prawdopodobnie — odparł d'Artagnan.

— Czy wstąpimy do miasta? — zapytał Planchet.

— Zapewne, aby się dowiedzieć.

— Panie, jeżeli wstąpimy, radzę panu kosztować śmietanki w maleńkich garnuszkach, o której wiele się nasłuchałem, a nie można przewozić jej do Paryża, tylko trzeba jeść na miejscu.

— I owszem! będziemy ją jedli, bądź spokojny, — rzekł na to d'Artagnan.

Naraz z bocznej drogi, pełnej grząskich dołów, wytoczył się na gościniec, który jeźdźcy nasi przebywali, wóz ciężki zaprzężony w woły, naładowany drzewem, cięciem w pięknych lasach okolicznych, którego dostarczają do portów Loary. Człowiek szedł przy wozie, trzymając w ręku długi na jednym końcu ostro okuty pręt, którym podniecał powolny swój zaprząg.

— Hej! przyjacielu, — krzyknął na rataja Planchet.

— Co panowie rozkażą? — odezwał się wieśniak najczystszą wymową, jaką odznaczają się mieszkańcy tych

okolic, a która zawstydićby mogła miejskich purystów z placu Sorbony lub ulicy Uniwersyteckiej.

— Szukamy siedziby hrabiego de la Fère — rzekł d'Artagnan, — czy znane ci to nazwisko?

Usłyszawszy to imię, wieśniak odkrył głowę i odpowiedział:

— Drzewo, które wiozę, do niego należy, panowie, ściałem je w jego puszczy i wiozę do zamku.

Nie chciał d'Artagnan pytać więcej, wzdrygnął się na myśl usłyszenia z czyich innych ust tego, o czym sam z Planchetem mówił.

— *Zamek* — rzekł w duchu d'Artagnan — *zamek!*... A! pojmuje! Athos jest gorąco kąpany; przymusił swoich chłopów, tak samo jak Porthos, do tytułowania siebie jasnym panem a lepianki zamkiem: ciężką miał prawicę drogi Athos, szczególnie kiedy pił więcej.

Woły powoli postępowały. D'Artagnan z Planchetem jechali za wozem. Znudziło ich to trochę.

— Czy to ta droga — odezwał się do rataja d'Artagnan — możemy udać się nią bez obawy zabłądzenia?

— O! mój Boże, tak panie — odrzekł wieśniak — możecie nią się udać, zamiast nudzić się przy wlokących się ociężałe bydłętach. Ujechawszy pół milki, zobaczycie, panowie, na prawo pałac; stąd go nie widać, bo przysłonięty topolami. Lecz to nie zamek Bragelonne, tylko La Vallière: należy go ominąć; dalej zaś, na odległość trzech strzałów muszkietu, będzie dom biały, kryty dachówką, zbudowany na wzgórzu, ocienionem jaworami wielkimi, — to zamek pana hrabiego de la Fère.

— A czy duże te pół mili? — zagadnął d'Artagnan — bo rozmaite bywają mile w pięknym naszym kraju francuskim.

— Dziesięć minut drogi dla zwinnych mózek wierzchowca pańskiego.

Podziękował wieśniakowi d'Artagnan i ruszył pędem; lecz struty pomimowolnie myślą zobaczenia tego niezwykłego człowieka, który mu tyle uczucia okazał, a radami i przykładem wpłynął na wykształcenie jego szlacheckie, zwalniał stopniowo bieg konia i jechał dalej w zamysleńniu z głową zwieszoną.

Wkrótce na zawrocie drogi ukazał się naszym podróżnym — zgodnie ze słowami wieśniaka — zamek de La

Valllière, następnie o ćwierć mili dalej biały dom, otoczony jaworami, zarysował się na tle gęstych drzew, które wiosna przypruszyła śniegiem kwiatów.

D'Artagnan, który niełatwo ulegał wzruszeniom, doznał na ten widok dziwnego uczucia, przenikającego go do głębi serca; tak to potężne są w ciągu życia całego wspomnienia młodości.

Jeszcze kilka kroków i nasz muszkieter stanął przed sztachetami wykwintnej roboty, jaka cechowała odlewnie ówczesnej epoki. Przez sztachety widać było ogród warzywny, starannie utrzymany i spory dziedziniec, gdzie kilku pachołków w rozmaitych liberjach pilnowało wierzchowców oraz karety, zaprzężonej w dwa krajowe konie.

— Albo my jesteśmy w błędzie lub ten człowiek się pomylił, — odezwał się d'Artagnan — to nie jest siedziba Athosa. Czyżby już nie żył, mój Boże! a własność ta miałaby należeć do kogoś z jego rodu? Zsiądź z konia, Planchecie, i zapytaj; przyznaję, iż sam nie mam na to odwagi. Dodasz przytem, iż pewien przejezdny szlachcic pragnie mieć zaszczyt powitać pana hrabiego de la Fère.

Planchet, prowadząc konia za uzdę, podszedł do bramy, pociągnął za dzwonek, na co zjawił się służący o siwych włosach, trzymający się przecie prosto, i wpuścił go.

— Czy tutaj mieszka pan hrabia de la Fère? — zapytał.

— Tutaj, panie — odrzekł służący.

— Który niegdyś służył w wojsku czy tak?

— Tak właśnie.

— I miał służącego imieniem Grimaud — wypytywał dalej przezorny Planchet.

— Obecnie pana Grimaud niema w zamku, — odparł nieprzywykły do tego rodzaju badań służący, poczynając mierzyć Plancheta oczami od głowy do stóp.

— A zatem widzę, że to ten sam hrabia de la Fère, którego poszukujemy, — zawołał Planchet w uniesieniu radości. — Zechciej mi otworzyć, gdyż muszę oznajmić panu hrabiemu mojego pana, a jego przyjaciela, który oczekuje tam na powitanie.

— Czemuż nie powiedziałaś tego odrazu? — rzekł służący, otwierając bramę. — Lecz gdzież jest pan twój?

— Poza mną, o tam, już nadjeżdża.

Służący, otworzywszy bramę, wyprzedził Plancheta,

ten dał znak d'Artagnanowi, który z bijącym niezwykle sercem wjechał na dziedziniec. Gdy Planchet stanął na ganku, dosłyszał głos w sali na dole:

— Gdzież jest ten szlachcic?... czemu nie wprowadzisz go tutaj?...

Głos ten obudził w sercu d'Artagnana tysiąc wspomnień zamierzchłych. Żywo zeskoczył z konia, podczas gdy Planchet z uśmiechem na ustach podchodził do gospodarza domu.

— Ja przecie znam tego chłopca — rzekł Athos, ukazując się w progu.

— O! tak, panie hrabio, znasz mnie i ja cię znam dobrze. Jestem Planchet, panie hrabio, Planchet, znany hrabiemu...

— Co!... Planchet?... — wykrzyknął Athos. — Czyżby i pan d'Artagnan był tutaj?

— Jestem, przyjacielu! jestem, drogi Athosie—wyrzekł, jaskając się i chwiejąc się nieledwie na nogach.

Słowa te odbiły się żywym wrażeniem na pięknej twarzy i spokojnych rysach Athosa. Żywo postąpił ku d'Artagnanowi, nie spuszczać zeń wzroku, i objął go czule w ramiona. D'Artagnan, ochłonawszy z wrażenia, uściśnił go z serdecznością, łzami w jego oczach świecąca. Athos ujął go za rękę i powiódł do sali, gdzie zebranych było kilka osób. Powstali wszyscy.

— Przedstawiam państwu — rzekł — kawalera d'Artagnan, porucznika muszkietarów Jego Królewskiej Mości, wiernego przyjaciela, oraz najdzielniejszego i najmiłszego szlachcica, jakiego kiedykolwiek znałem.

Wedle zwyczaju obsypano d'Artagnana grzecznościami, któremi i on nawzajem wszystkich obdarzył, zajął miejsce w towarzystwie i, gdy przerwana na chwilę rozmowa tok swój ogólny poczęła przybierać, jął badawczo przypatrywać się Athosowi.

Rzecz godna podziwu! Athos postarzał się bardzo nieznacznie. Piękne jego oczy pozbyły się tych sinych obwódok, które bezsenność i hulanki zarysowują, zdały się teraz większe i jaśniej, niż kiedykolwiek, patrzyły; twarz jego, wydłużona nieco, straciła niepokój gorączkowy, odzyskała powagę; ręce piękne i muskularne, pomimo miękkości skóry, cudnie odbijały przy koronkach mankietów, jak gdyby ręce z obrazu Tycjana lub Van - Dycka; smu-

klejszy był, niż dawniej; kształtne i szerokie ramiona zdradzały się niezwykłą; włosy czarne i długie, świecące gdzieś nitką srebrzystą, wijąc się w pierścienie, z wdziękiem spływały na ramiona.

Goście hrabiego, widząc, iż rozmowa przybrała lekkie odcień przymusu, jako że dwaj przyjaciele pragnęli pozostać sami, poczęli przygotowywać się do odjazdu, gdy naraz rozległo się hałaśliwe szczekanie psów w dziedzińcu, i kilka osób zawołało jednocześnie:

— A! To Raul przybywa.

Na dźwięk tego imienia, Athos spojrział na d'Artagnana, zdając się śledzić ciekawie, jakie ono wrażenie wywołała na jego twarzy. Lecz ten nie ochłonął jeszcze z pierwszego wzruszenia i nie domyślał się niczego.

Bezwiednie się prawie obrócił, kiedy piękny piętnastoletni młodzieniec, skromnie lecz wykwintnie ubrany, wszedł do salonu, z wdziękiem unosząc kapelusz z długimi czerwonymi piórami.

Uderzyło go jednak to zjawienie się zgoła niespodziewane nieznanego mu osobistości.

Dziwne podobieństwo pomiędzy przyjacielem jego a tym pacholęciem wyjaśniło mu tajemnicę owego zagadkowego dlań dotąd odrodzenia Athosa. Patrząc i słuchając, czekał.

— Powracasz, Raulu?... — odezwał się hrabia.

— Powracam, panie — odparł z szacunkiem młodzieniec — i wywiązałem się z polecenia, które mi dałeś.

— Lecz co tobie, Raulu?... — zapytał Athos troskliwie — jesteś błydy i wzruszony.

— Bo naszej małej sąsiadce przytrafiło się nieszczęście — odparł młodzieniec.

— Pannie de La Vallière?... — żywo zagadnął Athos.

— Co się stało?... — zapytało kilka głosów naraz.

— Przechadzała się z boną Marceliną w parku, gdzie ciosano drzewa, kiedy, przejeżdżając konno, spostrzegłem ją i stanąłem. Zobaczyła mnie także i zeskoczyła ze stołu drzewa, na który weszła, wtem powinęła się jej nóżka i biedne dziecię powstać już nie mogło. Zdaje mi się, że zwicnęła nogę w kostce.

— O! mój Boże!... — zawołał Athos — a czy pani de Saint - Remy, jej matka, wie o tem?

— Nie, panie, pani de Saint - Remy jest w Blois u księ-

żnej Orleańskiej. Obawiając się, aby pierwszy opatru- nek nie był niezręczny, pośpieszam prosić cię, panie, o radę.

— Poślij czempredzej do Blois, Raulu! albo raczej do- siądź sam konia i pędź co tchu stanie.

Raul się pokłonił.

— Lecz gdzież jest Ludwika?... — zapytał hrabia.

— Przywiozłem ją tutaj, i umieściłem u żony Charlo- ta, która tymczasem obłożyła jej nóżkę zimną wodą.

Po wyjaśnieniu tem, dajacem pretekst do powstania z miejsc, goście pożegnali Athosa; stary ksiązę de Barbé jedynie, jako dawny przyjaciel domu La Vallièrów, po- szedł odwiedzić Ludwikę, która tonęła we łzach, lecz, zo- baczwszy Raula, otarła piękne oczy i uśmiechnęła się natychmiast. Ksiązę ofiarował się odwiedzić Ludwikę do Blois.

— Słusznie — rzekł Athos — prędzej dostanie się do matki; ty zaś, Raulu, pewnie winien jesteś w tym wypad- ku przez roztrzępanie swoje...

— O! panie, upewniam cię... — wyszeptał Raul.

— Pojedziesz jednak do Blois—dobrotliwie mówił da- lej hrabia — przeprosisz od siebie i ode mnie panią de Saint - Remy i zaraz powrócisz.

Na twarz młodzieńca wróciły rumieńce; pytająco spoj- rzał na hrabiego, a, wyczytawszy z niej przyzwolenie, wziął w silne ramiona dziewczynkę, której śliczna główka, napół zapłakana, napół uśmiechnięta, spoczęła na jego ra- mieniu, i złożył ostrożnie w powozie; potem skoczył na konia z wdziękiem i zręcznością skończonego jeźdźca i, skłoniwszy się Athosowi i d'Artagnanowi, popędził, jak strzała, aby zrównać się z drzwiczkami karety, w której wewnątrz wzrok jego utkwiony był ustawicznie.

ROZDZIAŁ XVI

ZAMEK BRAGELONE

D'Artagnan podczas sceny poprzednio opisanej stał ostępiały, jak w ziemię wrosły. Zastał wszystko tak różne od tego, co zastać przypuszczał, iż w głowie mu się mieszało. Athos ujął go pod rękę i wyprowadził do ogrodu.

— Zanim podadzą kolację — rzekł z uśmiechem — miło ci będzie pewnie, mój przyjacielu, usłyszeć z ust moich pewne wyjaśnienia, gdyż, jak widzę, dziwi cię bardzo wszystko, coś zobaczył?

— Istotnie, panie hrabio — rzekł d'Artagnan, czując odrazu przewagę, jaką zawsze miał nad nim Athos przez nieskończoną wyższość i delikatność postępowania.

Athos przypatrywał mu się z tklwym uśmiechem.

— Pamiętaj, drogi d'Artagnanie, iż nie ma tu wcale pana hrabiego. Jeżeli ja cię nazwałem rycerzem, to jedynie, aby zaprezentować gościom moim i ażeby wiedzieli, kim jesteś. Dla ciebie zaś, kochany przyjacielu, spodziewam się tego, jestem zawsze Athosem, twoim kolegą i przyjacielem. Czyż wolałbyś stanąć ze mną na stopie ceremonialnej dlatego, że mnie już nie kochasz?

— O! Boże zachowaj!... — rzekł gaskończyk ze szczerym wybuchem miłości, tak rzadkim w wieku dojrzałym.

— Powróćmy zatem do dawnego obyczaju i na początek bądźmy otwarci. Zadziwia cię wszystko, coś u mnie zastał?

— Nieskończenie.

— A najbardziej ja sam cię zadziwiam, przyznaj?

— Przyznaję.

— Młody jestem jeszcze, wszak prawda, pomimo czterdziestu dziewięciu lat? Można mnie poznać jeszcze.

— Przeciwnie — rzekł d'Artagnan, gotów nadużyć szczerości, do jakiej go zachęcał Athos, zmieniłeś się nie do poznania.

— A! rozumiem — rzekł Athos, czerwieniąc się lekko — wszystko ma swój koniec, d'Artagnanie, tak szaleństwo, jak każda inna rzecz.

— Zaszła także zmiana w twoich dostatkach, o ile mi się zdaje. Przepysznie mieszkaś, a dom ten zapewne do ciebie należy?

— Tak jest; to właśnie ta mała sukcesja, o której wspominałem, że na mnie spadła, gdy wychodził ze służby wojskowej.

— Posiadasz parki, konie, sfory psów.

Athos uśmiechnął się.

— Park ma rozległości dwadzieścia morgów, kochany przyjacielu, w tem mieszczą się ogrody warzywne i zabudowania służby. Koni mam dwa; rozumie się, że nie rachuję podjezdka mojego lokaja. Sfory moje ograniczają się do czterech dogów, dwóch chartów i jednego wyżła. W dodatku cały ten zbytek myśliwski nie dla mnie przeznaczony.

— Rozumiem — rzekł d'Artagnan — to dla tego młodzieńca, dla Raula.

D'Artagnan spojrział na Athosa z mimowolnym uśmiechem.

— Zgadłeś, mój przyjacielu — rzekł Athos.

— Ten młodzieniec jest twoim ulubieńcem, twoim chrześniakiem, lub może krewnym? A! jakżeś się odmienił, drogi Athosie.

— Ten młody człowiek — odparł z powagą Athos — ten młody człowiek, d'Artagnanie, jest sierotą, którego własna matka opuściła, pozostawiając na opiece ubożego proboszcza w odludnej wiosce. Ja go stamtąd zabrałem i wychowałem.

— Czy jest bardzo do ciebie przywiązany?

— Zdaje mi się, że kocha mnie, jak ojca własnego.

— A nadewszystko wdzięczny ci jest bardzo?

— O! wdzięczność nasza jest zobopólna; winien mi jestem tyle, co i on mnie jest winien. Nie mówię mu tego, lecz tobie powiadam przyjacielu, że ja jestem mu winien daleko więcej.

— Z jakiegoż powodu?... — zapytał muszkieter zdziwiony.

— Ależ tak, na Boga! on to sprawił, że mnie widzisz tak zmienionym. Usychałem, jak drzewo samotne, którego korzenie burze podmyły; tylko uczucie głębokie mogło mnie przywiązać do ziemi. Wziąć kochankę? byłem za stary. Szukać przyjaciół? Nigdy, gdy ciebie nie stało. Otóż przez dziecko to odnalazłem wszystko, com utracił; nie miałem odwagi żyć dla siebie, znalazłem ją, aby żyć dla niego. Nauki dużo znaczą dla dziecka, lecz przykład daleko więcej. Dawałem mu przykład z siebie, d'Artagnanie. Z występków, z nałogów poprawiłem się; udawałem cnoty, jakich nie posiadałem. Wierzę w to, iż się nie łudzę, przyjacielu, że Raul będzie wzorem szlachcica w całym znaczeniu tego wyrazu, takiego, jakich nam właśnie potrzeba w tych czasach zepsucia.

D'Artagnan patrzył na Athosa z wzrastającym podziwem. Przechadzali się po cienieści alei, a ukośne promienie zachodzącego słońca przedzierały się gdzieśgdzie. Jeden z nich padł na twarz Athosa, a z oczu jego trysnął taki sam promień ciepły i łagodny. Wspomnienie miłady stanęło w umyśle d'Artagnana.

— Więc jesteś szczęśliwy?... — zapytał przyjaciela.

Bystre oczy Athosa padły na d'Artagnana i zdawały się czytać w tajnikach serca.

— O tyle szczęśliwy, o ile wolno jest człowiekowi być nim na tej ziemi. Dokończ myśli swej, przyjacielu, widzę bowiem, że nie wszystko mi jeszcze powiedziałeś.

— Straszny jesteś, Athosie, nic przed tobą ukryć niepodobna.

— A więc tak chciałem cię właśnie zapytać, czy nie napadają cię niekiedy zwątpienia... trwogi podobne do...

— Do wyrzutów sumienia?... — dokończył Athos. — Wypowiadam myśl twoją, przyjacielu?... Tak i nie... nie mam wyrzutów sumienia... sędzę bowiem, że ta kobieta zasłużyła na karę, jaką poniosła. Nic sobie nie wyrzucam, bo, gdybyśmy ją zostawili wolną i żywą, prowadziłaby dalej dzieło zniszczenia. Lecz to nie znaczy, abym był przekonany, iż mieliśmy prawo do tego, cośmy uczynili. Może być także, że krew przelana wymaga zadośćuczynienia. Ona odpokutowała za swoje uczynki, kto wie, może i nam pozostałe jeszcze odpokutować za nasze...

— Bywają chwile, iż mnie takie same myśli przycho-
dzą — rzekł d'Artagnan.

— Ta kobieta miała syna?

— Tak.

— Czy słyszałeś kiedy o nim?

— Nigdy.

— Powinien mieć teraz dwadzieścia trzy lata. D'Arta-
gnanie, wiesz co, ja często myślę o tym młodym czło-
wieku.

— To dziwne!... mnie on nigdy na myśl nie przyszedł.
Athos uśmiechnął się melancholijnie.

— Czy masz jaką wiadomość o lordzie de Winter?

— Wiem tylko, że był w wielkich łaskach króla Ka-
rola I-go.

— Zapewne jednaki los ich spotkał, a wiemy, że nie-
wesoły. Patrz, d'Artagnanie — ciągnął Athos — stało się,
jak mówiłem przed chwilą. On pozwolił, aby przelano
krew Strafforda; jedna krew ciągnie drugą za sobą...
A co się dzieje z królową?

— Z jaką królową?

— Z Henrjetą Angielską, córką Henryka IV-go?

— W Luwrze jest obecnie, jak wiesz o tem zapewne.

— Tak, niestety, gdzie jej wszystkiego brakuje, wszak
prawda?... Podczas wielkich mrozów tej zimy, córka Hen-
ryka IV-go, chora, zmuszona była leżeć w łóżku, ponie-
waż drzewa na opał zabrakło. Czy ty to rozumiesz? —
mówił Athos, wzruszając ramionami. — Córka Henryka
IV-go drży z zimna, bo niema czem ognia rozniecić!...
O czemuż nie powierzyła się gościnności jednego z nas, za-
miast żądać jej od Mazariniego!... u nas na niczemby jej
nie zbywało.

— Więc ty ją znasz, Athosie?...

— Nie, matka moja widziała ją dzieckiem. Czy mówi-
łem ci kiedy, że moja matka była damą honorową Marji
de Medicis?

— Nigdy. Ty nie opowiadasz takich rzeczy, Athosie.

— O, mój Boże, a jednak widzisz, że opowiadam; po-
trzeba tylko, żeby się sposobność nadarzyła.

— Porthos nie czekałby tak cierpliwie — rzekł d'Ar-
tagnan ze śmiechem.

— Każdy z nas ma inne usposobienie, kochany przyja-

cielu. Porthos pomimo odrobiny próżności, posiada znakomite przymioty. Czy spotkałeś się z nim kiedy?...

— Od niego właśnie wyjechałem przed pięciu dniami — rzekł d'Artagnan.

I opowiedział z werwą i humorem gaskońskim, jaki to wspaniały zamek posiada Porthos w Pierrefonds, a wysniewając przyjaciela, zakochanego w świetnościach i złocenjach, napomknął także i o zacnym panu Mouston.

— Podziwiam — odparł Athos, śmiejąc się wesoło na wspomnienie dawnych pięknych dni — podziwiam nasz stosunek, zawiązany przypadkowo, który przetrwał bez zmiany dwadzieścia lat rozłąki. Przyjaźń w szlacheckich sercach zapuszcza korzenie głęboko. O! wierz mi, d'Artagnanie, tylko źli ludzie nie wierzą w przyjaźń prawdziwą, bo nie są w stanie jej zrozumieć. — Co się dzieje z Aramisem?

— Byłem u niego także — odparł d'Artagnan — lecz zdaje mi się, że ostygł znacznie.

— A!.. widziałeś Aramisa — podjął Athos, patrząc na d'Artagnana badawczym okiem. — Kochany przyjacielu, prawdziwą pielgrzymkę podjąłeś do świątyni przyjaźni, jakby się wyraził poeta.

— A tak — odparł d'Artagnan, trochę zmieszany.

— Aramis, jak wiesz — ciągnął Athos — jest już z natury chłodny, w dodatku zawsze go absorbują te intrygi z kobietami.

— Pewien jestem, że obecnie przemyśliwa coś bardzo skomplikowanego.

Athos nic nie odpowiedział.

— A to nieciekawo!... — pomyślał d'Artagnan.

Athos nie tylko nie odpowiedział, lecz zmienił przedmiot rozmowy.

— Widzisz sam — rzekł, zwracając uwagę d'Artagnana na to, że po godzinie przechadzki byli z powrotem w zamku — prawie całą moją posiadłość obeszlśmy dookoła.

W tej chwili rozległ się odgłos kopyt końskich.

— To Raul powraca — rzekł Athos — dowiemy się czegoś o biednej małej.

Młodzieniec ukazał się w bramie i wjechał w dziedzińiec, cały pokryty kurzem; skoczył z konia, oddał cugle

stajennemu i przyszedł powitać hrabiego i d'Artagnana. Athos położył rękę na ramieniu przyjaciela i rzekł:

— Ten pan — to rycerz d'Artagnan, o którym tak często opowiadałem ci, Raulu.

— Panie, — rzekł młodzieniec, kłaniając się nisko, — ile razy trzeba było stawić za przykład człowieka szlachetnego, odważnego i zacnego, tyle razy pan hrabia imię twoje mi wymieniał.

Małe te pochlebstwo wzruszyło przyjemnie d'Artagnana. Poczul sympatję do Raula, podał mu rękę i powiedział:

— Młody mój przyjacielu, wszystko, co jest dobre we mnie, zawdzięczam panu hrabiemu, on to bowiem wykształcił mnie we wszystkim, i nie jego wina, jeżeli uczeń niezupełnie odpowiedział oczekiwaniom. Lecz ty mu wynagrodzisz zawód, jaki go spotkał z mego powodu. Podoba mi się twoja postawa, Raulu, a grzeczność wzruszyła mnie serdecznie.

Athos, uradowany nad wyraz, patrzył na d'Artagnana z wdzięcznością, następnie objął wzrokiem Raula i z miłością uśmiechnął się do niego.

— O teraz wiem już wszystko, zdobyłem pewność — pomyślał d'Artagnan, którego baczości nie uszedł wyraz twarzy Athosa.

— Cóż tam słyhać? — zaczął Athos — spodziewam się, że wypadek nie pociągnął za sobą złych następstw?

— Nie wiadomo dotąd, panie hrabio, doktor nic pewnego powiedzieć nie umie o zwichnięciu nogi, obawia się, czy ścięgno nie zostało nadwerżone.

W tej właśnie chwili młody chłopak, porządnie ubrany, przyszedł donieść, że obiad podano.

Athos poprowadził gościa do nader skromnej sali jadalnej, której okna wychodziły z jednej strony na ogród, a z drugiej na cieplarnię, zapełnioną przepysznyimi kwiatami. D'Artagnan rzucił okiem na przybory stołowe: nakrycie było wspaniałe; stare rodzinne srebra aż oczy porywały. Z boku stał dzban srebrny cudownej roboty; d'Artagnan przystanął, nie mogąc się napatrzeć.

— Cóż to za arcydzieło! — zawołał.

— Tak... jest to wyrób wielkiego artysty florenckiego, nazwiskiem Benvenuto - Cellini.

— Jakąż to bitwę przedstawia?

— Bitwę pod Marignan. Jest to właśnie chwila,

w której jeden z moich przodków podaje swą szpadę Franciszkowi I-mu, aby zastąpić skruszoną w rękę króla. W tej to potrzebie pradziad mój, Enguerrand de la Fère został kawalerem orderu Świętego Michała. Prócz tego w piętnaście lat później król, — pomny, że walczył trzy godziny szpadą Enguerranda, a była tak mocna, że się nie złamała, — podarował mu ten dzban przepyszny i szpadę, jaką zapewne widziałeś ongi u mnie, a która jest też cudownym okazem złotnictwa. A!... były to czasy olbrzymów — rzekł Athos. — My karłami jesteśmy w porównaniu z tymi ludźmi. Siadaj, przyjacielu, i posilaj się. Ale, ale, — dodał Athos, zwracając się do małego chłopca, który właśnie zupę podawał — zawołaj Charlota.

Chłopiec wybiegł, a w chwilę potem wszedł ten sam mężczyzna, który przyjmował podróżnych w bramie dziedzińca pałacowego.

— Kochany Charlot — rzekł Athos do niego — polecam ci specjalnie na cały czas pobytu Plancheta, lokaja pana d'Artagnana. Lubi on dobre wina, a ty wszak masz klucze od piwnic. Przez długi czas tułał się po świecie i nie zaznał wygody, teraz zapewne nie pogardzi miękkim pościeleniem; miejże to wszystko w pamięci, proszę cię bardzo.

— Pamiętasz o wszystkich — rzekł d'Artagnan — dziękuję ci, w imieniu Plancheta, drogi Athosie.

Raul spojrział zdziwiony, usłyszawszy to imię, niepewny, do kogo mówi d'Artagnan, czyżby do hrabiego de la Fère?

— Zdziwiony jesteś, Raulu, wszak prawda? — rzekł Athos z uśmiechem. — Pod tem nazwiskiem walczyłem wtedy, gdy pan d'Artagnan, dwóch zacnych przyjaciół i ja, dowodziliśmy cudów waleczności przy oblężeniu Roszelli, pod dowództwem zgasłego kardynała i pana de Bassompierre, który także już nie żyje. Pan d'Artagnan jest na tyle dobry, że pamięta o tem imieniu, a za każdym razem, gdy je słyszę, serce bije mi z radości.

— Nazwisko to było sławne — rzekł d'Artagnan — powtarzano je z zachwytem!

— W związku z czemże to? — zapytał Raul, z młodzieńczą ciekawością.

— Na honor, ja bo nic a nic nie wiem — dodał Athos.

— Czyż zapomniał o bastjonie Świętego Gerwazego,

Athosie, i o serwecie przestrzelonej trzema kulami, z której uczyniono chorągiew zwycięską? Lepszą mam pamięć, stoi mi ta cała przygoda przed oczami i opowiem ci ją, młodzieńcze.

Jakoż opowiedział Raulowi historję bastjonu. Młody człowiek, słuchając, przeniósł się wyobraźnią w dalekie czasy; zdawało mu się, że czyta Tassa, lub Ariosta i że cała opowieść przenosi go w zamierzchłe wieki rycerskości bez trwogi i skazy.

— Uwważaj, Raulu — przerwał Athos — d'Artagnan wcale nie wspomina, iż sam był w owym czasie duszą tych przedsięwzięć awanturnicznych; postawę z żelaza, pięść stalową, rzut oka pewny i ognisty, oto, co miał dla przeciwnika. Zaledwie ośmnaście lat liczył, trzy lata starszy był od ciebie, Raulu, gdy widział go w pierwszej potrzebie, i to z wytrawnym nieprzyjacielem.

— I pan d'Artagnan zwyciężył?... — przerwał młodzieniec, z błyszczącym wejrzeniem, i jakby błagając o dalsze szczegóły.

— Zabiłem podobno jednego — rzekł d'Artagnan, patrząc pytająco na Athosa. — Drugiego podobno rozbroiłem, czy raniłem, nie przypominam już sobie...

Młodzieniec chętnie byłby przeciągnął tę rozmowę do białego dnia; lecz Athos zwrócił uwagę, że gość zmęczony potrzebuje spoczynku. D'Artagnan bronił się przez grzeczność, Athos zaś nastawał, aby udał się do przygotowanego dlań pokoju. Raul sam odprowadził gościa, a Athos, domyślając się, że będzie chciał jaknajdłużej siedzieć u przyjaciela, aby usłyszeć jeszcze jakie opowiadanie o czynach walecznych z czasów młodości, poszedł za nim i zakończył wkrótce przyjemny wieczór serdecznem uściśnięciem ręki i życzeniem dobrej nocy zacnemu muszkieterowi.

ROZDZIAŁ XVII

DYPLOMACJA ATHOSA

D'Artagnan położył się do łóżka, nie aby spać, lecz żeby w samotności rozmyślać nad tem, co widział i słyszał tego wieczora.

Ponieważ był dobry z natury i od początku znajomości czuł do Athosa instynktowny pociąg, który przeobraził się w szczerą przyjaźń, zachwycony był przeto, że znalazł człowieka w świetnej pełni sił umysłowych i fizycznych a nie pijaka zbydlęconego, przetrawiającego wino na jakimś śmietniku, jak był przewidywał. Uznał bez oporu stałą wyższość nad sobą Athosa i — zamiast uczuwać zazdrość lub zawód, któryby zachmurzył człowieka mniej szlachetnego, — czuł radość szczerą i prawdziwą i dobre czynił wroźby dla swoich tajemnych nadziei i projektów.

Zdawało mu się jednak, że Athos niezupełnie szczerze z nim postępuje. Kim jest ten młodzieniec, adoptowany przez Athosa i tak bardzo doń podobny? Co znaczy powrót do życia w wielkim świecie i ta wstrzeźliwość, posunięta do przesady, jaką zauważył przy stole? Oto, na przykład, rzecz niby mało znacząca, nieobecność Grimauda, z którym Athos nie potrafił niegdyś rozstać się na chwilę; wszystko to niepokoiło d'Artagnana.

Związany był jakąś intrygą tajemną, lub też ostrzeżony o przybyciu d'Artagnana. Przychodził mu ciągle na myśl Rochefort i to, co usłyszał od niego w kościele Najświętszej Panny. Czyżby Rochefort był przed nim u Athosa?... D'Artagnan nie miał czasu na długie pertraktacje, dlatego też postanowił jutro zaraz porozumieć się z Athosem.

Mierny majątek Athosa, zręczne pokrywanie niedostatku, zdradzały chęć błyszczenia i resztki ukrytej, łatwej

do pobudzenia na nowo ambicji. Siła umysłu i jasność myśli czyniły z Athosa człowieka tem podatniejszego do wejścia na drogę czynu. Zrozumie on plany ministra i przejmie się nimi tem goręcej, że żywość i przedsiębiorczość podwoi interes osobisty.

D'Artagnan nie mógł spać pomimo zmęczenia, tworzył plany ataku i, choć czuł, że Athos twardym jest przeciwnikiem, postanowił rozpocząć działanie zaraz nazajutrz po śniadaniu.

Z drugiej znów strony myślał sobie, iż jest na zupełnie nowym gruncie i że powinien postępować z wielką oględnością. Badać przez jakiś czas znajomości Athosa, jego nowe nawyki: słowem nauczyć się go na pamięć. To znów wyciągnąć, co się da, z naiwnego młodzieniaszka, czy to bijąc się z nim na szpady, czy goniąc zwierzynę, i tym sposobem otrzymać pewne wyjaśnienia niezbędne dla porównania Athosa dawniejszego z Athosem dzisiejszym. Powinno to przyjść z łatwością, albowiem nauczyciel odzwierciedlił się zapewne w umyśle ucznia. Lecz d'Artagnan, posiadając sam dużą dozę chytryści, wiedział doskonale, jaką broń straszną dałby przeciw sobie, gdyby wypadkiem, przez nieostrożność lub zapomnienie, odkrył swe plany przed bystrem okiem Athosa.

Trzeba i to przyznać, że d'Artagnan, gotów używać podstępów z chytrym Aramisem i próżnym Porthosem, czył wstręt nieprzeparty do używania tej samej broni z człowiekiem uczciwym i wielkiego serca, jakim był Athos.

Zdawało mu się, że, widząc w nim dyplomatę, Aramis i Porthos więcej jeszczeby go szanowali, gdy przeciwnie Athos straciłby dla niego szacunek.

— O! dlaczego tu niema Grimauda? — mówił d'Artagnan, — zrozumiałbym jego milczenie, które niekiedy tak wymowne było!...

Powoli wszystko ucichło w pałacu, d'Artagnan słyszał zamykanie drzwi i okiennic. Psy nawet, poszczekawszy trochę, jakby odpowiadając sobie, ucichły z kolei. Słowik, ukryty w gęstwinie, wywodził czas jakiś cudne melodie i trele, lecz i on właśnie umilkł.

Cichość zapanowała zupełna, słyhać było jednostajny odgłos kroków ponad pokojem d'Artagnana, który przypuszczał, że musi tam być sypialnia Athosa.

— Chodzi i rozmyśla, — rzekł d'Artagnan — lecz o czym? W tem właśnie sęk, że niepodobna się dowiedzieć. Można odgadnąć każdego, lecz jego nigdy!

Nakoniec i Athos położył się do łóżka, ostatnie odgłosy ucichły. Cisza i znużenie przemogły d'Artagnana, zamknął oczy i za chwilę spał już twardo.

D'Artagnan nie był śpiochem.

Zaledwie pierwszy świt rozjaśnił niebo, wyskoczył z poscieli i poroztwierał okna. Zdawało mu się, że widzi, jak ktoś chodzi po dziedzińcu, starając się nie czynić hałasu. Przyzwyczajony dociec wszystkiego, co się koło niego dzieje, d'Artagnan wychylił się i przypatrywał bacznie, wkońcu rozpoznał granatowe ubranie i ciemne włosy Raula.

Młodzieniec, bo on to był właśnie, otworzył stajnię, wyprowadził konia, na którym wprzód dzień jeździł, osiodłał go i okiełznał własną ręką ze zręcznością wytrawnego masztelarza, następnie wyprowadził rumaka przez ogród warzywny, otworzył furtkę, do której droga polowa dochodziła, i zamknął ją za sobą.

Wtedy d'Artagnan, przez mur ogrodzenia, ujrzał go, pędzącego jak strzała, i nachylającego się, aby ominąć bujne gałęzie akacyj kwitnących.

D'Artagnan zauważył wczoraj, że ścieżka idzie w kierunku Blois.

— Oho! — rzekł gaskończyk — młokos coś wcześniej zaczyna, zdaje się, że nie podziela wstrętu Athosa do płci pięknej.

Przecież nie na polowanie dąży, bo nie ma ani broni, ani psów ze sobą; jakieś poselstwo spełnia widocznie, gdyż się ukrywa. Lecz przed kim?... przede mną, czy przed ojcem?... pewny jestem bowiem, że hrabia jest ojcem Raula... Dowiem się tego napewno, pomówię otwarcie z Athosem.

Słońce wznosiło się w górę; wszystkie odgłosy, cichnące z wieczora, budziły się kolejno: ptaki na gałęziach, psy w podwórzu, owce na polach... Statki, stojące na Loarze, zdawały się także ze snu budzić, odrywać od brzegu i płynąć z biegiem wody.

D'Artagnan siedział w oknie spokojnie, aby nie obudzić nikogo, następnie, gdy usłyszał otwieranie drzwi i okiennic, podniósł się, poprawił włosy, podkręcił wąsy, przygła-

dził rękawem brzegi kapelusza i zeszedł na dół. Gdy scho-
dził z ganku, ujrzał Athosa, pochylonego i w pocie czoła
szukającego czegoś w piasku.

— Dzień dobry, kochany gospodarzu, — rzekł d'Artag-
nnan.

— Dzień dobry, przyjacielu, czy dobrą noc miałeś?

— Doskonałą, Athosie, doskonałą, jak łóżko twoje, jak
kolacja przed pójściem spać, jak twoje przyjęcie i go-
ścińność. Czego tak szukasz zawzięcie? Czyś nie stał się
przypadkiem amatorem tulipanów?

— Gdyby i tak było, nie powinienieś szydzić ze mnie.
Na wsi gusty się zmieniają, uczymy się kochać bezwie-
dnie te piękne rzeczy, jakim Bóg każe wyrastać z głębi
ziemi, a jakimi w mieście pogardzamy. Przyglądałem się
irysom, które posadziłem obok basenu i które stratowano
dziś rano. Ogrodnicy nasi są bardzo niedbali. Pojąc ko-
nie, pozwolili im deptać po grzędach.

D'Artagnan rozśmiał się głośno.

— O! — zawołał — jesteś więc tego przekonania?

Poprowadził przyjaciela wzdłuż alei, gdzie znać było
podobne ślady, jak te, które przygniotły irysy.

— Masz tu ich więcej, zdaje mi się, patrz no, Atho-
się — rzekł obojętnie.

— A! tak, to ślady zupełnie świeże!

— Świeże, — powtórzył d'Artagnan.

— Któż tędy jechał rano? — mówił Athos niespokoj-
nie. — Czy koń się wyrwał ze stajni?

— To nieprawdopodobne — odparł d'Artagnan — ślady
są równe i bardzo wyraźne.

— Gdzie jest Raul? — zawołał Athos — dlaczego nie
widać go dotąd?

— Sza! — rzekł d'Artagnan, kładąc palec na ustach.

— Co to znaczy? — zapytał Athos.

D'Artagnan opowiedział, co widział, śledząc wrażenie
na twarzy gospodarza.

— A! odgaduję teraz wszystko, — rzekł Athos, wzru-
szając ramionami — biedny chłopiec, pojechał do Blois.

— Poczóż tam pojechał?

— Dowiedzieć się o zdrowie małej La Vallière. Wiesz,
tego dziewczątka, co nogę zwichnęło.

— Tak sądzisz?... — rzekł d'Artagnan niedowierzająco.

— Nie tylko sądzę, ale pewny jestem, — odrzekł

Athos. — Czyż nie zauważyłeś, że Raul jest zakochany?

— Doskonały jesteś!... zakochany w kim? w dziecku siedmioletniem?

— Mój drogi, w wieku Raula serce jest tak przepelnione, że może się rozproszyc w marzeniach lub w rzeczywistości. Otóż jego miłość jest trochę marzeniem, a trochę rzeczywistością.

— Żartujesz chyba? takie małe dziewczątko!...

— Czyż nie przypatrzyłeś się? To najpiękniejsze stworzenie pod słońcem; włosy srebrno - blond, oczy niebieskie, żywe i omdlewające naprzemian.

— Cóż ty na taką miłość?

— Nic nie mówię, śmieję się i żartuję z Raula. Potrzeba kochania w młodych sercach jest tak gwałtowna, objawy melancholji i uczucia słodkiego, połączonego z goryczą, są im tak właściwe, że często przybierają charakter prawdziwej namiętności. Przypominam sobie, że w wieku Raula zakochałem się w posągu greckim, który król Henryk IV-ty podarował ojcu mojemu, i o mało nie oszalałem z rozpacz, gdy mi powiedziano, że historia o Pigmaljone jest bajką wierutną.

— To następstwo bezczynności. Raul za mało pracuje, szuka rozrywek, gdzie może.

— Tak... nic innego. To też myślę go stąd wyprawić.

— Bardzo słusznie uczynisz.

— Wiem o tem, lecz to mu serce rozedrze, będzie cierpiał, jak dla prawdziwej miłości. Od kilku lat, a w owej epoce i on był dzieckiem, przyzwyczał się uwielbiać tę małą, jak ideał; skończy się na tem, że ją będzie kochał szalenie, jeśli tu dłużej pozostanie.

Te dzieciaki marzą codziennie razem i rozprawiają o różnych rzeczach, jak prawdziwi kochankowie dwudziestoletni. Bardzo długo bawiło to rodziców małej La Vallière, lecz, zdaje mi się, obecnie zaczynają się już krzywić.

— Dzieciństwo! Raul potrzebuje rozrywki; wypraw go stąd copędzej, lub, u licha, nigdy z niego człowieka nie zrobisz!

— Wyślę go do Paryża najpewniej.

— Aha!... — rzekł d'Artagnan.

Przyszło mu na myśl, że teraz może działać.

— Jeżeli zechcesz — rzekł — możemy zapewnić los świetny młodemu człowiekowi.

— Aha!... — rzekł z kolei Athos.

— Pragnę nawet zasięgnąć rady twojej o czemś, co mi do głowy przyszło.

— Słucham.

— Czy nie sądzisz, że właśnie teraz czas wstąpić do służby wojskowej?

— Przecież ty jesteś w służbie, kochany d'Artagnan.

— Mam na myśli służbę czynną. Czyż dawne życie nasze nie nęci cię? a gdybyś miał zapewnione korzyści prawdziwe, czyż nie chciałbyś rozpocząć go nanowo razem ze mną i z naszym przyjacielem Porthosem?

— A! więc to jest propozycja twoja?... — rzekł Athos.

— Otwarta i jasna.

— Chcesz, żebym się związał z wami?

— Tak.

— Za kogóż mam walczyć i przeciw komu?... — zapytał nagle Athos, mierząc gaskończyka jasnym spojrzeniem.

— Do diabła, jakże ci pilno!

— Przedewszystkiem jasno kwestję stawiam. Słuchaj dobrze, d'Artagnan. Jest tylko jedna osoba, a raczej jedna sprawa, w której człowiek taki, jak ja, może być przydatny: to sprawa króla.

— W istocie — rzekł muszkieter.

— Tak; lecz porozumiejmy się — ciągnął poważnie Athos — jeżeli przez sprawę królewską rozumiesz sprawę pana Mazariniego, to się rozchodzimy w pojęciach.

— Przecież ja nie mówiłem... — zaczął gaskończyk zmieszany.

— Dosyć, d'Artagnanie — przerwał Athos — nie grajmy w chowanego. Twoje wahanie, wykręty, mówią mi z czyjej strony przybywasz. Rzeczywiście, do tej partji nikt nie przyznaje się głośno i otwarcie; a gdy kto rekrutuje dla niej obrońców, spuszcza głowę i cicho mówi...

— O, kochany Athosie — przerwał d'Artagnan.

— Wiesz dobrze, że nie pod twoim adresem to mówię — ciągnął Athos — ty przecie jesteś perłą ludzi zacnych i walecznych. Mówię o tym włochu, nędznym intrygancie, o tym pisarku, pragnącym przystroić głowę koroną, skradzioną podle z pod poduszki królewskiej; o tym błaznie, mianującym sprawę swoją sprawą monarchy, o tym, który ośmiela się książąt krwi wtrącać do więzienia, nie mając odwagi odebrać im życia, jak to czynił nasz wielki

kardynał. Skąpiec obrzydły, co waży dukaty i zbiera oberżnięte, aby mieć czem płacić przegrane w karty, bo chociaż oszukuje, boi się przegranej. Nędznik, który pomiata królową, jak zapewniają, co zresztą jej się należy!.. i za trzy miesiące wzniesi wojnę domową, ażeby utrzymać swoje dochody. Czy takiego pana proponujesz mi, d'Artagnanie? Bardzo dziękuję.

— Niech mi Bóg przebaczy — rzekł d'Artagnan — lecz jesteś żywszy, niż dawniej, lata zamiast ostudzić zaogniły krew twoją. Któż ci mówi, że to mój zwierzchnik i że chcę i tobie go proponować?

— Do djabła!...—pomyślał gaskończyk, nie odkrywajmy tajemnic człowiekowi, tak źle usposobionemu.

— A zatem, drogi przyjacielu — mówił Athos — powiedz mi, co znaczą twoje propozycje?

— Ależ przez Bóg żywy nic nad to prostszego: ty mieszkasz w swoich dobrach i zdajesz się być szczęśliwy w błogiej mierności. Porthos posiada pięćdziesiąt czy sześćdziesiąt tysięcy liwrów dochodu; Aramis wydziera ją sobie księżne, których z piętnaście kłóci się o szanownego prałata; to prawdziwy pieszczoch losu; lecz ja, cóż robię na tym świecie? Noszę zbroję i kaftan bawoli, od lat dwudziestu przykuty do stanowiska niewystarczającego; nie idę naprzód ani się cofam, życie moje śmierci się równa! Gdy nakoniec trafia się sposobność, że mógłbym dorobić się czegoś, mówicie mi wszyscy: to łajdak, oszust, złodziej! Ja sam jestem tego samego zdania, lecz znajdźcie coś lepszego, lub postarajcie się o dochody dla mnie.

Athos myślał chwilę i odgadł podejście d'Artagnana, który nakoniec grę swoją odkrył. Widział jasno, że czynione mu propozycje miały określoną podstawę, i gdyby był od razu okazał się skłonny do zgodzenia się na projekty przyjaciela, jużby się tenże ze wszystkim wygadał.

— Dobryś!... — pomyślał Athos — należy do Mazari-niego.

Od tej chwili miał się na baczości.

D'Artagnan ze swej strony zamknął się w sobie.

— Lecz masz zapewne jakieś zamiary?... — ciągnął Athos.

— Z pewnością. Chciałem rady od was wszystkich zasię-

gnąć i skombinować, co dalej robić, albowiem każdy na swoją rękę nic nigdy nie zdziała.

— To prawda. Mówiłeś o Porthosie; czyś go nakłonił do szukania fortuny? Lecz on ją już posiada.

— Bezwątpienia... jest bogaty; lecz człowiek taką ma naturę, iż zawsze czegoś pożąda.

— Czegóż Porthos pragnie?

— Zostać baronem.

— A! prawda, zapomniałem — rzekł Athos ze śmiechem.

— Skądże on o tem wiedział?... — pomyślał d'Artagnan. — Czyżby się komunikował z Aramisem? Gdybym mógł dojść tego, wszystkoby już wiedział.

Na tem przerwano rozmowę, gdyż w tej chwili bowiem wszedł Raul.

Athos miał zamiar połajac go łągołnie, lecz chłopiec tak smutną miał minę, że nie stało mu odwagi; miast napominać — zapytał tedy, co mu się stało.

— Czy malutka sąsiadka jest bardziej cierpiąca?... — rzekł d'Artagnan.

— O, panie — odparł Raul, wzdychając boleśnie — upadek był nieszczęśliwy, doktor obawia się, czy nie zostanie kulawa na całe życie.

— Byłoby to okropne!... — rzekł Athos.

D'Artagnan miał żarcik na końcu języka, lecz, widząc, jak Athos współczuje zmartwieniu chłopca, powstrzymał się narazie.

— To mnie najwięcej boli, — mówił Raul — że temu nieszczęściu ja jestem winien.

— Jako?... ty, Raulu?... — zapytał Athos.

— Bezwątpienia; czyż nie dlatego, aby przybiedz do mnie, skoczyła ze stosu drzewa?

— Pozostaje ci jedno tylko zadośćuczynienie, kochany Raulu, ożenić się z małą — rzekł d'Artagnan.

— Panie! nie żartuj z prawdziwej boleści — odrzekł Raul.

Czując potrzebę samotności, aby wypłakać się do woli, poszedł do swego pokoju i powrócił dopiero na śniadanie. Dobra komitywa przyjaciół nie zachwiała się pomimo sprzeczki porannej; jedli też z wysmienitym apetytem, spoglądając od czasu do czasu na smutnego Raula, który z oczami, pełnemi łez, zaledwie dotknął posiłku.

Przy końcu śniadania, nadeszły dwa listy, które Athos odczytał z wielką uwagą, nie mogąc powstrzymać kilkakrotnego dreszczu.

D'Artagnan posiadał wzrok doskonały i, patrząc z ukosa na listy, przysięgał w duszy, iż w jednym z nich pozna je drobny charakter pisma Aramis; na drugim było pismo kobiece, rozwlekłe i niewprawne.

— Chodźmy sobie — rzekł d'Artagnan do Raula, przeczuwając, że Athos chce sam pozostać, by odpowiedzieć na listy lub rozmyślać nad tem, co przeczytał — chodźmy do zbrojowni, spróbujemy się trochę, to cię rozerwie.

Młodzieniec spojrział na Athosa, a ten skinął przyzwalająco. Przeszli obydwaj do sali dolnej, gdzie na ścianach wisiały floretty, maski, rękawice, tarcze i wszystkie przybory szermierskie.

— Cóż tu słyhać?... — zapytał Athos, przyszedłszy za nimi po pół godziny.

— O! ten ma twoją rękę, kochany Athosie — rzekł d'Artagnan — jeżeli posiada i twoją krew zimną, można mu powinszować.

Chłopiec był trochę zawstydzony. Trafił parę razy d'Artagnana w ramię i w łydkę, a on go za to że dwadzieścia razy ugodził w brzuch i piersi.

Na to wszedł Charlot, niosąc list bardzo pilny do d'Artagnana. D'Artagnan przeczytał spokojnie napozór, poczem pokiwał głową.

— Tak, mój przyjacielu — rzekł — ot, co to znaczy służba! na honor, masz rację, że nie chcesz do niej powrócić: pan de Tréville zachorował, a pułk beze mnie obejść się nie może; już więc po moim urlopie.

— Powracasz do Paryża?... — zapytał Athos z żywością.

— A tak, tak — rzekł d'Artagnan — ale przecież i ty się tam udajesz?

Athos zaczerwienił się i odpowiedział:

— Jeżeli pojedę, bardzo będę szczęśliwy, gdy spotkam się z tobą.

— Hola! Planchet!... — krzyknął d'Artagnan, stając we drzwiach — wyjeżdżamy za dziesięć minut — daj koniom owsa!

Potem, zwracając się do Athosa:

— Brakuje mi czegoś tutaj, bardzo mi przykro wyjeżdżać, nie zobaczywszy Grimauda.

— Grimauda!... — rzekł Athos. — A! prawda, dziwno mi nawet było, że nie pytałeś o niego. Pożyczyłem go jednemu z przyjaciół...

— Który zrozumie jego mimikę?... — rzekł d'Artagnan.

— Tak się spodziewam — odparł Athos.

Przyjaciele uściskali się serdecznie. D'Artagnan podał rękę Raulowi, wymógł obietnicę, że Athos będzie u niego w Paryżu, lub, chociaż doń napisze, i dosiadł konia.

Planchet, zawsze służbista, był już na siodle.

— Może pojedziemy razem — rzekł, śmiejąc się do Raula — przejeżdżam przez Blois.

Raul odwrócił się do Athosa, lecz ten dał znak, aby pozostał.

— Nie pojedę, proszę pana — odrzekł chłopiec — zostanę z panem hrabią.

— W takim razie, bądźcie zdrowi obydwaj, dobrzy przyjaciele — rzekł d'Artagnan, ściskając im ręce po raz ostatni — niech Bóg was ma w swojej opiece, jak ongiś mówiliśmy, rozłączając się za życia nieboszczyka kardynała.

Athos pożegnał go ręką, Raul ukłonem; i d'Artagnan i Planchet odjechali.

Hrabia patrzył za nimi z ręką, opartą na ramieniu chłopca, który wzrostem prawie mu dorównywał; a gdy zniknęli poza murem, powiedział:

— Raulu, dziś wieczorem jedziemy do Paryża.

— Jakto?... — rzekł chłopak, błędąc okropnie.

— Możesz pożegnać ode mnie i od siebie panią de Saint-Remy. Będę cię oczekiwał o godzinie siódmej.

Młodzieniec skłonił się ze smutkiem i wdzięcznością zarazem i pobiegł osiodłać konia.

D'Artagnan zaś, gdy tylko stracił z oczu zamek, wyjął list z kieszeni i odczytał:

„Wracaj natychmiast do Paryża“.

„J. W...“

— List jest suchy, jałowy, gdyby nie *post-scriptum*, mozebym go nie zrozumiał. Na szczęście, jest *post-scriptum*.

„P. S. Wstąp do podskarbiego królewskiego w Blois; powiedz mu swoje nazwisko i pokaż tę kartkę: dostaniesz dwieście pistolów“.

— Stanowczo — rzekł d'Artagnan — przepadam za taką prozą; kardynał lepiej pisze, niż się spodziewałem.

— Śpieszmy się, Planchet, musimy złożyć wizytę podskarbiemu królewskiemu, a potem zmykamy.

— Do Paryża, proszę pana?

— Do Paryża.

I obydwaj ruszyli wyciągniętym kłusem.

ROZDZIAŁ XVIII

PAN DE BEAUFORT

Powody, które zmusiły d'Artagnana do nagłego powrotu do Paryża, były następujące.

Pewnego wieczoru Mazarini — według zwyczaju — udał się do królowej w chwili, gdy wszyscy od niej odeszli. Minął salę gwandyjską, z której drzwi prowadziły do przedpokoju, lecz usłyszał głośną rozmowę i, chcąc się dowiedzieć, o czem żołnierze gawędzą, zbliżył się na palcach, jak to zwykł był czynić, uchylił drzwi i przez szparę wysunął głowę.

Jakaś rozprawa toczyła się pomiędzy gwardzistami.

— A ja ci ręczę—mówił jeden z nich, że, jeśli to Coyseł przepowiedział, rzecz jest tak pewna, jak gdyby już się stało. Nie znam go wprawdzie, lecz słyszałam że jest nietylko astrologiem, lecz i czarnoksiężnikiem.

— Strzeż się, do licha, jeśli do przyjaciół twoich należy! Nie tęgą wyświadczasz mu przysługę.

— A to czemu?...

— Bo mogą mu proces wytoczyć.

— E! dziś już czarnoksiężników nie palą

— Nie?! zdaje mi się jednak, iż niedawno nieboszczyk kardynał kazał spalić Urbana Grandiez. Wiem ja coś o tem. Stałem sam na straży przy stosie i widziałem, jak się biedak smarzył.

— Mój drogi, Urban Grandiez nie był czarnoksiężnikiem, tylko uczonym, a to wcale co innego. On przyszłości nie przepowiadał. Znał przeszłość, a to czasem daleko gorzej.

Mazarini pokiwał głową, na znak potwierdzenia; lecz,

pragnąc poznać przepowiednię, o której rozprawiali, pozostał na miejscu.

— Nie uwienzę — ciągnął dalej gwardzista — aby Coysel nie był czarownikiem, mówię tylko, że jeżeli przepowiednię swoją naprzód rozgłosi, to pewne, że właśnie się nie spełni.

— Dlaczego?

— Bezwątpienia. Jeżelibyśmy bić się z sobą mieli, a ja bym ci powiedział: „ugodzę cię z lewej lub z prawej“, będziesz wiedział, jak się zasłonić. Otóż, jeżeli Coysel dość głośno powie tak, aby kardynał usłyszał: „Zanim ten a ten dzień nastanie, więzień ucieknie“, jasna rzecz, że kardynał przedsięwzięmie ostrożności, aby więzień nie uciekł.

— E! mój Boże — odezwał się inny, który, leżąc na ławie, zasypiał napozór, lecz pomimo to ani słówka z rozmowy nie stracił; — e! mój Boże! czy myślicie, że człowiek może ująć przeznaczeniu swemu? Jeżeli napisano z góry, że książę de Beaufort ucieknie, to ucieknie, i nie pomogą wszelkie kardynalskie ostrożności.

Mazarini zadrżał. Był Włochem, a zatem był przesądny; wszedł z pośpiechem pomiędzy gwardzistów, którzy, spostrzegłszy go, urwali rozmowę.

— Wszak panowie, mówicie — począł z minką słodziutką — o ile mi się zdaje, że pan de Beaufort uciekł.

— O! nie Ekscelencjo, — odparł żołnierz niedowiarak, — jeszcze nie! Mówiono tylko, że ma się wymknąć.

— A kto mówi o tem?

— Dalejże, powtórz swoją historję, Saint-Laurent, — rzekł gwardzista, zwracając się do tego, który opowiadał.

— Ekscelencjo — odezwał się tenże — poprostu mówiłem tym panom, co słyszałem o przepowiedni niejakiego Coysel, który utrzymuje, że pan de Beaufort, jakkolwiek strzeżony, przed Zielonemi Świątkami ucieknie.

— To szaleniec z tego Coysela! — odparł kardynał, wciąż uśmiechnięty.

— Wcale nie — odparł gwardzista z uporczywą wiarą — przepowiedział on wiele rzeczy, które się ziściły, na przykład że, królowa powije syna, że pan de Coligny zostanie zabity w pojedynku z księciem de Guise, nareszcie, iż koadjutor mianowany zostanie kardynałem. Tak się też

stało! Królowa nie tylko jednego, lecz we dwa lata drugiego syna powiła, a pan de Coligny zabity.

— Tak — rzekł Mazarini — ale koadjutor nie jest kardynałem.

— Jeszcze nie ekscelencjo, ale nim będzie — odparł gwardzista.

Mazarini skrzywił się, jakby chciał powiedzieć: nie dostał jeszcze biretu. Potem dodał:

— Więc przekonany jesteś, przyjacielu, że pan de Beaufort musi być wolny.

— Tak przekonany, ekscelencjo — odparł żołnierz, — że, gdyby Wasza Eminencja ofiarował mi w tej chwili miejsce pana de Chavigny, czyli gubernatora zamku Vincennes, nie przyjąłbym. Po Zielonych Świątkach to co innego!

Niema nic tak przekonywającego, jak przekonanie głębokie, oddziaływa ono na niedowiarków nawet; a kardynał daleki był od niedowiarstwa, powiedzieliśmy przecie, że był przesądny. Odszedł pogrążony w zamyśleniu.

— Kutwa! — odezwał się ten gwardzista, który był oparty na ławie — udaje, że nie wierzy w czarnoksiężnika twego, Saint-Laurent, ażeby ci nic nie dać; lecz niech tylko powróci do siebie zaraz z twojej przepowiedni skorzysta.

W istocie, zamiast pójść, jak miał zamiar, do królowej, Mazarini powrócił do swego gabinetu i, wezwawszy Bernouina, rozkazał mu, aby nazajutrz, skoro świt, posłano po oficera służbowego, którego umieścił przy panu de Beaufort, a skoro tylko się stawi, by go obudzono natychmiast. Gwardzista bezwiednie dotknął krwawiącej rany kardynała.

Od lat pięciu, odkąd pan de Beaufort siedział w więzieniu, nie było dnia, w którymby Mazarini nie myślał, że lada chwila wydobędzie się z niego. Niepodobiestwem było więzić całe życie wnuka Henryka IV-go, zwłaszcza że miał on zaledwie lat trzydzieści. Lecz w jakibądź sposób wyszedłby on stamtąd, jakąż straszna nienawiść zebrać się musiała w sercu jego w ciągu tej niewoli przeciw temu, któremu ją zawdzięczał, który go zamknął, bogatego, dzielnego, świetnego, kochanego przez kobiety, będącego postrachem mężczyzn, by z życia jego najpękniejsze lata wykreślić, bo życie w więzieniu nie jest istnieniem!

Tymczasem Mazarini podwajał swoją czujność nad Beaufortem. Ale na podobieństwo owego skąpca z bajki, sen stracił przy skarbie swoim. Niejednokrotnie nocą zrywał się nagle, śniąc, że mu go wykradziono. Wtedy dopytywał o niego, a za każdą wiadomością, doznawał ciężkiego bólu, słysząc, że więzień bawi się, gra, pije i śpiewa przecudownie, a gry, pijatykę i śpiewy przerywa po to tylko, aby kłaść na wszystkie świętości, że Mazarini drogo mu zapłaci za przyjemność, jaką sobie sprawił, zamykając go w Vincennes.

Myśl ta psuła sen ministrowi; kiedy więc o siódmej rano Bernouin przyszedł go obudzić, pierwsze, co rzekł, było:

— Co się stało?... Czy pan de Beaufort uciekł z więzienia?

— Nie sędzę, monsiniorze — rzekł Bernouin, którego nie opuszczał nigdy spokój urzędowy — w każdym razie będą wiadomości, bo oficer służbowy La Ramée, po którego dziś do Vincennes posłano, oczekuje rozkazów Waszej Eminencji.

— Otwórz i wprowadź go tutaj, — rzekł Mazarini, układając poduszki, aby mógł go przyjąć w łóżku.

Oficer wszedł. Był to mężczyzna wysoki, tęgi, puciołowaty o milej powierzchowności. Minę miał tak obojętną, że zaniepokoił tem Mazariniego.

— Wygląda mi na głupca ten nicpoń, — mruknął do siebie.

Oficer stanął we drzwiach — milczący.

— Zbliź się pan! — rzekł Mazarini.

Oficer spełnił rozkaz.

— Czy wiesz, co tu gadają?

— Nie, Eminencjo.

— Otóż mówią, że pan de Beaufort ma uciec z więzienia.

Najwyższe osłupienie odmalowało się na obliczu oficera. Jednocześnie otworzył mańskie oczy i wielką gębę, aby tem łatwiej wciągnąć w siebie żarcik, jakim Jego Eminencja raczył go zaszczyścić; nie mogąc nareszcie zachować powagi wobec tego przypuszczenia, parsknął takim śmiechem, że od wielkiej wesołości wszystkie jego członki trzęsły się, jak w febrze.

Zachwycony był Mazarini tym wybuchem, choć uchy-

biał on winnemu mu uszanowaniu; jednakże zachował całą swoją powagę.

Gdy La Ramée wyśmiał się do syta, otarł oczy, czując, że wypada usprawiedliwić się z wesołości, niezbyt stosownej.

— Uciec?... monsiniorze, on ma uciec?... Czyż Wasza Eminencja nie wie, gdzie pan de Beaufort się znajduje?

— I owszem, mój panie, wiem, iż siedzi w wieży Vincennes.

— Nieinaczej, monsiniorze; a przytem w celi, której mury mają siedem stóp grubości, a okna w niej podwójnie zakratowane sztabami, jak moje ramię.

— Mój panie — odparł Mazarini — cierpliwością wszelki mur przewiercić można, najgrubszą sztabę przepiłować sprężyną od zegarka.

— Wasza Eminencja i o tem wie zapewne, iż pilnuje go ośmiu ludzi, czterech w korytarzu, a drugie tyle w samej celi i że straż ta ani na chwilę go nie opuszcza.

— Ale wychodzi, bawi się, gra w piłkę!

— Monsiniorze, rozrywki podobne dozwolone są więźniowi. Wszelako, gdy Wasza Eminencja rozkaże można mu ich zakazać.

— Ależ nie, wcale nie — zawołał Mazarini obawiając się, że, gdyby pozbawił go wszelkich przyjemności, więzień więcej jeszcze rozwścieczony byłby przeciw niemu — na wypadek, gdyby wyszedł z Vincennes. — Pytam jedynie z kim grywa?...

— Z oficerami straży, monsiniorze, ze mną, lub z innymi więźniami.

— A może wśród gry zbliża się do murów zbytecznie.

— Czyż Wasza Eminencja nie zna murów tamtejszych?... Mają one sześćdziesiąt stóp wysokości, a wątpię, aby panu de Beaufort tak sprzykrzyło się życie, iżby chciał skrócić kark, skacząc z nich do fosy.

— Hm!... — chrząknął kardynał, czując pewne uspokojenie. — Więc powiadasz, kochany panie la Ramée...

— Że jeżeli pan de Beaufort nie potrafi przemienić się w ptaka, ja za niego ręczę.

— Strzeż się!... nie ufaj sobie zbytecznie — mówił Mazarini. — Pan de Beaufort do straży, która go prowadziła, powiedział, że często o uwięzieniu swoim myślał i na

ten wypadek znalazł czterdzieści sposobów wymknięcia się z pod klucza.

— Monsiniorze — odrzekł La Ramée — gdyby z tych czterdziestu sposobów jeden tylko był dobry, dawno już byłby na swobodzie.

— No, no, nie taki on głupi, jak sądziłem — mruknął Mazarini.

— Wasza Eminencja zapomina zresztą, że gubernatorem Vincennes jest pan de Chavigny — ciągnął dalej La Ramée — a on nie należy do przyjaciół pana de Beaufort.

— Tak, ale pan de Chavigny często wyjeżdża.

— Jak wyjeżdża, to ja jestem.

— A jak ty się sam wydalasz?

— O!... to mam w mojem zastępstwie takiego zucha, który dąży do stopnia oficera służbowego Jego Królewskiej Mości i ręczę za niego, że strzeże należycie. Trzy tygodnie temu wziętem go do służby, a jedyny zarzut, jaki mógłbym mu uczynić, jest ten chyba, że za srogi dla więźnia.

— Któż jest tym cerberem?... — zapytał kardynał.

— Niejaki pan Grimaud, monsiniorze.

— Czemże on był, nim dostał się do Vincennes, do ciebie?

— Mieszkał na prowincji, jak opowiadał ten, co mi go polecił; przeskrobał on tam w czemś z powodu swojego zuchwałstwa i uporu i radby ujść kary pod osłoną munduru królewskiego.

— A kto to taki polecił ci tego człowieka?

— Intendent księcia de Grammont.

— Można mu więc, twojem zdaniem, zaufać?...

— Tak, jak mnie samemu, monsiniorze.

— Czy nie jest gadułą?...

— Panie Jezu!... Monsiniorze, myślałem zrazu, że jest niemową, pytał i odpowiadał tylko na migi; pan jego dawno tak go wytresował widocznie.

— Skoro tak, powiedz mu, kochany panie La Ramée — ciągnął dalej kardynał — że, jeśli będzie nam wierny i czujny, zamkniemy oczy na jego wybryki prowincjonalne, damy mundur, w którym szanować go będą musieli, a w kieszeniach tego uniformu znajdzie kilka pistolów na wypicie za zdrowie królewskie.

Mazarini szczodry był w słowach i obietnicach; prawdziwy kontrast stanowił z zacnym panem Grimaudem, tak przez La Ramée wychwalanym, który mówił mało, a wiele działał.

Kardynał zarzucił jeszcze pana La Ramée mnóstwem pytań co do więzienia: jak był żywiony, jak mieszkał, jak sypiał, — na które ten tak zadawałajaco odpowiadał, iż odprowadził go nieledwie uspokojony.

Następnie, ponieważ była to już dziewiąta rano, wstał, wyperfumował się, ubrał i udał do królowej — dla podzielenia się z nią powodami, które zatrzymały go u siebie.

Królowa, która niemniej od kardynała obawiała się Beauforta, a narówni z nim była przesądna, kazała opowiedzieć sobie co do słowa zapewnienia La Raméego i pochwały, jakie oddawał pomocnikowi swojemu; a gdy kardynał skończył, odezwała się półgłosem:

— Niestety!... panie, czemuż przy każdym z książąt nie mamy takiego Grimauda?...

— Cierpliwości!... — rzekł z iście włoskim uśmiechem kardynał — przyjdzie czas i na to; nim jednak przyjdzie...

— Nim przyjdzie?...

— Przedsięwzięmę wszelkie ostrożności.

Skutkiem tego napisał do d'Artagnana, aby powrót swój przyspieszył.

ROZDZIAŁ XIX

CZEM SIĘ ZABAWIAŁ KSIĄŻĘ DE BEAUFORT W WIEŻY VINCENNES?

Więzień, który tak wielkiego strachu nabawiał kardynała, więzień o którego ucieczce myśl zakłócała spokój dworowi całemu, nie przypuszczał zgoła, jakim był postrachem w Palais - Royal.

Widząc, że strzeżono go tak wybornie, uczył całą nieużyteczność usiłowań swoich; cała też zemsta jego polegała na ciskaniu wymysłów i przekleństw na Mazariniego. Próbował nawet tworzyć piosenki, lecz wkrótce wyrzec się tego musiał.

Faktem jest, iż panu de Beaufort nietylko wierszem, lecz i prozą wysłowić się było nader trudno. To też Blot, ówczesny piosenkarz, mówił o nim:

*Beaufort w bitwie, — jak burza,
Postrach sieje i niszczy,
Lecz, gdy w słowach się nurza,
Rzekłbyś, gąsior to piszczy.*

Książę de Beaufort był wnukiem Henryka IV i Gabrieli d'Estrées, był równie dobry, mężny i dumny, a nadewszystko był Gaskończykiem, jak dziad jego, lecz o wiele niżej od niego stał pod względem wykształcenia.

Będąc czas jakiś po śmierci Ludwika XIII ulubieńcem, posiadającym wielkie zaufanie, i najpierwszym u dworu, zmuszony był wreszcie ustąpić Mazariniemu i stanąć na drugim planie; nazajutrz, ponieważ był na tyle złośliwy, że gniewał się za tę przemianę, a nadto był na tyle nieostrożny, iż mówił o tem głośno, królowa kazała go

aresztować i zaprowadzić do Vincennes temu samemu Guittaut, który ukazał się nam na początku tej powieści, a którego będziemy jeszcze mieli sposobność spotkać.

Rozumie się, iż, mówiąc królowa, mówimy o Mazarinim. Nietylko uwolniono się od osoby jego i pretensyj, lecz i liczyć się z nim nie potrzebowano, jako z księciem popularnym; i od lat pięciu zamieszkiwał on pokoik bynajmniej nie królewski w wieży Vincennes.

Ten przeciąg czasu, w którym inny umysł byłby dojrzał, przeminął nad głową Beauforta, nie przynosząc żadnej zmiany. Inny, na jego miejscu będący, zastanowiłby się, że gdyby nie okazywał lekceważenia dla kardynała, odrazy dla książąt, to, przywoławszy na pomoc działanie akolitów, jak mówił kardynał de Retz, w ciągu tych pięciu lat zyskałby wolność, lub obrońców. Rozwaga, według wszelkiego prawdopodobieństwa, nie nawiedziła umysłu księcia, którego długie to zamknięcie umocniło jeszcze w krnąbrności, a kardynał odbierał codziennie o nim wiadomości, jak najnieprzyjemniejsze dla Jego Eminencji.

Gdy poezja mu się nie powiodła, spróbował malarstwa. Począł rysować węglem na ścianie podobizny kardynała, a że miernie w tej sztuce uzdolniony nie mógł osiągnąć podobieństwa, więc, nie chcąc dopuścić wątpliwości co do oryginału portretu, podpisywał poniżej: „Ritratto dell'illustrissimo faechina Mazarini“. Powiadomiony o tem pan de Chavigny, złożył mu wizytę, prosząc aby innej poświęcił się rozrywce, lub robił portrety, lecz bez podpisów przynajmniej. Na drugi dzień ściany pokoju pokryte zostały portretami i podpisami. Zresztą, jak wszyscy więźniowie, pan de Beaufort podobny był do dzieci, które najwięcej upierają się przy tem, co im zostało wzbronione. Znowu powiadomiono pana de Chavigny o tym nadmiarze sylwetek. Pan de Beaufort niezbyt siebie pewny, aby odważyć się na rysowanie głów en face, zmienił swój pokoik w istną salę wystawy. Tym razem już gubernator nie rzekł ani słowa; lecz pewnego dnia, gdy pan de Beaufort grał w piłkę, rozkazał zatrzeć gąbką rysunki i farbą ściany pomalować. Pan de Beaufort podziękował panu de Chavigny za uprzejmość, iż mu kartony odświeżył, i podzielił tym razem ściany na części i każdą z nich poświęcił na jeden epizod z życia kardynała Mazariniego.

Pierwszy obraz miał przedstawiać przewielebnego bla-

zna Mazarini, okładanego kijem przez kardynała Bentivoglio, u którego był sługusem. Na drugim był przewielebny błazen Mazarini, w roli Ignacego Loyoli, w tragedji tegoż tytułu. Na trzecim — przewielebny błazen Mazarini, kradnący tekę pierwszego ministra panu de Chavigny, któremu się zdawało, że już ją trzyma. Na czwartym wreszcie — przewielebny błazen Mazarini, odmawiający prześcieradeł Laportowi, pokojowcowi Ludwika XIV, mówiąc że dosyć jest dla króla Francji raz na kwartał prześcieradła zmieniać.

Pomysły były rzeczywiście olbrzymie, przechodzące miarę talentu więźnia-artysty; poprzestał zatem na nakreśleniu szkiców i położeniu podpisów. Lecz jedne i drugie wystarczały, aby wzbudzić podejrzliwość pana de Chavigny, który oznajmić mu kazał, że jeżeli się nie zrzeknie projektowanych obrazów, odejmie mu wszelką możność ich wykonania.

Pan de Beaufort odpowiedział, że, skoro odjęto mu sposobność zyskania sobie sławy rycerskiej, chciał ją sobie zdobyć w malarstwie i, nie mogąc zostać Bayardem lub Triwnleym, chciał stać się Michałem Aniołem, lub Rafealem.

Razu jednego, gdy pan de Beaufort przechadzał się po łączce więziennej, zabrano mu z kominka ogień, węgle, aż do ostatniej szczypty popiołu, tak że, gdy powrócił, nie znalazł nic zgoła, coby mu ołówek mogło zastąpić.

Pan de Beaufort ryczał, kłął, piorunował, że chcą go uśmiercić zimnem i wilgocią, jak Puylaurensa, marszałka Ornano i przeora z Vendôme, na co mu pan de Chavigny odpowiedział, że, jeżeli da słowo, iż zrzeka się malarstwa historycznego, oddadzą mu drzewo i wszystko potrzebne do rozpalenia ognia. Pan de Beaufort nie chciał dać słowa i resztę zimy bez ognia pozostał. Co więcej, zeskrobano wszystkie napisy i pokoik stał się biały, nagi, bez śladu zdobiących go fresków.

Wtedy pan de Beaufort nabył od jednego ze swoich stróżów psa nazwiskiem Pistache; ponieważ przepisy nie sprzeciwiają się, aby więźniowie posiadali psy, z upoważnienia pana de Chavigny czworonóg zmienił pana. Czasami książę całe godziny siedział zamknięty ze swoim psem. Domyślano się, że czas ten więzień poświęcał edukacji Pistache'a, nie przypuszczano jednak, w jakim kie-

runku jest prowadzona. Razu jednego, gdy pies dostatecznie był wyuczony, pan de Beaufort zaprosił pana de Chavigny oraz oficerów z Vincennes na wielkie przedstawienie.

Przybyli zaproszeni; pokój był oświetlony taką ilością świec, na jaką tylko pan de Beaufort mógł się zdobyć. Rozpoczęto ćwiczenia.

Więzień kawałkiem muru ze ściany przeprowadził na środku pokoju długą białą linię, przedstawiającą linę. Na pierwszy rozkaz pana, Pistache stanął pośrodku niej na dwóch tylnych łapkach i, trzymając w przednich łaseczkę od trzepania odzieży, począł występować po linii z wyginaniem, właściwem tancerzom na linie; przeszedłszy tak w tył i naprzód linię razy kilka, oddał panu de Beaufort łaseczkę i te same ewolucje powtórzył już bez niej. Zmyślne zwierzątko zasypano oklaskami.

Widowisko podzielone było na trzy części; gdy pierwsza została wykonana, rozpoczęto drugą. Teraz następowało pokazanie godziny. Pan de Chavigny pokazał Pistache'owi zegarek. Było właśnie pół do siódmej. Psina sześć razy kiwnęła łapką, a za siódmym razem pozostawiła ją w zawieszeniu. Trudno było o większą jasność, kompas nawet nie odpowiedziałby lepiej, wiadomo bowiem każdemu, iż on wtedy tylko wskazuje, gdy słońce świeci.

Następnie chodziło o pokazanie wobec całego towarzystwa, kto był najlepszym stróżem więziennym w całej Francji. Pies obszedł trzy razy w kółko całe zgromadzenie i położył się w najpokorniejszej postawie przy nogach pana de Chavigny, który, udając zachwyconego tym figlem, śmiał się, lecz jakoś półgębkiem. Zagryzł jednak wargi i począł brwi marszczyć.

Nakoniec pan de Beaufort zadał Pistache'owi pytanie trudne do rozwiązania, a mianowicie: kto jest największym złodziejem na całym świecie?

Tym razem pies obszedł cały pokój, lecz nie zatrzymał się przed nikim, a, podszedłszy do drzwi, począł w nie drapać, wyjąc załośnie:

— Widzicie, panowie — odezwał się książę — poczciwe zwierzątko, nie znalazłszy tutaj tego, o którego pytam, chce go poszukać nazewnątrz. Uspokójcie się jednak, nie pozostawi was bez odpowiedzi na moje pytanie. Pistaszku, przyjacielu — mówił dalej książę — pójdź do

mnie. — Pies usłuchał. — Czy największym złodziejem na świecie jest sekretarz królewski le Camus, który z dwudziestoma liwrami przybył do Paryża, a obecnie posiada dziesięć milionów?

Pies pokręcił łbem przecząco.

— A może pan nadintendent d'Eméry, który, żeniąc syna swego pana de Thoré, dał mu trzysta tysięcy franków renty i pałac, przy którym Tuilerje są budą, a Lonore lepianką.

Znowu ten sam ruch przeczący.

— Jeszcze więc nie ten — pytał znów książę. No, poszukajmy dobrze: byłoby nim wypadkiem l'illustrissimo faechina Mazarini di Piscina, he?

Pies począł zawzięcie kiwać twierdząco łbem, powtarzając ruch ten przeszło dziesięć razy.

— Widzicie więc, panowie — odezwał się Beaufort do obecnych, którzy tym razem nie poważyli się półgębkiem nawet uśmiechnąć — że przewielebny błazen Mazarini di Piscina jest największym złodziejem na świecie; przynajmniej tak utrzymuje Pistache... Rozpocznijmy dalsze ćwiczenia.

— Panowie — ciągnął dalej książę, korzystając z głębokiego milczenia, aby wypełnić wieczór trzecią częścią programu — przypominacie sobie zapewne, że książę de Guise wszystkie psy paryskie wyuczył skakać na cześć panny de Pons, którą za najpiękniejszą z pięknych ogłosił! Niewielka to rzecz, panowie, gdyż zwierzęta te wypełniały rozkaz bezwiednie, nie wiedząc o dysydencji (pan de Beaufort chciał powiedzieć o dyferencji) pomiędzy tymi, dla których powinny były, a tymi, dla których nie powinny były skakać. Pistache pokaże to panom, jako też i panu de Chavigny, ale zechciej mi pan pożyczyć swojej łaski. Pan de Chavigny spełnił żądanie Beauforta. Książę umieścił łaskę poziomo na wysokości stopy.

— Pistache, przyjacielu — rzekł — bądź łaskaw skoczyć dla pani de Montbazon.

Roześmieli się wszyscy; wiedziano bowiem, że w chwili aresztowania książę de Beaufort był jawnym kochankiem tej pani. Pistache bez namysłu wesoło przez kij przeskoczył.

— No, o ile mi się zdaje, Pistache robi to samo, co jego koleczy, którzy skakali dla panny de Pons.

— Zaczekaj pan — rzekł książę.

— Pistache, skacz dla królowej — zawołał i podniósł łaskę o sześć cali wyżej.

Pies z całym spokojem przez nią przeskoczył.

— Pistache, przyjacielu — ciągnął dalej książę — jeszcze o sześć cali łaskę podnosząc — skacz dla króla.

Pies się odsadził i dał lekkiego susa, stając po drugiej stronie łaski.

— A teraz baczność — począł znowu książę do ziemi nieledwie łaskę zniżając — Pistaszku, przyjacielu, hop! dla przewielebnego błazna Mazariniego di Piscina.

Pies wykręcił się ogonem do łaski.

— A to co znowu?... — odezwał się pan de Beaufort, zataczając półkole ogonem ku głowie zwierzęcia i pokazując mu znowu łaskę — skaczące, panie Pistache.

Lecz, jak i poprzednio, Pistache wykonał pół obrotu i stanął tyłem do łaski. Znowu ten sam zwrot, to samo wezwanie; tym razem jednak cierpliwość Pistache'a wyczerpała się zupełnie, rzucił się zajadle na łaskę, wyrwał ją księciu zębami i złamał.

Pan de Beaufort z powagą wydobył mu z paszczy obydwie kawałki i oddał panu de Chavigny, przepraszając za szkodę i oznajmiając, że przedstawienie skończone, lecz, jeżeli życzyłby sobie być obecny na dalszych posiedzeniach, Pistache nauczy się nowych sztuk w przeciągu trzech miesięcy. W trzy dni potem Pistache'a otruto. Szukano wnowajcy, lecz domyśleć się łatwo, iż go nie wykryto. Pan de Beaufort wznosił mu pomnik z napisem:

„Tu leży Pistache, najzmyślniejszy z psów, jakie istniały kiedykolwiek na świecie“.

Nic nie można było mieć przeciw tej pochwie, więc i pan de Chavigny przeszkodzić jej nie mógł. Wtedy znów odezwał się książę głośno, iż na psie jego dokonano próby z pigułką, której dla niego użyć mają, i pewnego dnia po obiedzie położył się do łóżka, krzycząc, jęcząc na kolki i wołając, że to Mazarini kazał go otruć.

Nowy ten figiel doszedł do ust kardynała i strasznie go przeraził. Wieża vinceńska uważana była za miejsce pobytu szkodliwe dla zdrowia, a pani de Rambouillet ozwała się, iż pokój, w którym umarli Puy Laurens, marszałek Ornano i przeor z Vendôme mógłby iść na wagę arszeniku; słówko to poszło w kurs.

Nie przebaczył jednak pan de Chavigny tych uchybień, które niewinny Pistache odpokutował. Pan de Chavigny był kreaturą nieboszczyka kardynała, nawet synem jego podobno: musiał się znać na okrucieństwie, oddawał więc panu de Beaufort pięknem za nadobne; pozabierał mu noże żelazne i widelce srebrne, jakimi posługiwał się dotąd; pierwsze zastąpić kazał srebrnymi, a drugie drewnianymi. Skarżył się na to Beaufort, lecz gubernator kazał mu odpowiedzieć, iż dowiedział się, że kardynał miał mówić do pani Vendôme o pozostawieniu jej syna w więzy Vincennes na całe życie, obawiał się zatem, aby ta smutna nowina nie popchnęła więźnia do zamachu na własne życie.

We dwa tygodnie potem pan de Beaufort spotkał na dróżce, prowadzącej do miejsca gry w piłkę, dwa rzędy drzewek wielkości małego palca; zapytał, co to miało znaczyć, odpowiedziano, że przygotowują mu na przyszłość cienistą aleję.

Pewnego ranka nareszcie stawił się przed nim ogrodnik i, chcąc mu niby przyjemność sprawić, oznajmił, iż umyślnie dla niego szparagarnię zakładają. Wiadomo, iż szparagi czterech lat potrzebują, zanim staną się zdatne do użytku, przy mniej zaś udoskonalonem ogrodnictwie owej epoki — szparagi mogły być dobre po upływie lat pięciu zaledwie. Grzeczność tego rodzaju pobudziła pana de Beaufort do wściekłości.

Wtedy już przyszło do głowy panu de Beaufort, iż nadzedł czas uciec się do jednego z czterdziestu sposobów. Na początek spróbował najprostszego, a mianowicie przekupić pana de La Ramée; lecz ten kupił rangę swoją za tysiąc pięćset talarów, cenił ją więc niezmiernie. Zamiast więc porozumieć się z więźniem popędził ostrzec pana de Chavigny; na tej zasadzie pan de Chavigny postawił ośmiu ludzi w pokoju więźnia, podwoił warty, a posterunki potroił.

Od tej chwili książę chadzał, niczem królowie teatralni: z czterema ludźmi przed sobą i czterema za sobą, nie licząc szpaleru wojska po bokach.

Śmiał się zrazu Beaufort z tego obostrzenia, które go bawiło. Ilekroć tylko mógł, powtarzał zawsze: „Bawi mnie to, rozrywkę mi sprawia“. A potem dodawał: „Zresztą, gdy zechcę uwolnić się od tych honorów, jakie mi oddaje-

cie, pozostaje mi jeszcze trzydzieści dziewięć innych sposobów“.

Lecz rozrywka owa z czasem zamieniła się w nudę. Pan de Beaufort przez fanfaronadę nie ustępował placu przez sześć miesięcy, lecz pod koniec, patrząc nieustannie na ośmiu ludzi, siadających wtedy, kiedy i on siadał, wstających, gdy on wstawał, zatrzymujących się, gdy się zatrzymywał, począł brwi marszczyć i dni rachować.

Nowe to prześladowanie spotęgowało w nim jeszcze bardziej nienawiść dla Mazariniego. Książę kłął od rana do wieczora, mówiąc tylko o obcięciu uszu Mazariniemu. Aż dreszcze przejmowały!... Kardynał, który o wszystkim wiedział, mimowolnie nasuwał biret aż na kark, aby nim uszy osłonić.

Pewnego dnia, pan de Beaufort zebrał swoich stróżów, i — pomimo znanej trudności w wysławianiu się — wygłosił do nich przemowę, z góry wprawdzie przygotowaną:

„Panowie — mówił — czyż wy ścierpicie, aby wnuk króla Henryka IV-go pojony był zniewagami i sromotą; ventre-saint-gris! jak mawiał mój dziad, czy wiecie, że panowałem nieledwie w Paryżu! przez cały jeden dzień miałem powierzonych sobie króla i jego młodszego brata.

Wtedy pieściła mnie królowa, zwąc najszlachetniejszym z ludzi w całym królestwie. Panowie mieszczanie, wypuście mnie teraz: pójdę prosto do Luwru, skręcę kark Mazariniemu, staniecie się moją gwardją przyboczną, wszystkich zrobię oficerami z dobrą pensją. Ventre-saint-gris! naprzód marsz!“.

Lecz jakkolwiek wzniosła była wymowa wnuka Henryka IV-go, nie rozczuliła tych serc kamiennych; żaden ani się nie ruszył, co widząc, pan de Beaufort, powiedział im, że są kapcany, i zrobił z nich sobie okrutnych wrogów.

Gdy pan de Chavigny przychodził odwiedzić go czasami, a czynił to dwa lub trzy razy tygodniowo, korzystał z tego książę, aby mu się odgrażać.

— Cobyś pan na to powiedział, gdybyś pewnego pięknego poranku ujrzał zjawiającą się armję Paryżan, całą okutą w żelazo i najeżoną muszkietami, przybywającą mi na odsiecz.

— Jaśnie oświecony książę — odparł z głębokim ukłonem de Chavigny — mam ja na szańcach dwadzieścia

pięć dział, a w kazamatach trzydzieści tysięcy ładunków do wystrzelania; zmiażdżyłbym ich bez trudu.

— Tak, lecz, wystrzelisz trzydzieści tysięcy razy, musiałbyś nareszcie oddać im więź, a ja byłbym zmuszony powiesić pana, z czego nie byłbym markotny z pewnością.

Pan de Chavigny znowu się księciu głęboko uklonił.

— Ja zaś, jasnie oświecony księżę — odpowiedział pan de Chavigny — niechby pierwszy tyk przestąpił próg moich galeryj podziemnych, lub nogę na szanцу postawił, byłbym zmuszony — z wielkim żalem — zabić cię własną ręką, gdyż powierzony mi jesteś osobiście i obowiązany jestem oddać cię umarłego lub żywego.

I znowu się kłaniał jego księżęcej mości.

— Zapewne — prowadził swoje księżę — lecz skoro niema wątpliwości, że ci zuchy nie przyszliby przed powieszeniem monsiniora Gulia Mazarini, nie śmiałbyś pan podnieść na mnie ręki, z obawy, aby paryżanie nie rozewali cię czterema końmi, co jest troszeczkę mniej przyjemne, niżeli na szubienicy zawisnąć, nieprawdaż?

Niesmaczne te żarciki trwały nieraz dziesięć minut, kwadrans, dwadzieścia minut najwyżej, lecz zawsze kończyły się w ten sposób. Pan de Chavigny zwracał się ku drzwiom, wołając:

— Hola! Ramée!

La Ramée wchodzi!

— Słuchaj-no — kończył de Chavigny — polecam ci najusilniej pana de Beaufort: obchodź się z nim ze wszelkimi względami, należnymi jego imieniu i stanowisku, i dlatego nie trać go ani na chwilę z oczu.

I oddalał się, składając mu ukłon, pełen drwiącej grzeczności, co tamtego doprowadzało do największej pasji. La Ramée stał się tym sposobem nieodłącznym towarzyszem księcia, stróżem wiekuistym, cieniem nieodstępnym; lecz należy przyznać, że towarzystwo La Ramée, wesołego biesiadnika, pijącego potężnie, świetnego gracza w piłkę, dobrej duszy w gruncie, z jedną wadą dla pana de Beaufort, że przekupić się nie dawał, stało się dla księcia rozrywką raczej, niż nudą.

Inaczej rzecz się miała z panem de La Ramée; jakkolwiek oceniał do pewnego stopnia zaszczyt zamknięcia go w więzieniu z osobistością tak ważną, jednakże przyjemność pozostawiania na stopie przyjacielskiej z wnukiem

Henryka IV - go nie dorównywała tej, jakiej doznawał, odwiedzając od czasu do czasu rodzinę swoją. Można być dobrym sługą królewskim i jednocześnie dobrym ojcem i mężem. Zwłaszcza imci pan La Ramée uwielbiał żonę swoją i dzieci, z wysokości murów jedynie widywane, które, aby pocieszyć uczucia jego ojcowskie i małżeńskie robiły wycieczki po drugiej stronie fosy, otaczającej zamek.

Stanowczo było to dla niego za mało, czuł więc biedny La Ramée, że usposobienie jego wesołe, które brał za wynik dobrego zdrowia, nie przypuszczając, że to ostatnie było prawdopodobnie wynikiem tamtego, nie przetrwa tej próby. To jego przeświadczenie wzrastało w stosunku pana de Beaufort z panem de Chavigny coraz więcej się zaostrzały, tak że przestali widywać się zupełnie. Czuł więc cały ciężar odpowiedzialności, spoczywający na jego głowie, a ponieważ z wyjaśnionych przez nas powodów, szukał ulgi dla siebie, garąco uczeplił się myśli, jaką podał mu intendent marszałka de Grammont, chcący dodać mu pomocnika: rozmówił się o tem niezwłocznie z panem de Chavigny, który odpowiedział, że nic przeciw temu nie ma, jeżeli tylko osoba rzezonego pomocnika przypadnie mu do gustu.

Najzupełniej byłoby zbyt cenne kreślić czytelnikom naszym portret fizyczny lub moralny Grimauda; jeśli, jak mamy nadzieję, zachowali w pamięci pierwszą część tego dzieła, powinni byli zachować też jasne wspomnienie o tej cennej osobistości, w której prócz przybytku lat dwudziestu żadna inna zmiana nie zaszła; stał się on tylko bardziej jeszcze zamknięty w sobie i milczący.

Grimaud milczał od lat dwudziestu przeszło, a przyzwyczajenie staje się drugą naturą.

ROZDZIAŁ XX

GRIMAUD ZACZYNA DZIAŁAĆ

Grimaud przedstawił się tedy nader korzystnie w twierdzy Vincennes. Pan de Chavigny chlubił się przenikliwością, co mogłoby potwierdzić opinię, iż był rzeczywiście synem kardynała Richelieu, do czego się sam przyznawał z chlubą.

Obejrzał i wybadał nowego kandydata pilnie i szczegółowo, nakoniec orzekł, że brwi zrośnięte, wargi wąskie, nos haczykowaty i kości policzkowe wydatne, które właśnie Grimaud posiadał, są oznakami takiego charakteru, jakiego wymaga posada dozorczy. Wszystkiego dwanaście słów do niego powiedział; Grimaud użył w odpowiedzi tylko czterech.

— Ot chłopak, jak się należy, odrazu się na nim poznałem — rzekł pan de Chavigny — idź i staraj się podobać panu de La Ramée, a powiedz mu, że mnie się spodobałeś pod każdym względem.

Grimaud odwrócił się i poszedł wytrzymać egzamin pana de La Ramée, o wiele ściślejszy, niż jego zwierzchnika. Ten bardzo trudny był w wyborze; wiedział, że pan de Chavigny może się na niego zdać, chciał zatem dobrać sobie pomocnika, równie wiernego, jak sam, któryby go mógł godnie przy księciu zastąpić.

Grimaud posiadał właśnie zalety, mogące oczarować policjanta, pragnącego posiadać podwładnego. Zadawał mu tysiące pytań; otrzymał tylko cztery odpowiedzi. Pan La Ramée, podbity do reszty małomównością Grimauda, zatarł ręce z ukontentowania i przyjął go do służby.

— Co mam robić? — zapytał Grimaud.

— Słuchaj: nie zostawiać nigdy więźnia samego, ode-

brać mu każde narzędzie ostre lub kolące, uważać, aby nie dawał znaków żadnych ludziom, przechodzącym lub przejeżdżającym, pilnować, aby nigdy długo nie rozmawiał ze strażą.

— To wszystko? — zapytał Grimaud.

— Jak na teraz, wszystko — odrzekł de La Ramée. — Gdyby co nowego się zdarzyło, otrzymasz inne rozkazy.

— Dobrze — odparł Grimaud.

I podszedł do księcia de Beaufort, który właśnie cesał sobie brodę. Zapuścił on ją umyślnie, nie strzygł także włosów. Na złość Mazariniemu, fanfaronował z nędzy swojej i mizernego wyglądu. Ponieważ jednak przed paru dniami, gdy przez okno fortecy poznał, jak mu się zdawało, w głębi karety piękną panią de Montbazon, a wspomnienie jej drogie mu zawsze było, zapragnął też lepiej dla niej wyglądać, niż dla Mazariniego. Zażądał zatem grzebienia ołowianego, nie odmówiono tej niewinnej fantazji.

Chciał zaś dlatego grzebienia z ołowiu, ponieważ, jak wszyscy blondyni, zarastał na twarzy rudawo; czernił zatem brodę, czesząc się.

Grimaud, wszedłszy, spostrzegł zaraz grzebień, położony przez księcia na stole; wziął go, kłaniając się nisko. Książę spojrział zdziwiony na tę oryginalną osobistość. Osobistość zaś włożyła grzebień do kieszeni.

— Hola!... co to jest?... — zawołał książę — cóż to za nowy głupiec?

Grimaud nie odpowiedział, lecz ukłonił się po raz drugi.

— Czyś ty niemowa?... — krzyknął książę.

Grimaud zaprzeczył głową.

— Coś ty za jeden?... odpowiadaj... rozkazuję ci — rzekł książę.

— Dozorca!... — odparł Grimaud.

— Dozorca!... — krzyknął książę — brakowało tylko jeszcze takiego gamonia w mojem otoczeniu. Hola, La Ramée, chodź tu!

La Ramée przybiegł. Właśnie chciał zrobić wycieczkę do Paryża, spokojny o więźnia pod strażą Grimauda, a tu książę zawrócił go z drogi.

— Co się stało, czego księciu panu potrzeba? — zapytał.

— Cóż to za błazen, co mi grzebień zabiera i chowa do kieszeni?... — zapytał de Beaufort.

— Strażnik twój, miłościwy panie, chłopak bardzo zdolny, pełen przymiotów. Spodziewam się, że go ksiązę w końcu oceni, jak to już się stało z mną i panem de Chavigny.

— Dlaczego on mi grzebień zabiera?...

Grimaud wy dostał z kieszeni nieszczęśliwy grzebień, podniósł do góry i, kładąc palec na zębie, wymówił jedno tylko słowo:

— Śpiczasty.

— To prawda — rzekł La Ramée.

— Co powiedział ten bydlak?... — zapytał ksiązę.

— Że wszelkie narzędzie ostre lub kolące, jest księciu przez króla wzbronione.

— Czyś oszalał, La Ramée? — zawołał ksiązę — przecież sam mi dałeś ten grzebień.

— I bardzo źle czyniłem, mój ksiązę, postąpiłem wbrew otrzymanym rozkazom.

Ksiązę spojrział wściekły na Grimauda, który już oddał grzebień swemu zwierchnikowi.

— Wiem naprzd, że ten bałwan nigdy mi się nie spodoba — mrucał de Beaufort.

O! bo w więzieniu niema uczuć pośrednich; ludzie, czy przedmioty, są przyjemni lub nieznośni, albo się kocha gorąco, lub nienawidzi okrutnie, — niekiedy z przekonania, lecz częściej instynktownie.

Dla tej prostej przyczyny, że Grimaud od pierwszego spojrzenia zyskał zaufanie pana de Chavigny i La Ramée, przymioty jego tem samem musiały nie spodobać się panu de Beaufort.

Grimaud jednak nie myślał od początku zaraz zdradzić się przed księciem; do jego celów potrzebna mu była nie jakaś tam antypatja nieuzasadniona, lecz prawdziwa i uparta nienawiść. Usunął się zatem, pozostawiając księcia pod strażą czterech żołnierzy, którzy właśnie wrócili ze śniadania.

Ksiązę ze swej strony nie próżnował; obmyślił nową sztuczkę, ciesząc się zawczasu, z efektu, jaki sprawi. Rozkazał, aby mu podano jutro na śniadanie raki, a tymczasem pracował dzień cały nad zrobieniem i ustawieniem na środku pokoju małej szubieniczki.

Zamierzał najpiękniejszego raka na niej powiesić, a kolor czerwony wiszącej ofiary każe się wszystkim domy-

śleć aluzji. Tym sposobem będzie miał przyjemność obwieścić kardynała choć pod przenośnią, zanim będzie powieszony rzeczywiście, a nikt przecie nie zarzuci, że uczynił coś innego, jak tylko to, że raka powiesił.

Cały dzień poświęcił przygotowaniom do egzekucji. W więzieniu ludzie dziecinnieją!... a pan de Beaufort miał bardziej, niż kto inny, podatne po temu usposobienie. Spacerował tedy, jak codziennie, uzbierał kilka gałązek, a szukając dokoła, znalazł kawał szkła stłuczonego, co go niezmiernie ucieszyło. Powróciwszy do siebie, podarł chusteczkę od nosa w cienkie paseczki. Wszystko to nie uszło wzroku Grimauda.

Nazajutrz rano szubienica stanęła w całej okazałości; aby ją jednak ustawić na środku pokoju, pan de Beaufort musiał zaostrzyć podstawę kawałkiem szkła znalezionej.

La Ramée patrzył z ciekawością ojca, chcącego odgadnąć nową zabawkę dzieci swoich, a czterech strażników spoglądało z minami znudzonemi i bezmyślnemi, jakie w owym czasie charakteryzowały żołnierzy, podobnie jak i dzisiaj zresztą.

Grimaud wszedł właśnie w chwili, gdy ksiązę położył szkiełka na stole; chociaż nie skończył zaostrzać podstawy, pragnął już sznurek zaczepić u góry. Spojrzył na Grimauda z marszem, lecz ponieważ naprzód już cieszył się swoim conceptem, nie zwracał na niego uwagi.

Gdy jednak przywiązał sznurek jednym końcem, a na drugim zrobił pętlicę wspaniałą, gdy już wybrał wzrokiem najpiękniejszego raka ze znajdujących się na półmisku, wyciągnął rękę po szkiełko i spostrzegł, że ono gdzieś znikło.

— Kto mi szkło zabrał?... — zapytał ksiązę, marszcząc brwi.

Grimaud skinął, że to on.

— Ty znowu!... dlaczegoś je zabrał?

— Tak, tak — dodał La Ramée — dlaczego zabrałeś szkło jego książecej mości?

Grimaud, który trzymał szkło w ręku, pociągnął palcem po brzegu i rzekł:

— Ostre.

— Ma rację, mój ksiązę — rzekł La Ramée. — A!... cóż za skarb zdobyliśmy w tym chłopaku.

— Panie Grimaud — rzekł ksiązę — proszę cię w two-

im własnym interesie, staraj się zawsze znajdować jak najdalej od mojej pięści.

Grimaud skłonił się nisko i poszedł w kątek pokoju.

— No, nie martw się, książę — odezwał się La Ramée — daj mi tę szubieniczkę, zaostrzę ci ją nożem.

— Ty?... — zawołała książę ze śmiechem.

— Tak, ja sam; wszakże to chciałeś pan zrobić?...

— Bezwątpienia.

— Prawdę powiedziawszy — dodał książę — to będzie jeszcze zabawniejsze. Masz... weź, kochany La Ramée.

La Ramée nie zrozumiał, co książę mówi, i zaostrzał z całych sił podstawę szubienicy.

— A teraz — odezwał się książę — proszę cię, mój kochany, wydlub dziurkę w podłodze, a ja przyniosę delikwenta.

La Ramée ukląkł na podłodze i skrobał dziurę. Przez ten czas książę powiesił raka na sznurku; potem ustawił szubienicę pośrodku pokoju i śmiał się na całe gardło. La Ramée śmiał się także serdecznie, sam dobrze nie wiedząc z czego, a żołnierze mu wtórowali. Grimaud tylko surową miał minę. Podeszedł do La Ramée i, wskazując palcem raka, wirującego na końcu sznurka, powiedział:

— Kardynał!...

— Powieszony przez jego wysokość księcia de Beaufort — ciągnął młody książę — i przez Jakóba - Chryzostoma La Ramée, członka policji królewskiej.

La Ramée wrzasnął okrutnie, rzucił się ku szubienicy, wyrwał ją z podłogi, połamał w drobne kawałki i cisnął za okno. Chciał to samo uczynić z niewinnym rakiem, tak bowiem oszalał z przerażenia, lecz Grimaud odebrał mu go z ręki.

— Smaczne do zjedzenia!... — wyrzekł i włożył raka do kieszeni.

Tym razem książę ubawił się szczerze całą sceną, przebaczył nawet Grimaudowi rolę, jaką odegrał w awanturze. Lecz w ciągu dnia, rozmyślając nad podejrzeniami nowego dozorca i przyznając w duszy, iż odgadł on jego intencje, tembardziej go znienawidził.

Pomimo to historia z rakiem rozniosła się szeroko — ku wielkiemu zmartwieniu La Ramée. I nawet wielkim powodzeniem cieszyła się wewnątrz fortecy. Pan de Cha-

vigny, który w duszy nienawidził kardynała, opowiedział anegdotkę kilku przyjaciółom, a ci nie omieszkali roznieść jej dalej. Wystarczyło to panu de Beaufort na pociechę przez dni kilka.

Książę upatrzył sobie pomiędzy strażą pewnego człowieka o miłej powierzchowności; starał się go skaptować i okazywał mu wyraźne względy, tembardziej, że coraz więcej nienawidził Grimauda. Otóż pewnego razu udało mu się odciągnąć na bok tego człowieka i mówić z nim sam na sam. Na to wszedł Grimaud, zobaczył, co się dzieje, zbliżył się z uszanowaniem do księcia i do strażnika i ujął tego ostatniego za rękę.

— Czego chcesz?... — zapytał książę ostro.

Grimaud pociągnął strażnika i drzwi mu pokazał.

— Wynoś się — powiedział.

Strażnik wyszedł.

— O!... tego już zawiele — krzyknął książę — nieznośny jesteś, muszę cię raz ukarać.

Grimaud skłonił się pokornie.

— Szpiegu podły!... — ciągnął książę — zaduszę cię własnymi rękami.

Grimaud z ukłonem cofał się ciągle.

— Nie będziesz długo czekał — dodał książę, sądząc, że lepiej raz z nim skończyć — zaduszę cię natychmiast.

Wyciągnął żylaste ręce do szyi Grimauda, który, nie myśląc wcale się bronić, wypchnął tylko strażnika i drzwi za nim zamknął.

W tej chwili poczuł żelazne objęcia doprowadzonego do ostateczności księcia; lecz i to nie obudziło w Grimaudzie chęci obrony; zamiast wołać na pomoc — położył palec wskazujący na ustach i z najmiłszym uśmiechem, na jaki się zdobyć był w stanie, wyrzekł półgłosem:

— Sza!...

Tak rzadko Grimaud posługiwał się maraz gestem, uśmiechem i słowem, że książę osłupiał ze zdziwienia i stanął, jak wryty.

Grimaud skorzystał z tego i wyjął coperdziej zza podszewki kaftana maleńki liścik z pieczętką arystokratyczną, który — pomimo długiego pobytu w ubraniu Grimauda — nie stracił wcale miłej woni, — i podał go księciu w milczeniu.

Książę, coraz bardziej zdziwiony, puścił Grimauda, złapał bilecik, a, poznając pismo, zawołał:

— Pani de Montbazon!...

Grimaud potwierdził skinieniem. Książę rozerwał kopertę, przetarł oczy, jak ośniony, i czytał co następuje:

„Kochany mój książę!

„Zaufaj nieograniczenie uczciwemu i wiernemu człowiekowi, który ci list ten odda, jest to bowiem służący pewnego pana wysokiego rodu, nam oddanego. Ręczy on za niego, bo wypróbował jego wierność przez lat dwadzieścia.

„Zgodził się wejść w służbę dozorca twego, zamknąć się z tobą w Vincennes, by ułatwić ci ucieczkę, nad którą pracujemy.

„Chwila oswobodzenia niedaleko: uzbrój się w cierpliwość i odwagę, pomnając, że przyjaciele twoi, choć cię nie widzą, jednak kochają cię i trwają w powziętych dla ciebie uczuciach“.

„Zawsze twoja i zawsze kochająca

Marja de Montbazon.

„P. S. Podpisuję całym imieniem i nazwiskiem, byłoby bowiem zarozumiałstwem nie do darowania przypuszczać, że po pięciu latach poznasz charakter mojego pisma“.

Książę czytał i nie rozumiał prawie, tak niespodzianie spadło to na niego. Od pięciu lat szukał wokoło siebie, nie mogąc znaleźć, służącego wiernego, pomocnika, przyjaciela—i oto w chwili, gdy najmniej się spodziewał, niebo zsyła mu go w osobie Grimauda. Patrzył na niego, to znów list odczytywał i nie był w stanie wyjść z podziwienia.

— O! zaona, kochana Marja!... szeptał — to ona była napewno w tej karcie naprzeciw więzienia! Więc myśli jeszcze o mnie po pięciu latach rozłączenia! Wielki Boże! takiej stałości niema chyba drugiej na świecie.

Potem zwrócił się do Grimauda:

— Ty zatem, poczciwy chłopaku, chcesz nam pomagać?

Grimaud przytaknął głową.

— Umyślnie dlatego tu przybyłeś.

Grimaud znak powtórzył.

— A ja niebaczny chciałem cię zadusić!... — zawołał książę.

Grimaud śmiać się zaczął.

— Ale, poczekaj-no, poczekaj...

I zaczął szukać po kieszeniach.

— Czekaj — ciągnął dalej, ponawiając niefortunne poszukiwania — niechaj nikt nie mówi, że poświęcenie dla wnuka Henryka IV nie zostało wynagrodzone.

Poszukiwania księcia de Beaufort świadczyły o najlepszych chęciach. Lecz w Vincennes starano się, aby więźniowie nie mieli przy sobie pieniędzy. Grimaud tedy, spostrzegłszy zaambarasowanie księcia, wyjął z kieszeni woreczek, pełen złota, i podał panu de Beaufort mówiąc:

— Oto jest, czego Wasza wysokość poszukuje.

Księżę rozwiązał worek i chciał wysypać złoto w rękę Grimauda; lecz Grimaud potrząsnął głową.

— Dziękuję Waszej wysokości — dodał — jam już zapłacony.

Księżę wpadł z jednej niespodzianki w drugą. Podał mu zatem rękę; Grimaud ucałował ją z uszanowaniem. Szlachetne ułożenie Athosa odbiło się na Grimaudzie.

— A obecnie — zapytał księżę — co mamy robić?

— Teraz jest godzina jedenasta, niech Wasza książęca mość zażąda o drugiej, aby go wypuszczono na przechadzkę, niech przegra z jedną partję gry w piłkę z La Ramée i stara się koniecznie parę piłek przerzucić poza mur.

— Cóż potem?...

— Potem... księżę podejdzie pod mur i zawoła na robotnika, pracującego w fosach, żeby mu je odrzucił.

— Rozumiem — rzekł księżę.

Fizjognomja Grimauda rozpromieniła się radością, że już nie potrzebuje mówić. Tak odwykl od wyrażania myśli słowami, że mu to okrutną sprawiało przykrość.

Odwrócił się i chciał wyjść.

— Zaczekaj-no — rzekł księżę — więc stanowczo nie przyjąć nie chcesz?

— Pragnąłbym jednej tylko obietnicy od księcia.

— Jakiej? mów.

— Gdy będziemy uciekać, ja zawsze i wszędzie będę szedł naprzód; jeżeli bowiem złapią księcia, to najwyżej zawrócą go do więzienia, gdy zaś mnie pochwyć, mnie, biednego pachołka, czeka mnie conajmniej szubienica.

— Święta prawda — rzekł księżę — daję ci słowo szlacheckie, że tak będzie, jak żądasz.

— To pozostaje mi tylko — odezwał się Grimaud — prosić księcia, aby mnie i nadal nienawdził.

— Postaram się — rzekł książę.

Zastukano do drzwi...

Książę schował list i woreczek do kieszeni i rzucił się na łóżko. Wiedziano, że to była jego rozrywka jedyna, gdy bardzo się nudził.

Grimaud poszedł otworzyć; był to La Ramée, który wracał od kardynała z posłuchania, o jakim wspominaliśmy. La Ramée spojrział badawczo dokoła, a, spostrzegłszy zawsze te same oznaki antypatji między więźniem i dozorcą, uśmiechnął się z zadowoleniem. Następnie zwrócił się do Grimauda.

— Dobrze, przyjacielu — powiedział — bardzo dobrze się sprawujesz. Rozmawiano właśnie o tobie w pewnym miejscu; niedługo, mam nadzieję usłyszysz nowinę, bardzo dla ciebie przyjemną.

Grimaud uklonił się, jak mógł najzgrabniej, i wyszedł z pokoju.

— Jak widzę, książę ciągle się jeszcze gniewa na biednego chłopaka?... — rzekł La Ramée, śmiejąc się rubasznie.

— Al to ty La Ramée?... — rzekł książę — na honor, dobrze, żeś powrócił. Rzuciłem się na łóżko, obróciłem nosem do ściany, by nie uledez pokusie i nie zdusić tego zbrodniarza Grimauda.

— Wątpię jednak — rzekł La Ramée, robiąc aluzję do zamilowania w milczeniu swego podwładnego — wątpię bardzo, czy powiedział waszej książęcej mości cośkolwiek niemilego.

— O to prawda!... to mruk nieznośny. Ale mój La Ramée, przysięgam, że mi już tęskno było do ciebie.

— Książę pan zanadto łaskaw — rzekł La Ramée, ucieiszony pochlebstwem.

— O, żebyś wiedział, mój kochany — ciągnął książę — czuję się dzisiaj tak ciężko i niezgrabnie, że pewno się ucieiszysz.

— Czy zagramy partyjkę w piłkę?... — rzekł La Ramée bezmyślnie.

— Jeżeli chcesz koniecznie.

— Jestem na rozkazy księcia.

— To znaczy, kochany La Ramée, że jesteś nieskończone-

nie przyjemny, że pragnąłbym zostać wiecznie w Vincennes i całe życie przepędzić w twojem towarzystwie.

— Jeżeli od kardynała zależeć będzie, życzenia księcia spełnią się niezawodnie.

— Skądże wiesz?... Czy widziałeś go teraz?

— Przesłał po mnie dziś rano.

— Doprawdy! czy rozmawiał o mnie?

— A o czemżeby mówił? Naprawdę, ksiączę jesteś zmorą kardynała.

Ksiączę uśmiechnął się gorzko.

— A!... — powiedział — gdybyś przyjął moje propozycje La Ramée!

— No, no, ksiączę, przestań mnie kusić, wiesz przecie, że się to na nic nie zda.

— La Ramée, mówiłem już i powtarzam, że cię uczynię magnatem.

— Jakim sposobem? Ledwieby ksiączę uciekł z więzienia, a jużby mu wszystkie majątki skonfiskowano.

— Gdybym tylko wydostał się z więzienia, rządziłbym natychmiast całym Paryżem.

— Sza! sza! na miłość Boską, czyż ja mogę słuchać czegoś podobnego?

— Nie mówmy więc już o tem... Kardynał wypytywał o mnie? La Ramée, gdy cię kiedy wezwie, odstąp mi swego ubrania. Zamiast ciebie, ja pójdę, zamorduję go i, na honor, jeśli mi postawisz ten warunek, powrócę napowrót do więzienia.

— Ksiączę, zmiłuj się, bo zawołam Grimauda.

— Przepraszam. Cóż ci powiedział ten parobek?

— Nie uważam już na wyrażenie księcia, ponieważ odpowiada ono ciężkiej pracy kardynała. Co mi powiedział? Kazał was strzedz pilnie.

— A to dlaczego znowu?... — rzekł ksiączę zaniepokojony.

— Jakiś astrolog przepowiedział, że ksiączę mu się wymknie.

— Astrolog przepowiedział?... — rzekł ksiączę, zadrżawszy mimowolnie.

— Ależ mój Boże! tak; na honor, ci głupi magicy nie wiedzą, co już wymyśleć na utrapienie pocziwych ludzi.

— Cóżes odpowiedział przewielebnemu kardynałowi?

— Odpowiedziałem, co czułem: że, jeżeli ten astrolog układa kalendarze, nie radzę mu ich sprzedawać.

— Dlaczego?

— Dlatego, że księżę musiałby przemienić się chyba w mysiego królika, który, jak wiadomo, jest najmniej-
szem zwierzątkiem.

— Masz rację, na nieszczęście!... Chodźmy grać.

— Miłościwy księżę, przepraszam bardzo Waszą ksią-
żęcą mość, lecz proszę mnie uwolnić na pół godziny.

— Cóż będziesz robił?

— Monsinior Mazarini o wiele dumniejszy jest od księ-
cia, choć nie jest tak wysoko urodzony; zapomniał zaprosić
mnie na śniadanie. Otóż muszę oznajmić, że pasztetnik,
który mieszkał naprzeciw twierdzy, a którego nazywano
ojcem Marteau, sprzedał przed tygodniem zakład swój pa-
sztetnikowi z Paryża, któremu doktorzy, jak powiadają, za-
lecili powietrze wiejskie.

— A cóż mnie to obchodzi?

— Cierpliwości, księżę; otóż ten pasztetnik ustroił wy-
stawę sklepu takimi przysmakami, że aż ślina do ust
idzie.

— A to z ciebie obżartuch!

— Przecież nie jest obżarstwem, gdy się lubi zjeść do-
brze. Leży to już w naturze ludzkiej szukać doskonałości
we wszystkim, a zatem i w pasztetach... W dodatku trze-
ba księciu wiedzieć, że ten łotr pasztetnik, gdym zatrzy-
mał się przed jego wystawą, wylaźł do mnie z pełną gębą
ciasta i przemówił: „Panie La Ramée, postaraj się dla
mnie o klientów w więzieniu. Nabyłem zakład od poprze-
dnika, bo mi zaręczał, że dostawiał jedzenie do twierdzy.
Tymczasem od ośmiu dni tu siedzę, a pan de Chavigny
nie kupił ode mnie nawet tartynek“.

— „Zapewne dlatego — odpowiedziałem mu — że pan
de Chavigny wątpi, czy pańskie wyroby są dobre“.

— „Niedobre! moje pasztety niedobre! no, panie La
Ramée, spróbuj zaraz i sam osądź“.

— „Nie mogę, odpowiedziałem, muszę koniecznie wra-
cać do zamku“.

— „Niechże pan idzie, kiedy tak trzeba, ale proszę po-
wrócić za pół godziny“.

— „Za pół godziny?...“ — zapytałem.

— „Tak. Czy pan już po śniadaniu?“

— „Nic w gębie nie miałem, słowo daję“.

— „Zatem czekam na pana z pasztetem i butelką starego burgunda“. Teraz książę rozumie, że, ponieważ naczczu jestem, chciałbym za pozwoleniem Waszej wysokości...

Tu La Ramée uklonił się.

— Idź — rzekł książę — lecz pamiętaj, że uwalniam cię tylko na pół godziny.

— Czy mogę obiecać, że książę pan będzie kupował u sukcesora ojca Marteau?

— Możesz, możesz, tylko niech nie kładzie grzybów do swoich pasztetów; wiesz najlepiej — dodał książę — że grzyby z lasu vinceńskiego zabójcze są dla mojej rodziny.

La Ramée wyszedł, nie zwracając uwagi na aluzję, a w pięć minut potem ukazał się oficer straży niby dla dostrzymywania księciu towarzystwa, rzeczywiście zaś, aby — według rozkazu kardynała — nie spuszczać więźnia z oczu ani na chwilę.

Jednak przez pięć minut samotności książę zdążył przeczytać bilecik pani Montbazon, który go przekonał, że przyjaciele pamiętają o nim i zajmują się wyzwoleniem go z drapieżnych rąk kardynała. Nie wiedział, jakim to się stanie sposobem, postanowił jednak, że zmusi Grimauda do mówienia; teraz pokładał w nim o tyle większe zaufanie, że, zdając sobie sprawę z celu jego postępowania, pojmował już, dlaczego prześladował go ciągle. Zrozumiał, że tym sposobem chciał odwrócić podejrzenie straży więziennej. Nabral tedy wielkiego wyobrażenia o rozumie Grimauda i postanowił zaufać mu całkowicie.

ROZDZIAŁ XXI

CO SIĘ ZNAJDOWAŁO WEWNĄTRZ PASZTETU, SPORZĄDZONEGO PRZEZ NASTĘPCĘ OJCA MARTEAU?

Po upływie pół godziny La Ramée powrócił wesóły, promieniejący; znać było, że jadł dobrze, a pił jeszcze lepiej. Pasztet był doskonały a wino znakomite.

Pogoda przesłiczna wróżyła dobrą partję gry: w Vincennes grywano w piłkę na świeżem powietrzu. Bardzo zatem łatwo było księciu wykonać polecenie Grimauda — to jest przrzucać piłki do rowu.

Do samej godziny drugiej książę grał dosyć zręcznie, choć przegrywał nieustannie, co usprawiedliwiał po części zły niby humor; w umówionym czasie za to popełniał już jeden błąd za drugim.

Nareszcie wybiła druga; piłki zaczęły latać w stronę parkanu i wpadać do rowu, co niesłychanie cieszyło La Ramée, który znaczył piętnaście punktów za każdym przrzuceniem poza ogrodzenie. Niezadługo zabrakło piłek do gry, wszystkie leżały w rowie.

La Ramée proponował, aby posłać i kazać pobierać. Książę bardzo logicznie dowodził, że szkoda czasu, — i, zbliżywszy się do muru, conajmniej pięćdziesiąt stóp wyniesionego ponad fosę, ujrzał człowieka, zajętego uprawą ogródka, jakie chłopci okoliczni zasiewali na stokach wałów fortecznych.

— Hola! przyjacielu!... — zawołał książę.

Chłop podniósł głowę do góry, a książę o mało nie krzyknął z podziwu. Ten robotnik w chłopskiem ubraniu, ten niby ogrodnik był to Rochefort we własnej osobie,

Rochefort, o którym książę myślał, że zamknięty jest w Bastylji.

— Co się tam stało na górze?... — zapytał robotnik.

— Bądź tak dobry, pozbieraj i odrzuć nam piłki — rzekł książę.

Robotnik kiwnął głową i zabrał się do ciskania piłek, a La Ramée i straż zbierali je skwapliwie. Jedna upadła przy nogach księcia, widocznie dla niego przeznaczona, podniósł ją i schował do kieszeni. Następnie podziękował ukłonem ogrodnikowi i wrócił do zaczętej partji.

Widocznie jednak księciu szczęście nie służyło, piłki latały bez celu, kilka wpadło do fosy, a ponieważ ogrodnika nie było już, aby je przerzucał, stracone zostały dla grających. Nareszcie książę oznajmił, że dosyć ma tej rozrywki, wstydzi się swej niezręczności i nie myśli grać dłużej. La Ramée zabrał ubranie księcia, niby dla oczyszczenia z kurzu, a w rzeczywistości, aby się upewnić, że nie wyjdzie z pokoju. O! La Ramée był bardzo przezorny.

Na szczęście książę zdążył ukryć piłkę w pościeli.

Skoro tylko sam został, rozdarł ją zębami, nie zostawiono mu bowiem żadnego ostrego narzędzia: do jedzenia używał noży z ostrzem srebrnym, gnącem się i kruchem. Wewnątrz w piłce był list następujący:

„Miłościwy książę, przyjaciele twoi czuwają, godzina oswobodzenia bliska: zażądaj, aby ci pojutrze przyniesiono pasztet od nowo-nabywcy sklepu naprzeciw fortecy, którym jest Noirmont, twój wierny marszałek dworu: nie otwieraj pasztetu, aż sam zostaniesz; spodziewam się, że zawartość jego ucieszy cię niesłychanie.

„Twój wierny i oddany sługa, czy to w Bastylji, czy gdziekolwiek indziej

„Hrabia de Rochefort“.

„P. S. Niech Wasza książęca mość zaufa Grimaudowi: wierny to i wypróbowany człowiek, a oddany nam duszą i ciałem“.

Odkąd książę de Beaufort zaprzestał malowania, pozwolono mu palić na kominku; wstał też i tak samo, jak to już zrobił z listem pani Montbazon, spalił i kartę, przeczytaną obecnie. Zamierzał i piłkę w ogień wrzucić, lecz wspomniawszy, że może posłużyć dla dania odpowiedzi Roche-

fortowi. Strzeżono go pilnie: ledwie skończył, a ukazał się La Ramé.

— Czy ksiązę czego potrzebuje?... — zapytał.

— Zimno tu strasznie, musiałem ogień poprawić. Wiesz przecie, mój kochany, że pokoje twierdzy Vinceńskiej sławne są z chłodu. Możliwy w nich lód przechowywać, a na ścianach saletra osiada. Komnaty, w których życie zakończyli: Puylaurens, marszałek d'Ornano i wielki jałmużnik, mój wuj rodzony, warte są tyle, co arsenik, jak mówiła pani de Rambouillet.

Książę podszedł napowrót do łóżka i wsunął piłkę pod siennik. La Ramée uśmiechnął się smutnie. W gruncie przywiązał się serdecznie do więźnia i pragnął, by go nie złego nie spotkało.

A przecież nie mógł zaprzeczyć temu, co książę mówił, trzy osoby, o jakich wspominał, zginęły tu nieszczęśliwie.

— O książę — powiedział — nie trzeba myśleć o tem... Takie myśli właśnie trują, a nie saletra...

— Pocziwiec z ciebie, mój drogi — rzekł książę — gdybym tak mógł wyjść, zjeść pasztet i popić dobrym burgundem u następcy ojca Marteau, toby mnie trochę rozweseliło.

— To prawda, Wasza wysokość, pasztety są doskonałe, a wino, jak niema drugiego.

— W każdym razie — odparł książę — ani piwnica, ani kuchnia jego nie są więcej warte, jak pana Chavigny.

— O cóż chodzi Waszej książęcej mości — rzekł La Ramée — nikt przecie nie broni przekonać się... a nawet obiecałem mu...

— Masz rację, mój drogi, jeżeli mam tu pozostać przez całe życie, jak to Mazarini łaskawie powiada, muszę sobie na stare lata znaleźć pociechę, zrobię się koniecznie smakoszem...

— Mości książę — przerwał La Ramée, usłuchaj dobrej rady, nie czekaj z tem starości.

— Dobrze — rzekł do siebie de Beaufort — hojne niebiosy uposażyły każdego śmiertelnika jednym z grzechów śmiertelnych, a czasem i kilkoma, aby w danej chwili upadł bezpowrotnie; otóż okazuje się, że mój La Ramée podlega obżarstwu i to go zgubi. Skorzystajmy zatem z tej pięty Achillesowej.

Następnie odezwał się głośno:

— Zdaje mi się, kochany La Ramée, że pojutrze jest święto jakieś?

— Tak, książę, Zielone Świątki.

— Czy zechciałbyś mi udzielić pojutrze pierwszej lekcji?

— Czegóż to?

— Obżarstwa.

— Najchętniej, mości książę.

— Lecz będziemy we dwóch jedynie, nie lubię świadków. Odeślemy straż całą na obiad do kuchni pana de Chavigny, a tutaj sprawimy sobie ucztę, którą sam zadysponujesz.

— Hm! hm!... — mruknął la Ramée.

Trudno się było oprzeć podobnej propozycji, a choć kardynał różnie myślał o swoim podwładnym, stary to był wróbel, nie dał się łapać na plewę i znał wybiegi i zasadzki więźniów...

Powiadano, że pan de Beaufort obmyślił czterdzieści sposobów ucieczki z więzienia... Kto wie, może i tu była zasadzka?

Rozmyślał przez chwilę i przyszedł do wniosku, że może śmiało obstalować jedzenie i wino, przecież ani proch ani trucizna nie wejdzie do więzienia razem z kolacją. Może książę ma zamiar upoić go? — śmiech go porwał na samą myśl, tak pewien był swej głowy... w dodatku on to wszystko urządzi i zabezpieczy się doskonale...

Książę śledził niespokojnie myśli towarzysza, malujące się wyraźnie na jego fizjognomji; nakoniec twarz godnego policjanta rozpogodziła się zupełnie.

— No cóż, zgadzasz się?... — zapytał książę.

— Tak, Wasza wysokość, lecz pod warunkiem...

— Pod jakim?

— Grimaud będzie nam usługiwał.

Tego właśnie pragnął książę. Jednak znalazł tyle mocy nad sobą, że skrzywił się okrutnie.

— Niech djabli porwą twego Grimauda, popsuje mi całą uciechę.

— Rozkażę mu stać poza Waszą ksząjącą mością, a ponieważ milczący jest, jak ryba, ani go książę będzie widział, ani słyszał... może księciu zdawać się, że go niema wcale, że o sto mil się znajduje.

— Mój kochany, widzę z tego wszystkiego, że mi nie dowierzasz.

— Mość ksiązę, przecież pojutrze Zielone Świątki.

— Cóż mnie obchodzą Zielone Świątki? Boisz się, aby Duch Święty nie zstąpił z nieba i nie otworzył drzwi mego więzienia?

— Nie obawiam się tego, lecz opowiadałem przecie księciu, co ten przekłety astrolog przepowiedział.

— Cóż takiego mówił, nie pamiętam.

— Że w tym dniu Wasza książęca mość opuści Vincennes.

— O głupcze, to ty wierzysz astrologom?

— Ja nie dbam o nich, ale Monsinior Gulio obawia się; jako włoch rodowity, bardzo jest przesądny.

Ksiązę wzruszył ramionami.

— Niechże się stanie, jak pragniesz — dodał z doskonale udaną obojętnością — zgadzam się na Grimauda, kiedy inaczej być nie może, lecz tylko na jednego Grimauda, nie chce nikogo więcej. Zajmij się sam wszystkim, obstaluj śniadanie, jakie chcesz, jedyną potrawą, jaką ja mieć pragnę, jest pasztet, o którym mi mówiłeś. Powiedz, że to dla mnie, niech następca ojca Marteau wysili całą swą umiejętność, a w nagrodę będę u niego brał jedzenie nie tylko przez czas pobytu w więzieniu, lecz i wtedy, gdy się stąd wydostanę.

— Ksiązę nie może się pozbyć nadziei, że się stąd wydostanie? — rzekł la Ramée.

— Ma się rozumieć, choćby wtedy, gdy Mazarini umrze; piętnaście lat młodszy przecie jestem od niego. Prawda i to — dodał z uśmiechem, — że w Vincennes żyje się prędzej...

— Mości ksiązę — przerwał La Ramée — co mówisz?...

— Lub wcześniej się umiera, co na jedno wychodzi.

— Mości ksiązę — rzekł La Ramée — idę zadysponować śniadanie.

— Sądziś zatem, że nauczysz mnie pocieszać się dobrem jedzeniem?

— Mam tę błogą nadzieję, miłościwy panie — odparł La Ramée.

— Jeżeli zdążysz — mruknął pod nosem ksiązę.

— Co ksiązę mówi?... — zapytał la Ramée.

— Ksiązę powiada, że nie żałujesz pieniędzy kardynała,

który jest na tyle dobry, iż wziął na siebie koszty naszego utrzymania.

La Ramée zatrzymał się przy drzwiach.

— Kogo ksiązę pan życzy, abym tutaj przysłał?

— Kogo chcesz, byle nie Grimauda.

— Zatem oficera ze straży.

— Dobrze.

La Ramée wyszedł nareszcie. W pięć minut potem wszedł oficer; ksiązę zasiadł z nim do szachów, udając ogromne zajęcie grą.

Umysł ludzki, to rzecz niezbadana; znak życia, dany przez przyjaciół, jedno słówko nadziei zmienia uczucia i przewrót niesłychany w nich czyni. Ksiązę od pięciu lat wegetował w więzieniu, a, gdy obecnie wspomniał o tym przeciągu czasu, który jednak powoli upływał, zdawało mu się, że nie był tak długi, jak te dwa dni, te czterdzieści ośm godzin, jakie go oddzielały od chwili ucieczki. Jedna rzecz jeszcze niepokoiła go okrutnie... W jaki sposób wszystko to się stanie?

Zrobiono mu nadzieję wolności, lecz nie powiedziano, co zawierać będzie pasztet tajemniczy. Którzy z jego przyjaciół oczekiwać go będą?... Posiadał zatem przyjaciół po pięciu latach niewoli? W takim razie był wyjątkowym człowiekiem.

Zapomniał, że oprócz przyjaciół, co jeszcze dziwniejsze było, kobieta pamiętała o nim; prawda, że nie była mu może skrupulatnie wierna, lecz zachowała go w pamięci, co także dużo znaczy.

Ksiązę był też bardzo roztargniony i grał w szachy zupełnie tak samo, jak w piłkę. Pan de Beaufort posuwał figury, jak senny, a oficer dawał mu maty jeden po drugim. Ksiązę pragnął się odgrywać i tak zeszedł czas aż do ósmej wieczorem; zabił więc trzy godziny — noc nadchodziła, a z nią sen i ukojenie. Tak myślał ksiązę, lecz sen jest kapryśny, nie przychodzi na zawołanie. Biedny więzień przewracał się z boku na bok, jak święty Wawrzyniec na ruszcie gorącym: usnął na koniec.

O brzasku zbudził się: dręczyły go sny fantastyczne. śnił, że skrzydła mu wyrosły. Wzleciał w górę, ucieszony wolnością, gdy raptem skrzydła pękają, a on spada w przepaść straszną i budzi się, zlany potem i złamany, jak gdy-

by upadł i potłukł się okrutnie. Usnął napowrót i znów upadł w labirynt snów niedorzecznych.

Zaledwie przymknął powieki, nowe widziadła dręczyć go zaczęły. Odnalazł przejście tajemne, prowadzące daleko poza Vincennes, wszedł tam, poprzedzony przez Grimauda z latarnią w ręku. Im dalej szli, korytarz się ścieśniał, nareszcie podziemie stało się tak wąskie, że kroku postąpić nie był w stanie, ściany kompletnie ścisnęły mu boki; szarpał się, rozpychał, wszystko napróżno; a jednak widział, że Grimaud ze światłem posuwa się naprzód. Chciał krzyknąć, wołać o pomoc, nie mógł głosu wydobyć. Wtedy z drugiej strony usłyszał pogoń, zbliżającą się szybko; odkryto zatem ucieczkę, stracona wszelka nadzieja. Ściany — w zмовie z jego wrogami — cisnęły coraz mocniej.

Nakoniec usłyszał głos La Ramée; następnie ujrzał go i poczuł ciężką jego rękę na ramieniu. La Ramée kazał go ująć i zaprowadzić do niskiej sklepionej izby, gdzie skończył życie marszałek Ornano, Puylaurens i wuj jego nieszczęśliwy. Trzy mogiły sterczały ponad podłogą, czwarta, świeżo wykopana, czekała na nieboszczyka.

To też, gdy po tym śnie strasznym książe się ocknął, wszelkimi sposobami starał się już nie zasnąć, a gdy nakoniec przyszedł La Ramée, zdziwił się, widząc księcia bladego i zmienionego, i zapytał, czy nie chory przypadkiem?

— Rzeczywiście — odezwał się strażnik, czuwający przy księciu w nocy, a nie mógł on zasnąć z powodu bólu zębów, — miłościwy książe miał noc niespokojną, a przez sen po kilka razy o pomoc wołał.

— Co się stało księciu panu?... — zapytał.

— Twoja to wina, głupcze jakiś, posądzasz mnie ciągle o chęć ucieczki, nabiłem sobie tem głowę, śniło mi się, że wyskakuję oknem i kark skręcam na miejscu.

La Ramée wybuchnął śmiechem.

— O, mości książe, przestroga to z niebios, dlatego też mam nadzieję, że książe tylko przez sen takie niedorzeczności popełniać będzie.

— Masz rację, pocziwy La Ramée — rzekł książe, ocierając czoło, złane potem — nie chcę już o niczem myśleć, jedynie o smacznem jedzeniu i dobrem picciu...

— Sza!... — rzekł La Ramée, kładąc palec na ustach, i pod rozmaitemi pozorami wyprawił strażników z pokoju.

— Cóż tam słyhać?... — zapytał księżę, gdy sami pozostali.

— Kolacja już zadysponowana.

— Dobrze — rzekł księżę — z czegoż się składać będzie?... opowiedz mi, mój intendencie.

— Wasza księżęca mość obiecał mi zaufać.

— A pasztet będzie?...

— A jakże, wielki, jak wieża.

— Zrobiony przez następcę ojca Marteau?...

— Tak zarządziłem.

— Powiedziałeś, że to dla mnie?...

— Powiedziałem.

— Cóż on na to?...

— Że zrobi jak tylko potrafi najlepiej, aby zadowolić Waszą księżęcą mość.

— Dobrze, dobrze! — rzekł księżę, zacierając ręce.

— Do licha! mości księżę — rzekł La Ramée — stałeś się tak prędko smakoszem; od pięciu lat nie widziałem księcia tak wesołego, jak w tej chwili.

Księżę poznał, iż nie umiał panować nad sobą, lecz Grimaud, jak gdyby słuchał pode drzwiami, wszedł właśnie do pokoju i skinął na La Ramée, że ma mu coś ważnego oznajmić. La Ramée odwrócił się, a Grimaud jął mu coś szeptać do ucha. Księżę tymczasem przyszedł do siebie i rzekł:

— Zabroniłem raz na zawsze temu człowiekowi przychodzić bez mego pozwolenia.

— Przebacz mu, księżę — rzekł la Ramée — to ja go wołałem.

— Pocoś go wołał, kiedy wiesz, że mi przykrość sprawia?...

— Przypominasz sobie księżę — odparł La Ramée — że on będzie nam usługiwał przy tej sławnej kolacji... Czy księżę i o kolacji zapomniał?...

— Nie, lecz zapomniałem na śmierć o Grimaudzie.

— Przecie księżę wie, że nie może być uczyty bez niego.

— Róbże zatem, jak ci się podoba.

— Zbliź się, chłopcze kochany — mówił La Ramée — i słuchaj, co powiem.

Grimaud podszedł z miną zasepioną. La Ramée zaczął:

— Miłościwy ksiązę uczynił mi ten zaszczyt, i zaprosił na kolację.

Grimaud zrobił znak, iż nie pojmuje, co go to obchodzić może.

— Ależ to cię bardzo obchodzi, — rzekł La Ramée — bo będziesz miał honor usługiwać nam przy stole; w dodatku, jeżeli pomimo dobrego apetytu i wielkiego pragnienia, pozostawimy resztki na półmiskach i w butelkach, to już te resztki tobie się dostaną.

Grimaud uklonił się na znak wdzięczności.

— A teraz przepraszam księcia — rzekł La Ramée — muszę już odejść. Pan de Chavigny wyjeżdża na dni kilka i kazał mi stawić się po rozkazy.

Ksiązę próbował zamienić spojrzenie z Grimaudem, lecz ten patrzył, nic nie widząc.

— Idź, idź — rzekł ksiązę do dozorca — idź i powracaj jak najprędzej.

— Czy ksiązę życzy sobie grać dzisiaj w piłkę?...

Grimaud nieznacznie skinął głową.

— Tak — rzekł ksiązę — strzeż się tylko, kochany La Ramée, bo nie zawsze Świętego Jana; z czego wypada, że mam postanowienie dać ci się dzisiaj we znaki.

La Ramée wyszedł, Grimaud przeprowadził go wzrokiem, chociaż figurą swą nie poruszył wcale. Nareszcie, gdy drzwi się zamknęły, wyjął szybko z kieszeni papier i ołówek.

— Pisz, mości ksiązę — powiedział.

— Cóż mam pisać?...

Grimaud dał znak palcem i dyktował:

„Wszystko gotowe na wieczór jutrzejszy, czuwajcie od siódmej do dziewiątej; przygotujcie dwa wierzchowce, spuścimy się pierwszym oknem wielkiej galerji“.

— Co dalej?... — zapytał ksiązę.

— Co dalej?... — podjął Grimaud zdziwony. — Trzeba podpisać.

— I to już wszystko?...

— Czegóż więcej potrzeba, miłościwy panie? — odparł Grimaud, który nie lubił nadmiaru słów.

Ksiązę położył swój podpis.

— Czy ksiązę zgubił piłkę?...

- Jaką piłkę?...
- Tę, co zawierała list?
- Nie... myślałem, że się przyda. Oto jest...
- Książę wyjął piłkę z pod poduszki i podał Grimaudowi, który, jak tylko potrafił, najmilej się uśmiechnął.
- Co z nią uczynisz?... — zapytał książę.
- Wpakuję w nią papier, a książę dziś przy grze, przrzuci ją do rowu.
- A jak przypadnie?...
- Nie bój się, książę, znajdzie się ktoś, co ją podniesie.
- Ogrodnik?...
- Grimaud kiwnął, że tak.
- Ten sam, co wczoraj?...
- Ten sam znak Grimauda.
- Hrabia de Rochefort zatem?...
- Grimaud po raz trzeci znak powtórzył.
- Mój drogi — rzekł książę — powiedz mi choć słów parę co do tego, w jaki sposób stąd się wymkniemy?...
- Nie wolno mi — rzekł Grimaud — aż w chwili wykonania planu.
- Kto oczekiwać będzie poza fosą więzienną?...
- Nic nie wiem, mości książę.
- Powiedz mi przynajmniej, co będzie wewnątrz paszetu, jeżeli nie chcesz, abym zwarjował?...
- W paszecie będą dwa sztylety, sznur mocny i knebel.
- Dziękuję i rozumiem.
- Widzi książę że o wszystkim pomyślano.
- Weźmiemy dla siebie sztylety i linę — rzekł książę.
- A knebel wpakujemy w gębę La Ramée'emu — dodał Grimaud.
- Kochany Grimaud — rzekł książę — prawda, żeś małomówny, lecz, jak się odezwiesz, słowa twoje mają wartość szczerego złota.

ROZDZIAŁ XXII

PRZYGODY MARJI MICHON

Jednocześnie prawie, gdy księżę de Beaufort i Grimaud knuli zamiary ucieczki, dwóch konnych jeźdźców z jadącym w pewnem oddaleniu za nimi służącym wjeżdżało do Paryża przez ulicę Faubourg-Saint-Marcel. Byli nimi: hrabia de la Fère i wicehrabia de Bragelonne.

Młodzieniec po raz pierwszy przybywał do Paryża. Athosowi jednak obojętne było widocznie wrażenie, jakie sprawi na nim stara jego przyjaciółka, stolica, skoro na wstępie z tej strony mu ją pokazał. Bezwątpienia, najostatniejsza wioszczyna w Turenji przyjemniejszy miała wygląd — w porównaniu z Paryżem, jakim był ongi od strony wjazdu z Blois.

Athosa nie opuszczała teraz, jak i zawsze, mina pełna szlachetnej swobody i łagodności. Dobiwszy do Saint-Médard, Athos, który służył towarzyszeniowi podróży za przewodnika w tym labiryncie, wjechał w ulicę pocztową, z niej w ulicę l'Estrapade, dalej w Fosses-Saint-Michel i w Vaugirard nakoniec. Dostawszy się na ulicę Féron, przebyli ją do połowy, Athos spojrział w górę z uśmiechem i, wskazując ręką dom typowo mieszczański, rzekł do młodzieńca:

— Spójrz, Raulu, oto dom, w którym przeżyłem siedem lat najmilszych, a zarazem najstraszniejszych w życiu.

Młodzieniec z uśmiechem pokłonił się domowi.

Dwaj podróżni zatrzymali się przy ulicy du Vieux-Colombier, przed oberżą pod znakiem *Zielonego lisa*. Znał ją oddawna Athos. Sto razy najmniej przychodził tam

z przyjaciółmi, lecz dużo w niej zaszło zmian przez te lat dwadzieścia, dużo, począwszy od właściciela.

Podróźni oddali konie w ręce stajennych, a że bieguny szlachetnej były rasy, polecili, aby miano o nich staranie jaknajwiększe, aby oprócz słomy i owsa nic innego im nie dawano, a piersi i nogi ciepłym winem obmyto.

Dwadzieścia mil francuskich w ciągu dnia przebyli. Pomyślawszy najpierw o koniach, jako dobrzy kawalerzyści, — zażądali następnie dwóch pokojów dla siebie.

— Przebierz się, Raulu — odezwał się Athos — mam bowiem przedstawić cię komuś.

— Dzisiaj, panie?... — zapytał młodzieniec.

— Za pół godziny.

Młodzieniec zadowolił się ukłonem. Być może, iż Raul, mniej wytrwały na trudy, niż Athos, który wydawał się z żelaza, wolałby kąpiel w osławionej Sekwanie, a następnie wygodne łóżko, lecz, skoro hrabia de la Fère tak powiedział, jedyną myślą jego było posłuszeństwo.

— Ale, ale, Raulu, ubierz się starannie; zyczę sobie, abyś się podobał.

— Spodziewam się, panie, — odparł wesoło młodzieniec — iż nie o małżeństwo tu chodzi. Znasz przecie zobowiązania moje względem Ludwika.

Teraz z kolei Athos się uśmiechnął.

— Nie, uspokój się, — rzekł — jakkolwiek przedstawić cię mam kobiecie.

— Kobiecie?... — zagadnął Raul.

— Tak... i chciałbym nawet, abyś ją pokochał.

Młodzieniec spojrział na hrabiego z pewnym niepokojem, lecz, widząc wesołą twarz jego, prędko przyszedł do siebie.

— A ile ona może mieć lat?... — zapytał wicehrabia de Bragelonne.

— Drogę mój Raulu, wiedz o tem raz na zawsze, że takiego pytania nie zadaje się nigdy! Jeżeli na twarzy kobiety możesz wyczytać jej wiek, na cóż się pytać, a jeżeli nie możesz, to także daj pokój, bo popełnisz niedelikatność.

— Czy piękna?...

— Lat temu szesnaście uchodziła nie tylko za najładniejszą, lecz i za najpowabniejszą w całej Francji.

Odpowiedź ta powróciła spokój wicehrabiemu. Nie

mógł przecież Athos mieć widoków na niego i na kobietę ładną i pełną wdzięku przed szesnastu laty, to jest na rok przed jego przyjściem na świat. Oddalił się więc do swego pokoju i z całą zalotnością, tak przystojącą młodości, zastosował się do przepisów Athosa, czyli ubrał się, jak tylko można, do twarzy. Zresztą łatwe to było zadanie — wobec urody, jaką obdarzyła go natura.

Skoro się ukazał, Athos przyjął go z wyrazem ojcowskiego zadowolenia, jak niegdyś d'Artagnana, ale w danym wypadku zadowolenie to połączone było z uczuciem, pełnym tkliwości. Spojrzał badawczo na jego nogi, ręce i włosy, te trzy oznaki rasowości. Czarne włosy, równiutko nad czołem rozebrane, według mody ówczesnej, spływały w zwojach, okalając twarz jego matowej świeżości; rękawiczki łosiowe popielatego koloru, odpowiadającego barwie kapelusza, uwydatniały rękę delikatną i kształtną, a buciki tejże barwy, co rękawiczki i kapelusz, obciskały drobną, jak u dziesięcioletniego dziecka, nóżkę.

— No — szepnął — gdyby nie była dumna z niego, byłaby zbyt wybredna.

Wybiła trzecia po południu — godzina, właściwa dla wizyt. Wyruszyli obydwaj przez ulicę Grenelle; skierowali się ulicą Róż i zatrzymali przy ulicy Ś-go Dominika przed wspaniałym domem, ozdobionym w herby rodziny de Luynes.

— Tutaj — rzekł Athos.

Wszedł krokiem śmiałym i pewnym, oznajmiającym szwajcarowi, że kto tak wchodzi, ma prawo po temu. Stał na ganku i, zwracając się do oczekującego tam lokaja w pełnej liberji, zapytał, czy księżna de Chevreuse przyjmuje teraz i czy może przyjąć hrabiego de La Fère.

Za chwilę lokaj powrócił, mówiąc, że jakkolwiek księżna nie ma zaszczytu znać pana hrabiego de La Fère, prosi go jednakże, by wszedł. Athos udał się za lokajem, który przeprowadził go przez liczne salony i zatrzymał się na koniec przed zamkniętymi drzwiami. Athos dał znak wicehrabiemu de Bragelonne, aby pozostał na miejscu. Lokaj otworzył i zaanonsował pana hrabiego de La Fère.

Pani de Chevreuse, o której tak często mówiliśmy w powieści naszej o *Trzech muszkietarach*, nie mając sposobności wyprowadzenia jej na scenę, uchodziła jeszcze za kobietę bardzo piękną. W istocie, pomimo iż

miała już wtedy około czterdziestu kilku lat, wyglądała na trzydzieści ośm zaledwie; miała jeszcze te same piękne blond włosy, pełne życia i rozumnego wyrazu oczy, które tak często otwierała intryga, a miłość przymykała; postawę wieszczki, która widziana zdaleka sprawiała wrażenie tego samego dziewczęcia młodego, skaczącego wraz z Anną Austriacką przez rowy w Tuilerjach w roku 1625, co na tak długo pozbawiło koronę francuską spadkobiercy.

Znajdowała się w buduarze z oknem, wychodzącym na ogród. Pokój ten, według mody, wprowadzonej przez panią de Rambouillet, gdy wystawiła sobie pałac, był wybity adamaszkim błękitnym w róże ze złotymi liśćmi. Wielką to było zalotnością ze strony kobiety w wieku pani de Chevreuse przybywanie w buduarze takim, zwłaszcza, gdy, jak obecnie, napół leżała na szeszlunku z głową, wspartą na obiciu ściany.

Wszedł Athos. Miał na sobie fiołkowe ubranie aksamitne z takimiz pasmanterjami; sprzączki z palonego srebra, płaszcz bez haftu złotem; jedno fiołkowe pióro otaczało kapelusze.

W całej postawie wprowadzonej osobistości, zupełnie nieznannej pani de Chevreuse, było coś tak niezwykłego i wyniosłego, że powstała i wdzięcznym ruchem ręki dała mu znak, aby zajął przy niej miejsce. Athos, skłoniwszy się, usiadł. Odchodzącego już lokaja zatrzymał ruchem ręki.

— Pani — rzekł, zwracając się do księżnej — ośmieliłem się, choć nieznanemu, stawić się w jej domu i powiodło mi się, ponieważ raczyłaś mnie przyjąć. Ośmielałem się jeszcze prosić o pół godziny rozmowy.

— I owszem — odparła pani de Chevreuse z wdzięcznym uśmiechem.

— Lecz to jeszcze nie wszystko, pani. O! zuchwalec ze mnie wielki, wiem o tem! Rozmowa, o którą proszę, będzie we cztery oczy, i pragnąłbym bardzo, aby nam jej nie przerwano.

— Niema mnie w domu dla nikogo — odezwała się księżna do służącego. — Wyjdź.

Służący zniknął. Zapanowało chwilowe milczenie. Pierwsza księżna przerwała ciszę.

— Zaczynaj pan — rzekła z uśmiechem — czyż nie widzisz, że oczekuję z niecierpliwością?

— A ja, pani — odparł Athos — patrzę z zachwytem.

— Panie, sądzę, że jestem wytłumaczona, że pilno mi dowiedzieć się, z kim mówię. Niezaprzeczenie jesteś człowiekiem światowym, a jednak nie widziałam cię nigdy u dworu. Czy czasami z Bastylji nie wychodzisz?

— Nie, pani — odparł swobodnie Athos — lecz może być jestem na drodze, która do niej prowadzi.

— A! jeżeli tak, to powiedz mi pan, kto jesteś i odejdz, — odrzekła księżna żartobliwym, a jednocześnie czarującym tonem — bo już i tak dość skompromitowana jestem, nie należy kompromitować mnie więcej.

— Kto jestem, pani?... powiedziano ci moje nazwisko: hrabia de La Fère. Nie znałaś go nigdy. Niegdyś no siłem nazwisko inne, które prawdopodobnie obito ci się o uszy, lecz zapomniałaś je z pewnością.

— Powiedz mi je, panie.

— Niegdyś nazywałem się Athos.

— Athos?... — powtórzyła — niechże pan zaczeka!...

Przyłożyła obie ręce do czoła, jakby chciała przemóc mknące myśli.

— Pozwoli pani, bym jej dopomógł?... — zapytał Athos z uśmiechem.

— I owszem — odrzekła księżna, znudzona daremnym wysiłkiem — z przyjemnością.

— Athos żył w przyjaźni z trzema młodymi muszkietarami, którzy nazywali się: d'Artagnan, Porthos, i...

Tu się zatrzymał.

— I Aramis — żywo dodała księżna.

— I Aramis, tak właśnie — ciągnął dalej Athos — imię to nie wyszło jeszcze z pamięci pani?

— Nie; biedny Aramis! rozkoszny był z niego chłopiec, elegancki, dyskretny i ładne wiersze układał; zdaje mi się, iż nieszczególnie się wykierował.

— Jak najgorzej: został księdzem.

— A! co za nieszczęście!... — odezwała się pani de Chevreuse, bawiąc się od niechcienia wachlarzem. — Do prawdy, panie, dziękuję ci.

— Za co? pani.

— Żeś przywiódł mi to wspomnienie, jedno z najmiłszych z młodości mojej.

— Pozwolisz mi zatem, pani, iż drugie ci przywiode?

— Które ma z tamtem łączność?

— Tak i nie.

— Na honor — rzekła pani de Chevreuse — czy to o tej, do której pisywał z pod oblężonej Roszelli, aby przeszkodzić spiskowi, który knuto przeciw biednemu Buckinghamowi.

— Tak — rzekł Athos — zechce mi pani pozwolić, że będę o niej mówił?

Pani de Chevreuse popatrzała na Athosa.

— Dobrze — rzekła — z warunkiem jednak, że nie będziesz obmawiał jej zbyt często.

— Byłbym niewdzięczny, a niewdzięczność uważam nie za wadę, lub występki, lecz za zbrodnię.

— Ty, panie, niewdzięczny względem Marji Michon?... — odezwała się księżna, usiłując czytać w oczach Athosa. — Jakżeby to być mogło? Nigdy jej przecie nie znałeś.

— E! pani, kto to może wiedzieć. Przysłowie ludowe mówi, że nawet góra z górą się spotyka, a w przysłowiach ludowych często głęboka prawda spoczywa.

— O! panie, mówże dalej — żywo zawołała pani de Chevreuse, — pojęcie twe przechodzi, jak mnie zajmuje ta rozmowa.

— Zachęcasz mnie, pani, więc idę dalej. Owa kuzynka Aramis, ta Marja Michon, szwaczka bielizny, pomimo pospolitego swego stanowiska, miała najwyższe stosunki; najpierwsze damy dworu zwała przyjaciółkami, a królowa kobieta podwójnie dumna, jako austriaczka i hiszpanka, nazywała ją siostrą.

— Niestety!... — rzekła pani de Chevreuse z lekkim westchnieniem i drgnieniem brwi, sobie tylko właściwem — od tego czasu wiele zmian zaszło!

— Słusznie czyniła królowa, — ciągnął dalej Athos — gdyż ona była jej oddana do tego stopnia, iż służyła za pośredniczkę pomiędzy nią a bratem jej, królem Hiszpanji.

— Co dziś jest jej poczytywane za wielki występki.

— Do tego doszło — mówił dalej Athos — że kardynał, ten prawdziwy, pewnego pięknego poranku postanowił aresztować biedną Marję Michon i osadzić w zamku de Loches. Na szczęście — nie mogło się to odbyć w tak ścisłej tajemnicy; następstwa były przewidziane: gdyby



*Wiem, księżniczko — odpowiedział Winter, dotknął
ustami czola Henryki i szybko się oddalił.*



Faint, illegible text at the bottom of the page, possibly a caption or a page number.

Marja Michon została zagrożona, królowa miała doręczyć jej pewną książkę do nabożeństwa, oprawną w aksamit. Pewnego dnia książka nadeszła, przyniesiona przez księcia de Marsillac. Nie było czasu do stracenia. Szczęściem, iż Marji Michon i jej służebnie, imieniem Katty, ślicznie pasował strój męski. Pierwszej dostarczył książę stroju rycerskiego, drugiej — stroju pacholka, oddał im dwa dosoknałe konie i dwóch zbiegów wymknęło się z Tours, udając się w stronę Hiszpanji, drżąc na każdy szelest, jadąc bocznymi drózkami, bo nie śmiało głównych traktów się trzymać, i żądając gościnności, gdy nie napotkało oberży.

— Ależ doprawdy, co to wszystko znaczy?... — zawołała księżna, klasnąwszy rękami. — Byłoby to ciekawe, doprawdy... zatrzymała się.

— Bym śledził uciekające aż do kresu ich podróży?... — zagadnął Athos. Nie, pani, nie nadużyję chwil twoich, podążymy za nimi tylko do wioseczki w Limoussin, położonej pomiędzy Tulle i Angoulême, wioseczki zwanej Roche-l'Abeille.

Pani de Chevreuse krzyknęła ze zdziwienia, patrząc na Athosa z wyrazem takiego zainteresowania, że wywołała uśmiech na usta dawnego muszkietera.

— Chwilkę jeszcze cierpliwości, o pani! — ciągnął Athos — to, co mi pozostaje, jest jeszcze dziwniejsze od tego, co dotąd powiedziałem.

— Panie — przerwała mu pani de Chevreuse — czarownikiem chyba jesteś; wszystkiego się spodziewam; lecz coprawda... mniejsza o to, mów dalej.

— Tym razem dzień był długi i nużący, a chłód przejmujący; było to II-go października. W wiosce ani oberży, ani zamku nie było, a chaty wieśniaków ubogie i brudne. Marja Michon było osobką mocno arystokratyczną, jak jej siostra królowa, przywykła do perfum i cienkiej bielizny. Postanowiła więc prosić o gościnność w plebanji.

— O! mów dalej — rzekła księżna — powiedziałam panu, że na wszystko jestem przygotowana.

— Dwaj podróżni zastukali do drzwi; pora była spóźniona; ksiądz, który już się położył, zawołał, aby weszły. Weszły, bo domostwo nie było zamknięte. We wioskach takich panuje ufność i bezpieczeństwo. W pokoju

księdza paliła się lampa. Marja Michon, która była najpiękniejszym rycerzem na ziemi, uchyliła drzwi i, wsuwając główkę, poprosiła o gościnność.

— Chętnie, rycerzu młody — rzekł ksiądz — jeżeli porzestaniesz na resztkach mojej wieczerzy i połowie pokoju.

Podróżni naradzali się chwilkę; ksiądz dosłyszał wybuchy śmiechu, następnie pan, a raczej pani odpowiedziała:

— Dziękuję proboszczowi i przyjmuję.

— Wieczerażcie zatem i nie róbcie hałasu — odparł proboszcz — bo ja także pędziłem dzień cały i radbym wyspać się tej nocy.

Pani de Chevreuse przechodziła widocznie przez wszystkie stopnie wrażeń, poczynawszy od zdziwienia, skończywszy na osłupieniu.

— A potem?... pytała.

— Potem?... — rzekł Athos. — A! to najtrudniej mi chyba przyjdzie.

— Powiedz pan, powiedz, powiedz! Wszystko powie dzieć mi można. Zresztą, cóż mnie to obchodzić może, wszak to sprawa panny Marji Michon.

— Słusznie!... — zawołał Athos. Zatem Marja Michon spożyła wieczerzę wraz ze służącą, a potem według udzielonego sobie pozwolenia, weszła do pokoju, gdzie spoczywał gospodarz, a Katty rozłokowała się na fotelu w pierwszej izbie, gdzie wieczerzały.

— Panie — odezwała się pani de Chevreuse — chyba jesteś szatanem we własnej swojej osobie, nie pojmuje, skąd możesz znać te wszystkie szczegóły.

— Czarująca była kobieta z tej Marji Michon — mówił dalej Athos — jedna z tych istot frywolnych, którym bezustanku przechodzą przez główkę najdziwaczniejsze pomysły, istota stworzona, aby wszystkich nas wydać na potępienie. — Gdy pomyślała, iż gospodarz jej jest księdzem, przyszło zalotnicy do główki, że arcyzabawne miałyby wspomnienie na starość, gdyby się jej udało wydać księdza na potępienie.

— Hrabio — rzekła księżna — słowo honoru, przerasz mnie!

— Niestety!... — mówił znowu Athos — biedny księżyna nie był świętym Ambrożym, a powtarzam raz jeszcze, Marja Michon była istotą godną uwielbienia.

— Panie — zawołała księżna, chwytając Athosa za rękę — powiedz mi natychmiast, skąd znasz te szczegóły, albo poślę po mnicha i każę cię egzorcyzmować.

Athos roześmiał się głośno.

— Nic nad to łatwiejszego, pani. Pewien rycerz, także obarczony ważnym zleceniem, godzinę przedtem stanął przed plebanją, żądając gościnności, w chwili, gdy proboszcz, wezwany do chorego, opuszczał na całą noc nie tylko dom, lecz i wioskę. Sługa Boży, pełen zaufania dla gościa swego, zwłaszcza, że ten był szlachcicem, ustąpił mu domu, wieczerzy i pokoju swego. Więc nie u księdza, lecz u jego gościa Marja Michon przyjęła gościnność.

— A ten rycerz, ten gość, ten szlachcic, przed nią przybyły?

— To byłem ja, hrabia de la Fère — rzekł, powstawszy z ukłonem, pełnym szacunku, Athos.

Księżna osłupiała na chwilę, potem, wybuchając naraz śmiechem, rzekła:

— A! daję słowo! to bardzo pocieszne, ta szalona Marja Michon lepiej trafiła, niż się spodziewała. Siadajże, drogi hrabio, i opowiadaj dalej.

— A teraz przychodzi kolej na oskarżenie samego siebie. Mówiłem już, że sam byłem w drodze z poleceniem bardzo pilnym; o brzasku wyszedłem z pokoju cichutko, pozostawiając mego czarującego towarzysza, pogrążonego we śnie głębokim. W pierwszej izbie spała także, z głową, opartą o tył fotelu, służąca we wszystkim godna swej pani. Uderzyła mnie jej ładna twarzyczka; zbliżyłem się i poznałem małą Katty, którą przyjaciel nasz Aramis przy niej umieścił. Tym sposobem dowiedziałem się, że zachwycającą podróżną była...

— Marja Michon! — żywo przerwała mu księżna.

— Marja Michon — powtórzył Athos.

Wyszedłem z domu prosto do stajni, zastałem konia osiodłanego i pachołka, gotowego do drogi. Ruszyliśmy...

— I odtąd nigdy przez wioskę pan nie przejeżdżałeś? — gorączkowo pytała pani de Chevreuse.

— W rok potem, pani, odwiedziłem proboszcza. Zastałem go, mocno zdziwionego wypadkiem, którego nie pojmował zgoła. Na tydzień przedtem dostał kobiałkę z prześlicznym trzymiesięcznym chłopięciem oraz woreczek, pełen

złota, i bilecik, te tylko zawierający słowa: „11 października 1633 roku“.

— To była data tej dziwnej przygody? — rzekła pani de Chevreuse.

— Tak, lecz on nic pojąć nie mógł, tembardziej, że noc tę przepędził przy umierającym, a Marja Michon opuściła plebanję, zanim powrócił.

— Trzeba ci wiedzieć panie, iż Marja Michon, powróciwszy do Francji w roku 1643, kazała natychmiast zasięgnąć wiadomości o dziecięciu, gdyż, jako zbiegła, nie mogła go mieć przy sobie, lecz, gdy powróciła do Paryża, chciała je sama wychować.

— Jaką odpowiedź dał proboszcz? — spytał Athos.

— Że jakiś pan, którego nie znał, chciał się niem zajmując, biorąc na siebie odpowiedzialność za jego przyszłość, i uwiózł je z sobą.

— A! rozumiem teraz! Tym panem byłeś ty, ojciec!...

— Cyt! nie tak głośno, pani, on tam jest.

— Jest! — zawołała pani de Chevreuse, zrywając się z miejsca — jest tam, syn mój... syn Marji Michon tam jest! Chcę go ujrzeć natychmiast!

— Zastanów się, pani, iż on nie zna ani ojca, ani matki swojej — przerwał Athos.

— Zachowałeś tajemnicę i przyprowadzasz mi go, aby mnie uszczęśliwić. O! dzięki, dzięki ci, panie! — wołała pani de Chevreuse, ujmując jego rękę, aby złożyć na niej pocałunek — dzięki! Szlachetne masz serce.

— Przyprowadzam go, — rzekł Athos — usuwając rękę — abyś i ty także uczyniła coś dla niego, pani. Dotąd czuwałem nad wychowaniem jego i zrobiłem z niego, jak sądzę, skończonego szlachcica, lecz nadeszła chwila, w której znowu zmuszony jestem powrócić do życia tułaczego i najeżonego niebezpieczeństwami, jako człowiek, biorący udział w agitacji. Od jutra rzucam się w sprawę awanturniczą, gdzie zabity być mogę; wtedy ty jedna pozostajesz mu, aby go w świat wprowadzić, gdzie należne powinien mieć miejsce.

— O! bądź pan spokojny! — zawołała księżna. — Niestety tylko, że papiery moje spadły już teraz, nie mam żadnych wpływów, lecz wszystko, co mi zostało, do niego należy, a co się tyczy mienia i tytułu...

— Nie troszcz się o to, pani, przekazałem mu własność

ziemską Bragelonne, którą dostałem w spadku, dającą mi tytuł wicehrabiego i dziesięć tysięcy liwrow dochodu.

— Na moją duszę, hrabio, jesteś prawdziwym szlachcicem! lecz pilno mi ujrzeć naszego młodego wicehrabiego. Gdzież on jest?

— Tam, w salonie; przyprowadzę go tutaj, jeżeli pani pozwoli.

Athos postąpił ku drzwiom. Pani de Chevreuse wstrzymała go.

— Czy piękny? — spytała.

— Do matki swej podobny — odrzekł.

To mówiąc, otworzył drzwi i skinieniem przywołał młodzieńca, który się zjawił na progu.

Pani de Chevreuse nie mogła powstrzymać okrzyku radości, ujrawszy tak ślicznego kawalera, który przewyższał wszystkie nadzieje, jakie w swej dumie mogła wypieścić.

— Zbliź się, wicehrabio — odezwał się Athos — księżna de Chevreuse zezwala, abyś ucałował jej rękę.

Młodzieniec podszedł z wdzięcznym uśmiechem i z głową odkrytą, zgiąwszy kolana, ucałował rękę pani de Chevreuse.

— Panie hrabio — rzekł, zwracając się do Athosa — czy dlatego, aby oszczędzić moją nieśmiałość, powiedziałeś mi, że pani jest księżną de Chevreuse; — nie jestże to raczej Królowa?

— Nie wicehrabio — rzekła księżna, ujmując go za rękę i sadzając obok siebie, wpatrzona w niego oczami, błyszczącymi radością. Nie jestem królową, na nieszczęście, bo, gdybym nią była, miałbyś natychmiast wszystko, na co zasługujesz; lecz, słuchaj — kimkolwiek bądź jestem, powiedz mi, jaką karierę wybrać sobie pragniesz?

— Pani — przemówił młodzieniec głosem miłym i dźwięcznym — zdaje mi się, iż jedyną karierą dla człowieka szlacheckiego rodu jest wojskowość. Sądzę, iż pan hrabia, wychowując, sposobił mnie na żołnierza, i obiecał przedstawić w Paryżu komuś takiemu, któremu przyjdzie z łaską polecić mnie bratu Jego Królewskiej Mości.

— Rozumie się, młodzieńcowi, jakim jesteś; najlepiej przystoi służyć pod takim, jak on, dowódcą; lecz, co tu począć... osobiście nie bardzo dobrze z sobą jesteśmy, z przyczyny poróżnienia się pani de Mantbazon, mojej

świekry, z panią de Longueville; ale... ksiączę de Marsillac jest dawnym moim przyjacielem; on przedstawi naszego chłopca pani de Longueville, która da mu list polecający do brata swego, ksiączęcia królewskiego.

— Otóż wszystko składa się jak najlepiej — rzekł hrabia. — Mogę się tylko ośmielić prosić panią o jaknajwiększy pośpiech? Mam powody pragnąć, aby jutro wieczorem wicehrabia nie znajdował się w Paryżu.

— Panie hrabio, czy chcesz, aby wiedziano, że się nim zajmujesz?

— Może lepiej byłoby dla jego przyszłości, aby nie wiedziano, iż znałem go kiedykolwiek.

— A zatem! zostaw mi go, hrabio; pošlę po księcia Marsillaca, który szczęściem jest teraz w Paryżu, i nie dam mu spokoju, dopóki sprawa nie będzie załatwiona.

— Tak dobrze, księżno, tysiącne dzięki. Ja sam, mam dzisiaj kilka wizyt do złożenia, a około dziesiątej wieczorem, oczekiwać będę wicehrabiego w hotelu.

— Co robisz dziś wieczorem, hrabio?

— Zbieramy się u opata Scarron, do którego mam list, a tam spotkać się mamy z jednym z moich przyjaciół.

— Dobrze, ja sama wpadnę tam na chwilę; nie opuszczajże, hrabio, salonu aż zobaczysz się ze mną.

— A!... — westchnął zcicha Athos, całując jej rękę — gdybym był wcześniej wiedział, że Marja Michon jest istotą tak uroczą!

I odszedł, raz jeszcze westchnąwszy.

ROZDZIAŁ XXIII

OPAT SCARRON

Przy ulicy Tournelles, było mieszkanie, znane wszystkim lektykarzom i lokajom paryskim, jakkolwiek nie należało ono ani do pana wielkiego rodu, ani też do finansisty. Nie ucztowano w niem, ani nie grano tam nigdy, ani tańców zgoła nie wyprawiano. A jednak było to miejsce spotkań wielkiego świata, uczęszczał tam cały Paryż.

Mieszkanie to należało do małego Scarron. Tak można się było uśmieć u tego dowcipnego opata, znoszono tam tyle nowinek, nowinki te tak były komentowane, rozdrabiane, przeistaczane to w opowieści, to znowu w epigramaty, iż każdy pragnął spędzić godzinkę z małym Scarron, usłyszeć, co mówił, i roznieść, co powiedział.

Mały opat, który zresztą nigdy opatem nie był, a został nim dlatego jedynie, że posiadał opactwo, księdzem też nie był bynajmniej, natomiast był najzalatniejszym człowieczkiem w mieście Mans, które zamieszkiwał. Razu jednego — w karnawale — chciał ubawić nadmiernie poczciwe miasteczko, którego duszę stanowił; kazał więc służącemu, aby go wysmarował miodem, następnie rozpruł piernat i wsunawszy się wewnątrz, zrobił z siebie najpociesznieszego ptaka pod słońcem.

W tym dziwnym kostjumie począł składać wizyty przyjaciółom swoim i przyjaciółkom; zrazu wzbudził na ulicy osłupienie, potem pędzić za nim poczęto z krzykiem, wreszcie gmin obrzucił go obelgami, dzieci kamienie cisnąć poczęły tak, iż zmuszony był uciekać, ażeby uniknąć pocisków.

Gdy dostrzeżono ucieczkę, puściła się pogoń za nim,

łocząc go, gniotąc, rzucając nim na wszystkie strony; jedynem schroniskiem dla Scarrona stała się rzeka, w której nurty się rzucił.

Pływał, jak ryba, lecz woda była lodowata, Scarron był potem oblany, zimno go przejęło, dostawszy się więc na brzeg przeciwny, został tknięty paraliżem. Następnie zamieszkał w Paryżu, gdzie rozgłos jego był ustalony.

Kazał zbudować sobie krzesło własnego pomysłu i, gdy razu jednego złożył w niem wizytę królowej Annie Austriackiej, ta, zachwycona jego rozumem, zapytała, czy nie żąda jakiego tytułu.

— Tak, Wasza Królewska Mość, jeden jest tylko, którego najwięcej pragnę.

— Jakież to?... — zapytała królowa.

— Chorego Waszej Królewskiej Mości.

Został więc mianowany *chorym królowej*, z pensją piętnastu tysięcy liwrów. Od tej chwili, wolny od obaw na przyszłość, wiódł Scarron wesołe życie, trawiąc kapitał i dochody.

Razu pewnego wysłaniec kardynała dał mu do zrozumienia, iż źle robi, przyjmując pana koadjutora.

— A to dlaczego?... — zapytał Scarron — czyż nie jest on człowiekiem dobrze urodzonym?

— No tak, do licha!

— Przyjemnym?...

— Niezaprzeczenie.

— Rozumnym?...

— Na nieszczęście, aż zamadto.

— Dlaczegoż więc chcecie, abym przestał się z nim widywać?...

— Bo jest źle myślącym.

— Doprawdy?... — o kim źle myśli?...

— O kardynale.

— Co takiego?... — zawołał Scarron — wszak widuję się ciągle z panem Despréaux, który o mnie źle myśli, jakże więc chcecie, abym zerwał z panem koadjutorem, dlatego że tam o kimś myśli nietęgo?... niepodobna!

Na tem stanęło, a Scarron — przez zmysł przekory — jeszcze częściej widywał się z panem Gondy.

Rankiem, w dniu, o którym mówić zamierzamy, a który był ostatnim w kwartale, Scarron, według zwyczaju, posłał lokaja z kwitem do kasy, po wypłatę pensji, lecz od-

powiedziano mu, „że państwo nie ma już pieniędzy dla opata Scarrona“.

Gdy lokaj powrócił z tą odpowiedzią, Scarron miał właśnie wizytę księcia de Longueville, który ofiarował mu się z podwójną sumą, w stosunku do tej, jaką mu odjął Mazarini, lecz przebiegły paralytyk ani myślał przyjąć. Tak sobie poradził, że o czwartej po południu całe miasto wiedziało o odmowie kardynała. Nadmiar był to czwartek, dzień przyjęć u opata; tłumnie się tam zebrano, a w całym mieście aż gotowało się od tej nowiny.

Przy ulicy Ś-go Honorjusza spotkał Athos dwóch nieznanym mu szlachciców, jadących konno, jak i on z pacholkami z tyłu, w tę, co i on, drogę. Jeden z nich uchylił kapelusza i rzekł do niego:

— Czy uwierzysz pan, że ten tchórz Mazarini odjął pensję biednemu Scarron!...

— To dziwne — odparł Athos, oddając jeźdźcom ukłon.

— Widać, że jesteś uczciwym człowiekiem, panie — odezwał się ten sam, który pierwszy do Athosa przemówił — ten Mazarini to istny bicz boży.

— O!... panie, któż o tem nie wie?

I rozstali się, zamieniwszy ukłony.

— Dobrze się składa, iż zmuszeni jesteśmy być tam dzisiejszego wieczoru; oświadczymy nasze współczucie temu biedakowi — rzekł Athos do wicehrabiego.

— Lecz któż to ten pan Scarron, że cały Paryż porusza?... — pytał Raul — czy to jaki minister w niełasce?...

— O! nie, wicehrabio, jest to poprostu mały człowieczek z wielkim rozumem, który popadł w niełaskę kardynała za jakiś czterowersz na niego.

— A czyż szlachta układa wiersze?... — spytał Raul naiwnie — sądziłem, że to jej ubliża.

— Tak, zapewne, kochany wicehrabio — odrzekł ze śmiechem Athos — ale wtedy tylko, kiedy są nędzne; lecz, kto dobrze pisze, ten się jeszcze wsławia. Przykładem pan de Rotrou. Wszelako — dodał Athos, tonem zbawiennej rady — sądzę, iż lepiej nie tworzyć ich wcale.

— A zatem pan Scarron jest poetą?...

— Tak... i nie... zapomnij o tem, wicehrabio; uważaj na wszystko w tym domu; mów tylko gestami, a co najważniejsza, słuchaj dobrze.

— Dobrze, panie.

— Będziesz mnie widział wiele rozmawiającego z pewnym szlachcicem, należącym do moich przyjaciół: będzie to opat d'Herblay, słyszałeś nieraz o nim.

— Przypominam sobie, panie.

— Od czasu do czasu zbliżaj się do nas, jakby dla udziału w rozmowie, ale się nie odzywaj, a nawet nie słuchaj wcale. Ta komedja posłuży do tego, aby nam nie przeszkadzali natrętni.

— Dobrze, panie, wiernie spełnię twój rozkaz.

Athos poszedł najpierw złożyć dwie wizyty, a około siódmej skierowali się w stronę ulicy Tournelles. Ulica była zapchana lektykami, końmi i służbą. Athos utworował sobie drogę i wszedł wraz z Raulem.

Najpierwszą postacią, która wpadła mu w oczy, był Aramis. W szerokim zaś fotelu na kółkach, miękko wyślanym, pod baldachimem z materji, okryta kotarą z brokateli, trzepotała się mała figurka, dość jeszcze młoda, z twarzą, wesoło uśmiechniętą, blednącą czasami, lecz wyrażającą zawsze uczucie, dowcip i uprzejmość. Był to opat Scarron, wiecznie się śmiejący, drwiący, sypiący komplementami, pomimo że cierpiał bez przerwy.

Dokoła niego tłumnie cisnęli się panowie i damy.

Dwóch lokajów pełniło służbę w sposób dystyngowany.

Zobaczywszy Athosa, Aramis wyszedł na jego spotkanie, ujął go za rękę i przedstawił Scarronowi, który powitał nowego gościa uprzejmie i z szacunkiem, a z grzecznym dowcipem wystąpił do Raula.

Po upływie kilku minut, w przeciągu których Raul ochłonął z wrażenia i rozejrzał się w zgromadzeniu, rozwarły się drzwi i lokaj zaanonsował pannę Paulet. Athos dotknął lekko ramienia wicehrabiego.

— Przypatrz się tej kobiecie — rzekł — gdyż jest to osobistość historyczna; do niej to szedł król Henryk IV-ty, kiedy go zamordowano.

Raul zadrżał; od dni kilku podnosiła się przed nim zasłona, ukazując mu postacie bohaterskie; ta kobieta, młoda jeszcze i piękna, znała Henryka IV-go i rozmawiała z nim.

Każdy się cisnął do nowoprzybyłej, zawsze bardzo będącej w modzie. Była to kobieta wysoka, o kształtach wykwintnych i giętkich, z lasem włosów złocistych, jakie

uwielbiał Rafael, a Tycjan dawał swoim Magdalenom. Ten płowy kolor, a może wyższość, jaką nad innymi kobietami zdobyła, nadały jej imię Lwicy.

Dzisiejsze piękne panie francuskie, dążące do tego modnego tytułu, niechaj się dowiedzą, że on nie z Anglii pochodzi, lecz od ich pięknej rodaczki, panny Paulet.

Panna Paulet, pośród szmeru, jaki powstał na jej przybycie, przeszła prosto do Scarrona.

— I cóż, drogi mój opacie! — odezwała się z właściwym sobie spokojem — ubogi się stałeś?... dziś po południu wieść ta doszła nas u pani de Rambouillet; pan de Grasse nam o tem powiedział.

— Tak, lecz za to państwo stało się bogate, trzeba umieć poświęcić się dla kraju — odparł Scarron.

— Pan kardynał kupi sobie za piętnaście tysięcy liwrow na cały rok pomady i perfum — odezwał się ktoś z Frondy, w którym Athos poznał szlachcica, spotkanego na ulicy Ś-go Honorjusza.

— Lecz co Muza na to powie — dorzucił Aramis słodziutkim swoim głosem — Muza, która potrzebuje pożłaczanej mierności:

Si virgilio puer aut tolerabile desit

Hospitium, caderent omnes a crinibus hydri.

— Podoba mi się to!... — rzekł Scarron, podając panie Paulet rękę — lecz jeśli hydry już nie mam, pozostała mi jednak Lwica.

Każde słowo Scarrona było niezrównane tego wieczora. Jest to przywilej prześladowanych. Pan de Ménage aż skakał z radości. Panna Paulet udała się na zwykłe swoje miejsce, lecz zanim usiadła, z wysokości swej powiodła królewskim spojrzeniem po całym zgromadzeniu i na Raulu wzrok swój zatrzymała.

Utworzyły się dwie grupy, zupełnie oddzielne: jedna otaczała pana Ménage, druga zaś pannę Paulet. Scarron przebiegał od jednej do drugiej, kierując swoim fotelem na kółkach, pomiędzy tym ścisłym z taką zręcznością, jak sternik doświadczony kieruje łodzią na morzu najeżonym skałami.

— Kiedy porozmawiamy?... — zagadnął Athos Aramisa.

— Chwilkę jeszcze — odparł tenże — za mało jest jeszcze osób, moglibyśmy być zauważeni.

Znowu drzwi się otworzyły, i lokaj zaanonsował pana koadjutora. Wszyscy zwrócili się w tę stronę, bo imię tej osobistości poczynało być popularne. Athos poszedł za przykładem innych.

Znał tylko z nazwiska opata Gondy. Zobaczył młodego czarnego człowieczka, krzywego, krótkowidza, z rękami niezdatnymi do niczego, chyba, że do chwycenia za szpadę lub pistolet; na wstępie potknął się on o stół i o mały go nie przewrócił; mimo to wszystko jednak miał na twarzy wyraz wyższości i dumy.

Scarron zwrócił na miejscu i potoczył fotel ku niemu. Panna Paulet pozdrowiła go ręką.

— A co!... — odezwał się koadjutor, spostrzegając Scarrona, lecz wtedy dopiero, gdy się na niego natknął — popadłeś w niełaskę, opacie?...

Frazes ten był na porządku dziennym; sto razy powtórzony był tego wieczoru, a Scarron po raz setny musiał go odbijać konceptem: nie dziw, że zaciął się na chwilę.

— Pan kardynał Mazarini zechciał łaskawie o mnie pomyśleć — powiedział.

— Cudownie!... — wykrzyknął Ménage.

— Lecz jakże poczynać sobie będzie, aby nas nadał przyjmować?... — mówił dalej koadjutor. — Jeżeli dochody twoje zmniejszają się, będę zmuszony mianować cię kanonikiem katedralnym.

— O!... za nic w świecie — odparł Scarron — skompromitowałbym pana do reszty.

— Zatem masz jeszcze środki, o których my nie wiemy?...

— Zaciągnę pożyczkę u królowej.

— Ależ Jej Królewska Mość nic nie ma, coby do niej wyłącznie należało — odezwał się Aramis — wszak ona żyje pod prawem wspólnej własności?...

Koadjutor uśmiechnął się do Aramisa, i przyjacielsko kiwnął na niego palcem.

— Przebacz, drogi opacie — rzekł mu — spóźniasz się trochę, muszę ci zrobić podarek.

— Z czego?... — zapytał Aramis.

— Ze sznura do kapelusza.

Wszyscy zwrócili się w stronę koadjutora, który dobył z kieszeni sznur jedwabny osobliwszej formy.

— O!... to fronda!... — rzekł Scarron.

— Istotnie!... — odparł koadjutor — wszystko się teraz robi à la fronde. Polecam ci mojego rękawicznika, d'Herblay, on robi rękawiczki à la fronde; a tobie Scarron, mojego piekarza z nieograniczonym kredytem; piecze bułki wysmienite, także à la fronde.

Aramis wziął sznur i przywiązał do kapelusza. Tymczasem znowu zaanonsowano:

— Księżna de Chevreuse!...

Na odgłos tego imienia powstali wszyscy. Scarron potoczył się śpiesznie ku drzwiom. Raul pokraśniał. Athos dał znak Aramisowi, który się wsunął we framugę okna. Pośród pełnych szacunku powitań, jakiemi ją przyjęto, księżna szukała widocznie kogoś w towarzystwie. Dostrzegła nareszcie Raula i oczy jej zabłyśły; zobaczyła Athosa i posmutniała; ujrzała Aramisa we framudze okna i poza wachlarzem zrobiła lekko zdziwioną minkę.

— Ale, ale, — odezwała się, jak gdyby chcąc rozpędzić myśli, które ją pomimowolnie oblegały, — jakże się mie-wa biedny Voiture?... Czy nie wiesz czasem, Scarronie?...

— Jakto, pan Voiture chory — zapytał szlachcic, który rozmawiał z Athosem na ulicy Ś-go Honorjusza — co mu się stało?...

— Grał w karty, zapomniawszy rozkazać swemu służącemu, aby wziął dlań koszulę do zmiany, gdy przegra wszystko — rzekł koadjutor — z tej przyczyny zaziębił się i teraz jest umierający.

— Gdzież on jest?...

— E!... mój Boże!... u mnie. Wystawcie sobie, biedny Voiture uczynił ślub uroczysty, że nie będzie grać już nigdy. Po upływie trzech dni nie mógł już wytrzymać, wybiera się więc do arcybiskupstwa, abym go zwolnił z przysięgi. Niestety, byłem w tej chwili mocno zajęty ważnymi sprawami z zacnym radcą Broussel w głębi moich apartamentów; Voiture spostrzegł zaraz przy stoliku do gry markiza Luynes, oczekującego na partnera. Markiz woła nań i zaprasza do partji. Voiture odpowiada, że nie może, dopóki nie zwolnią go z przysięgi. Luynes występuje w moim imieniu i grzech bierze na siebie; Voiture siada do stołu i przegrywa czterysta talarów, wyszedłszy, zaziębia się i kładzie, aby więcej nie powstać.

— Więc rzeczywiście w takim jest kochany Voiture

niebezpieczeństwie?... — zapytał Aramis, napóć ukryty za firanką okna.

— Niestety!... — odparł pan Ménage — bardzo jest niedobrze, i bardzo być może, iż opuści nas ten wielki człowiek, *deseret orbem*.

— A to dobre sobie!... — cierpko odezwała się panna Paulet — on miałby umrzeć!... nie głupi! Otoczony jest sułtankami, jak turek jaki. Pani de Sainton przyleciała i poi go buljonem. Pani la Renaudot wygrzewa mu prześcieradła, i tak samo wszystkie, skończywszy na przyjaciółce naszej, pani de Rambouillet, która śle mu ziółka raz po raz.

— Nie lubisz go, droga Parthénio — śmiejąc się, rzekł Scarron.

— O!... jakaż niesprawiedliwość, mój drogi chory!... do tego stopnia nie czuję dlań żadnej nienawiści, że z przyjemnością dawałabym na msze za pokój jego duszy.

— Nie darmo nazwano cię Lwicą, ukochana moja — odezwała się ze swego miejsca pani de Chevreuse — kłasz bez litości.

— Zdaje mi się, że zanadto pani lekceważy wielkiego poeę — odważył odezwać się Raul.

— On... wielki poeta?... Zaraz znać, że z prowincji przybywasz, wicehrabio, jak mi przed chwilą sam powiedziałeś, i że nie widziałeś go nigdy. On!... wielki poeta?... Pięć stóp ma zaledwie!

— Brawo!... brawo!... — zawołał mężczyzna wysoki, czarny i suchy, z dumnie podkręconym wąsem i ogromnym rapirem. — Brawo!... piękna Paulet!... Czas już tego Voitura na właściwe miejsce sprowadzić. Znam się chyba na poezjach, a oznajmiam śmiało, iż jego utwory uważałem zawsze za mocno nieznośne.

— Kim jest ten junak? — zapytał Raul Athosa.

— Pan de Scudéry.

— Autor *Klelji i Wielkiego Cyrusa*?

— Komponował bajki do spółki ze swoją siostrą, która rozmawia w tej chwili z tą ładną osobką, tam, przy panu Scarron.

Raul obejrzał się i zobaczył dwie twarze świeżo przybyłych osób: jedna z nich śliczniutka, wiotka i smutna, o pięknych czarnych włosach, z oczami aksamitnymi, jak bratki fiołkowe, połyskujące z pod listków złożonemi płat-

kami; druga, wyglądająca na opiekunkę pierwszej, chłodna, sucha i żółta, istna postać duenny lub dewotki. Raul postanowił sobie nie opuścić salonu, dopóki nie pomówi z dziewczęciem o aksamitnych oczach, które niepojętą dlań grą myśli, jakkolwiek nie odznaczało się żadnem do tamtej podobieństwem, uprzytomniło mu biedną małą Ludwikę, cierpiącą w zamku de La Vallière, a w tym tłumie zapomnianą przezeń na chwilę.

Aramis tymczasem zbliżył się do koadjutora, który z miłą uśmiechniętą szepnął mu kilka słów do ucha. Ten pomimo panowania nad sobą nie mógł się powstrzymać od lekkiego wzruszenia.

— Śmieje się, patrzą na nas — rzekł mu pan de Retz.

I odszedł od niego, aby porozmawiać z panią de Chevreuse, otoczoną tłumami. Aramis przymuszał się do śmiechu, aby zmylić domysły ciekawców, a, zobaczywszy, że znowu Athos wchodzi we framugę okna, skąd przed chwilą wyszedł, podążył za nim, z całą swobodą zamieniwszy z obecnymi po kilka słów na prawo i na lewo.

Skoro się tylko zeszl, rozpoczęli bardzo ożywioną rozmowę. Wtedy Raul zbliżył się do nich, jak mu zalecał Athos.

— Pan opat zaznajamia mnie z wierszami Voiture — na cały głos powiedział Athos — jest on niezrównany.

Postawszy czas jakiś w pobliżu nich, Raul poszedł się połączyć z otoczeniem pani de Chevreuse, do której przysiadła się panna Paulet z jednej, a panna Scudéry z drugiej strony.

— Nieinaczej! — mówił koadjutor — lecz pozwolę sobie niezupełnie podzielać zdanie pana Scudéry; przeciwnie, ja uważam, iż pan Voiture jest poetą najczystszej wody. Brak mu jedynie pojęć politycznych.

— Więc co?... — pytał Athos.

— Jutro — odrzucił śpiesznie Aramis.

— O której godzinie?...

— O szóstej.

— Gdzie?...

— W Saint - Mandé.

— Kto ci o tem powiedział?...

— Hrabia de Rochefort.

Ktoś nadchodził.

— A co do idei filozoficznych, biedny Voiture pozba-

wiony jest ich najzupełniej. Ja przyłączam się do zdania pana koadjutora: Voiture — to poeta czystej wody.

— Rzeczywiście, w poezji cudowny — odezwał się Ménage — w każdym jednak razie potomność, podziwiając go, będzie miała do zarzucenia mu rzecz jedną, że wprowadził zbytek licencji w układzie wierszy; że bezwiednie zabił poezję.

— Zabił, trafnie powiedziane — rzekł Scudéry.

— Lecz listy jego — cóż to za arcydzieła — odezwała się pani de Chevreuse.

— O!... pod tym względem, to znakomitość skończona — rzekła panna Scudéry.

— To prawda — odparła panna Paulet — lecz dopóki żartuje; gdyż w listach poważnych litość wzbudza, bo, przynasz pani, że tam, gdzie rzeczy po imieniu nazwać nie może, źle je bardzo określa.

— Lecz na to przynajmniej pani się zgodzi, iż w żarcie jest trudny do naśladowania.

— Zapewne — podchwycił Scudéry, podkrecając wąsa, uważam jedynie, że komizm u niego jest wymuszony, a żart zbyt poufały. Weźmy jego *List karpia do szczupaka*.

— Nie biorąc już tego w rachubę, że najlepsze jego natchnienia pochodziły z pałacu Rambouillet. Weźcie *Zelidę i Aleidaleę*.

— Co do mnie — odezwał się Aramis, podchodząc do kółka — z pełnym szacunku ukłonem dla pani de Chevreuse, która mu odpowiedziała miłym uśmiechem — co do mnie, zrobiłbym mu zarzut za wielkiej swobody względem osób dostojnych. Uchybił nieraz siostrze królewskiej, panu marszałkowi d'Albrat, panu de Schomberg, samej nawet królowej.

— Jako królowej?... — zapytał Scudéry, wystawiając prawą nogę naprzód, jakby miał stanąć do walki. — Morbleu!... tego nie wiedziałem. W jakiż to sposób uchybił on królowej?...

— Nie znacie państwo jego wiersza: *Myślałem?*

— Nie — odezwała się pani de Chevreuse.

— Nie — rzekła panna Scudéry.

— Nie — dodała panna Paulet.

— Sądzę, iż królowa mało komu dała go poznać; lecz ja go mam z dobrego źródła.

— I pamiętasz go pan?...

— Przypomnę sobie może.

— Słuchamy, słuchamy!... — odezwało się kilka głosów.

— Oto z jakiej przyczyny powstał ten wiersz — mówił Aramis. — Voiture sam na sam z królową używał w jej karecie przejażdżki w lesie Fontaineblau; udawał umyślnie zamyślenie, aby królowa zapytała, o czym tak myśli, i powiodło mu się.

— „O czymże tak myślałeś, panie Voiture?...“ — zapytała królowa.

Voiture uśmiechnął się, zdawał się chwilkę zastanawiać, aby sądzono, iż improwizuje, i odpowiedział:

*Myślałem, że przeznaczenie
Wśród twoich nieszczęść nawaly,
Podało ci zastąpienie
Wieniec zaszczytów i chwały;
Lecz że szczęśliwsza byłaś,
Z tem, co dawały ci nieba,
Gdy o miłości—nie powiem... śniłaś!...
Choć tak dla rymu potrzeba.*

Scudéry, Ménage i panna Paulet wzruszyli ramionami.

— Poczekajcie państwo—powiedział Aramis — są tego trzy strofy.

— O!... powiedz pan wszystkie — odezwała się panna Scudéry — to istna piosenka.

*Myślałem, że dziecię bogów,
Coć broni swojej używał,
Wygnyany już z twoich progów,
Uciekł bezbronny i zdziczał.
Cóż dla mnie za korzyść teraz,
Że myślę o tobie w tej chwili?
Jeżeli tak poniewierasz
Tymi, coć dobrze służyli.*

— O!... co do tego ostatniego rysu — odezwała się pani de Chevreuse, — nie wiem, czy on odpowiada regułom poetyckim, lecz proszę o łaskę dla niego, jako wyrazu prawdy, a pani de Hautefort, pani de Sennecy poprą mnie, jeśli potrzeba, nie licząc już pana de Beaufort.

— Mniejsza o to, mnie to już nic nie obchodzi — rzekł Scarron — od dziś przestałem być jej chorym.

— A ostatnia strofa?... — zapytała panna Scudéry — ostatnia?... słuchamy.

— Zaczynam — rzekł Aramis — ostatnia ma tę wyższość, że występuje z imionami własnymi tym sposobem wątpliwości nie pozostawia.

*Myślałem—jak zwykle, w natchnieniu
Mam zwyczaj myśleć dziwacznie,—
Że w twojem usposobieniu,
Chęć nowa błyska nieznacznie.
Zamiast mnie, tybyś wołała
Byś Buckinghamą ujrzała,
Kto wtenczas byłby wyklęty?
Księżę, czy ojciec Wincenty?*)*

Ostatnia strofa wywołała krzyk oburzenia na impertynencję Voitura.

— Co począć, lecz wiersze te wydają mi się prześliczne — odezwało się dziewczę z aksamitnymi oczyma.

Takie było i Raula zdanie i, zbliżając się do Scarrona, ozwał się zarumieniony:

— Panie Scarron, zechciej mi powiedzieć łaskawie, proszę, kim jest ta młoda dama, która sama jedna jest przeciwnego zdania, niż całe to świetne zebranie.

— A!... a!... młody mój wicehrabio — odrzekł tenże — zdaje mi się, iż masz ochotę zaproponować jej przymierze zaczepno - odporne?...

Raul zaczerwienił się znowu.

— Przyznaję, iż te wiersze wydają mi się wyborne.

— Tak jest, rzeczywiście — zcicha odparł Scarron — lecz, sza!... nie mówi się tego między poetami.

— Ale ja nie mam honoru być poetą i zapytywałem pana....

— Prawda: kim jest ta młoda dama, wszak o nią pytasz?... Jest to piękna Indjanka.

— Zechciej mi pan wybaczyć, lecz tyle wiem, co i przedtem. Niestety! jestem parafjaninem.

*) Ojciec Wincenty był spowiednikiem królowej.

— Bezwątpienia, jest to osóbką najbardziej zachwycająca ze wszystkich: panna Franciszka d'Aubigné.

— Miałaby pochodzić z rodziny sławnego Agrypy, przyjaciela Henryka IV?

— Wnuczka jego. Przybywa z Martyniki, dlatego Indjanką ją nazywam.

Raul spojrział rozszerzonymi oczyma; wzrok jego spotkał się ze wzrokiem młodej panny, która się uśmiechnęła.

Mówiono w dalszym ciągu o Voiturze.

— Panie — odezwała się panna d'Aubigné, zwracając się do Scarrona, jak gdyby dla wmieszenia się do rozmowy jego z wicehrabią, — nie podziwiasz przyjaciół biednego Voitura!... Posłuchaj tylko, jak niby chwając, po jednym piórku go oskubują!... Jeden zaprzecza mu zdrowego rozumu, drugi poezji, trzeci oryginalności, inny komizmu, to znowu niezależności, ostatni nareszcie... Boże mój!... cóż mu więc pozostawia, tej znakomitości skończonej?... jak mówi panna Scudéry?...

Scarron roześmiał się, a za nim Raul. Piękna Indjanka, zdziwiona wrażeniem, jakie sprawiła, spuściła oczy i przybrała niewinną minkę.

— Rozumna osóbką — rzekł Raul.

Athos, nieruchomy we framudze okna, górował nad całą tą sceną z uśmiechem wzgardy na ustach.

— Przywołaj mi pan hrabiego de la Fère — rzekła pani de Chevreuse do koadjutora — mam mu coś do powiedzenia.

— Ja zaś chcę, aby myślano, że do niego nie mówię. Kocham go i uwielbiam, bo znam jego dawne przygody, niektóre przynajmniej; ale chcę powitać go aż pojutrze.

— Dlaczego pojutrze?... — spytała pani de Chevreuse.

— Dowiesz się pani jutro wieczorem — odparł koadjutor ze śmiechem.

— Doprawdy, kochany mój Gondy, — powiedziała księżna — mówisz, jak Apokalipsa. Panie d'Herblay — dodała, zwracając się w stronę Aramis — czy zechcesz raz jeszcze być moim serwanto?...

— Jakto, księżno!... — odparł Aramis — dziś, jutro, zawsze rozkazuj.

— Kiedy tak, idź po hrabiego de la Fère, mam z nim do pomówienia.

Aramis poszedł po Athosa i powrócił z nim razem.

— Panie hrabio — rzekła księżna, oddając Athosowi list — oto masz, co ci obiecałam. Protegowany nasz będzie doskonale przyjęty.

— Pani — rzekł Athos — szczęśliwym, iż zawdzięcza ci cokolwiek.

— Pod tym względem, nie masz mu czego zazdrościć, bo ja tobie, panie, winnam być wdzięczna, że go poznałam — odparła złośliwa kobietka z uśmiechem, który przypomniał Aramisowi i Athosowi Marję Michon.

To mówiąc, powstała i zażądała swojej karety. Panny Paulet nie było już, panna Scudéry zbierała się do odjazdu.

— Wicehrabio — rzekł Athos, zwracając się do Raula — idź za księżną de Chevreuse; poproś o łaskę, aby przyjęła twą rękę przy zejściu, a w drodze podziękuj jej za to.

Powoli tłumy się przerzedziły. Scarron udawał, że nie widzi, iż niektórzy z gości prowadzili tajemnicze rozmowy, że do wielu z nich przyszły listy i że jego zebranie zdawało się mieć cel ukryty, zbaczający od literatury, o której tak było głośno. Lecz cóż go to mogło obchodzić?.. teraz już można było spiskować u niego swobodnie: od dzisiaj bowiem, jak mówił, nie był chorym królowej.

Raul towarzyszył księżnej do samej karety, gdzie, wsiadając, podała mu rękę do pocałowania; następnie — przez jeden z tych szalonych wybryków, które ją czyniły tak zachwycającą, a nadewszystko niebezpieczną, — znagła objęła rączkami głowę jego i pocałowała w czoło, mówiąc:

— Wicehrabio, niech moje życzenia i ten pocałunek szczęście ci przyniosą!

Odepchnęła go potem zlekka i wydała woźnicy rozkaz jechania do pałacu de Luynes. Ruszyła karetą; pani de Chevreuse przesłała mu ręką ostatnie pożegnanie, a Raul powrócił, oszołomiony. Athos domyślił się, co zaszło, i uśmiechnął się.

— Chodź, wicehrabio — rzekł — czas ci już odejść; jutro jedziesz do armji brata królewskiego; prześpij dobrze ostatnią noc, jako obywatel.

— Więc będę żołnierzem?... — zawołał młodzieniec — o!... panie, dziękuję ci z całego serca.

— Adieu, hrabio — rzekł opat d'Herblay — wracam do mego klasztoru.

— Adieu, opacie — rzekł koadjutor — jutro mam kazanie, a dwadzieścia tekstów mam dziś jeszcze do przejścia.

— Adieu, panowie — odpowiedział Athos — ja zaś będę spał jednym tchem dwadzieścia cztery godziny, upadam ze znużenia.

Trzej mężczyźni pożegnali się, zamieniwszy ostatnie spojrzenia. Scarron śledził ich zpod oka, z poza portjery salonu.

— Żaden z nich nie zrobi tego, co powiedział — szepnął z dziwnym uśmiechem — szczęść Boże tym dzielnym ludziom!... Kto wie, czy nie pracują na to, aby mi powrócić pensję moją!... Oni władają rękami... Niestety!... mnie tylko język pozostał, lecz postaram się dowieść im, że to także coś znaczy. Hola!... Champenois, jedenasta już bije... Zawieź mnie do łóżka!... Ach!... jaka ona czarująca ta panna d'Aubigné!

I biedny paralytyk schronił się do swojej sypialni, drzwi się za nim zamknęły, a w salonie przy ulicy Tournelle światła jedne po drugich zagasły.

ROZDZIAŁ XXIV

SAINT - DENIS

Dzień zaczął świtać, kiedy Athos wstał i zaczął się ubierać; łatwo było poznać po jego bladości większej, niż zazwyczaj, i po śladach bezsenności na twarzy, że zapewne przepędził całą noc, wcale nie zasnąwszy. Wbrew naturze tego człowieka tak stanowczego i energicznego, przebijała w całej jego postawie jakaś powolność i niepewność. Pochodziło to stąd, że zajmował się przygotowaniami do wyjazdu Raula i starał się zyskać na czasie.

Naprzód sam wybrał szpadę, którą wydobył z wonnej pochwy skórzanej, i przyjrzał się rękojeści i klindze, czy się dobrze trzymają. Potem wrzucił w głąb walizy, przeznaczonej dla młodzieńca, woreczek pełen luidorów, przywołał Olivana, — tak się nazywał służący, który mu towarzyszył do Blois, i — i kazał mu w swojej obecności zapakować jak najstaranniej wszystkie rzeczy podróżne młodzieńca. Wreszcie, zużywszy prawie godzinę na te przygotowania, otworzył drzwi, prowadzące do pokoju wicehrabiego, i wszedł pocichu.

Słońce w pełnym już blasku przenikało do pokoju przez szerokie okno, które Raul, wróciwszy późno, zapomniał zasłonić roletą. Spał jeszcze z głową, wdzięcznie wspartą na ramieniu. Długie jego włosy czarne napół zakrywały czoło jego piękne i zroszone tą wilgocią, jaka perli się na licach zmęczonego dziecka.

Athos zbliżył się i, nachyliwszy się w postawie, pełnej przejmującego smutku, patrzył długo na młodzieńca.

Pomyślał, że całą pierwszą część życia złamała mu kobieta; pomyślał ze zgrozą, jaki wpływ może mieć miłość na organizację tak delikatną i zarazem tak potężną. Przypo-

minając sobie wszystko, co wycierpiał, przewidywał wszystko, co Raul mógł cierpieć, i wyraz głębokiej i tkliwej boleści, jaka mu napełniła serce, roztoczył się w spojrzeniu, jakim ogarnął młodzieńca.

W tej chwili Raul obudził się — tem przebudzeniem bez chmur, bez ciemności, bez wzruszeń, jakie charakteryzują pewne osobniki tak delikatne, jak ptaszęta. Oczy jego zatrzymały się na Athosie i zrozumiał bezwątpienia wszystko, co się działo w sercu tego człowieka, który czekał na jego przebudzenie, jak kochanek czeka na przebudzenie kochanki, i spojrzenie jego przybrało również wyraz niewysłowionej miłości.

— Chciałem ci jeszcze zostawić kilka chwil dobrego snu, przyjacielu mój; musiałeś być zmęczony tak długim niewyczasowaniem się w nocy?

— O! panie! jakiś ty dobry!.. — rzekł Raul.

— Jakże się czujesz?...

— Ależ doskonale, wypocząłem już zupełnie.

Athos przywołał Olivana i w dziesięć minut później z tą punktualnością, jaką Athos, zahartowany w służbie wojskowej, przelał na swego wychowanka, młodzieniec był już gotów.

— Pakunki już na ciebie czekają, Raulu — rzekł Athos. — Kazałem rzeczy spakować przy mnie i niczego ci nie zbraknie. Juki twoje, jak i lokaja, winny już być umieszczone na koniach, jeżeli spełniono moje rozkazy.

— Wszystko zrobione, według woli pana hrabiego — odrzekł Olivan — i konie już czekają.

— A ja tymczasem spałem!... — zawołał Raul — kiedy pan był tak dobry i zajął się wszelkimi drobiazgami. O! doprawdy zawstydzasz mnie, panie, taką dobrocią.

— Więc kochasz mnie trochę — odparł Athos tonem prawie wzruszonym.

— O! panie — zawołał Raul, a dusił się prawie, powstrzymując w sobie wybuch czułości — o! Bóg mi jest świadkiem, że cię kocham i że cię szanuję!

— Zobacz, czy nie zapomniał czego — rzekł Athos, udając, że szuka dokoła siebie, a czynił to, ażeby ukryć wzruszenie.

— Nie, panie — odrzekł Raul.

Lokaj zbliżył się wtedy do Athosa z pewnym wahaniem i szepnął po cichu:

— Pan wicehrabia nie ma szpady, bo pan hrabia zabrał mi wczoraj wieczorem tę, którą pozostawił.

— To już moja rzecz — odparł Athos.

Raul jakby nie zauważył tej rozmowy. Wyszedł, patrząc co chwila na hrabiego, ażeby się dowiedzieć, czy chwila pożegnania nadeszła, lecz Athos ani się zmarszczył.

— Chcę cię trochę odprowadzić — rzekł.

Radość zabłysła w oczach Raula i lekkó wskoczył na konia. Athos wsiał wolno na swego rumaka, szepnąwszy coś po cichu lokajowi, który zamiast pojechać, wrócił natychmiast do mieszkania. Raul, ucieszony, że ma obok siebie hrabiego, nie spostrzegł tego, czy też udał, że nic nie zauważył.

Szlachcice nasi udali się przez Nowy Most; skręcili na wybrzeże; wjeżdżali już na ulicę św. Djonizego, gdy ich dogonił służący. Drogę odbywano w milczeniu. Raul czuł, że zbliża się chwila rozstania; hrabia w przeddzień wydał rozmaite rozkazy, dotyczące załatwienia różnych spraw w ciągu dnia.

— O! uważaj, Raulu — rzekł Athos — masz rękę ciężką, mówiłem ci to już nieraz, i nie powinieneś zapominać, bo to wielka wada dla jeźdźca. Patrz! koń twój już zmęczył się; pieni się, gdy mój wygląda tak, jakby wyszedł dopiero co ze stajni. Zanadto ściągasz cugle i dlatego nie możesz nim kierować szybko, a właśnie nieraz życie jeźdźca zależy od natychmiastowego posłuszeństwa jego konia. Pamiętaj, że za tydzień będziesz jeździł nie tak, jak teraz po gościńcu, ale po polu bitwy.

Poczem nagle, ażeby nie zasmucić go zbyt tą uwagą, Athos skierował rozmowę na inny temat:

— Spójrz, Raulu, jakie tu muszą być kuropatwy na tej pięknej równinie.

Młodzieniec skorzystał z lekcji i podziwiał zwłaszcza, z jaką delikatnością była mu dana.

— Zauważyłem kiedyś i co innego jeszcze — mówił Athos — przy strzelaniu zanadto wyciągasz rękę. Skutkiem takiego wyprężenia strzał wiele traci na celności, na dwanaście chybiłeś trzy razy.

— Zrozumiałem i potem strzelałem już, stosując się do rady pańskiej, i zawsze mi się udawało.

— A widzisz — podchwycił Athos — tak samo ze szpadą zanadto się rzucasz na przeciwnika. Wiem, że to

zwykła wada w twoim wieku, ale ruch gwałtowny na-przód zawsze szpadę odchyła z linii i, jeżeli miałbyś do czynienia z człowiekiem zimnej krwi, zarazby cię zatrzymał przy pierwszym kroku, albo zastawieniem się, lub nawet prostem pchnięciem.

— Jak to pan często czyniłeś, ale nie każdy ma pańską odwagę.

— A! jaki orzeźwiający wiatr zawiał!... — podchwycił Athos — prawdziwe wspomnienie zimy. Ale, jeżeli pójdziesz w ogień, a pójdziesz, bo polecony jesteś młodemu generałowi, bardzo lubiącemu proch, pamiętaj dobrze, że w walce pojedynczej, jaka często się zdarza jeźdźcom, nie strzelaj nigdy pierwszy; kto strzela pierwszy, rzadko trafia przeciwnika, bo strzela z obawą, ażeby nie być rozbrojonym wobec nieprzyjaciela uzbrojonego; przytem, gdy strzelać będzie, wespnij swego konia; manewr ten dwa czy trzy razy ocalił mi życie.

— E!... — rzekł naraz Athos — czy to kłusowników tam chwytają? A tak!... Potem jeszcze jedno rzec można, Raulu: jeżeli zraniony zostaniesz podczas ataku, jeżeli spadniesz z konia i będziesz miał jeszcze trochę siły, odsuń się z drogi, którą podążał twój pułk; może on być zmuszony do odwrotu, a wtedy stratowany zostaniesz przez konie. W każdym razie, gdybyś był ranny, napisz natychmiast do mnie, albo każ napisać, my się znamy na ranach — dodał Athos z westchnieniem.

— Dziękuję panu — odpowiedział młodzieniec wzruszony:

— O! jesteśmy już w Saint-Denis — szepnął Athos.

W istocie dojeżdżali właśnie do bramy miejskiej, strzeżonej przez dwóch strażników. Jeden z nich odezwał się do drugiego.

— Z miny tego młodego szlachcica widać, że i on udaje się do wojska.

Athos obrócił się; zajmowało go wszystko, co dotyczyło, choćby tylko pośrednio, Raula.

— Po czem to poznajesz?... — zapytał.

— Po jego minie — odrzekł strażnik — jest w takim wieku, zresztą to już drugi dzisiaj.

— Więc przejeżdżał tędy taki młody człowiek, jak ja?... — zapytał Raul.

— Tak; mina wyniosła, wspaniale ubrany; widocznie syn jakiegoś wielkiego rodu.

— Będę miał w nim może towarzysza podróży — podchwycił Raul, jadąc dalej — ale, niestety! nie da mi on zapomnieć o tym, którego tracę.

Tak rozmawiając, przejeżdżali przez ulice, pełne ludzi z powodu uroczystego święta, i zbliżali się do starej bazyliki, w której odprawiano pierwszą mszę.

— Zsiądźmy z koni, Raulu — rzekł Athos. — A ty, Olivanie, dopilnuj koni i daj mi szpadę.

Athos ujął szpadę, którą podał mu lokaj, i obaj szlachcice weszli do kościoła.

Athos podał wodę święconą Raulowi. Są ojcowie, w których sercu mieści się trochę tej uprzedzającej miłości, jaką kochanek ma dla kochanki. Młodzieniec dotknął ręki Athosa, skłonił się i przeżegnał. Athos rzekł parę słów do jednego z kościelnych, który, skłoniwszy się, poszedł w stronę lochów świątyni.

— Pójdź, Raulu — wyrzekł Athos — chodźmy za tym człowiekiem.

Strażnik otworzył kraty do grobów królewskich i zatrzymał się na górnym stopniu schodów, gdy Athos i Raul zeszli na dół. Głębie żałobnych schodów oświetlała lampa srebrna, paląca się przy ostatnim stopniu, i właśnie tuż pod tą lampą okryty szerokim płaszczem z aksamitu fioletowego, usianego liljami złotymi, umieszczony był katafalk na dębowych podstawach.

Młodzieniec stał z głową odkrytą przed śmiertelnymi szczątkami ostatniego króla, mającego połączyć się ze swymi przodkami wtedy dopiero, gdy jego następcą przybędzie tutaj. A teraz zdawał się być tu po to, ażeby mówić do dumy, tak często rosnącej na tronie: „Pyle ziemski, czekam na ciebie!“

Zapanowała chwila milczenia. Wreszcie Athos podniósł rękę i, wskazując palcem na trumnę, wyrzekł:

— Ten grób ruchomy jest grobem człowieka słabego i bez wielkości, którego panowanie jednak pełne było doniosłych wydarzeń, bo nad tym królem czuwał duch innego człowieka, jak lampa ta czuwa nad tą trumną i ją oświeca. Tamten, Raulu, był królem prawdziwym, ten był tylko widmem, które tamten napełniał swą duszą. A jednak tak potężny jest u nas majestat królewski, że czło-

wiek tamten nie ma nawet zaszczytnego grobu u stóp tego, dla którego chwały strawił życie, bo człowiek ten, zapamiętaj, Raulu, jeżeli uczynił tego króla małym, to królewskość uczynił wielką, a dwie rzeczy mieszczą się w Pałacu Luwru: król umierający i królewskość, nie umierająca nigdy. To panowanie minęło, Raulu; ten minister, będący takim postrachem, tak znieawidzony przez swego pana, zeszedł do mogiły, pociągając za sobą króla, którego nie chciał pozostawić samego przy życiu — z obawy zepewne, ażeby nie popsuł jego dzieła, bo król buduje tylko wtedy, gdy ma przy sobie Boga, lub ducha Bożego. Wtedy jednakże wszyscy patrzeli na śmierć kardynała, jako na wyzwolenie; ja sam nawet — tak są zaślepieni współcześni — ja sam, co kilkakroć przeniknąłem plany tego wielkiego człowieka, który trzymał Francję w swej ręce, a w miarę jak otwierał dłoń, lub zaciskał, dusił ją lub pozwalał swobodnie odetchnąć. Jeżeli mnie i przyjaciół mych nie zgubił w strasznym gniewie, to chyba dlatego jedynie, ażebym mógł powiedzieć ci dzisiaj: Raulu, odróżniaj zawsze króla od królewskości, król jest tylko człowiekiem, królewskość to duch Boży. Kiedy będziesz miał wątpliwość komu służyć, porzuć materjalne pozory dla idei niewidzialnej, bo idea niewidzialna jest wszystkim. Tylko Bóg chciał uczynić ideę tę namacalną, wcielając ją w człowieka. Raulu, zdaje mi się, że widzę twą przyszłość, jak przez mgłę. Wygląda ona lepiej od naszej. Myśmy mieli ministra bez króla, ty przeciwnie, będziesz miał króla bez ministra. Będziesz więc mógł służyć, szanować i kochać króla. Jeżeli król ten będzie tyranem, bo wszechwładztwo pociąga do tyranji, służ, kochaj i szanuj królewskość, to jest ideę niezłomną, to jest ducha Bożego na ziemi, tę iskrę niebiańską, która czyni pył tak wzniosłym i tak świętym, że my, szlachta z urodzenia przecie wysoka, tak mali się czujemy wobec tego ciała, leżącego na ostatnim stopniu schodów, jak znów to ciało wobec tronu Boga.

— Panie! ja wielbić będę Boga — rzekł Raul — szanować będę królewskość, służyć będę królowi i postaram się umrzeć albo za króla, albo za królewskość, albo za Boga. Czym pana dobrze zrozumiał?

— Jesteś naturą szlachezną — wyrzekł — oto twoja szpada.

Raul ukląkł na ziemi.

— Nosił ją ojciec mój, przezacny szlachcic. Ja ją po nim nosiłem i nieraz wsławiłem, trzymając jej rękojęść w rękę, gdy pochwa wisiała u boku. Jeżeli ręka twoja jeszcze za słaba do robienia tą szpadą, tem lepiej, Raulu, będziesz miał czas jeszcze nauczyć się wydobywać ją tylko wtedy, gdy powinna oglądać światło.

— Panie — wyrzekł Raul, biorąc szpadę z ręki hrabiego — panu zawdzięczam wszystko, ta szpada jednak jest dla mnie najcenniejszym od ciebie podarunkiem. Przysięgam ci, że będę ją nosił z wdzięcznością. Ustami dotknął rękojęści i pocałował ją ze czcią.

— Dobrze — odrzekł Athos. — Powstań, wicehrabio, i ucałujmy się.

Raul podniósł się i z uśmiechem rzucił się w objęcia Athosa.

— Żegnam cię — wyszeptał hrabia, czując, że mu się serce rozrzewnia — żegnam cię, a myśl o mnie.

— O! zawsze i wiecznie!... — zawołał młodzieniec. Przysięgam panu, iż, jeśli nieszczęście mi się zdarzy, twoje imię wymówię ostatnie, o tobie wspomnienie będzie ostatnią moją myślą.

Athos prędko poszedł po schodach, ażeby ukryć wzruszenie, dał sztukę złota stróżowi grobów, skłonił się przed ołtarzem i dwoma krokami dostał się wkrótce na ganek kościelny, przed którym Olivian czekał z końmi.

— Olivanie — rzekł doń — przypasz lepiej panu Raulowi te szpadę, zanadto się ona zwiesza. Dobrze. Teraz będziesz towarzyszył panu wicehrabiemu, dopóki nie przyłączy się do was Grimaud, wtedy dopiero ich opuścisz.

— Dobrze, panie — wyrzekł Raul.

— Teraz na koń, niech widzę, jak odjedziecie.

Raul spełnił polecenie.

— Żegnam cię, moje drogie dziecko!

— Żegnam pana — odrzekł Raul — żegnam cię, najukochańszy opiekunie.

ROZDZIAŁ XXV

JEDEN ZE CZTERDZIESTU SPOSOBÓW UCIECZKI PANA DE BEAUFORT

Tymczasem dnie upływały więźniowi, jak i tym, którzy się zajmowali jego ucieczką; tylko upływały wolniej. Są ludzie, którzy zapalają się do projektów niebezpiecznych, lecz stygną; ksiązę de Beaufort, którego odwaga wrząca stała się przysłowiową, a przykuta była bezczynnością pięcioletnią, ksiązę de Beaufort, — przeciwnie — jakby popychał czas naprzód i gorąco pragnął chwili rozpoczęcia działania.

Niezależnie od projektów, które żywił na przyszłość, projektów, trzeba przyznać, jeszcze nieokreślonych i niepewnych, już w samym fakcie ucieczki tkwił dlań początek zemsty, która rozpałała mu serce.

Naprzód ucieczka jego oznaczała sprawę dla pana de Chavigny, którego ksiązę nienawidził z powodu drobnostkowego dokuczania. Jeszcze przykrzejsza byłaby ona dla Mazariniego, któremu pragnął odplacić się sowicie za długotrwałe prześladowanie.

Wreszcie pan de Beaufort, znający tak dobrze życie wewnętrzne na dworze w pałacu królewskim, ubarwiał sobie scenę tym ruchem dramatycznym, jaki niezawodnie powstanie, gdy od gabinetu ministra aż do pokoju Anny Austriackiej rozlegnie się wieść, iż pan de Beaufort uciekł. Mówiąc to wszystko samemu sobie, pan de Beaufort uśmiechał się łagodnie. Zdawało mu się, że już jest wolny, że oddycha pełną piersią powietrzem łąk i lasów : że pogania swego konia i woła głośno :

— Jestem wolny!...

Coprawda, gdy się ocknął z marzeń, był znowu wśród

czterech ścian, widział o dziesięć kroków od siebie Raméego, kręcącego młynka palcami, a w przedpokoju ośmiu śmiejących się i pijących strażników.

Jedna tylko rzecz działała nań wobec tak przykrego obrazu rzeczywistości, a mianowicie — posępne oblicze Grimauda; to oblicze, z początku tak znieawidzone, później stało się całą jego nadzieją. Grimaud wydawał mu się teraz Antynousem. Zbyteczne byłoby mówić, że wszystko to było grą wyobraźni gorączkowej więźnia. Grimaud zawsze był taki sam i dlatego też zachował zupełne zaufanie swego zwierchnika Raméego, który teraz wierzył mu bardziej, niż samemu sobie, gdyż, jak powiedzieliśmy, Ramée w głębi serca czuł pewną słabość dla pana de Beaufort.

Dla poczciwego Raméego prawdziwą też było przyjemnością jeść kolację sam na sam ze swoim więźniem. Ramée miał tylko jedną wadę: był łakomy, lubił niezmiernie smaczne pasztety i przednie wino. Następca zaś ojca Marteau obiecał mu pasztet z bażanta — zamiast pasztetu z drobiu — i wina szambertyńskiego, — zamiast wina z Marçon. Wszystko to, a w dodatku jeszcze obecność księcia, który w gruncie rzeczy był dobry, umiał takie figle płać panu de Chavigny i takie zabawne koncepty opowiadał o Mazarinim, uśmiechało się zawczasu Raméemu. Czekał więc godziny szóstej wieczorem z równą niecierpliwością, jak książę.

Od rana zajął się wszystkimi szczegółami, nikomu nie ufając i sam osobiście złożył wizytę ojcu Marteau. Kucharz sam siebie przeszedł; pokazał prawdziwie olbrzymi pasztet, przyozdobiony na pokrywie herbami pana de Beaufort; pasztet był jeszcze nienadziany, ale przy nim leżał bażant i dwie kuropatwy. Aż ślinka przychodziła do ust La Raméemu; wszedł tedy do pokoju księcia, zacierając ręce z uciechy.

Nadomiar szczęścia, jak już powiedzieliśmy, pan de Chavigny, polegając na Raméem, udał się w maleńką podróż; wyjechał wcześniej zrana tak, że Ramée został zastępcą gubernatora. Co się tyczy Grimauda, to ten wydawał się posępniejszy, niż zwykle.

Zrana pan de Beaufort zabawiał się z La Raméem w piłkę; Grimaud dał mu znak, ażeby zwracał uwagę na wszystko. Idąc naprzód, Grimaud wskazywał drogę, którą mia-

no podążać wieczorem. Gra w piłkę odbywała się na małym placyku zamkowym.

Było to miejsce ustronne, gdzie stawiano straż tylko wtedy, gdy pan Beaufort grał w piłkę, a nawet ze względu na wysokość muru, ostrożność ta wydawała się zbyt czarna. Troje drzwi trzeba było otworzyć, ażeby się dostać na ten placyk. Każde otwierał inny klucz. La Ramée klucze te miał przy sobie.

Grimaud, wszedłszy na placyk, machinalnie usiadł obok jednej ze strzelnic i nogi zwiesił poza mur. Był to widoczny znak, że w tem miejscu ma być przywiązana drabina sznurowa. Manewr ten, zrozumiały dla księcia de Beaufort, przeciwnie, jak łatwo się domyśleć, nie mógł być pojęty przez Raméego.

Partja się rozpoczęła. Tym razem panu de Beaufort dopisywało szczęście, rzec możnaby, że piłki były mu posłuszne. La Ramée został pobity zupełnie. Czterech strażników, którzy podążyli za panem Beaufort, podnosiło piłki; po skończonej grze, pan de Beaufort, żartując dowoli z niezgrabności La Raméego, ofiarował strażnikom dwa luidory, ażeby wypili za jego zdrowie wraz z innymi czterema towarzyszami. Strażnicy prosili o pozwolenie La Raméego, które dał im je, lecz na wieczór dopiero.

Aż do wieczora Ramée miał do załatwienia różne rzeczy, a przecież musiał chodzić tu i owdzie, więc pragnął, ażeby więźnia nie tracono z oczu. Nareszcie wybiła szósta godzina, a chociaż do stołu zasiąść miano dopiero o godzinie siódmej, obiad był już gotów i podany.

Na kredensie stał kolosalny pasztet z herbami księcia i wydawał się świetnie upieczony, o ile wnosić można było ze złocistej barwy, jaką lśniła skórka. Reszta obiadu również znajdowała się w pogotowiu.

Wszyscy byli niecierpliwi: strażnicy, chcąc czemprędzej iść pić, La Ramée, chcąc zasiąść do stołu, a pan de Beaufort, chcąc uciec. Tylko Grimaud pozostał niewzruszony. Rzeczy można że Athos wykształcił go specjalnie w przewidywaniu tego ważnego wypadku.

Były chwile, kiedy książę de Beaufort, patrząc na niego, pytał sam siebie, czy czasem nie śni, czy ta figura marmurowa rzeczywiście oddana jest na jego usługi i żywi się w odpowiedniej chwili.

La Ramée odprawił strożników, polecając im wypić za

zdrowie księcia, potem, gdy odeszli, zamknął drzwi, włożył klucze do kieszeni, wskazał księciu stół z taką miną, jak gdyby chciał powiedzieć:

— Kiedy książę pan zechce.

Książę spojrział na Grimauda, Grimaud spojrział na zegar; było zaledwie kwadrans na siódmą, ucieczka oznaczona została na siódmą; pozostawały więc trzy kwadransy czekania.

Książę — dla zyskania kwadransa — upozorował chęć przeczytania czegoś bardzo interesującego i poprosił Raméego, by mu pozwolić dokończyć rozdziału.

La Ramée zbliżył się, zajrzał przez ramię, by zobaczyć, jaka to książka wywiera na księciu taki wpływ, że aż przeszkadza mu zasiąść do stołu, kiedy kolacja już podana. Były to komentarze Cezara, których on sam — wbrew zakazowi pana de Chavigny — dostarczył mu przed trzema dniami. La Ramée przyrzekł sobie, że na przyszłość nie przekroczy przepisów regulaminu więziennego. Czekając, odkorkował butelki i powąchał pasztetu. O godzinie wpół do siódmej książę wstał z miejsca, mówiąc poważnie:

— Doprawdy Cezar jest największym człowiekiem w starożytności.

— Tak książę pan sądzi?... — rzekł La Ramé.

— Tak.

— A ja — podchwycił La Ramée — wolę Hannibala.

— A dlaczego, panie La Ramée?... — zapytał książę.

— Bo nie zostawił po sobie komentarzy — odrzekł La Ramée z jowialnym uśmiechem.

Książę zrozumiał docinek i usiadł przy stole, skinąwszy Raméemu, ażeby się przy nim usadowił. Ten nie dał sobie dwa razy powtarzać. Niema twarzy tak wymownej, jak twarz prawdziwego żarłoka przy sutym stole; kiedy Ramée odbierał talerz rosółu z rąk Grimauda, na twarzy jego malowało się zupełne ogłupienie.

Książę spojrział na niego z uśmiechem.

— *Ventre-saint-gris!* La Ramée, — zawołał — gdyby mi kto powiedział, że w tej chwili we Francji jest człowiek szczęśliwszy od ciebie, tobym mu nie uwierzył.

— I miałby książę pan najzupełniejszą rację — odrzekł La Ramée. — Co do mnie wyznaję, że, gdy mi się jeść chce, nie znam przyjemniejszego widoku nad dobrze za-

stawiony stół, a jeżeli dodać — mówił na stronie — że stół ten zaszczyca swą obecności przy nim wnuk Henryka Wielkiego, pojmie Wasza książęca mość, że zaszczyt, jaki człowieka spotyka, podwaja tę przyjemność.

Książę skłonił się z kolei, a po twarzy Grimauda, stojącego za Raméem, przemknął niedostrzegalny uśmiech.

— Mój drogi La Ramée, — rzekł książę — nikt lepiej od ciebie nie potrafi mówić komplementów.

— Nie, Wasza książęca mość — rzekł La Ramée, rozrzewniony — nie, doprawdy mówię to tylko, co myślę, nie był to żaden komplement.

— Więc jesteś do mnie tak przywiązany? — zapytał książę.

— To jest — podchwycił la Ramée — nigdybym się nie pocieszył, gdyby Wasza książęca mość wyszedł z Vincennes.

— Zabawny sposób okazywania uczucia!

— Zresztą, co Wasza książęca mość robiłby na wolności. Pokłóciłby się dla jakiegokolwiek powodu z dworem i zamiast do Vincennes, dostałby się do Bastylji. Pan de Chavigny nie jest miły, na to się zgodzę — mówił dalej La Ramée, rozkoszując się kieliszkiem madery — ale pan de Tremblay jeszcze gorszy!

— Doprawdy? — rzekł książę, którego bawił zwrot, jaki przybrała rozmowa, co nie przeszkadzało mu spoglądać na zegar, na którym wskazówka posuwała się rozpaczliwie wolno

— Czegóżbyś się pan mógł spodziewać po bracie kapucyna, wytresowanego w szkole kardynała Richelieugo?... o!... niech mi Wasza książęca mość wierzy, wielkie to szczęście, że królowa, która zawsze panu dobrze życzyła, o ile słyszałem, wpadła na myśl przysłania pana tutaj, gdzie można spacerować, grać w piłkę, gdzie dobry jest stół, dobre powietrze.

— Doprawdy — odrzekł książę — gdy ciebie postuchać, La Ramée, możnaby wywnioskować, że byłem bardzo niewdzięczny, mając chwilową myśl drapnięcia stąd?...

— O!... Wasza książęca mość, to szczyt niewdzięczności! — podchwycił La Ramée — ale pan nie myślał nigdy o tem poważnie.

— Ho!... — podchwycił książę — muszę ci wyznać, że nawet od czasu do czasu o tem jeszcze myślę.

— I to przy pomocy jednego z czterdziestu sposobów Waszej książęcej mości?...

— A tak — odparł książę.

— Wasza książęca mość — odezwał się La Ramée — ponieważ jesteśmy tak w trakcie wynurzeń, niech też usłyszę, jaki jest choć jeden z tych czterdziestu sposobów, wymyślonych przez księcia?...

— I owszem — odrzekł książę. — Grimaud, podaj mi pasztet.

— Słucham — wyrzekł La Ramée, poruszając się na fotelu, podnosząc kieliszek i mrużąc oko, ażeby popatrzeć na zachodzące słońce przez płyn rubinowy, w nim zawarty.

Książę rzucił spojrzenie na zegar. Dziesięć minut jeszcze, a wydzwoni siódmą.

Grimaud postawił pasztet przed księciem, który wziął nóż srebrny dla podniesienia pokrywy; lecz La Ramée, bojąc się, ażeby pięknego przysmaku nie popsuć, podał mu nóż swój o klindze żelaznej.

— Dziękuję, La Ramée — odrzekł książę, biorąc nóż.

— I cóż Wasza książęca mość, a ten czterdziesty sposób?

— Czy mam ci wyjawić — podchwycił książę — ten właśnie, na jaki liczyłem najbardziej i jakiego postanowiłem przed innemi użyć?...

— O, tak... proszę o niego — rzekł La Ramée.

— A więc — rzekł książę, przygniatając pasztet ręką, a drugą opisując półkole nożem — miałem nadzieję przede wszystkim dostać na strażnika takiego dzielnego chłopaka, jak ty, La Ramée.

— To go Wasza książęca mość ma — odrzekł La Ramée. — Cóż dalej?...

— To też sobie tego winszuję.

La Ramée skrzywił się.

— Mówiłem sobie — ciągnął dalej książę — że, gdybym miał przy sobie takiego poczciwego chłopca, jak La Ramée, postarałbym się polecić mu przez swego przyjaciela, z którym nie znałby moich stosunków, jakiego człowieka, oddanego mu zupełnie, z którym mógłbym się porozumieć, dla przygotowania ucieczki.

— No i cóż?... — rzekł La Ramée — nieźle pomyślane.

— Nieprawdaż?... — podchwycił książę — byłby to

naprzykład sługi jakiego dzielnego szlachcica, a nieprzyjaciela waszego Mazariniego, bo każdy szlachcic musi być jego wrogiem

— Sza!... Wasza książęca mość — rzekł — nie mówmy o polityce.

— A kiedy miałbym takiego człowieka przy sobie — ciągnął dalej książę — to, byleby człowiek ten był zręczny i umiał zjednać sobie zaufanie swego zwierzchnika, ten jużby na nim polegał, a ja miałbym przez niego wiadomości ze świata.

— A! tak — rzekł La Ramée — ale w jaki sposób wiadomości ze świata.

— O!... nic łatwiejszego — rzekł książę de Beaufort — nawet przy granju w piłkę.

— Przy granju w piłkę?... — spytał La Ramée, zaczynając się uważniej przysłuchiwać opowiadaniu księcia.

— Tak, ot przerzucam jedną piłkę do rowu, tam podnosi ją sobie jakiś człowiek. Piłka zawiera list i człowiek ten zamiast odrzucić mi piłkę, o którą go proszę z góry wału, odrzuca mi inną. Ta inna piłka mieści w sobie list. W ten sposób zamienilibyśmy z sobą myśli i niktby nic nie widział.

— O!... do djabła!... do djabła!... — wyrzekł La Ramée, drapiąc się w ucho — jak to dobrze, iż Wasza książęca mość mówi o tem, będą pilnował podnoszących piłki.

Książę uśmiechnął się.

— Ale — ciągnął dalej La Ramée — wszystko to koniec końcem jest dopiero sposobem korespondowania.

— Zdaje mi się, że to już wiele.

— Ale nie dość.

— To cię przepraszam. Ot, powiadam naprzykład moim przyjaciołom: takiego a takiego dnia, o tej i o tej godzinie, bądźcie po drugiej stronie murów z dwoma końmi.

— I cóż dalej?... — pytał La Ramée z pewnym niepokojem — chyba że te konie mają skrzydła, ażeby się dostać do pana przez wały.

— E!... mój Boże!... — rzekł książę niedbale — nie trzeba wcale, ażeby konie miały skrzydła, dla dostania się na wały, lecz żebym ja miał jakiś sposób dla wyjścia poza nie.

— A jaki sposób?...

— Drabinę sznurową.

— Tak, ale — rzekł La Ramée, usiłując się śmiać — ale drabiny sznurowej nie można tak przysłać w piśmie, jak listu.

— Nie, ale można ją przysłać w czym innym...

— W czym innym!... W czym innym!... naprzykład w czym?...

— Naprzykład w pasztecie.

— W pasztecie?... — podchwycił la Ramée.

— Tak... Przypuśćmy naprzykład — podjął książę — przypuśćmy, że marszałek mój, Nairant nabył zakład od ojca Marteau.

— Więc cóż takiego?... — zapytał La Ramée, drżący.

— Otóż La Ramée, który jest żarłokiem, zobaczył jego pasztety, podobają mu się one bardziej, niż u poprzedników, proponuje mi, ażebym ja ich także skosztował... Ja zgadzam się pod warunkiem, że La Ramée będzie je ze mną jadł. Ażeby być swobodnym, La Ramée oddała strażę i tylko zatrzymuje Grimauda, ażeby nam usługiwał. Grimaud jest tym człowiekiem, którego dał mi przyjaciel, tym sługą, z którym się porozumiewam, jako z gotowym we wszystkim mi dopomódz. Chwila ucieczki oznaczona jest na godzinę siódmą. Otóż na kilka minut przed siódmą...

— Na kilka minut przed siódmą — podchwycił La Ramée — a pot wystąpił mu na czoło.

— Na kilka minut przed siódmą — podchwycił książę, do słów dodając uczynek — podnoszę pokrywę pasztetu, znajduję w nim dwa sztylety, drabinkę sznurową i knebel. Jeden ze sztyletów przykładam do piersi La Ramée-mu i powiadam mu: słuchaj, przyjacielu, jestem w rozpacz, ale jeżeli się poruszysz, jeżeli krzykniesz, zginąłeś.

Powiedzieliśmy, że, wymawiając te ostatnie słowa, książę dołączył do nich uczynek.

Książę stał przy nim i przykładał mu do piersi ostrze sztyletu z miną tak stanowczą, iż o jej znaczeniu niepodobna było wątpić.

Tymczasem Grimaud, wciąż milczący, wyciągnął z pasztetu drugi sztylet, drabinkę sznurową i knebel.

La Ramée każdemu z tych przedmiotów przyglądał się, ze wzrastającym przerażeniem.

— O!... Wasza książęca mość!... — zawołał, spoglądając na księcia z osłupieniem, jakie byłoby go z pewnością

pobudziło do śmiechu w każdej innej chwili — nie będziesz miał serca mnie zabić!...

— Nie, jeżeli się nie będziesz sprzeciwiał mej ucieczce.

— Ależ, Wasza książęca mość, jeżeli was wypuszczę, jestem człowiekiem zrujnowanym.

— Zwrócę ci tyle, ile wynosi twoja pensja...

— I pan jesteś naprawdę zdecydowany opuścić więzienie?...

— Do licha!...

— I nic, cobym panu mógł powiedzieć, nie zmieniłoby pańskiego postanowienia.

— Dziś wieczorem chcę być wolny.

— A jeżeli będę się bronił, jeżeli będę wołał, krzyczał?...

— Zabiję cię, słowo honoru.

W tejże chwili zegar zaczął wydzwaniać godzinę.

— Siódma — wyrzekł Grimaud, który dotąd nie powiedział ani jednego słowa.

— Siódma!... — rzekł książę — widzisz, że się spóźniam.

Ramée uczynił ruch, jakby dla zaspokojenia sumienia.

Książę zmarszczył brwi i strażnik poczuł ostrze sztyletu, które, przedziurawiwszy ubranie, gotowe było i pierś mu przeszyć

— Dobrze, Wasza książęca mość — rzekł — tego dość... już się nie poruszę. Ale jeszcze proszę o ostatnią łaskę.

— Jaką?... mów... śpiesz się.

— Niech mnie Wasza książęca mość dobrze zwiąże.

— Dlaczego cię związać?

— Ażeby nie myślano, że byłem pańskim współnikiem...

Książę zdjął pas i dał go Grimaudowi, który tak związał ręce La Raméemu, że go zadowolili.

— Nogi — wyrzekł Grimaud.

La Ramée podał nogi.

Grimaud wziął serwetę, rozdarł ją na kawałki i skrupował nogi La Ramée'mu.

— Teraz szpada moja — rzekł La Ramée — obwiążcie, panowie, rękojeść mojej szpady.

Książę zerwał wstążkę ze swego ubioru i spełnił życzenie strażnika.

— Teraz — wyrzekł biedny La Ramée — proszę o kne-

bel, bez niego wytoczonoby mi proces za to, że nie krzy-
czałem. Kładź mi, Wasza książęca mość, knebel w gębę,
proszę bardzo, kładź.

Grimaud już gotów był spełnić tę prośbę dozorczy, gdy
ten dał znak, że chce coś jeszcze powiedzieć.

— Mów — odezwał się książę.

— Teraz, niech Wasza książęca mość nie zapomina —
rzekł La Ramée — że jeśli z waszej przyczyny spotka
mnie nieszczęście, to, co się stanie z moją żoną i czwor-
giem dzieci?

— Bądź spokojny. Grimaud, kładź knebel.

W jednej sekundzie La Ramée został zakneblowany i po-
łożony na ziemi, a dwa czy trzy krzesła przewrócono dla
upozorowania walki.

Grimaud zabrał z kieszeni dozorczy wszystkie klucze,
otworzył napród drzwi od pokoju, w którym się znajdo-
wali, zamknął je na podwójny spust, kiedy wyszli, poczem
obydwaj podążyli szybko przez galerję, prowadzącą na
mały placyk. Kolejno otworzono i zamknięto troje drzwi
z szybkością, czyniącą zaszczyt zręczności Grimauda.

Nareszcie przybyli do miejsca, gdzie grano w piłkę.
Było tu zupełnie pusto, ani szyldwachów, ani nikogo w ok-
nach. Książę podbiegł do wału i spostrzegł po drugiej
stronie fosy trzech jeźdźców, trzymających jeszcze dwa
konie. Książę zamienił z nimi znak; tak czekano n niego.

Tymczasem Grimaud przywiązał drabinkę ratunkową.
jedwabiu mocnego z kijkiem do oparcia pod nogi, który
się zsuwał na dół pod naciskiem ciężaru.

— Idź — rzekł książę.

— Czy pierwszy, Wasza książęca mość?... — zapytał
Grimaud.

— Naturalnie — odrzekł książę — jeżeli mnie złapią,
narażam się tylko na więzienie, a jeżeli ciebie schwytają,
to cię powieszają.

— Racja — odrzekł Grimaud.

I Grimaud, usiadłszy zaraz na owym kijku, jak na
koniu, rozpoczął niebezpieczne spuszczenie się na dół.
Książę ścigał go oczyma z mimowolnym przestraczem.
Grimaud opuścił się już do trzech czwartych sznura, kie-
dy nagle sznur się zerwał. Grimaud spadł gwałtownie
do rowu.

Książę krzyknął, ale Grimaud ani jęknął, chociaż musiał się ciężko poranić, bo leżał wyciągnięty na miejscu, gdzie spadł. Natychmiast jeden z ludzi czekających spuścił się do rowu, przewiązał sznur pod pachami Grimauda, a dwaj inni, trzymający drugi koniec liny, pociągnęli Grimauda ku sobie.

— Niech Wasza książęca mość schodzi — rzekł człowiek z rowu — tylko piętnaście stóp jest odległości, a murawa miękka.

Książę był już u dzieła. Trudniejsza to jednak była sprawa, gdyż brakło owego kijka do oparcia; musiał opuszczać się tylko na rękach i to z wysokości pięćdziesięciu stóp. Ale, jak powiedzieliśmy, książę był zręczny, silny i pełen zimnej krwi.

W niespełna pięć minut znalazł się na końcu sznura; jak zapewniał go szlachcic, odległość od ziemi wynosiła tylko piętnaście stóp.

Puścił sznur i spadł na nogi, nie zrobiwszy sobie najmniejszej szkody. Wtedy wdrapał się na szczyt rowu i zastał tam Rocheforta. Dwaj inni szlachcice byli mu nieznani. Zemdłonego Grimauda przywiązano do konia.

— Panowie!... — rzekł książę — podziękuję wam później, bo teraz nie mam chwili do stracenia. W drogę więc, w drogę!... a kto mi sprzyja, za mną!

Wskoczył na konia i ruszył galopem, oddychając pełną piersią i krzycząc z niepodobną do opisania radością:

— Wolny jestem!... wolny!... wolny!...

ROZDZIAŁ XXVI

D'ARTAGNAN PRZYBYWA W PORĘ

D'Artagnan podniósł w Bois sumę, którą Mazarini, pragnąc go mieć znów przy sobie, zdecydował się przekazać mu na poczet jego przyszłych usług.

Z Blois do Paryża było cztery dni drogi dla zwykłego jeźdźca. Trzeciego dnia podróży — około godziny czwartej po południu, d'Artagnan znajdował się już przy rogatce S-go Djonizego.

Widzieliśmy już, jak Athos, wyjechawszy w trzy godziny po nim, przybył na dwadzieścia cztery godziny wcześniej.

Planchet odzwyczytał się od takich szybkich podróży i d'Artagnan wyrzucał mu tę zniewieściałość.

— E!... proszę pana, trzydzieści mil w trzy dni!... to i tak bardzo ładnie dla handlarza pralinek.

— Czyś naprawdę stał się już kupcem, Planchecie, i czy istotnie zamierzasz teraz, kiedyśmy się odnaleźli, gnić w swoim sklepie?

— Ho!... — podchwycił Planchet — naprawdę to pan tylko stworzony jest do życia czynnego. Któżby naprzykład powiedział, że pan Athos był takim awanturnicznym poszukiwaczem przygód?... Żyje sobie teraz, jak prawdziwy szlachcic wiejski. Bo, proszę pana, najmilsze jest w gruncie rzeczy spokojne życie.

— Obłudniku!... — wyrzekł d'Artagnan — jak to zaraz widać, że zbliżamy się do Paryża, gdzie czeka cię postronek i szubienica.

Rzeczywiście, tak rozmawiając, podróżni przybyli już na rogatkę, Planchet nacisnął kapelusz na głowę, pomny, że będzie przejeżdżał przez ulicę, gdzie go dobrze znają;

a d'Artagnan podkręcał wąsa, przypominając sobie Porthosa, który miał na niego czekać w hotelu przy ulicy Tiquetonne. Myślał więc nad sposobami, jakimi mógłby mu dać zapomnieć o jego pańskości w Bracieux i o homerycznej kuchni w Pierrefonds.

Skręcając na ulicę Montmartre, spostrzegł w jednym z okien hotelu „pod Kozą“ Porthosa, ubranego we wspaśniały kaftan niebieski, haftowany srebrem, i ziewającego tak, że o mało szczęki nie wyszły mu z zawias, a przechodnie podziwiali z pewnym szacunkiem tego szlachcica tak pięknego i tak bogatego, a jednak tak widocznie znużonego i bogactwem swem i wielkością.

Kiedy d'Artagnan i Planchet minęli róg ulicy, Porthos również ich zoczył.

— Hej!... d'Artagnan — zawołał — chwała Bogu! to ty!

— A!... dzień dobry!... drogi przyjacielu — odpowiedział d'Artagnan.

Gromadka gapiów otoczyła wkrótce konie, — trzymane już za uzdy, przez służących hotelowych, — i jeźdźców, rozmawiających tak na ulicy, ale zmarszczenie brwi d'Artagnana i parę groźnych ruchów Porthosa rozproszyły gromadzących się.

Porthos wyszedł już na próg hotelu.

— O!... mój drogi przyjacielu, — wyrzekł — jak tutaj źle mym koniom.

— Doprawdy!... — odrzekł d'Artagnan — bardzo mi żal szlachetnych zwierząt.

— I mnie także bardzo źle tutaj... — rzekł Porthos — i gdyby nie gospodyni — mówił dalej, kołysząc się na nogach, z miną zadowoloną z siebie — gdyby nie gospodyni, dość uprzejma i znająca się na żartach, byłbym już poszukał sobie mieszkania gdzieindziej.

Piękna Magdalena, która zbliżyła się podczas tej rozmowy, cofnęła się krok w tył i zbladła, jak trup, usłyszawszy te słowa Porthosa, sądziła bowiem, że scena ze szwajcarem znowu się powtórzy. Lecz ku wielkiemu jej zdziwieniu d'Artagnan wcale się nie zmarszczył i — zamiast się gniewać — powiedział do Porthosa z uśmiechem:

— Tak, rozumiem cię, drogi przyjacielu, powietrze na ulicy Tiquetonne nie może się równać z powietrzem doliny Pierrefonds, ale bądź spokojny, dostarczę ci lepszego.

— Kiedy?...

— Dalibóg spodziewam się, że wkrótce.

— O!... Tem lepiej.

W odpowiedzi na wykrzyknik Porthosa odezwał się z bramy cichy i przeciągły krzyk. D'Artagnan zobaczył wtedy przy murze ogromny brzuch Mousquetona, którego usta zasmucone wydawały te głuche skargi.

— I ty również, mój biedny panie Moustonie, jesteś nie na swoim miejscu w tym nędznym hotelu, nieprawdaż?... — zapytał d'Artagnan tonem drwiącym, który jednak mógł zarówno uchodzić za współczucie, jak za szyderstwo.

— Kuchnia tu dla niego nieznośna — odpowiedział Porthos.

— To dlaczego sam nie wziął się do gotowania, jak w Chantilly?

— O! panie, tutaj nia ma tak, jak tam, stawów księcia dla łapania pięknych karpi, ani lasów Jego książęcej mości dla brania za kołnierz delikatnych kuropatw. Co zaś do piwnicy, to zwiedziłem ją szczegółowo, ale co to tam warte.

— Panie Moustonie,—rzekł d'Artagnan,—doprawdy żałowałbym cię bardzo, gdybym nie miał teraz czego innego do roboty.

I, biorąc Porthosa na stronę, mówił dalej:

— Dobrze, mój drogi du Vallon, żeś się tak pięknie ubrał, bo cię zaraz zaprowadzę do kardynała.

— O! doprawdy?... — spytał Porthos, wytrzeszczając zdziwione oczy.

— Tak, mój przyjacielu.

— Chcesz mnie przedstawić?

— Czy cię to przestrasza?

— Nie, ale mnie wzrusza.

— O! bądź spokojny; będziesz miał do czynienia z kardynałem, ale nie z takim, jak tamten dawniejszy, o! ten nie przygniata swoim majestatem.

— Zawsze to dwór, pojmujesz, d'Artagnanie....

— E! mój przyjacielu, teraz już niema dworu.

— A królowa?

— Chciałem powiedzieć: niema już królowej. Królowa? o! bądź przekonany, jej nie zobaczymy.

— Więc powiadasz, że zaraz idziemy do pałacu królewskiego?

— Natychmiast, tylko, ażeby się nie opóźnić, pożyczę sobie od ciebie konia.

— A i owszem; wszystkie cztery są na twoje usługi.

— O! teraz potrzebuję tylko jednego.

— Czy nie zabierzemy z sobą lokaja?

— Weź Mousquetona, nie będzie to wcale źle; Planchet ma pewne powody, dla których nie chciałby się pokazywać u dworu.

— A to dlaczego?

— Ba! ma na pieńku z Jego Eminencją.

— Moustonie — wyrzekł Porthos — osiodłaj Wulkana i Bayarda.

— A ja, proszę pana, czy mam wziąć Rustanda?

— Nie, weź okazalszego konia, Febusa albo Pyszne-go, mamy wizytę ceremonjalną.

— O!... — rzekł Mousqueton, oddychając — więc to będzie tylko wizyta?

— A! mój Boże, tak, Moustonie, nic innego. Ale na wszelki wypadek włóż pistolety do olster, przy mojem siodle są już nabite.

Mouston westchnął, trudno mu było zrozumieć, że na wizyty ceremonjalne trzeba było się uzbrajać od stóp do głowy.

— Doprawdy — rzekł Porthos, z upodobaniem patrząc na oddalającego się dawnego lokaja — masz słusność, d'Artagnanie; Mouston wystarczy, Mouston wygląda bardzo ładnie.

D'Artagnan uśmiechnął się.

— A ty — rzekł Porthos — czy się nie przebierzesz?

— Nie, ja zostanę tak, jak jestem.

— Ależ pokryty jesteś potem i kurzem, a buty masz bardzo zabłocone.

— Ten negliz podróżny będzie świadczył, jak skwapliwie śpieszę na rozkazy kardynała.

W tejże chwili Mousqueton powrócił z trzema gotowymi do drogi końmi. D'Artagnan wskoczył na siodło tak, jakby od tygodnia nie jeździł.

— Planchecie — rzekł — daj mi długą szpadę.

— Ja — rzekł — Porthos, wskazując na zwisającą

mu przy boku małą szpadę z rękojeścią złoconą — mam tylko szpadę galową.

— Weź swój rapir, mój przyjacielu.

— A to dlaczego?

— Nie wiem, ale wierzaj mi, weź rapir.

— Rapir mój, Moustonie — rzekł Porthos.

— Ależ to cały rynsztunek wojenny, proszę pana!... — rzekł tenże — czy jedziemy na wojnę? O! niech mi pan powie, to zaraz się odpowiednio przygotuję.

— Z nami wiesz, mój Moustonie — podchwycił d'Artagnan — zawsze należy być gotowym na wszystko. Albo nie masz zbyt dobrej pamięci, alboś zapomniał, że nie przywykliśmy spędzać nocy na balach, lub serenadach.

Ruszyli z miejsca dobrym kłusem i przybyli do pałacu królewskiego około kwadrans na ósmą. Na ulicach roiły się tłumy, albowiem były to Zielone Świątki, a gawieź przyglądała się z podziwem dwom jeźdźcom, z których jeden był tak wyświeżony, jakby się wydostał tylko co z pudełka, a drugi tak zakurzony, jak gdyby jechał wprost z pola bitwy. Mousqueton również ściągał na siebie spojrzenia ciekawych, a ponieważ wtedy romans o Don Kiszocie był bardzo w modzie, niektórzy przezywali go Sanszem, który, zgubiwszy swego pana, znalazł sobie teraz dwóch.

W przedpokoju pałacowym d'Artagnan znalazł się wśród dobrych znajomych. Byli to muszkietierowie z jego kompanji, pełniący straż. Zawołał woźnego i pokazał mu list kardynała, wzywający go, aby się stawił natychmiast. Woźny skłonił się i poszedł do Jego Eminencji.

D'Artagnan zwrócił się ku Porthosowi. Zdawało mu się, że ten zlekka drży. Uśmiechnął się i, zbliżywszy się doń, powiedział mu do ucha:

— Odwagi, mój dzielny przyjacielu. Nie bądź tak załężniony; wierzaj mi, zamknęło się oko orle i mamy do czynienia ze zwyczajnym sępem. Trzymaj się ostro, jak owego dnia w bastjonie świętego Gerwazego i nie kłaniaj się zbyt nisko temu Włochowi, dałoby to mu o tobie kiepskie wyobrażenie.

— Dobrze, dobrze — odpowiedział Porthos.

Woźny powrócił.

— Proszę pana — rzekł — Eminencja na panów czeka.

W istocie Mazarini oczekiwał w swoim gabinecie, pracując nad wykreśleniem o ile można największej liczby nazwisk z listy pensyj i przywilejów. Zukosa spojrział na wchodzących d'Artagnana i Porthosa, a chociaż wzrok mu zamigotał radością, gdy woźny ich oznajmił, nie dał po sobie poznać wzruszenia.

— A to pan, panie poruczniku?... — rzekł — pośpieszył się, to dobrze, witaj mi.

— Dziękuję Waszej ekscelencji. Jestem na rozkazy Eminencji, zarówno jak pan du Vallon, mój dawny przyjaciel, który ukrywał niegdyś swe szlachectwo pod imieniem Porthosa.

Porthos ukłonił się kardynałowi.

— Wspaniały rycerz — wyrzekł Mazarini.

Porthos obrócił głowę na prawo i na lewo i poruszył ramionami z całą godnością.

— Najlepsza szpada w królestwie, Wasza wysokość — rzekł d'Artagnan — i wielu o tem wiedziało, ale nie mówi, bo nie może już powiedzieć.

Porthos skłonił się d'Artagnanowi.

Mazarini lubił pięknych żołnierzy prawie tak samo, jak później Fryderyk pruski. Podziwiał więc ręce nerwowe, barczyste plecy i pewne oko Porthosa. Zdawało mu się, że ma przed sobą zbawienie swego ministerjum i królestwa, wcielone w krew i kości. To mu przypominało, że dawne grono przyjaciół składało się z czterech muszkieterów.

— A dwaj inni pańscy przyjaciele?... — zapytał Mazarini.

Porthos otworzył usta, sądząc, że nadeszła chwila, ażeby i on wtrącił słówko, ale d'Artagnan mrugnął na niego prędko.

— Przyjaciele nasi nie mogli teraz przybyć i dopiero później z nami się połączą.

Mazarini zakaszłał zlekka.

— A pan, jako od nich wolniejszy, czy chętnie powrócisz do służby?

— Tak, Wasza wysokość, i to czysto z przywiązania, bo pan de Bracieux jest bogaty.

— Bogaty?... — podchwycił Mazarini, w którym ten wyraz budził zawsze szacunek.

— Pięćdziesiąt tysięcy franków rocznego dochodu — rzekł Porthos.

Były to jego pierwsze słowa.

— Z czystego przywiązania — podchwycił Mazarini z przebiegłym uśmiechem — więc tylko z czystego przywiązania?...

— Wasza wysokość może niezbyt dowierza temu słowu?... — zapytał d'Artagnan.

— A pan, panie gaskończyku?... — rzekł Mazarini, opierając się łokciem na biurku.

— Ja — odparł d'Artagnan — wierzę w przywiązanie, jako w imię chrzestne naprzykład, któremu naturalnie towarzyszyć ma nazwa dóbr. Z natury rzeczy człowiek jest bardziej lub mniej przywiązany; ale na dzień tego przywiązania musi być zawsze coś.

— A pański przyjaciel, naprzykład, cóżby chciał znaleźć na dzień przywiązania?

— O!.. Wasza wysokość, mój przjaciel ma trzy wspaniałe majątki ziemskie: du Vallon w Corbeil, Bracieux w Soissonais i Pierrefonds w Valois. Otóż pragnie on, Wasza wysokość, ażeby do jednego z tych majątków przywiązane było baronostwo.

— Czyż to tylko?... — rzekł Mazarini, a oczy zaświeciły mu się radością, bo widział, że może wynagrodzić Porthosa, nie rozwiązując wcale worka. — Czyż to tylko?... o!... to się da zrobić.

— Będę baronem!... — zawołał Porthos, postępując krok naprzód.

— Powiedziałem ci to — podjął d'Artagnan, powstrzymując go ręką — a Wasza wysokość to powtarza.

— A ty, panie d'Artagnan, czego pragniesz?...

— Wasza wysokość — wyrzekł d'Artagnan — we wrześniu dwadzieścia lat upływa, kiedy mnie pan kardynał de Richelieu mianował porucznikiem.

— Tak, i chcesz, ażeby kardynał Mazarini zrobił z ciebie kapitana.

D'Artagnan skłonił się.

— No, to wszystko nie jest niemożliwe, moi panowie, zobaczymy, a teraz, panie du Vallon — rzekł Mazarini — jaką służbę wybierasz?... w mieście czy w polu?...

Porthos otworzył usta, ażeby odpowiedzieć.

— Wasza wysokość — odezwał się d'Artagnan — pan

du Vallon tak, jak ja, lubi służbę nadzwyczajną, to jest, wszelkie wyprawy, które są uznane za szalone i niemożliwe.

Ta przechwałka przypadła nawet do gustu Mazariniemu, bo zaczął myśleć.

— Ja jednak przyznaję potroszę, że was po to sprowadziłem, ażeby wam dać stałe stanowisko. A to co?... — zawołał Mazarini.

W przedpokoju słychać było wielki zgiełk i prawie jednocześnie drzwi od gabinetu otworzyły się i człowiek, pokryty kurzem, wbiegł, krzycząc:

— Panie kardynale!... gdzie jest pan kardynał?...

Mazarini, sądząc, że go chcą zamordować, cofnął się, zagroziwszy się fotelem. D'Artagnan i Porthos postąpili naprzód tak, że stanęli między nowoprzybyłym i kardynałem.

— Hola!... — mój panie!... — zawołał Mazarini — cóż to takiego, że wpadasz tu, jak bomba?...

— Wasza wysokość — odrzekł oficer, do którego się stosowała ta wymówka — dwa słowa chciałem panu powiedzieć prędko i w sekrecie. Jestem de Poies, oficer straży na służbie w wieży Vincennes.

Oficer był tak błydy i zmieszany, że Mazarini, przeświadczony, iż zwiastować ma ważną wiadomość, skinął na d'Artagnana i Porthosa, ażeby ustąpili mu miejsca. D'Artagnan i Porthos odeszli w kąt gabinetu.

— Mów pan... mów prędko — rzekł Mazarini — cóż się stało?...

— A to się stało — rzekł oficer — że pan de Beaufort uciekł z zamku Vincennes.

Mazarini krzyknął i sam zbladł jeszcze bardziej, niż przynoszący tę nowinę; padł na fotel, zgnębiony.

— Uciekł!... — wyrzekł — pan de Beaufort uciekł!...

— Wasza wysokość, widziałem z tarasu, jak uciekał.

— I nie chciałeś do niego strzelać!

— On już był poza odległością strzału.

— Ale cóż pan de Chavigny wtedy porabiał?...

— Nie było go w więzieniu.

— A La Ramée?

— Znaleziono go związanego w pokoju księcia, z kneblem w ustach i sztyletem przy boku.

— A ten człowiek, którego sobie przybrał...

- To był wspólnik księcia i razem z nim uciekł.
Mazarini jęknął.
- Wasza wysokość — rzekł d'Artagnan, postępując krok naprzód.
- Co?... — odezwał się Mazarini.
- Zdaje mi się, że Wasza Eminencja traci czas szacowny.
- Jakto?...
- Gdyby Wasza Eminencja rozkazał ścigać więźnia, możeby udało się go dogonić. Francja jest wielka, a najbliższa granica o pięćdziesiąt mil.
- A któżby go ścigał... — zawołał Mazarini.
- Ja, dalibóg.
- I ująłbyś go?
- Dlaczego nie?
- Schwyciłbyś księcia de Beaufort, uzbrojonego i na wolności?
- Gdyby Wasza wysokość rozkazał schwycić samego djabła, porwałbym go za rogi i przyprowadziłbym.
- I ja także — rzekł Porthos.
- Pan także — podjął Mazarini, patrząc nań ze zdziwieniem. — Ale księżę nie podda się bez zaciętej walki.
- Więc cóż — odparł d'Artagnan, a oczy mu gorzały — to będzie bitwa! Dawno jużśmy się nie bili, nieprawdaż, Porthosie?
- Niech będzie bitwa!... — odrzekł Porthos.
- I wy sądzicie, panowie, że go złapiecie?
- Tak, jeżeli będziemy mieli większą siłę od niego.
- To bierzcie, panowie, ilu tu znajdziecie gwardzistów i jedźcie.
- Taki jest rozkaz Waszej wysokości?
- Podpisuję go — wyrzekł Mazarini i, biorąc papier, napisał na nim kilka wierszy.
- Niech Wasza wysokość doda, iż nam wolno zabierać wszystkie konie, jakie napotkamy na drodze.
- Tak, tak — rzekł Mazarini — na usługi króla! Bierzcie, panowie, i jedźcie!
- Dobrze! Wasza wysokość.
- Panie du Valoń — rzekł Mazarini — pańskie baronostwo jest na siodle księcia de Beaufort; winienesz je tylko pochwycić. Co do ciebie zaś, mój drogi panie d'Ar-

tagnanie, nie obiecuję ci nic, ale, jeśli go przyprowadzisz żywego lub umarłego, możesz prosić, o co zechcesz!

— Na koń! Porthosie — rzekł d'Artagnan, biorąc przyjaciela za rękę.

— Oto jestem!... — odpowiedział Porthos ze wspaniałą miną.

Wyszli śpiesznie przez główne schody, zabierając za sobą gwardzistów, których napotykali po drodze, i wołając:

— Na koń!... na koń!...

Tak zebrało się z tysiąc ludzi. D'Artagnan i Porthos wskoczyli, pierwszy na Wulkana, drugi na Bayarda; Mosqueton dosiadł Febusa.

— Z nami!... — zawołał d'Artagnan.

— W drogę!... — wyrzekł Porthos.

I zapuścili ostrogi w boki szlachetnych biegunów, które popędziły przez ulicę Ś-go Honorjusza, jakby huragan...

— I cóż, panie baronie, przyrzekłem ci trochę ruchu, widzisz, że dotrzymuję słowa.

— Tak, mój kapitanie — odpowiedział Porthos.

Obrócili się; Mosqueton, bardziej spotniały od swego konia, trzymał się w przyzwoitej odległości. Za Mosquetonem galopowało dziesięciu gwardzistów. Mieszczanie zdumieni wychodzili przede drzwi, a psy rozochoczone biegly za jeźdźcami, szczekając. Na rogu cmentarza Ś-go Jana d'Artagnan przewrócił pakiegoś człowieka, ale był to zbyt drobny wypadek, ażeby zatrzymać ludzi, którym tak się śpieszyło. Oddział galopujący podązał dalej, jak gdyby konie dostały skrzydeł.

Niestety!... niema zbyt drobnych wypadków na tym świecie, a zobaczymy, że ten o mało co nie zgubił monarchji.

ROZDZIAŁ XXVII

NA GOŚCIŃCU

Tak pędzili przez całe przedmieście Ś-go Antoniego i przez drogę do Vincennes; już byli poza miastem, już byli w lesie, już nieopodal od widniejącej wsi; konie zdawały się nabierać coraz szybszego kroku, a nozdrza ich rozczzerwieniły się, jak ogniste paleniska.

Z wierzchołka wzgórza d'Artagnan zobaczył gromadkę osób, które zebrały się po drugiej stronie zamku, wychodzącej na Saint-Maur.

Zrozumiał, że tamtędy uciekł więzień i że w tej stronie otrzymać można wiadomość. W pięć minut przybył już do tego celu, gdzie też przystanęli i gwardziści. Wszyscy ludzie, składający tę gromadkę, byli bardzo zajęci oglądaniem sznura, zawieszono go w strzelnicy i przerwanego na dwadzieścia stóp od ziemi. Oczy ich mierzyły tę odległość i wymieniali między sobą mnóstwo domysłów.

Na wałach chodziły w tę i w ową stronę straże z mianami przerażonemi. Niewielki oddział żołnierzy, pod dowództwem sierżanta, usuwał mieszczan z miejsca, gdzie księżę wsiadł na konia.

D'Artagnan podjechał wprost do sierżanta.

— Mój oficerze — odezwał się sierżant — tutaj stać nie można.

— Ten zakaz mnie nie dotyczy — rzekł d'Artagnan. — Czy pogoń puściła się za zbiegami?

— Tak, mój oficerze, ale na nieszczęście, mają oni dobre konie.

— A ilu ich jest?...

— Czterech zuchów, a piątego zabrali rannego.

— Czterech!... — wyrzekł d'Artagnan, spoglądając na Porthosa. — Słyszysz, baronie, jest ich tylko czterech!

— A na ile czasu nas wyprzedzili?

— Na dwie godziny i kwadrans, mój oficerze!

— Dwie godziny i kwadrans, to nic nie znaczy, konie mamy doskonale, nieprawdaż, Porthosie?

Porthos wstchnął; myślał, co czeka jego biedne rumaki.

— Bardzo dobrze — odezwał się d'Artagnan — a w którą stronę pojechali?

— O! tego nie wolno mi mówić, mój oficerze.

D'Artagnan wydobył z kieszeni papier.

— Oto rozkaz królewski — wyrzekł.

— To mów pan z gubernatorem?

— A gdzie jest gubernator?

— Gubernatora teraz niema w więzieniu.

Gniew uderzył do twarzy d'Artagnana, czoło mu się zmarszczyło, policzki zaczerwieniły.

— A! nędzniku — rzekł do sierżanta — zdaje mi się, że kpisz sobie ze mnie. Poczekaj!

Rozwinął papier, podał go jedną ręką sierżantowi, a drugą wziął z olster pistolet, który nabił.

— To rozkaz królewski, powiadam ci: czytaj i odpowiadaj, a nie, to ci wypalę w łeb. Którędy pojechali?

Sierżant zobaczył, iż d'Artagnan mówi nie na żarty.

— Drogą do Vendômes — odpowiedział.

— A którą bramą wyjechali?

— Bramą Saint-Maur.

— Jeżeli mnie oszukujesz, nędzniku — wyrzekł d'Artagnan — to cię jutro powieszają.

— A ty, jeżeli ich dogonisz, nie wrócisz, ażeby mnie powiesić — mruknął sierżant.

D'Artagnan wrzucił ramionami, skinął na swój orszak i popędził.

— Tędy, panowie, tędy!... — zawołał, kierując się ku wskazanej bramie.

Ale teraz, kiedy książę już uciekł, odźwierny uznał za stosowne zamknąć bramę na podwójny spust. Trzeba go było zmusić do otworzenia bramy, jak się już zmusiło sierżanta, zabrało to jednak dziesięć minut czasu. Po usunięciu tej ostatniej przeszkody, oddział znów galopował z tą samą, co poprzednio szybkością.

Lecz nie wszystkie konie mogły tak nadażyć, kilka nie zdołało wytrzymać szalonego biegu, trzy stanęły po godzinie jazdy, jeden padł.

— Bylebyśmy tylko przybyli we dwóch — rzekł d'Artagnan — to wystarczy, ponieważ ich jest tylko czterech.

— To prawda — rzekł Porthos.

I zapuścił ostrogi w brzuch konia. W niespełna dwie godziny konie przebyły już ośm mil, nie zatrzymując się wcale; nogi im zaczęły drżeć, a piana, którą wyrzucały, walała kaftany jeźdźców, gdy pot przesiąkał przez dolne ubranie.

— Odpocznijmy chwilę, niech te nieszczęśliwie zwierzęta wytchną — odezwał się Porthos.

— Zabijmy je, przeciwnie, zabijmy!... — rzekł d'Artagnan — a dogońmy. Widzę tę śladę świeżę, przejeżdżali tędy najwyżej przed kwadransem.

Rzeczywiście gościniec był skopany kopytami końskimi. Widać to było przy ostatnich blaskach dnia. Znów pojechali, ale półtorej mili dalej powalił się koń Mousquetona.

— Dobryś!... — odezwał się Porthos — Febus wyciągnął kopyta.

— Kardynał zapłaci ci za niego tysiąc pistołów.

— O!... — odparł Porthos — ja o to nie stoję.

— Dalej więc, dalej! galopem!

— Tak, jeżeli to podobna.

W istocie koń d'Artagnana odmówił posłuszeństwa, nie oddychał już wcale i po chwili padł.

— O! do diabła!... — zawołał Porthos — już po Wulkanie!

— Kroćset piorunów!... — krzyknął d'Artagnan, chwytając się za włosy pełną garścią, — więc trzeba się zastrzymać! daj mi swego konia, Porthosie.

— A! i ja padam — odrzekł Porthos — a raczej to Bayard się przewraca.

W tejże chwili dało się słyszeć rżenie.

— Cicho!... — wyrzekł d'Artagnan.

— Co?

— Słyszę konia.

— Może który z oddziału nas dogania.

— Nie — odpowiedział d'Artagnan — to przed nami.

— A to co innego — podchwycił Porthos i jął nasłu-

chiwać, wyciągając uszy w stronę, wskazaną przez d'Artagnana.

— Proszę pana... — odezwał się Mousqueton, który, porzuciwszy konia na gościńcu, dopadł swego pana pieszo — pański Febus nie mógł wytrzymać i...

— Cicho bądź!... — wyrzekł Porthos.

Rzeczywiście, w tej chwili usłyszano drugie rzenie konia, przyniesione przez wiatr.

— To o pięćset kroków przed nami... — zauważył d'Artagnan.

— Tak, panie — odezwał się Mousqueton — a o pięćset kroków przed nami znajduje się domek myśliwski...

— Mousquetonie, masz pistolety? — spytał d'Artagnan.

— Mam je pod ręką.

— Porthosie, weź swoje z olster.

— Trzymam je.

— To dobrze — odrzekł d'Artagnan, biorąc kolejno swoje — teraz rozumiesz, Porthosie.

— Niebardzo.

— Jedziemy w służbie królewskiej.

— Więc cóż?...

— Więc w służbie królewskiej zabieramy te konie.

— A tak — odparł Porthos.

— A zatem od słowa — do dzieła.

— Jest już i domek — odezwał się d'Artagnan pociachu. — Porthosie, naśladowaj mnie we wszystkim, co będę robił.

I skradali się od drzewa do drzewa, a w ten sposób niedostrzeżeni, dostali się na dwadzieścia kroków od domu.

Znalazszy się na tej odległości, zobaczyli, dzięki latarni, zawieszanej pod szopą, cztery dziarskie konie.

Przewiązywał je lokaj. Obok leżały siodła i uzdeczki.

D'Artagnan zbliżył się żwawo, skinąwszy na obu towarzyszy, ażeby się trzymali o kilka kroków w tyle.

— Kupuję te konie — odezwał się do służącego.

Ten obrócił się zdziwiony, ale nic nie odrzekł.

— Czyś nie zrozumiał, głupcze?... — podchwycił d'Artagnan.

— A gdyby nawet?... — odezwał się.

— To dlaczego nie odpowiadasz?...

— Bo te konie nie są do sprzedania...

— To je poprostu zabieram — wyrzekł d'Artagnan.

I położył rękę na tym, który stał najbliżej. Dwaj towarzysze jego ukazali się w tejże chwili i uczynili to samo.

— Ależ, panowie — zawołał lokaj — one już przejechały z pięć mil, i zaledwie pół godziny temu rozsiodłane.

— Pół godziny wypoczynku wystarcza — odparł d'Artagnan.

Parobek zawołał pomocy. Jakiś człowiek, jakby intendent, wyszedł w chwili, gdy d'Artagnan i jego towarzysze kładli siodła na grzbiety koni. Intendent chciał się zuchowato stawiać.

— Mój drogi przyjacielu — rzekł d'Artagnan — jeżeli słówko powiesz, w łeb ci wypalę.

— Ależ, panie — rzekł intendent — nie wiesz pan chyba, że te konie należą do pana de Montbazon.

— Tem lepiej!... — odrzekł d'Artagnan — to muszą być dobre.

— Panie — odparł intendent, cofając się i usiłując dostać się do domu — uprzedzam pana, że przywołam swych ludzi.

— A ja swoich — wyrzekł d'Artagnan. — Jestem porucznikiem muszkietarów królewskich, mam za sobą jadących dziesięciu gwardzistów, słyszysz, jak galopują... co?... Zobaczymy?...

Nie słyhać było nic, ale intendentowi ze strachu zdało się, że słyszy.

Wszyscy trzej wskoczyli na konie.

— Do mnie!... — zawołał intendent — do mnie lokaje i karabiny.

— W drogę — odezwał się d'Artagnan — będzie strzelanina.

I wszyscy trzej popędzili jak wicher.

— Strzeżcie się, by nie pozabijać swoich koni!... — zawołał d'Artagnan, wybuchając śmiechem.

— Ognia!... — odpowiedział intendent.

Światło, podobne do błyskawicy, oświetliło drogę, potem jednocześnie z wystrzałem trzej jeźdźcy usłyszeli, jak kule gwizdnęły im koło uszu i zagięły w powietrzu.

— Czy jesteś pewny, d'Artagnanie, żeśmy na tropie?... — zapytał Porthos.

— Do licha! czyżeś nie słyszał?

— Co takiego?

— Że te konie należą do pana de Montbazon.

— Więc cóż z tego?

— A to z tego, że pan de Montbazon jest mężem pani de Montbazon.

— No to i cóż?

— A pani de Montbazon jest kochanką pana de Beaufort.

— A! rozumiem — rzekł Porthos — ona rozstawiła konie.

— Właśnie.

— I my gonimy księcia na koniach, z których on zsiadł.

— Mój drogi Porthosie! ty masz doprawdy zdumiewającą lotność myśli — rzekł d'Artagnan tonem, napół poważnym, napół drwiącym.

— E!... — rzekł Porthos — ja tak zawsze.

Jechano w ten sposób całą godzinę. Konie białe były od piany, a z brzuchów płynęła im krew.

— O! koń zdechły — zawołał d'Artagnan, zawracając swego rumaka, który nagle zboczył z drogi — zdaje się, że i oni gonią już ostatkami sił.

— Słyszać jakby tętent całego oddziału jeźdźców.

— Odwagi!... mamy ich.

— Ale cała ich kupa — wtrącił Mousqueton — to nie my ich mamy, ale oni nas mają.

— Ba!.. — zawołał d'Artagnan — będą myśleli, żeśmy silniejsi, ponieważ ich ścigamy, przestraszą się i rozproszą.

— To pewna — rzekł Porthos.

— Naprzód!... naprzód!... — zawołał d'Artagnan — a za pięć minut będziemy się śmieli.

I popędzili znowu. Konie, wściekłe z bólu, biegły drogą ciemną, pokrytą mrokiem ciemniejszym jeszcze, niż reszta widnokregu.

ROZDZIAŁ XXVIII

SPOTKANIE

Tak jechano jeszcze z dziesięć minut. Nagle dwa punkty czarne odłączyły się od masy, jęły się zbliżać, powiększać, a w miarę powiększania przybierały postać dwóch jeźdźców.

— Ho!... ho!... — rzekł d'Artagnan — jadą ku nam!...

— Tem gorzej dla tych, co jadą — rzekł Porthos.

— Kto jedzie?... — zawołał głos donośny.

Trzej pędzący jeźdźcy nie zatrzymali się, ani nie odpowiedzieli; słyhać tylko było odgłos szpad, wydobywanych z pochew i szczęki odwodzonych przez dwa czarne widma kurków u pistoletów.

— Cugle w zęby!... — wyrzekł d'Artagnan.

Porthos zrozumiał, i d'Artagnan i on wyciągnęli po jednym pistolecie z olster i także odwiedli kurki.

— Kto jedzie?... — zawołano po raz drugi. — Ani kroku dalej, albo trupem padniecie.

— E!... — odpowiedział Porthos, prawie zdławiony kurzem i żując cugle, jak koń jego żuł wędzidła — e!... nie takich widzieliśmy.

Na te słowa, dwa cienie zagroziły drogę, i przy blasku gwiazd zabłyśły lufy opuszczanych pistoletów.

— Na bok!... — wykrzyknął d'Artagnan — albo to wy zginiecie!...

Dwa strzały pistoletowe odpowiedziały na tę pogroźkę, ale dwaj napastnicy pędzili z taką szybkością, że w jednej chwili wpadli na swych przeciwników. Rozległ się trzeci strzał, wymierzony przez d'Artagnana z bliska, i nieprzyjaciel jego padł.

Co do Porthosa, pchnął on tak gwałtownie swego prze-

ciwnika, że, chociaż szpadą chybił ciosu, wysadził go z siodła o dziesięć kroków od konia...

— Dokończ, Mousquetonie, dokończ!... — zawołał Porthos.

I rzucił się naprzód, doganiając swego przyjaciela, który już puścił się dalej w pogoń.

— I cóż?... — spytał Porthos.

— Roztrzaskałem mu głowę... a ty?...

— Przewróciłem go tylko, ale słyszysz?...

Rozległ się strzał z karabinu; to Mousqueton, w przejeździe, wykonywał rozkaz swego pana.

— Wspaniale udał się początek!... — wyrzekł d'Artagnan.

— O!... — rzekł Porthos — oto nowi gracze.

W istocie, dwaj inni jeźdźcy ukazali się, odłączywszy się od głównej gromady, i podjechali szybko, ażeby znów zagrodzić drogę. Tym razem d'Artagnan nie czekał już, ażeby przemówiono do niego.

— Usunąć się!... — zawołał pierwszy — na bok!...

— Czego chcecie?... — dał się słyszeć głos.

— Księcia!... — wykrzyknęli jednocześnie Porthos i d'Artagnan.

Odpowiedział wybuch śmiechu, lecz skończył się jękiem: d'Artagnan przeszył śmiejącego się na wylot szpadą. Równocześnie dwa strzały złączyły się jakby w jeden; to Porthos i jego przeciwnik strzelili do siebie. D'Artagnan obrócił się i zobaczył Porthosa przy sobie.

— Brawo, Porthosie — rzekł — zdaje mi się, żeś go zabił?...

— A mnie się zdaje, że trafiłem tylko konia — odrzekł Porthos.

— No!... mój drogi, nie odrazu się zabija muchę. A!... do licha!... co to memu koniowi?...

— Koń twój pada!... — rzekł Porthos, zatrzymując swego rumaka.

Rzeczywiście, koń d'Artagnana zachwiał się, pochylił potem jęknął i powalił się. Dostał on kulą w piersi od pierwszego przeciwnika d'Artagnana. D'Artagnan zaklął siarczyście.

— Czy pan chce konia?... — zapytał Mousqueton.

— Dobry sobie!... jeszcze pyta!... — krzyknął d'Artagnan.

— To ma pan konia — odrzekł Mousqueton.

— A skąd u diabła prowadzisz z sobą dwa konie — spytał d'Artagnan, wskazując na jednego z nich.

— Panowie ich zginęli, pomyślałem więc, że mogą nam się przydać, i zabrałem.

Tymczasem Porthos nabił swój pistolet.

— Patrzcie!... — odezwał się d'Artagnan — znowu dwóch innych?

— O! ależ tego będziemy mieli do jutra!... — krzyknął Porthos.

Rzeczywiście znowu nadjeżdżało szybko dwóch jeźdźców.

— E! proszę pana — rzekł Mousqueton — ten, którego pan przewrócił, podniósł się.

— Czemużeś z nim nie zrobił tego, co z pierwszym?

— Trudno mi było, proszę pana, prowadzić konie.

Huknął strzał, Mosqueton wrzasnął z bólu.

— O! panie!... — zawołał — teraz w drugą stronę! trafił mnie w drugą część, teraz z tamym strzałem po drodze do Amiens będzie do pary!

Porthos zemścił się, jak lew, skoczył na jeźdźca bez konia, ten sięgnął już po szpadę, ale, zanim ją wy dobył z pochwy, Porthos ręką jeścią swoją zadał mu tak straszliwy cios w głowę, że runął, jak wół pod obuchem rzeźnika.

Mosqueton, jęcząc wciąż, położył się wzdłuż konia, gdyż rana, którą otrzymał, nie pozwalała mu siedzieć na siodle. D'Artagnan, spostrzegłszy jeźdźców, zatrzymał się i nabił pistolet; nowy koń jego miał nadto karabin, przytwierdzony do siodła.

— Jestem!... — rzekł Porthos — czekajmy, albo atakujmy.

— Atakujmy — odrzekł d'Artagnan.

— Atakujmy!... — rzekł Porthos, i zapuścili ostrogi w brzuch koni.

Jeźdźcy byli od nich już zaledwie o dwadzieścia kroków.

— W imieniu króla!... — zawołał d'Artagnan — pozwólcie nam przejechać.

— Tu król nic nie ma do rzeczy — odparł głos posępny i brzmiący, jakby z poza chmury, jeździec bowiem przybywał okryty kłębem kurzawy.

— Dobrze, zobaczymy, czy król nie może wszędzie przejść — podchwycił d'Artagnan.

— Zobaczcie — rzekł tenże głos.

Dwa strzały z pistoletu zagrzmiały jednocześnie, jeden padł od d'Artagnana, drugi od przeciwnika Porthosa.

Kula d'Artagnana zrzuciła kapelusz nieprzyjacielowi; kula przeciwnika Porthosa przebiła gardło jego konia, który powalił się zaraz, wydając jęk.

— Po raz ostatni dokąd jedziecie?... — ozwał się tenże głos.

— Do diabła!... — odpowiedział d'Artagnan.

— Dobrze! bądźcie spokojni, dostaniecie się do niego.

D'Artagnan ujrzał zniżającą się ku niemu lufę muszkietu; nie miał czasu sięgnąć do olster, ale przypomniał sobie radę, jaką mu niegdyś dał Athos. Postawił konia dębem. Kula ugodziła zwierzę w sam brzuch. D'Artagnan uczył, jak koń skręcił się pod nim, i z zadziwiającą zręcznością zeskoczył w bok.

— O! ależ to rzeź koni, a nie walka ludzi!... — wyrzekł tenże głos dźwięczny i szydery. — Na szpady! panie, na szpady.

I zeskoczył z konia.

— Dobrze, niech będzie na szpady!... — rzekł d'Artagnan — to moja rzecz!

W dwóch podskokach d'Artagnan zwarł się już z przeciwnikiem i żelazo jego poczuł na swoim. D'Artagnan ze zwykłą zręcznością szpadę pokierował na tercję, według swego upodobania.

Tymczasem Porthos, ukląkszy poza koniem, drgającym w konwulsjach konania, trzymał pistolet w każdej ręce.

Walka między d'Artagnanem i jego przeciwnikiem już się zaczęła. D'Artagnan zaatakował według zwyczaju bardzo ostro, ale tym razem napotkał siłę i umiejętność, które go zastanowiły. Dwa razy zmuszony przejść szpadą na kwadrę, d'Artagnan cofnął się krok w tył, przeciwnik jego nie poruszył się wcale; d'Artagnan postąpił naprzód; znów szpadę pokierował na tercję. Dwa czy trzy ciosy zadane zostały z jednej strony i z drugiej bez żadnego rezultatu, skry trysnęły z ostrzy szpad.

Nareszcie d'Artagnan pomyślał, że nastał czas do wymierzenia jego ulubionego pchnięcia, wykonał je z szybkością błyskawicy, sądząc, że ciosowi temu przeciwnik nie zdoła się oprzeć. Cios został odparty.

— *Mordious!*... — zaklął akcentem gaskońskim.

Na ten wykrzyknik, przeciwnik jego odskoczył w tył i, nachylając się z odkrytą głową, usiłował rozpoznać w ciemności twarz d'Artagnana. D'Artagnan zaś, obawiając się jakiegos fortelu, trzymał się obronnie.

— Strzeż się — rzekł Porthos do swego przeciwnika — mam jeszcze dwa pistolety nabite.

— To strzelaj sobie pierwszy — powiedział tenże.

Porthos strzelił, błyskawica oświetliła pole walki. Na ten blask dwaj inni zapaśnicy wydali okrzyk.

— Athos!... — wykrzyknął d'Artagnan.

— D'Artagnan!... — zawołał Athos.

Athos podniósł do góry szpadę, d'Artagnan opuścił swoją.

— Aramis — zawołał Athos — nie strzelaj.

— A! a! to ty, Aramisie — rzekł Porthos. I odrzucił pistolet.

Aramis schował pistolet swój do olster, a szpadę włożył do pochwy.

— Mój synu!... — wyrzekł Athos, wyciągając rękę do d'Artagnana.

Nazwę tę dawał mu niegdyś w chwilach rozrzewnienia.

— Athosie — wyrzekł d'Artagnan, załamując ręce — więc ty go bronisz? A ja przysiągłem przyprowadzić go żywego lub umarłego! o! gdzież mój honor?

— Zabij mnie — rzekł Athos, odsłaniając piersi — jeżeli honor twój wymaga mej śmierci.

— O! biada mi! biada mi!... — wołał d'Artagnan — jeden tylko na świecie człowiek mógł mnie powstrzymać, i trzebaż, aby fatalność postawiła tego właśnie człowieka na mej drodze!... cóż ja powiem kardynałowi?

— Powiesz mu pan, — odpowiedział głos, który rozległ się imponująco na polu walki — że posłał przeciw mnie dwóch jedynie ludzi, co zdolni byli sprzątnąć czterech ludzi, bić się na rękę z hrabią de la Fère i kawalerem d'Herblay, a poddali się dopiero pięćdziesięciu ludziom.

— Książę!... — rzekli jednocześnie Athos i Aramis, ustępując miejsca księciu de Beaufort, gdy d'Artagnan i Porthos cofnęli się o krok w tył.

— Pięćdziesięciu jeźdźców — szepnęli d'Artagnan i Porthos.

— Spójrzcie, panowie, dokoła siebie, jeżeli wątpiecie.

Rzeczywiście otaczał ich liczny oddział konny.

— Na odgłos walki waszej, panowie — rzekł książę — myślałem, że jest was ze dwudziestu, przybyłem więc z wszystkimi, otaczającymi mnie, znużony już ciąglem uciekaniem i rad trochę pomachać szpadą; ale jest was, tylko dwóch.

— Tak — odrzekł Athos — ale, jak wasza książęca mość powiedział, dwóch, wartych dwudziestu.

— No, panowie, oddajcie swe szpady — wyrzekł książę.

— Szpady nasze!... — podchwycił d'Artagnan, podnosząc głowę i przychodząc do siebie — szpady nasze! Nigdy!

— Nigdy!... — powtórzył Porthos.

Poruszyło się kilku ludzi.

— Chwilkę, Wasza książęca mość — rzekł Athos — dwa słowa.

I zbliżył się do księcia, który nachylił się ku niemu, a on szepnął mu kilka słów pocichu.

— Jak chcesz, hrabio — odrzekł książę. — Za wiele ci jestem obowiązany, ażebyś odmówić miał twemu pierwszemu żądaniu. Usunąć się, panowie — rzekł do ludzi ze swego orszaku. — Panowie d'Artagnan i du Vallon są wolni.

Rozkaz został natychmiast wykonany, a wtedy d'Artagnan i Porthos zobaczyli, że przed chwilą stanowili punkt środkowy rozległego koła.

D'Artagnan zeskoczył na ziemię i zbliżył się do Porthosa, gdy Athos przystąpił do d'Artagnana. Wtedy wszyscy czterej skupili się przy sobie.

— Przyjaciele — odezwał się Athos — czy żałujecie jeszcze, żeście nie przeleli naszej krwi?...

— Nie — odrzekł d'Artagnan — żałuję, że jesteśmy przeciw sobie, my, cośmy zawsze byli tak z sobą razem, żałuję, że spotykamy się w dwóch przeciwnych obozach! O!... nic nam się już nie uda!...

— No!... to trzymajcie z nami — wtrącił Aramis.

— Cicho, d'Herblay!... — rzekł Athos — podobnych propozycji nie czyni się takim ludziom, jak ci panowie; jeżeli się zaciągnęli do posług Mazariniego, to przecie popchnęło ich do tego sumienie, jak nasze zawiodło nas do księcia.

— No, a tymczasem jesteście sobie wrogami! *Sangbleu*, ktoby to mógł sobie pomyśleć!...

D'Artagnan nie rzekł nic, tylko westchnął. Athos spojrział na nich i ujął ich dłonie w swoje.

— Panowie — rzekł — to rzecz ważna i serce me tak cierpi, jak gdybyście je przeszli nawskroś. Tak, rozłączyliśmy się, to wielka, to smutna prawda; ale jeszcześmy sobie nie wypowiedzieli wojny; możemy postawić sobie wzajemne warunki; rozmowa ostateczna jest konieczna.

— Co do mnie, żądam jej — rzekł Aramis.

— Ja ją przyjmuję — rzekł d'Artagnan z dumą.

Porthos skinął głową na znak przyzwolenia.

— Obierzmy więc sobie miejsce spotkania — mówił dalej Athos — najdogodniejsze dla nas wszystkich i przy tem ostatniem widzeniu, określmy ściśle naszą wzajemną postawę i postępowanie.

— Dobrze!... — rzekli trzej inni.

— Więc jesteście mojego zdania?... — zapytał Athos.

— Najzupełniej.

— Zatem gdzie miejsce?...

— Na placu królewskim, czy zgadzacie się?... — zapytał d'Artagnan.

— W Paryżu?

— Tak.

Athos i Aramis spojrzeli po sobie. Aramis skinął głową potwierdzająco.

— Na placu królewskim, dobrze! — rzekł Athos.

— A kiedy?...

— Jutro wieczorem, jeżeli chcecie.

— O której godzinie?...

— O dziesiątej wieczorem, zgoda?...

— Doskonale.

— Z rozmowy tej — rzekł Athos — wyniknie pokój, albo wojna, ale przynajmniej honor nasz, przyjaciele, będzie cały.

— Niestety! — wyszeptał d'Artagnan — co do nas dwóch, to honor nasz żołnierski przepadł.

— D'Artagnanie — wyrzekł poważnie Athos — przysięgam ci, że mi przykrość sprawiasz, myśląc o tem, kiedy ja myślę tylko o jednej rzeczy, żeśmy szpady skrzyżowali przeciw sobie. — Tak — mówił dalej, potrząsając głową

boleśnie — dobrze powiedziałaś, nieszczęście ciąży nad nami. Pójdź, Aramisie.

— A my, Porthosie — rzekł d'Artagnan — wracajmy, ażeby zawieźć swój wstyd kardynałowi...

— Czy mogę dla was, panowie, co uczynić? — rzekł książę.

— Zaświadczyć tylko, Wasza książęca mość, żeśmy robili, co mogliśmy.

— Bądźcie, panowie, spokojni, to się uczyni, żegnam panów, niebawem zobaczymy się, mam nadzieję, pod Paryżem, a może nawet w samym Paryżu, a wtedy będziecie, panowie, mogli mieć odwet.

Przy tych słowach, książę oddał im ukłon ręką, popędził konia galopem i znikł wraz z orszakiem, którego widok zaginął w ciemnościach, a odgłos w przestrzeni. D'Artagnan i Porthos zostali sami na gościńcu z jakimś człowiekiem, który trzymał w ręku dwa konie.

— Co widzę?... — zawołał d'Artagnan — to ty, Grimaud?...

— Grimaud?... — powtórzył Porthos.

Grimaud skinął obu przyjaciółom, na znak, że się nie mylą.

— A czyje to konie?... — zapytał d'Artagnan.

— Kto nam je daje?... — zapytał Porthos.

— Pan hrabia de la Fère.

— Athos, Athos—wyszeptał d'Artagnan—ty o wszystkim zawsze myślisz i zawsze jesteś prawdziwym szlachcicem.

— A tak to co innego!... — rzekł Porthos — obawiałem się, że będziemy musieli iść piechotą.

— No, a ty, Grimaudzie, dokąd?... — zapytał d'Artagnan — opuszczasz swego pana?

— Tak — rzekł Grimaud — z rozkazu jego udaję się do armji flandryjskiej, ażeby się połączyć z panem wicehrabią de Bragelonne.

Tak w milczeniu przejechali kilka kroków gościńcem w stronę Paryża, gdy wtem usłyszeli czyjeś jęki, wydobywające się z głębi rowu.

— A to co?... — zapytał d'Artagnan.

— To Mousqueton — rzekł Porthos.

— A tak, panie, to ja — rzekł głos płaczliwy, a jednocześnie podniósł się jakiś cień.

— Czyś niebezpiecznie ranny, mój drogi Moustonie?...—zapytał.

— Nie, panie, nie wiem, ale ranny jestem w sposób bardzo dokuczliwy.

— Więc nie możesz jechać konno?...

— O!... panie, co mi też pan proponuje!...

— A możesz iść pieszo?...

— Postaram się aż do pierwszego domu.

— Co tu zrobić?... — rzekł d'Artagnan — musimy przecie wracać do Paryża.

— Już ja się zajmę Mousquetonem — rzekł Grimaud.

— Dziękuję ci, mój poczciwy Grimaud — rzekł Porthos.

Grimaud zsiadł z konia i podparł swego dawnego przyjaciela, który przyjął go ze łzami w oczach, chociaż Grimaud nie miał pewności, czy łzy te pochodziły z radości, że go zobaczył, czy też z bólu, jaki mu sprawiała rana.

D'Artagnan zaś i Porthos w milczeniu jechali dalej drogą ku Paryżowi. W trzy godziny później wyminął ich jakiś kurjer, pokryty kurzawą; był to wysłaniec księcia, wiozący do kardynała list, w którym książę, jak obiecał, świadczył, czego dokazali Porthos i d'Artagnan.

Mazarini przepędził bardzo złą noc, otrzymawszy ten list, w którym książę zwiastował mu sam, że jest na wolności i wypowiada mu śmiertelną walkę.

— To mnie tylko pociesza, że d'Artagnan, chociaż go nie schwytał, przynajmniej, pędząc za nim, stratował na śmierć Broussela. Niezaprzeczenie z tego gaskończyka jest szacowny człowiek, oddaje ważne usługi — nawet przez swą niezgrabność.

Kardynał, mówiąc to, miał na myśli człowieka, którego d'Artagnan przewrócił na rogu cmentarza Ś-go Jana w Paryżu, a człowiekiem tym był właśnie radca Broussel.

ROZDZIAŁ XXIX

PAN RADCA BROUSSEL

Ale — na nieszczęście dla kardynała Mazariniego, któremu teraz nic a nic się nie szykowało, — imci pan Broussel nie został stratowany na śmierć.

W samej rzeczy on to przechodził spokojnie przez ulicę św. Honorjusza, kiedy rozpedzony koń d'Artagnana potrącił go gwałtownie w łopatkę i przewrócił w błoto. D'Artagnan, jakeśmy powiedzieli, nie zwrócił uwagi na tak drobny wypadek. Zresztą d'Artagnan podzielał głęboką i pogardliwą obojętność, jaką szlachta, a zwłaszcza arystokracja wojskowa, żywiła w tej epoce dla mieszczaństwa.

Pozostał więc bardzo nieczuły na nieszczęście, jakie się wydarzyło małemu czarnemu człowieczkowi, jakkolwiek sam był przyczyną tego nieszczęścia, a zanim biedny Broussel zdążył krzyknąć, już cała burza uzbrojonych jeźdźców po nim przeleciała.

Wtedy dopiero usłyszano i podniesiono rannego. Zapytano jęczącego człowieka o nazwisko, o adres, tytuł, a skoro tylko dowiedziano się, że się nazywa Broussel, że jest radcą parlamentu i że mieszka przy ulicy Saint - Landry, krzyk powstał w tym tłumie, krzyk straszny i groźny, który rannego przestraszył równie, jak huragan, który przeleciał po jego ciele.

— Broussel! — wrzeszczano — Broussel, nasz ojciec, ten, który broni naszych praw przeciw Mazariniemu!

— Broussel, przyjaciel ludu, zabity, stratowany kopytami, przez tych zbrodniarzy kardynalskich! Na pomoc! do bronii! śmierć im!...

W jednej chwili tłum wzmógł się niezmiernie, zatrzy-

mano jakąś karetę, ażeby w niej położyć małego radcę, ale, gdy ktoś z ludu zauważył, że rannemu ruch karety mógłby zaszkodzić, fanatycy zaproponowali ponieść go na rękach, a propozycja ta powitana została z zapalem i przyjęta jednomyślnie. Co powiedziano, wykonano natychmiast.

Lud podniósł go, groźny i zarazem czuły, porwał go, podobny do olbrzyma z bajek fantastycznych, który mruczy, pieszcząc i kołyszac karła w ręku. Broussel przeczuwał już tę sympatję paryżan do niego; trzy lata siał opozycję, nie bez tajemnej nadziei, że kiedyś zbierze z niej popularność.

Demonstracja ta, zjawiająca się tak w porę, sprawiła mu więc przyjemność i natchnęła dumą, bo dawała mu miarę jego władzy; jednakże z drugiej strony triumf ten zamącony był pewnym niepokojem. Wywoływało go nie tylko bolesne potłuczenie; obawiał się na lada zakręcie ulicy ujrzeć oddział muszkieterów lub gwardzistów, gotujących się do rozproszenia tłumu, a wtedy, co się stanie z triumfotorem? Miał ciągle przed oczami ten huragan ludzki, który przewrócił go swym podmuchem. Powtórzył więc głosem przegasłym:

— Spieszmy się, moje dzieci, bo ja doprawdy bardzo cierpię.

A na każdą skargę taką podwajały się dokoła niego wyrzekania i przekleństwa.

Nie bez trudności przybyto do domu Broussela. Tłum, który już znacznie wcześniej zajął ulicę, zwabił do okien i do bram ludzi z całej dzielnicy. W oknie domu, do którego wchodziło się przez wąską bramę, widać było starą służącą, krzyczącą na całe gardło, i starą już kobietę, która płakała. Dwie te osoby z widocznym — chociaż w różny sposób wyrażanym — niepokojem wypytywały lud, który za całą odpowiedź przesyłał im krzyki pomieszane i niezrozumiałe.

Ale gdy radca, niesiony przez ośmiu ludzi, ukazał się błądy i patrzący obumierającym okiem na swe mieszkanie, żonę i służącą, pocziwa pani Broussel zemdląła, a służąca z rękami, wzniesionymi ku niebu, rzuciła się po schodach na spotkanie swego pana, krzycząc: „O, mój Boże! mój Boże! gdyby tu był choć mój Friquet, to poszedłby po chirurga!”

A Friquet właśnie był. Bo gdzież niema ulicznika paryskiego? Naturalnie Friquet, korzystając z Zielonych Świątek, prosił o urlop gospodarza szynkowni i urlop otrzymał, bo przy warunkach służby miał wymówione wakacje w cztery największe święta do roku.

Friquet maszerował na czele orszaku. Wprawdzie przyszła mu myśl pójścia po chirurga, ale więcej bawiło go wrzeszczenie w niebogłosość:

— Zabili pana Broussela! Pana Broussela, ojca narodu!... „Niech żyje pan Broussel“. To bardziej przypadło mu do gustu, niżli samemu ubocznymi uliczkami wędrować po to, ażeby powiedzieć: „chodź, panie chirurgu, bo potrzebuje cię radca Broussel“.

Na nieszczęście dla Friqueta, grającego tak ważną rolę w pochodzie, powziął on myśl wdrapania się na jedno z okien parterowych, ażeby stać ponad tłumem; matka zaraz go zobaczyła i posłała po lekarza. Potem wzięła swego pana na ręce i chciała go zanieść na pierwsze piętro, ale na schodach radca stanął na nogach i oświadczył, że się czuje dość silny i może sam wejść. Nadto prosił Gerwazę, ażeby namówiła tłum do odejścia, ale Gerwaza nie słuchała go wcale.

— O!... mój biedny pan!... mój drogi pan!... — wrzeszczała.

— Tak, moja pocziwa Gerwazo, tak — mruczał Broussel, ażeby ją uspokoić. — Uspokój się; nic mi nie będzie...

— Tak, mam być spokojna, kiedy pana zgnieciono, strawiono na miazgę!...

— Ależ nie!... nie!... — mówił Broussel — to nic, prawie nic.

— Nic, a pan cały w błocie!... nic!... a krew ma pan we włosach!... O!... mój Boże... mój Boże!... biedne moje panisko!...

— Cicho bądź!... — powtarzał Broussel — cicho!...

— Krew, mój Boże, krew!... — krzyczała Gerwaza.

— Doktora!... chirurga!... doktora!... — ryczał tłum — radca Broussel umiera!... Zabili go mazariniści!

— Mój Boże!... — narzekał Broussel w rozpacz — nieszczęśnicy gotowi mi dom spalić.

— Panie!... niech pan pokaże się w oknie.

— Ani myślę!... — odrzekł Broussel — uchowaj Boże.

To tylko król może się pokazywać. Powiedz im, że mam się lepiej. Gerwazo, powiedz im, że kładę się do łóżka, i niechaj się rozejdą.

— Ale pocóż mają się rozejść?... Przecież to dla pana zaszczyt, że tak stoją.

— O!... czyż nie widzicie, — rzekł Broussel, zrozpaczony, — że mnie przez nich zaaresztują i powieszą!... o!... żona moja mdleje...

— Broussel... Broussel!... — wrzeszczał tłum — niech żyje Broussel!... Chirurga dla Broussella.

Hałasowano tak, że stało się to, co przewidział Broussel; oddział gwardzistów kolbami strzelb rozpedził ten tłum, wcale zresztą nieoporny.

Broussel, przy pierwszych okrzykach: „gwardziści! żołnierze!“ — drżąc, ażeby go nie miano za podszczuwacza tego zbiegowiska, wpakował się do łóżka w ubraniu.

Dzięki takiemu wymieceniu tłumy — Gerwaza — na trzykrotnie powtórzony rozkaz Broussela — zdołała zamknąć bramę od ulicy. Zaledwie jednak brama została zamknięta i Gerwaza wróciła do swego pana, zapukano do bramy.

Pani Broussel, ocknąwszy się z omdlenia, cała drżąca, jak liść, zdejmowała mężowi obuwie.

— Zobacz, kto puka — rzekł Broussel — i otwórz, Gerwazo, tylko znajomemu.

Gerwaza wyjrzała.

— To pan prezes Blancmensisil — rzekła.

— No — odrzekł Broussel — to możesz otworzyć.

— Cóż ci to zrobiono, mój drogi Brousselu — rzekł prezes, wchodząc — słyszałem, że o mało co nie zostałeś zamordowany.

— Faktem jest, że, według wszelkiego prawdopodobieństwa, uknuto jakiś zamach na me życie — odpowiedział Broussel ze stoickim spokojem.

— Biedny mój przyjacielu!... Tak... chcieli od ciebie zacząć; ale na każdego z nas przyjdzie kolej; razem nie mogą nas pokonać, postarają się więc nas wygubić jednego po drugim.

— Jeżeli się z tego wygrzebie — rzekł Broussel — i ja także postaram się ich zgnieść ciężarem mego słowa.

— O!... wygrzebiesz się!... wygrzebiesz!... — rzekł Blancmensisil — a oni drogo zapłacą za ten napad!

Pani Broussel płakała gorącemi łzami; Gerwaza rozpaczała.

— Co to?... — zawołał ładny tego zbudowany młodzieniec, wpadając do pokoju. — Mój ojciec zraniony!...

— Widzisz, młodzieńcze, ofiarę tyranizmu — wyrzekł Blancmensil — z miną prawdziwego spartanina.

— O!... — rzekł młodzieniec, zwracając się ku drzwiom — biada tym, którzy cię tknęli, mój ojczy.

— Jakóbie!... — odrzekł radca, zatrzymując go — idź lepiej po doktora, mój przyjacielu.

— Słyszę krzyki ludu — odezwała się służąca — to zapewne Friquet prowadzi doktora; ale nie, to jakaś karetka.

Blancmensil wyjrzał oknem.

— Koadjutor — wyrzekł.

— Pan koadjutor!... — powtórzył Broussel — A!... mój Boże!... zaraz!... zaraz!... pójdę go powitać.

I radca, zapominając o ranie, chciał pobiec na spotkanie pana de Retz, jeno go Blancmensil zatrzymał.

— O!... cóż to się stało memu drogiemu Brouselowi?... — rzekł koadjutor, wchodząc. — Mówią o zasadzce, morderstwie!... Dzień dobry, panie Blancmesnil. Wziąłem po drodze mego doktora i przywożę go z sobą.

— O!... panie — rzekł Broussel — jakże panu wdzięczny jestem!... Tak, przewrócili mnie okrutnie i stratowali muszkietierowie królewscy.

— Powiedz pan raczej muszkietierowie kardynała — podchwycił koadjutor — tak, Mazariniego. Ale bądź pan spokojny, każemy panu za to dobrze zapłacić, nieprawdaż, panie de Blancmesnil?

Blancmesnil obrócił się: drzwi otworzyły się nagle, a w nich ukazał się lokaj w świetnej liberji i oznajmił:

— Księżę de Longueville!...

— Jakto?... — zawołał Broussel — księżę pan tutaj!... O!... Wasza wysokość...

— Przychodzę westchnąć, panie — rzekł księżę — nad losem naszego dzielnego obrońcy. Więc ranny jesteś, kochany radco?...

— Gdybym nawet nim był, ozdrowiłyby mnie odwiedzi-ny Waszej księżęcej mości.

— Jednakże cierpisz?...

— Bardzo — odrzekł Broussel.

— Przywiozłem mego doktora — podchwycił — pozwól mu tu wejść.

— I owszem!... — odrzekł Broussel.

Księżę skinął na swego lokaja, który wprowadził czarno ubranego mężczyznę.

— Miałem tę samą myśl, co księżę — odezwał się koadjutor.

Dwaj lekarze spojrzeli po sobie.

— A to pan, panie koadjutorze?... — rzekł księżę. — Przyjaciele ludu spotykają się z sobą na właściwym gruncie.

— Wieść ta mnie przestraszyła i nadbiegłem; ale zdaje mi się, że teraz najpilniejszą jest rzeczą zbadanie naszego dzielnego radcy przez lekarzy.

— Przy panach? — odezwał się Broussel, całkiem oniesmielony.

— Dlaczego nie, mój drogi?... Przysięgam ci, że pragniemy się jaknajprędzej dowiedzieć, co ci jest.

— O!... mój Boże!... — odezwała się pani Broussel — cóż to za nowy zgiełk?...

— Jakby oklaski — podchwycił Blancmesnil, podbiegając od okna.

— Jakto?... — zawołał Broussel, blednąc — cóż tam jeszcze?...

— Liberja księcia de Conti?... — zawołał Blancmesnil — i sam księżę de Conti.

Koadjutor i pan de Longueville mieli wielką ochotę parsknąć śmiechem.

Lekarze chcieli już podnieść kołdrę Broussela, lecz ten ich zatrzymał.

W tejże chwili wszedł księżę de Conti.

— A!... panowie — wyrzekł, zobaczywszy koadjutora — wyprzedziliście mnie; ale nie miej mi tego za złe, kochany panie Broussel; kiedy się dowiedziałem o wypadku, jaki cię spotkał, pomyślałem, że może ci brak doktora, i wstąpiłem po swego. Jakże się miewasz?... o jakim to morderstwie mówią?...

Broussel chciał mówić, ale słów mu zbrakło; przygniótł go zupełnie ciężar doznawanych zaszczytów.

— I cóż, kochany doktorze, zobacz — rzekł księżę, do towarzyszącego mu czarno ubranego mężczyzny.

— Panowie — odezwał się jeden z lekarzy — więc to będzie konsyljum...

— Jak panowie chcecie, tak róbcie — odrzekł książę — tylko uspokójcie mnie conajprędzej co do zdrowia kochanego radcy.

Trzej lekarze zbliżyli się do łóżka. Broussel z całej siły przyciągał do siebie kołdrę; ale — pomimo oporu — ogołociono go z niej i zbadano. Poprostu stłuczone było ramię i biodro. Wszyscy trzej lekarze spojrzeli po sobie, nie rozumiejąc, po co zebrano trzech ludzi najuczciwszych w uniwersytecie paryskim dla takiej bagateli.

— I cóż?... — zapytał koadjutor.

— I cóż?... — zapytał książęde Longueville.

— I cóż?... — zapytał książę de Conti.

— Mamy nadzieję, że wypadke nie będzie miał groźnych następstw — rzekł jeden z trzech doktorów. — Pójdziemy do sąsiedniego pokoju na naradę.

— Broussel!... wiadomości o Brousselu!... — wrzeszczał tłum. — Jak zdrowie Broussela?...

Koadjutor podbiegł do okna. Na jego widok lud zamilkł.

— Moi przyjaciele — wyrzekł — uspokójcie się, panu Broussel nie grozi niebezpieczeństwo. Jednakże rana jest poważna i wypoczynek niezbędny.

Okrzyki: „Niech żyje Broussel!... niech żyje koadjutor!...“ — zawrzały natychmiast na ulicy.

Pan de Longueville pozazdrościł koadjutorowi tego przyjęcia, z kolei pokazał się w oknie.

— Moi przyjaciele — wyrzekł książę, kłaniając się ręką — oddalcie się spokojnie, niech się nie cieszą nieprzyjaciele nasi z jakiego nieporządku.

— Bardzo dobrze!... książę paniel!... — odezwał się Broussel ze swego łóżka — ot, co znaczy umieć mówić po francusku.

— Tak, panowie paryżanie — rzekł książę de Conti, przystępując również do okna, ażeby także w udziale dostać oklaski — tak, pan Broussel o to was prosi. Zresztą potrzebuje spoczynku, a wrzawa mogłaby mu być przykrą.

— Niech żyje książę de Conti!... — wrzasnął tłum.

Książę uklonił się. Wtedy wszyscy trzej pożegnali radcę, a tłum, który odprawili w imieniu Broussela, poszedł ich odprowadzać. Byli już w bramie, a Broussel jeszcze

kłaniał im się z łóżka. Stara służąca patrzyła na swego pana z zachwytem, połączonym ze zdumieniem. Radca urósł w jej oczach przynajmniej o łokieć.

— Oto, co znaczą służyć krajowi według sumienia — rzekł Broussel z zadowoleniem.

Doktorzy wyszli po godzinnej naradzie i zalecili obmywać sftłczenie wodą z solą. Przez cały dzień ciągnęła się procesja karet. Cała fronda zapisała się u Broussela.

— Jakież to piękny triumf, mój ojczel!... — rzekł młodzieniec, który, nie rozumiejąc prawdziwych pobudek, sprowadzających do jego ojca tych ludzi, bardzo brał do serca te demonstracje ze strony znakomitości, ksiąząt i ich przyjaciół.

— Niestety!... mój drogi Jakóbie — rzekł Broussel — boję się bardzo, czy ten triumf nie będzie mnie kosztował trochę za drogo, i albo się bardzo mylę, albo pan Mazarini przygotowuje mi już rachunek za te przykrości, jakich przeze mnie musi teraz kosztować.

Friquet powrócił o północy... nie mógł znaleźć żadnego lekarza.

ROZDZIAŁ XXX

CZTERECH DAWNYCH PRZYJACIÓŁ PRZYGOTOWUJE SIĘ DO ROZMOWY

— I cóż?... — mówił Porthos, siedząc na podwórze w hotelu „pod Kozą“ do d'Artagnana, który z miną kwaśną i markotną, powracał z pałacu kardynalskiego — i cóż?... źle cię przyjęto, mój dzielny d'Artagnanie.

— A!... tak. Szpetne to doprawdy zwierzę ten człowiek!... Cóż to zajadasz, Porthosie?

— A cóż!... maczam biskopt w szklance wina hiszpańskiego. Zrób to samo.

— Masz słuszość... Gimblou!... szklanek!...

Chłopiec, nazwany tak harmonijnie, przyniósł żadaną szklanekę i d'Artagnan usiadł obok przyjaciela.

— Jakże się to odbyło?...

— A!... przyznasz sam, że nie było dwóch sposobów opowiedzenia tej historii: wszedłem, spojrzał na mnie krzywo; ja wzruszyłem ramionami i powiedziałem mu:

— Ha!... Wasza wysokość nie okazaliśmy się silniejszymi.

— „Tak, wiem o tem, ale powiedz mi pan szczegóły“.

— Pojmujesz, Porthosie, że nie mogłem opowiedzieć szczegółów, bez wymienienia naszych przyjaciół, a wymienić ich, byłoby to zgubić.

— Tam do licha!...

— Wasza wysokość — odrzekłem było ich pięćdziesięciu, a nas dwóch.

— Tak, ale to nie przeszkadza — odpowiedział mi — że, jak słyszałem, zamienione zostały strzały z pistoletu.

— Tak, faktem jest, że z jednej i drugiej strony spalono kilka naboii.

— A szpady czy oglądały także światło dzienne? — dodał.

— To jest, ciemności nocne, Wasza wysokość — odrzekłem.

— O!... — mówił dalej kardynał — myślałem, że jesteś gaskończykiem, mój drogi?...

— Jestem gaskończykiem tylko wtedy, gdy mi się co udaje, Wasza wysokość. — Odpowiedź mu się podobała, bo zaczął się śmiać.

— To mnie nauczysz — rzekł — dawać lepsze konie moim gwardzistom, bo, gdyby mogli byli zdążyć, za wami i gdyby każdy z nich tyle uczynił, co pan i twój przyjaciel, byłibyście dotrzymali słowa i przyprowadzili mi go żywego lub umarłego.

— No!... to mi się wydaje wcale nieźle!... — podchwycił Porthos.

— Tak!... ale trzeba było, mój drogi, słyszeć, jak to było powiedziane. — Ależ to trudne do wiary, ile te biskopyty wciągają w siebie wina! — przerwał d'Artagnan. — To prawdziwe gąbki! Gimblou!... jeszcze butelkę!...

Butelkę przyniesiono z pośpiechem, świadczącym dostatecznie, jakim poważaniem cieszył się d'Artagnan w tym zakładzie. D'Artagnan mówił zaś dalej:

— Ja też odchodziłem już, kiedy mnie znów przywołał.

— Zabito czy też pokaleczono wam trzy konie? — zapytał.

— Tak, Wasza wysokość.

— Ile były warte?...

— No!... — rzekł Porthos — to przecie bardzo ładnie z jego strony.

— Tysiąc pistolów — odrzekłem.

— Tysiąc pistolów?... — rzekł Porthos — ho!... ho!... to dużo! i jeżeli się zna na koniach, musiał się targować.

— O!... miał ochotę, kutwa, bo strasznie podskoczył na krześle i spojrzał na mnie. Ja także na niego spojrzałem; wtedy zrozumiał i, włożywszy rękę do szafy, wyjął bilety banku lyońskiego.

— Na tysiąc pistolów.

— Na tysiąc pistolów, sknera, ani jednego nie dał więcej.

— I masz je?...

— Mam.

— Skoro daje, to bardzo przyzwoicie z jego strony.

— Przyzwoicie!... względem ludzi, którzy nie tylko narazili swą skórę, lecz jeszcze wyświadczyli mu wielką przysługę.

— Wielka przysługa! a jakaż? — zapytał Porthos.

— No! przecie stratowałem mu radcę parlamentu.

— Jakto? ten mały człowieczek, którego przewróciłeś na rogu cmentarza św. Jana?...

— Właśnie, mój drogi. On mu zawadzał. Na nieszczęście, nie zadusiłem go na śmierć. Zdaje się, że przyjdzie do siebie i zawadzać mu nie przestanie.

— O! — rzekł Porthos — skręciłem swego konia, gdy miał na niego wpaść całym ciężarem! Innym razem zrobię inaczej.

— Powinien mi być zapłacić za radcę ten dusigrosz.

— No! — wtrącił Porthos — kiedyś go nie stratował zupełnie...

— O! pan Richelieu byłby powiedział: Pięćset talarów za radcę! Zresztą nie mówmy o tem. Ile cię zwierzęta kosztowały, Porthosie?

— O, mój przyjacielu, gdyby biedny Mousqueton był tu, powiedziałby ci co do grosza.

— Mniejsza, powiedz, mniej więcej: choćbyś się omylił o jakie dziesięć talarów...

— Ha! Wulkan i Bayard kosztowały mnie każdy prawie po dwieście pistolów, a jeżeli za Febusa policzyć sto pięćdziesiąt, to mamy już rachunek.

— To pozostaje jeszcze czterysta pięćdziesiąt pistolów — rzekł d'Artagnan, dosyć zadowolony.

— Tak — cdrzekł Porthos — ale jeszcze trzeba porachować i uprząż.

— Prawda. Ileż kosztowała ta uprząż?

— Dajmy na to sto pistolów na trzy konie...

— Niech będzie sto pistolów — rzekł d'Artagnan — to pozostaje trzysta pięćdziesiąt pistolów.

Porthos kiwnął głową przytakująco.

— Dajmy pięćdziesiąt pistolów gospodyni za całą należność — rzekł d'Artagnan — a podzielimy się trzystoma.

— Podzielimy się — rzekł Porthos.

— Kiepski interes — mruzczał d'Artagnan, ściskając papierki.

— No — odrzekł Porthos — zawsze to coś. Ale powiedz mi...

— Co takiego?...

— Czy o mnie wcale nie mówił?

— A! tak! — zawołał d'Artagnan, bojąc się, aby przyjaciel nie zniechęcił się, gdyby mu powiedział, że kardynał nie pisał o nim ani słowa — o tak! tak! mówił.

— Mówił — podchwycił Porthos.

— Poczekaj, chcę sobie przypomnieć jego własne słowa; a! rzekł: Co zaś do twego przyjaciela, może on spać spokojnie.

— Dobrze — rzekł Porthos — to jasne jak dzień, że chce on mnie zrobić baronem.

W tejże chwili godzina dziewiąta wybiła na kościele sąsiednim. D'Artagnan drgnął.

— A! prawda — rzekł Porthos — dziewiąta bije, a o dziesiątej, pamiętasz, mamy się spotkać na placu królewskim.

— O! cicho bądź, Porthosie — zawołała d'Artagnan, poruszając się niecierpliwie — nie przypominaj mi... to mi od wczoraj odebrało humor. Nie pójdę.

— A to dlaczego? — spytał Porthos.

— Bo przykro byłoby mi zobaczyć tych dwóch ludzi, przez których nam się nie udało.

— Ale! — podchwycił Porthos — żaden z nich nie miał nad nami przewagi. Ja miałem jeszcze pistolet nabity, a wyście stali naprzeciw siebie ze szpadami w ręku.

— Tak — rzekł d'Artagnan — ale jeśli spotkanie to coś w sobie kryje...

— O! rzekł Porthos — tak mówisz, ale nie myślisz.

Rzeczywiście. D'Artagnan nie przypuszczał, ażeby Athos był zdolny używać fortelów, szukał tylko jakiegoś wybiegu, ażeby nie pójść na spotkanie.

— Trzeba iść — mówił dalej okazały pan na Bracieux — mogliby pomyśleć, żeśmy się ułękli. E! mój przyjacielu, stawiliśmy przecie czoło pięćdziesięciu nieprzyjaciołom na gościńcu, toć stawimy czoło i dwu przyjaciołom na placu królewskim.

— Tak, tak — rzekł d'Artagnan — ale oni stanęli po stronie książąt, wcale nas nie uprzedziwszy; Athos i Ara-

mis prowadzili ze mną grę, która mnie przestrasza. Odkryliśmy prawdę dopiero wczoraj. Pocóż mamy się dziś dowiadywać czego innego?

— Więc im naprawdę nie ufasz? — podchwycił Porthos.

— Aramisowi, rzeczywiście, odkąd został opatem. Ani możesz sobie wyobrazić, mój drogi, co się z nim stało. Widzi nas na drodze, prowadzącej go do biskupstwa, i nie wahałby się nas z niej usunąć.

— O!... co do Aramisa to rzecz inna — rzekł Porthos — toby mnie wcale nie zdziwiło.

— Pan de Beaufort może nas teraz zechce schwytać.

— A to przecież nas miał w swoim ręku i puścił, zresztą bądźmy na baczności i weźmy Plancheta z karabinem.

— Planchet jest frondystą — rzekł d'Artagnan.

— Do diabła z temi wojnami domowymi — rzekł Porthos — liczyć już nie można ani na przyjaciół, ani na lokajów. O! gdyby biedny Mousqueton tu był! nigdyby mnie nie opuścił.

— Tak, dopóki jesteś bogaty. E! mój drogi, to nie wojny domowe nas rozdzielają, nas to rozłącza, że nie mamy już lat dwudziestu, że szlachetne uniesienia młodości ustąpiły przed podszeptem interesów, przed podmuchem ambicji, przed radami samolubstwa. Tak, masz słuszość, pójdźmy, Porthosie, ale chodźmy dobrze uzbrojeni. Gdybyśmy nie poszli, powiedzieliby, żeśmy się zlekli, hej! Planchecie!... — zawołał d'Artagnan.

Planchet wnet się ukazał.

— Osiodłaj konie.

— To na kogo, proszę pana, idziemy.

— Na nikogo nie idziemy — odrzekł d'Artagnan — po prostu z ostrożności, na przypadek, gdybyśmy zostali napadnięci.

— Wie pan, że chciano zabić pocziwego radcę Brouseła, ojca ludu?

— O! doprawdy?... — rzekł d'Artagnan.

— Tak, ale dobrze go pomszczono; bo, proszę pana, lud go zaniósł do mieszkania na rękach. Od wczoraj w domu jego aż się roi od ludzi. Miał wizytę koadjutora, pana de Longueville i księcia de Conti. Pani de Chevreuse

i pani de Vendôme zapisały się u niego i teraz, jeżeli zechce...

— To cóż, jeżeli zechce?...

Planchet śpiewać zaczął:

*„Dzisiaj już jest fronda,
Słuchaj, Mazarini!
W skórę ona ci da...
Słuchaj, Mazarini!”*

— To mnie już wcale nie dziwi — rzekł d'Artagnan po cichu do Porthosa — że Mazarini wolałby, abym radcę jego stratował był na śmierć.

— Pojmuje więc pan, — podchwycił Planchet — że gdyby to szło o taki spisek, jaki uknuto przeciw Brousselowi, i panby mnie prosił, ażebym wziął z sobą karabin...

— Nie... bądź spokojny, ale od kogo masz te wszystkie szczegóły?

— O! z dobrego źródła. Mam je od Friqueta.

— Od Friqueta?... — powtórzył d'Artagnan — znam to nazwisko.

— To syn służącej pana Broussela, zuch chłopak, gdy przyjdzie do walki, nie da sobie w kaszę dmuchać.

— Czy czasem nie służy on na chórze u Najświętszej Marji Panny?

— Tak, tak; Bazin go tam proteguje.

— A! a! wiem!... — rzekł d'Artagnan — i posługuje w szynkowni Calandra?

— Tak.

— Co cię obchodzi ten smarkacz?... — spytał Porthos.

— O!... — rzek d'Artagnan — on i mnie także udzielił dobrych wiadomości i może ich jeszcze udzielić przy sposobności.

— Tobie, coś o mało nie zgniótł jego pana?

— A któż mu to powie?

— Prawda.

W tejże chwili Athos i Aramis wchodzili do Paryża przez przedmieście św. Antoniego Pokrzepili się w drodze i pilno im było nie spóźnić się na schadzkę. Mieli ze sobą tylko Bazina.

— Teraz — rzekł Athos — trzeba wejść do jakiej

oberży, przebrać się po cywilnemu, zostawić tam pistolety i rapiry i rozbroić również lokaja.

— O! wcale nie, drogi hrabio, i pozwolisz, że nietylko będę innego zdania, ale nawet postaram się, ażebyś i ty je podzielił.

— A to dlaczego?

— Bo idziemy na schadzkę wojenną.

— Jakto? co chcesz przez to powiedzieć?

— Że plac królewski jest dalszym ciągiem gościńca de Vendôme, a niczem innym.

— Jaktó, nasi przyjaciele...

— Stali się naszymi najniebezpieczniejszymi nieprzyjaciółmi. Athosie, wierzaj mi, miejmy się na boczności, a zwłaszcza ty, miej się na bacznosci...

— O! mój drogi d'Herblay!

— Któż ci mówi, że d'Artagnan nie zwałił na nas swej klęski i nie uprzedził kardynała? Któż ci mówi, że kardynał nie zechce skorzystać z tej schadzki, aby nas schwycić?

— E! Aramisie! cóż znowu? myślisz, że d'Artagnan i Porthos przyłożyliby rękę do takiej podłości?

— Gdyby to szło o przyjaciół, mój drogi Athosie, masz słuszność, byłoby to podłością; ale wśród wrogów jest to tylko fortel.

— Cóż robić, Athosie?... — podchwycił Aramis — ludzie tak już są stworzeni i nie zawsze mają lat tylko dwadzieścia. Wiesz, żeśmy okrutnie zranili miłość własną, która kieruje ślepo postępami d'Artagnana. Został zwyciężony. Czy nie słyszałeś, jak rozpaczał na drodze? Co do Porthosa, może jego baronostwo zależało od powodzenia tej sprawy. Otóż spotkał nas na swej drodze i przez nas nie zostanie jeszcze baronem. Kto ręczy ci, że to baronostwo nie zależy też i od dzisiejszego spotkania naszego? Miejmy się więc na ostrożności, Athosie.

— A jeżeli oni przyjdą bez broni? Co za wstyd byłby dla nas, Aramisie?

— O! bądź spokojny, mój drogi; ręczę ci, że tak nie będzie. Zresztą my mamy wymówkę: przybywamy z podróży i jesteśmy buntownicy.

— Wymówki mamy mieć! Więc już do tego przyszło, że mamy się usprawiedliwiać przed d'Artagnanem i przed Ponthosem. O! Aramisie, Aramisie!... — mówił dalej

Athos, potrząsając smutnie głową — na mą duszę, czynisz mnie najnieszczęśliwszym z ludzi! Rozczarowaniem poisz serce, które nie umarło jeszcze dla przyjaźni! Wiesz, Aramisie, że wolałbym, aby mi serce wyrwano z piersi. Idź, Aramisie, jak chcesz, ja pójdę bezbronny.

— O! nie! ja nie pozwolę ci tak iść. Tą słabością zdradziłbyś nie Athosa, a nawet nie hrabiego de la Fère, lecz całe stronnictwo, do którego należysz i które na ciebie liczy.

— Niechże więc będzie, jak mówisz — odpowiedział Athos smutnie.

I smutnie szli dalej. Zaledwie przybyli przez ulicę Pas-de-la-Mule do krat pustego placu, gdy ujrzeli pod arkadami, na rogu ulicy św. Katarzyny, trzech mężczyzn. Byli to d'Artagnan i Porthos, którzy szli, otuleni płaszczami, podniesionymi z tyłu przez szpady. Za nimi postępował Planchet z muszkietem u boku.

Athos i Aramis, spostrzegłszy d'Artagnana i Porthosa, zsiadli z koni. D'Artagnan zauważył, że Bazin koni nie trzymał, lecz uwiązał je do klamry w arkadach. To samo rozkazał uczynić Planchetowi. Wtedy zbliżyli się dwaj do dwóch, a za nimi lokaje i, spotkawszy się tak, ukłonili się sobie grzecznie.

— Gdzie panowie życzą sobie rozmawiać — odezwał się Athos, zauważywszy, iż zatrzymało się kilka osób.

— Krata jest zamknięta — odrzekł Aramis, — ale jeżeli panowie lubią chłód pod drzewami i samotność niezakłóconą, wezmę klucz z pałacu Rohanów i będzie nam doskonale.

D'Artagnan zatopił wzrok w ciemności na placu, Porthos odważył się wsunąć głowę między sztachety, ażeby zbadać panujący zmrok.

— Jeżeli panowie wolicie inne miejsce — rzekł Athos głosem szlacheckim i przekonywającym — to sami, panowie, wybierzcie.

— To miejsce, jeżeli pan d'Herblay może mieć klucz, wydaje mi się najlepsze.

Aramis cofnął się natychmiast, uprzedzając Athosa, ażeby nie stał sam tak blisko z d'Artagnanem i Porthosem, lecz ten uśmiechnął się tylko pogardliwie na jego radę i postąpił jeszcze krok ku dawnym przyjaciom, którzy stali na miejscu.

Aramis zapukał rzeczywiście do pałacu Rohanów i wkrótce ukazał się z człowiekiem, który rzekł:

— Czy pan mi przysięgnie?

— Masz — odrzekł Aramis, dając mu luidora.

— O! nie chcesz przysiąc, mój szlachcicu — podchwycił odzwierny, kiwając głową.

— Alboż można za co ręczyć!... — rzekł Aramis — zapewniam cię tylko, że na teraz ci panowie są naszymi przyjaciółmi.

— Tak, z pewnością — wyrzekli zimno Athos, d'Artagnan i Porthos.

D'Artagnan słyszał rozmowę i zrozumiał.

— Ten człowiek chciał, ażeby Aramis mu przysięgł. iż nie idziemy bić się na placu królewskim.

— I Aramis nie chciał przysiąc?

— Nie.

— To baczność.

Athos nie tracił z oczu dwóch rozmawiających. Aramis otworzył furtkę i usunął się, ażeby przepuścić najpierw d'Artagnana i Porthosa. D'Artagnan, wchodząc, zawadził ręką o szpadę o sztachety, i musiał odwinąć płaszcz. Odwijając płaszcz, odsłonił błyszczące kolby pistoletów w których zamigotał promień księżycowy.

— Widzisz — rzekł Aramis, trzymając Athosa za ramię jedną ręką, a drugą pokazując mu arsenał, jaki d'Artagnan miał za pasem.

— Niestety! tak — wyrzekł Athos z głębokim westchnieniem.

I wszedł z kolei trzeci. Aramis wszedł ostatni i zamknął za sobą furtkę.

ROZDZIAŁ XXXI

PLAC KRÓLEWSKI

Tak szli w milczeniu, aż na środek placu, ponieważ jednak księżyc w tej chwili wypłynął zpoza chmur, zastanowili się, że na tem miejscu otwartem, łatwo mogą być widziani, więc zapuścili się pod lipy, gdzie cień był gęstszy. Dość licznie były tu ustawione ławki; czterech spacerujących zatrzymało się przed jedną z nich.

Athos dał znak, d'Artagnan i Porthos usiedli, Athos i Aramis stanęli przed nimi. Po chwili milczenia, podczas której każdy czuł się zakłopotany, jak rozpocząć wyjaśnienia, odezwał się Athos:

— Panowie, najlepszym dowodem potęgi naszej dawnej przyjaźni jest sam fakt, że się tu znajdujemy na tej schadzce i żadnego z nas nie brakuje, nikt więc nie ma sobie nic do wyrzuceia.

— Posłuchaj, panie hrabio — podchwycił d'Artagnan — zamiast prawić sobie komplementy, na jakie może nie zasługujemy ani jedni, ani drudzy, porozumiejmy się z sobą, jak ludzie serca.

— O nic mi więcej nie idzie — odrzekł Athos. — Wiem, że jesteś szczery, mów zatem z całą szczerością, czy masz mi co do zarzucenia, mnie, lub panu opatowi f'Herblay?

— Mam — odrzekł d'Artagnan. — Kiedy miałem zaszczyt widzieć pana w zamku Bragelonne, przywiozłem ci propozycję, którą zrozumiałeś; zamiast mi odpowiedzieć, jak przyjacielowi, igrałeś ze mną, jak z dzieckiem, a ta przyjaźń, którą wychwalasz, zerwana została, nie przez wczorajsze starcie naszych szpad, lecz przez to udawanie w twym zamku.

— D'Artagnanie!... — wyrzekł Athos tonem słodkiej wymówki.

— Prosiłeś mnie pan o szczerość — rzekł d'Artagnan — oto masz ją; a teraz mam to samo powiedzieć, do usług panu opatowi d'Herblay. Tak samo postąpiłem sobie z panem, a pan nadużyłeś mego zufania.

— Doprawdy jesteś dziwny, mój panie — odparł Aramis — przyszedłeś do mnie z propozycjami, ale czyś mi je sam uczynił?... Nie... badałeś mnie tylko. A więc cóż ci powiedziałem?... Że Mazarini jest gałgan i że nie będą służył Mazariniemu. Oto wszystko. Czym ci mówił, że nie będą też służył nikomu innemu?... I owszem, przeciwnie, dałem ci do zrozumienia, jak mi się zdaje, że jestem po stronie książąt. Jeżeli się nie mylę, tośmy nawet bardzo przyjemnie żartowali o bardzo prawdopodobnym wypadku, kiedybyś otrzymał od kardynała rozkaz, ażeby mnie aresztować. Wszak należałeś do stronnictwa. Tak, dla czegoż więc i my nie mielibyśmy brać udziału w agitacjach stronnictw?... Miałeś tak dobrze swą tajemnicę, jak i my mamy własne; nie wyjawiliśmy ich sobie wcale; tem lepiej; dowodzi to, że umiemy dochować swych tajemnic.

— Ja panu nic też nie wyrzucam — rzekł d'Artagnan — i jedynie z tej racji, że pan hrabia de la Fère mówił o przyjaźni, rozpatruję pańskie postępowanie.

— I co pan o niem sądzisz?... — zapytał Aramis wyńsię.

Krew uderzyła do skroni d'Artagnanowi; wstał i odpowiedział:

— Uważam, że tak postępują wychowawcy jezuitów.

Porthos, widząc, że d'Artagnan wstaje, również powstał. Wszyscy więc czterej stali w postawie groźnej naprzeciw siebie.

Na odpowiedź d'Artagnana, Aramis poruszył się, jak gdyby chciał ręką sięgnąć po szpadę. Athos go zatrzymał.

— D'Artagnanie — rzekł — przychodzisz tu jeszcze rozzłoszczony wczorajszą przygodą. D'Artagnanie, myślałem, że masz tyle serca i że przyjaźń dwudziestoletnia oprze się w tobie porażce ambicji własnej przez kwadrans. No, o mnie teraz powiedz. Czy zdaje ci się, że masz mi co do zarzucenia?... Jeżeli zawinił, d'Artagnanie, przyznam się do winy.

Ten głos poczciwy i harmonijny wywierał zawsze dawny wpływ na d'Artagnana, gdy głos Aramisa, cierpki i krzykliwy w chwilach złego humoru, drażnił go niepomniernie. Dlatego odpowiedział Athosowi:

— Zdaje mi się, panie hrabio, że mógłbyś być mi się zwierzyć w zamku Bragelonne, jak pan — dodał, wskazując Aramisa — mogłeś być zwierzyć mi się w swym klasztorze; nie byłbym się rzucał w awanturę, gdzieście mi stanęli na drodze; że byłem delikatny, nie trzeba mnie było uważać za głupca. Gdybym był chciał zgłębiać różnicę między ludźmi, których, przyjmuje pan u siebie po drabince sznurowej, a tymi, którzy do niego wchodzą po drabince drewnianej, byłbym go zmusił do mówienia.

— O!... do czego się pan wtrącasz? — zawołał Aramis, błądzący ze złości, podejrzewając, że d'Artagnan, śledząc go, widział go z panią de Longueville.

— Mieszam się do tego, co mnie obchodzi, i udaję, że nie widzę tego, co ninie nie dotyczy, ale nienawidzę obłudników, a do tej kategorii zaliczam muszkietierów, udających opatów, i opatów, udających muszkietierów, a — dodał, zwracając się ku Porthosowi — i ten pan jest także mego zdania.

Porthos, który jeszcze w niczem się nie odezwał, przytwierdził tylko jednym słówkiem i ruchem. Powiedział *tak* i rękę położył na rękojeści szpady. Aramis odskoczył w tył i wyciągnął swoją szpadę. D'Artagnan zgiął się, gotów do ataku lub obrony.

Wtedy Athos wyciągnął rękę z ruchem tak rozkazującym, jak on tylko umiał, wydobył powoli szpadę i pochwę zarazem, złamał żelazo na kolanie i oba kawałki odrzucił daleko od siebie. Poczem, zwracając się do Aramisa, rzekł:

— Aramisie, złam swoją szpadę.

Aramis wahał się.

— Tak trzeba — rzekł Athos, a potem głosem cichszym i słodszy dodał: — Ja tego chcę.

Wówczas Aramis, jeszcze bledszy, ale poskromiony tym ruchem, pokonany tym głosem, złamał w ręku giętką klingę, potem skrzyżował ramiona i czekał, trzęsąc się z wściekłości.

Na ten ruch d'Artagnan i Porthos cofnęli się; d'Arta-

gnan nie wydobył wcale szpady, a Porthos schował swoją do pochwy.

— Nigdy — wyrzekł Athos, z wolną prawą rękę podnosząc ku niebu — nigdy, przysięgam to przed Bogiem, który nas widzi i słyszy w tej nocy uroczystej, nigdy szpada moja nie dotknie waszych, nigdy oko moje nie będzie miało dla was spojrzenia gniewu, ani serce nie zabije nigdy z nienawiści. Żyliśmy razem, razem nienawidziliśmy i kochaliśmy... przelewaliśmy i mieszaaliśmy naszą krew, a może — dodał jeszcze — może istnieje między nami węzeł silniejszy od przyjaźni, tak! wiąże nas powinowactwo zbrodni,... bo wszyscy czterej skazaliśmy, osądziliśmy i śmierć zadaliśmy istocie ludzkiej, której może nie mieliśmy prawa zgładzić z tego świata, chociaż zdawało się, że należy ona nie do świata, lecz raczej do piekła. D'Artagnanie!... zawsze cię kochałem, jak syna. Porthosie, dziesięć lat spaliśmy obok siebie, jak bracia, Aramis jest waszym bratem, jak moim, bo Aramis tak was kochał, jak ja was kocham zawsze. Co może dla nas znaczyć kardynał Mazarini, dla nas, cośmy przemogli rękę i serce takiego człowieka, jak Richelieu. Co znaczyć może dla nas ten lub ów książę, dla nas, cośmy zachowali koronę na głowie królowej? D'Artagnanie, przebacz, żem wczoraj skrzyżował z tobą szpadę; Aramis o to samo prosi Porthosa. A teraz nienawidźcie mnie, jeżeli możecie, ale ja, przysięgam wam, pomimo nienawiści waszej, mieć będę dla was szacunek i przyjaźń. Teraz powtórz me słowa, Aramisie, a potem, jeśli oni zechcą i jeżeli ty zechcesz, poźegnajmy naszych przyjaciół na zawsze.

Nastąpiła chwila uroczystej ciszy, którą przerwał Aramis.

— Przysięgam — wyrzekł z czołem spokojnym i uczciwym spojrzeniem, ale głosem, drżącym jeszcze od resztki wzruszenia — przysięgam, że nie żywię nienawiści ku tym, którzy byli moimi przyjaciółmi, i przysięgam, że żałuję tego, iżem dotknął twej szpady, Porthosie; przysięgam wreszcie, że moja szpada nie tylko nie skieruje się nigdy ku waszej piersi, lecz i w głębi mej myśli najtajniejszych nie pozostanie w przyszłości nawet śladu uczuć dla was nieprzyjaznych. Pójdź, Athosie.

Athos poruszył się, ażeby odejść.

— O! nie, nie! nie odchodźcie! — zawołał d'Artagnan, porwany uniesieniem, zdradzającym gorącość jego krwi

i wrodzoną prawość duszy — nie odchodźcie, bo i ja mam wykonać przysięgę. Przysięgam, że oddam ostatnią kroplę swej krwi, ostatni kawałek ciała, ażeby zachować szacunek takiego człowieka, jak ty, Athosie, i przyjaźń takiego człowieka, jak ty, Aramisie.

I rzucił się w ramiona Athosa.

— Synu mój — rzekł Athos, przyciskając go do serca.

— A ja — rzekł Porthos — ja nie przysięgam na nic, ale się duszę!... do pioruna!... gdyby mi przyszło bić się przeciw wam, dałbym się podziurawić na przetak, bo na świecie tylko was kochałem.

I poczciwy Porthos zalał się łzami, rzucając się w ramiona Aramisa.

— Moi przyjaciele — rzekł Athos — tego, się spodziewałem, tego czekałem od takich serc, jak wasze, tak, przewidziałem to i powtarzam: losy nasze związane są nieodmiennie, chociaż idziemy po odmiennych drogach; szanuję twoje zasady, d'Artagnanie; szanuję twoje przekonania, Porthosie, ale chociaż walczymy za sprawy wprost różne, pozostaniemy przyjaciółmi; ministrowie, księżęta i króle przelecą, jak potoki, — wojna domowa mignie, jak płomień, ale my pozostaniemy!... takie mam przeczucie.

— Tak — podchwycił d'Artagnan — będziemy zawsze muszkietierami i, jako jedyny sztandar nasz, zachowamy serwetę z bastjonu Ś-go Gerwazego, na której kardynał kazał wyhaftować trzy lilje.

— Tak — rzekł Aramis — wszystko jedno, czy będziemy kardynalistami, czy frondystami! Miejmy na zawsze naszych poczciwych sekundantów do pojedynku, naszych przyjaciół wiernych do spraw poważnych, naszych kolegów wesołych do zabaw!

— A ilekroć — rzekł Athos — spotkamy się wśród walki, na te słowa jedynie: „plac królewski!“ przełożmy zawsze szpady do lewej ręki, a prawą podajmy sobie, choćby w najstraszniejszej rzezi!...

— Mówisz zachwycająco!... — rzekł Porthos.

— Jesteś największym z ludzi — rzekł d'Artagnan — przerosłeś nas o dziesięć łokci.

Athos uśmiechnął się uśmiechem niewysłowionej radości.

— Zatem rzecz ułożona — wyrzekł. — No, panowie, podajcie ręce. Czy jesteście choć trochę chrześcijanami?

— No, dalibóg! — odrzekł d'Artagnan.

— Jesteśmy... choćby na tyle, ażeby pozostać wiernymi naszej przysiędze — rzekł Aramis.

— O!... gotów jestem przysiąc, na co kto zechce — rzekł Porthos — nawet na Mahometa! Niech mnie djabli porwą, czy byłem kiedy tak szczęśliwy, jak w tej chwili.

I pocziwy Porthos ocierał oczy, jeszcze wilgotne.

— Czy ma z was który krzyżyk?... — zapytał Athos.

Porthos i d'Artagnan spojrzeli po sobie, pokręcając głową, jak ludzie, pochwyceni na gorącym uczynku. Aramis uśmiechnął się i wyciągnął z nad piersi krzyżyk djamentowy, zawieszony u szyi na sznurku z pereł.

— Jest — wyrzekł.

— A więc — podchwycił Athos — przysięgnijmy na ten krzyż, bo — pomimo wszystko — jest to zawsze krzyż, przysięgnijmy, że zawsze żyć będziemy w jedności bezwzględnej — i oby przysięga ta zjednoczyła nietylko nas, ale aby zjednoczyć mogła i naszych potomków. Cóż, zgadzacie się na tę przysięgę?...

— Zgadzamy się — wyrzekli wszyscy jednogłośnie.

— O!... zdrajco — szepnął d'Artagnan, nachylając się do ucha Aramisowi — kazałeś nam przysiąc na krzyż frondystowski.

ROZDZIAŁ XXXII

PROM

Spodziewamy się, że czytelnik niezupełnie zapomniał o młodym podróżnym, którego pozostawiliśmy na drodze do Flandrji.

Nieznana dotąd przyjemność używania wolności, mająca pewien błogi odcień nawet dla tych, którzy nigdy nie cierpieli z racji zależności, przyjemność ta ozłociła Raulowi niebo i ziemię, a szczególnie ten daleki widnokrąg życia, który nazywa się przyszłością.

Spostrzegł jednak po kilku próbach rozmowy z Olivaniem, że długie dnie, spędzane w ten sposób, byłyby bardzo smutne, i przyszła mu na myśl mowa hrabiego tak słodka, tak przekonywająca i tak zajmująca, przyszły mu na myśl jego opowiadania o miastach, kędy przejeżdżano, o których nikt mu nie był w stanie dać szacowniejszych wskazówek, niż Athos, najuczeńszy i najweselszy przewodnik w podróży.

Inne jeszcze wspomnienie zasmucało Raula; przybywając do Lonnes, ujrzał poza zasłoną topoli mały zameczek, który mocno mu przypominał ów w La Vallière; zatrzymał się i patrzył na niego przez dziesięć minut, poczem ruszył w dalszą drogę, wzdychając, nic nawet nie odpowiedziałwszy Olivanowi, który z całym uszanowaniem zapytał, co zwróciło jego uwagę.

Widok przedmiotów zewnętrznych jest tajemniczym przewodnikiem, który udziela się strunom pamięci i budzi je, pomimo woli naszej; a gdy raz już przewinie się ta nić, jak nić Arjadny, prowadzi ona do labiryntu myśli, gdzie człowiek błądzi, biegnąc w tym cieniu przeszłości, który nazywają pamięcią.

Owóz i widok tego zamku oderwał Raula o pięćdziesiąt mil w zachodnią stronę i podsunął mu przed oczy owo życie od chwili, kiedy pożegnał się z małą Ludwiką, aż do czasu, kiedy ją zobaczył poraz pierwszy, a gąszcz każdego dęba, każda chorągiewka, dostrzeżona na dachu, przypominały mu, że — miast powracać do przyjaciół z lat dziecińczych — każdą chwilą oddala się od nich bardziej i że może opuścić ich już na zawsze. Z sercem ściśniętem, z głową ociężałą, kazał Olivanowi zaprowadzić konie do małej oberży, którą spostrzegł na drodze o pół strzału z muszkietu.

Sam zaś zsiadł z konia, zatrzymał się pod piękną kępą kwitnących kasztanów, wokół których brzęczały roje pszczoł, i powiedział Olivanowi, ażeby mu przyniesiono tu z oberży papieru listowego i atramentu na mały stolik, który wydawał się jakby przeznaczony do pisania.

Olivan spełnił rozkaz i jechał dalej, gdy Raul usiadł, oparłszy się łokciem na tym stoliku i wzrok utopiwszy w malowniczym krajobrazie, roztaczającym pola zielone, gaiki drzew, z których wierzchołków spadało białe, jak śnieg, kwiecie.

Raul siedział tak z dziesięć minut, pograżywszy się w marzeniach, gdy w kręgu, objętym przez jego roztargnione spojrzenie, zobaczył poruszającą się figurkę o twarzy czerwonej, z serwetą pod pachą, czepkiem białym na głowie; figurka zbliżyła się, miosąc papier, kałamarnicę i pióro.

— Ho! ho!... — rzekło zjawisko — widać, że wszyscy szlachcice mają podobne myśli, bo niespełna przed kwadransem jakiś młody pan, tak wspaniale, jak pan, ubrany z miną tak okazałą i takiego wieku, jak pan, zatrzymał się tu przed tym gajem, kazał przynieść tu ten stolik i to krzesło i zjadł obiad ze starym panem, wyglądającym na jego guwernera; zjedli pasztet, nie zostawiwszy ani odrobiny, i wysączyli butelkę starego wina Macon, aż do ostatniej kropelki, ale na szczęście mamy jeszcze więcej takiego wina i takich pasztetów i, jeżeli pan rozkaże...

— Nie, mój przyjacielu — rzekł Raul, uśmiechając się — dziękuję ci; nie potrzebuję w tej chwili niczego prócz tych rzeczy, których zażądałem, i byłbym już zupełnie zadowolony, gdyby pióro było dobre, a atrament czar-

ny; w takim razie zapłaciłbym za pióro, jak za butelkę, a za atrament, jak za pasztet.

— O! panie — odrzekł gospodarz — to butelkę i pasztet dam pańskiemu służącemu i tym sposobem pióro i atrament nic pana nie będzie kosztowało.

— Zrób pan, jak chcesz — odrzekł Raul, ucząc się dopiero poznawać tę szczególną klasę ludzi, która, kiedy rabusie rozbijali się na gościńcach, miała z nimi spółkę, a gdy ich już nie stało, zastępuje ich sama w zupełności.

Gospodarz, uspokojony co do zarobku, położył na stole papier, kałamarz i pióro. Przypadkiem pióro było znośne i Raul zaczął pisać. Gospodarz stał tymczasem przed nim i z pewnym zachwytem mimowolnym podziwiał tę postać tak zarazem poważną i łagodną. Piękność była i będzie zawsze królową.

— To nie taki gość, jak tamten, który tu był przed chwilą — rzekł gospodarz do Olivana, gdy ten przyszedł do Raula, ażeby zobaczyć, czy czego nie potrzebuje, — pan wasz wcale niema apetytu.

— Miał go jeszcze przed trzema dniami; ale, cóż robić, stracił go onegdaj.

Tymczasem Raul pisał:

„Panie!

„Po czterech godzinach jazdy zatrzymuję się, ażeby do pana napisać, bo odczuwam stale brak Ciebie. Tak mnie odurzył pański odjazd, tak mnie zmartwiło nasze rozstanie, że bardzo zaiste niedołącznie wyraziłem panu uczucie i wdzięczność, jaką żywię dla pana. Pan mi wybaczysz, bo serce Twoje jest tak szlachetne, żeś zrozumiał wszystko, co się działo w mojem. Niech pan napisze do mnie, bardzo o to proszę, bo rady Twoje — to dla mnie życie całe, a przytem czuję się niespokojny; zdawało mi się, że i pan przvgotowuje się na jakąś wyprawę niebezpieczną, o którą nie śmiałem Cię wypytywać, boś mi nic o niej nie wspominał. Widzisz więc, panie, że gorąco pragnę wiadomości o Tobie. Odkąd nie mam pana przy sobie, straciłem zupełnie pewność siebie. Pan mnie pokrzepiałeś potężnie, a dzisiaj przysięgam panu, czuję się osamotniony.

„Czy raczysz, panie, jeżeli będziesz miał wiadomość z Blois, napisać mi kilka słów o mej małej przyjaciółce, pannie de La Vallière, której zdrowie w chwili naszego odjazdu, jak panu wiadomo, budziło pewne obawy? Poj-

mujesz, panie i kochany opiekunie, jak drogie i niezbędne są mi wspomnienia z tego czasu który przepędziłem przy Tobie. Mam nadzieję, że nieraz pomyślisz o mnie, a jeżeli brak ci mnie niekiedy, jeżeli czujesz jakby żal, iż mnie przy Tobie niema, nie posiadałbym się z radości na myśl, że i pan odczuł przywiązanie moje dla Ciebie i że dałem Ci je poznać, kiedy miałem zaszczyt przebywać z Tobą razem“.

Tymczasem Oliván wypił butelkę i zjadł pasztet; konie także podjadły sobie i wypoczęły. Raul skinął na gospodarza, ażeby przyszedł, rzucił mu talara an stół, wsiadł na konia, a w Sculis oddał list na pocztę.

Odpoczynek, jakiego użyli jeźdźcy i konie, pozwolił im bez zatrzymywania się zjechać do Verberie. Tu Raul rozkazał Olivánowi dowiedzieć się o tego młodego szlachcica, który ich wyprzedzał; widziano go, jak przejeżdżał tędy przed trzema kwadransami, ale dobre miał konie i jechał prędko.

— Postarajmy się dogonić tego szlachcica — rzekł Raul do Olivána — jedzie on, jak i my, do wojska, mieliśmy więc miłe towarzystwo.

Raul, przyjechawszy do Compiègne o czwartej, zjadł obiad z dobrym apetytem i wypytywał znowu o wyprzedzającego ich młodego szlachcica; tak samo, jak Raul, popasał on w hotelu „pod Dzwonem i Butelką“, najlepszym w Compiègne, i udał się w dalszą drogę, powiadając, że ma zamiar przenocować w Noyon.

— To i my przenocujemy w Noyon — rzekł Raul.

— Panie — odezwał się z uszanowaniem Oliván — niech mi pan pozwoli zwrócić uwagę, żeśmy już bardzo zmordowali konie od rana. Zdaje mi się, że byłoby dobrze tu zostać na nocleg, a jutro wyjechać wczesnym rankiem. Dwanaście mil to dosyć na jeden przejazd.

— Pan hrabia de la Fère pragnie, ażebym się śpieszył — odpowiedział Raul — i abym przybył do księcia zrana czwartego dnia, dotrzyjmy więc dziś do Noyon; będzie to taki przejazd, jaki już zrobiliśmy z Blois do Paryża. Staniemy tam o ósmej. Konie będą miały całą noc na wypoczynek, a jutro zrana o godzinie piątej wyruszymy w drogę.

Oliván nie śmiał sprzeciwić się temu postanowieniu, ale jechał, mrużąc.

— Tak, tak — bąkał sobie pod nosem — zaraz się gorączkować pierwszego dnia, jutro zamiast szesnastu mil, zrobi się ośm, pojutrze cztery, a za trzy dni będzie się w łóżku. O! wszyscy ci młodzi panicze to fanfarony.

Jak widać Olivian nie był wychowany w szkole Planchetów i Grimaudów. Raul w samej rzeczy czuł się znudzony, ale chciał wypróbować swych sił i, wykarmiony zasadami Athosa: — słyszał od niego o jeździe po dwanaście godzin bez dłuższej przerwy—nie chciał pozostać daleki od swego wzoru. D'Artagnan, ten człowiek żelazny, jakby złożony tylko z nerwów i mięśni, przejął go także zachwytem.

Jechał więc wciąż dalej, coraz to przyśpieszając biegu konia. Droga ciągnęła się malowniczo nad jeziorem; wtem z wierzchołka pagórka Raul spostrzegł przed sobą rzekę. Mały oddział ludzi na koniach znajdował się na brzegu i wsiadał na prom.

Raul nie wąpił już, że to ów szlachcic i jego świta; krzyknął, ale zbyt daleko był, ażeby go mogli usłyszeć. Wtedy zmusił konia, pomimo zmęczenia, do galopu, ale grunt falisty znów mu zasłonił widok podróźnych, a kiedy się dostał na nowe wzgórze, prom już odbił i posuwał się ku przeciwnemu brzegowi. Raul, widząc, że nie zdąży już na prom razem z podróźnymi, zatrzymał się, czekając na Olivana. W tejże chwili rozległ się krzyk, jakby od strony rzeki.

Raul zwrócił się w stronę, skąd pochodził ten krzyk i, przysłoniwszy oczy ręką, bo go oślepił blask zachodzącego słońca, zawołał:

— Olivanie! co się tam dzieje?

Rozległ się drugi krzyk, jeszcze bardziej przenikliwy.

— O! panie!... — rzekł Olivian — sznur u promu się zerwał i łódź się przechyla. Ale co to? Coś się szamocze w wodzie.

— O! tak — zawołał Raul, wlepiając wzrok w punkt rzeki, który promienie słoneczne oświetlały wspaniale — koń i jeździec!...

— Topi się!... — zawołał Olivian.

Raul również nabrał pewności, że to jakiś człowiek tonął. Spiął konia, ostrogi zapuścił mu w brzuch, a zwierzę, rozjuszone bólem, popędziło, jak szalone, i wskoczyło do rzeki, aż fala plusnęła spieniona.

— O! paniel... — krzyknął Olivan — co pan robi, na miłość Boską!

Raul kierował konia ku tonącemu.

Miał w tem zresztą niemałą wprawę. Wychowany na brzegach Loary, był, że tak powiemy, wykołysany na jej falach, sto razy przebył ją konno, a tysiąc razy przepłynął. Athos, kształcąc wicehrabiego na przyszłego żołnierza, nauczył go wszelkich potrzebnych ćwiczeń.

— O! mój Boże!... — mówił dalej Olivan zrozpaczony — coby powiedział pan hrabia, gdyby pana widział.

— Pan hrabia uczyniłby tak samo, jak ja — odpowiedział Raul, popędzając konia.

— Ale ja! ja!... — zawołał Olivan, błądy i zrozpaczony uwijając się na brzegu. Jak ja się tam dostanę?

— Skacz, tchórzul!... — zawołał Raul, nie przestając płynąć.

Poczem zakrzyknął w stronę podróżnego, który szamotoł się o dwadzieścia kroków od niego:

— Odwagi, panie, odwagi, pomoc przybywa!

Olivan zbliżył się, cofnął, spiął konia, zawrócił, wreszcie zawstydzony wskoczył z koniem do wody, jak to uczynił Raul, powtarzając przecie:

— Już po mnie, zginęliśmy!

Tymczasem prom posuwał się szybko, unoszony prądem wody, i słychać było krzyki znajdujących się na nim ludzi. Jakiś siwowłosy człowiek rzucił się z promu do rzeki i płynął żwawo ku tonącemu; pomimo to zbliżał się powoli, bo musiał walczyć z przeciwnym prądem wody.

Raul płynął dalej i widocznie zmniejszał odległość, ale koń i jeździec, których nie spuszczał z oczu, tonęli też coraz widoczniej. Koń już miał tylko nozdrza ponad wodą a jeździec, wypuściwszy cugle przy borykaniu się z nurkami, wyciągał ręce w górę, a głowę w tył przechylał. Jeszcze minuta i wszystko miało zniknąć.

— Odwagi!... — zawołał Raul — odwagi!

— Zapóźno!... — wyszeptał młodzieniec — zapóźno!

Woda przeszła mu ponad głowę i stłumiła głos w ustach. Raul zeskoczył z konia, pozostawiając go własnym jego siłom, i w trzech czy czterech rzutach był już przy szlachcicu. Schwycił natychmiast konia pod gardziel, podniósł mu łeb z wody; zwierzę odetchnęło swobodniej i, jakby zrozumiawszy, że pomoc mu przybywa, podwoiło wysiłki;

Raul jednocześnie schwycił młodzieńca za rękę i położył ją na grzywie, której ten uczepił się z zaciętością tonącego. Wtedy Raul, pewny już, że jeździec nie popuści jej, zajął się tylko koniem i skierował go ku przeciwnemu brzegowi, pomagając mu do przerzynania nurtów i dodając mu dwagi. Naraz zwierzę natrafiło na podwodną ławę piaszczystą i stanęło na tej mieliźnie.

— Ocalony!... — zawołał siwowłosy mężczyzna, stając również na tym piasku.

— Ocalony!... — wyszeptał machinalnie szlachcic, puszczając grzywę i zsuwając się z siodła w ramiona Raula.

Raul był już tylko o dziesięć kroków od brzegu, zaniósł zemdłego szlachcica, położył go na murawie, rozwiązał mu sznurki u kołnierza i odpiął guziki surduta. Za chwilę i siwowłosy mężczyzna był już przy nim. Oliván też wy dostał się na brzeg, nażegnawszy się coniemiarą, a ludzie na promie, o ile mogli, dobijali wiosłem do ładu.

Powoli — dzięki staraniom Raula i towarzyszącego młodemu jeźdźcowi mężczyzny — życie wróciło na blade policzki prawie obumarłego. Otworzył on oczy z początku błędne, wkrótce jednak wlepił je w tego, który go ocalił.

— O panie — zawołał — pana szukałem oczyma! gdyby nie pan, byłbym z pewnością już umarł.

— Ale zostałeś pan, jak widzisz, wskrzeszony — rzekł Raul — a dla nas wszystkich skończyło się tylko na kąpieli.

— A! i ty tutaj jesteś, poczciwy Arminges! napędziłem ci wielkiego strachu, nieprawdaż? ale twoja to wina, ty byłeś moim nauczycielem, dlaczego więc nie nauczyłeś mnie lepiej pływać?

— O! panie hrabio — rzekł starzec — gdyby ci się było przytrafiło nieszczęście, nigdy nie śmiałybym stanąć przed marszałkiem.

— Ale jak się to wydarzyło?... — zapytał Raul.

— O!... panie w sposób najprostszy — odpowiedział ten, którego tytułowano hrabią. — Byliśmy prawie na połowie rzeki, kiedy u promu przerwał się sznur. Na odgłos krzyków i poruszenia obsługi promu — koń mój przestraszył się i wskoczył do wody. Pływam bardzo źle i nie miałem odwagi rzucić się do rzeki. Zamiast pomagać koniowi, paraliżowałem jego ruchy i byłbym się napewno

utopił, gdybyś pan w ostatniej chwili nie wyciągnął mnie z wody. O!... panie, jeżeli chcesz, będziemy odtąd przyjaciółmi na życie i śmierć.

— Panie — odrzekł Raul, kłaniając się — jestem twym powolnym sługą.

— Nazywam się hrabia de Guiche — mówił dalej jeździec — ojcem moim jest marszałek de Grammont. A teraz, kiedy pan wiesz, kto jestem, czy uczynisz mi ten zaszczyt i zechcesz powiedzieć swą godność?

— Jestem wicehrabia de Bragelonne — rzekł Raul, czerwieniąc się, że nie może wymienić ojca, jak to uczynił hrabia de Guiche.

— Wicehrabio, twarz twoja, dobroć i odwaga pociągają mnie ku tobie; masz szczerą moją życzliwość. Ucałujmy się i proszę cię o przyjaźń.

— Panie — odrzekł Raul, wywzajemniając się uściskiem — kocham cię już z całego serca, uważaj mnie więc za wiernego przyjaciela.

— A dokąd jedziesz, wicehrabio?... — zapytał de Guiche.

— Do wojska księcia, hrabio.

— To i ja także!... — zawołał młodzieniec w uniesieniu radości — o!... tem lepiej, pierwsze strzały odbędziemy razem.

— A teraz — rzekł nauczyciel — musisz pan zrzucić ubranie; lokaje, którym dałem rozkaz, gdy wyszli z promu, są już pewnie w zajeździe, i grzeją bieliznę i wino; chodźcie, panowie.

Młodzieńcy nie sprzeciwiali się bynajmniej tej propozycji. Wsiedli natychmiast na konie, patrząc na siebie z upodobaniem wzajemnem.

Tylko Olivenowi nie bardzo przypadł do smaku ten piękny uczynek jego pana. Wyżymał rękawy i całą swą nasiąkniętą wodą odzież, myśląc o tem, że popas w Compiègne byłby go niewątpliwie uratował od tej biedy.

ROZDZIAŁ XXXIII

UTARCZKA

Popas w Noyon był krótki, każdy spał snem głębokim. Raul polecił, ażeby go obudzono, gdyby przybył Grimaud, ale Grimaud nie przybył wcale. Konie znużone pokrzepił również zupełny odpoczynek ośmiogodzinny i obfita pasza w żłobie.

Hrabiego de Guiche obudził o godzinie piątej Raul, przyszedłszy mu powiedzieć dzień dobry. Zjedzono śniadanie naprędce, a o godzinie szóstej ujechał on już dobrą milę. Rozmowa z młodym hrabią wielce interesowała Raula. Słuchał też Raul z uwagą, a młody hrabia opowiadał ciągle...

Wychowany w Paryżu, gdzie Raul był raz tylko, na dworze, którego Raul wcale nie widział, mówił mu o różnych szaleństwach paziowskich, o dwóch pojedynkach, jakie zdołał już mieć pomimo edyktów wzbraniających i pomimo dozoru nauczyciela, a wszystko to wielką ciekawość budziło w Raulu. Raul był tylko u pana Scarron; wymienił Guiche'owi osoby, które tam widział.

Potem rozmowa zesłała na intrygi miłosne. I w tej dziedzinie Bragelonne więcej słuchał, niż sam opowiadał. Zdawało mu się jednak, że — pomimo opowiadania trzech czy czterech historyjek miłosnych — hrabia de Guiche ukrywał tak, jak i on, tajemnicę serca.

De Guiche, jak powiedzieliśmy, wychowany był na dworze i wszystkie intrygi dworskie były mu znane. Był to ten dwór, o którym Raul tyle słyszał od hrabiego de la Fère; lecz zmienił się on wielce, od kiedy Athos go widział po raz ostatni.

Całe więc opowiadanie hrabiego de Guiche zawierało

wiele nowego dla jego młodego towarzysza podróży. Hrabia de Guiche, obmawiając na prawo i lewo, czynił przegląd wszystkich: opowiadał o dawnych miłostkach pani de Longueville i Coligny'ego, o pojedynku tegoż na placu królewskim, o pojedynku, tak dla niego fatalnym; o nowych miłostkach tejże pani z księciem de Marsillac, tak zazdrosnym, że gotów był pozabijać wszystkich, nawet opata d'Herblay, swego spowiednika; o miłostkach księcia Walji z siostrą króla. Nawet królowej nie oszczędzał, a i kardynałowi dostało się szyderstwo.

Dzień minął, jakby jedna godzina. Nauczyciel hrabiego, człowiek światowy, uczony do szpiku kości, jak mówił jego wychowaniec, przypomniał kilkakrotnie Raulowi głęboką wiedzę i cięty dowcip Athosa, ale pod względem wdzięku, delikatności i szlachetności postawy, nie mógł się ani równać z hrabią de la Fère.

Konie, bardziej oszczędzane, niż w przeddzień, zatrzymały się około godziny czwartej wieczorem w Arras. Zbliżano się do widowni wojny i postanowiono w mieście tem zatrzymać się aż do dnia następnego, gdyż oddziały hiszpańskie, korzystając z nocy, posuwały nieraz swe wycieczki aż w okolice Arras.

Wojsko francuskie zajmowało przestrzeń od Pont-à-Mare do Valenciennes. Księżę, jak mówiono, stał kwaterą w Béthune. Wojsko nieprzyjacielskie rozpościerało się od Cossel do Courtray, a ponieważ dopuszczano się ciągłych rabunków i gwałtów, biedni mieszkańcy pogranicznicy porzucali swe odosobnione siedziby i chronili się do miast warownych, dających im bezpieczeństwo większe.

Arras pełne było takich ludzi. Mówiono o bliskiej bitwie, która miała być rozstrzygająca, gdyż dotąd księżę manewrował tylko, czekając na posiłki, które nareszcie przybyły.

Młodzieńcy winszowali sobie, że przyjechali w samą porę. Zjedli kolację razem i położyli się spać w jednym pokoju. W ich wieku o przyjaźń bardzo łatwo; zdawało im się też, że znają się od urodzenia i że niepodobna już im się rozłączyć.

Wieczorem rozprawiali o wojnie; lokaje opatrywali broń; młodzieńcy nabili pistolety na wypadek utarczki i obudzili się zrozpaczeni, gdyż obu się śniło, iż przybyli zapóźno na plac bitwy.

Zrana rozeszła się wieść, że ksiązę Kondeusz ustąpił z Béthune i przeniósł się do Carvin, pozostawiwszy jednak załogę w tem pierwszym mieście. Ponieważ jednak wiadomość ta nie wydawała się pewna, młodzieńcy postanowili jechać do Béthune, a w razie potrzeby zboczyć do Carvin.

Nauczyciel hrabiego de Guiche znał wybornie te strony; zaproponował więc skrócić na drogę boczną między Lens a Béthune. W Albain miano zasięgnąć języka. Po drodze zostawiono wiadomość dla Grimauda. Wyruszono około godziny siódmej zrana.

De Guiche, młody i krewki, rzekł do Raula:

— Jest nas trzech panów i trzech służących; służący nasi dobrze uzbrojeni, a twój wygląda na zucha.

— Nigdy go nie widziałem, jak się bierze do rzeczy — odpowiedział Raul — ale to Bretończyk, więc obiecujący.

— Tak, tak — podchwycił de Guiche — i pewny jestem, iż w potrzebie nie poskąpi ognia ze strzelby; co do mnie, mam dwóch ludzi pewnych, którzy odbyli kampanję z mym ojcem; jest więc nas sześciu wojowników. Gdybyśmy tak napotkali mały oddział nieprzyjacielski na zwiadach, choćby nawet trochę od nas liczniejszy, czyżbyśmy nań nie natarli, Raulu?...

— Naturalnie — odpowiedział wicehrabia.

— Hola!... moi panicze!... hola!... — rzekł nauczyciel, mieszając się do rozmowy — nie gorączkujcie się tak, na miłość boską!... a moje instrukcje, panie hrabio?... czyś pan zapomniał, że mam rozkaz odstawić pana całego i zdrowego do księcia pana?... Jak będziesz w wojsku, to daj się pan zabić, jeżeli ci się podoba, ale do tej chwili, uprzedzam pana, że ja, w charakterze generała tego tu oto wojska, daję wam rozkaz do odwrotu na widok pierwszego nieprzyjacielskiego pióropusza.

De Guiche i Raul spojrzeli na siebie ukradkiem, uśmiechając się jednocześnie.

Do Albain przybyli podróżni bez wypadku. Tu dowiedzieli się, że ksiązę rzeczywiście opuścił Béthune i stał między Cambrin i Venthie. Wtedy — znów boczną drogą—po pół godzinie jazdy mały oddział przybył na brzeg strumyka, wpadającego do Lys.

Okolica była cudna, poprzerzynana dolinami szmaragdowo zielonemi. Od czasu do czasu znajdował się na drodze



Prłat wyciągnął rękę w kierunku drzwi kościoła, gdzie siedział żebrak, oparty plecami o słup.

gaik. W każdym takim lasku nauczyciel, w przewidywaniu zasadzki, wysłał naprzód dwóch służących hrabiego, którzy tworzyli w ten sposób straż przednią. Nauczyciel i dwaj młodzieńcy stanowili korpus wojska, Olivian zaś, z karabinem na kolanach i okiem, wytrzeszczonem na wszystkie strony czuwał na tyłach.

Od niejakiego czasu na widnokręgu wynurzał się las dosyć gęsty; gdy znajdowali się odeń o jakie już sto kroków, pan d'Arminges, przywykły do ostrożności, wysłał naprzód dwóch lokajów hrabiego. Służący zniknęli między drzewami; młodzieńcy i nauczyciel, śmiejąc się i rozmawiając, jechali prawie o sto kroków za nimi.

Oliwan trzymał się w tyle na takiejże prawie odległości; nagle rozległo się pięć czy sześć strzałów muszkietowych. Nauczyciel kazał przystanąć, młodzieńcy posłusznie wstrzymali konie. W tejże chwili dwaj służący powrócili galopem.

Młodzieńcy, z niecierpliwością pragnący dowiedzieć się powodów tej strzelaniny, popędzili ku służącym, a nauczyciel pojechał za nimi.

— Czy was zatrzymano? — zapytali żywo obaj młodzieńcy.

— Nie — odpowiedzieli lokaje — prawdopodobnie nawet nie widziano nas; strzały ze strzelby padły o sto kroków przed nami, w największym gęszczu leśnym; wróciliśmy, ażeby zapytać o radę.

— Moją radą — rzekł d'Arminges — nawet wolą moją jest, ażebyśmy dokonali odwrotu; ten las może ukrywać w sobie zasadzkę.

— Więc nic nie widzieliście? — zapytał hrabia lokaja.

— Zdawało mi się — rzekł jeden z nich — że jacyś jeźdźcy, ubrani żółto, suną wzdłuż strumienia.

— Tak — odezwał się nauczyciel — tośmy wpadli na oddział hiszpański. Do odwrotu, panowie, do odwrotu!

Młodzieńcy porozumiewali się ukradkowemi spojrzeniami, gdy wtem usłyszano wystrzał z pistoletu, poczem dwa czy trzy razy wołanie o pomoc. Młodzieńcy ostatniem spojrzeniem upewnili się, iż żaden z nich nie pragnie się cofnąć, i w chwili, gdy nauczyciel już zawracał konia, obydwoj pojechali naprzód, Raul, wołając: „Do mnie, Olivanie!“, a hrabia de Guiche, wołając: „Do mnie Urbanie i Blancheciel!“.

I zanim nauczyciel ochłonął ze zdziwienia, oni byli już w lesie. Spiąwszy konie, jednocześnie porwali pistolety do ręki. W pięć minut przybyli na miejsce, skąd zgiełk zdawał się pochodzić. Wtedy zwolnili biegu swych koni i posuwali się ostrożnie.

— Cicho! — rzekł de Guiche — kawalerzyści!...

— Tak, trzech na koniu, a trzech zsiadło na ziemię.

— Co robią?... zobacz!...

— Zdaje mi się, że rewidują jakiegoś człowieka ranego, czy nieżywego.

— O!... to jakieś podłe morderstwo — rzekł de Guiche.

— Ależ to przecie żołnierze — podchwycił Bragelonne.

— Tak, ale ciury, czyli rabusie na drogach.

— Hejże na nich!... — rzekł Raul.

— Hejże na nich!... — rzekł de Guiche.

— Panowie!... — zawołał biedny nauczyciel — panowie, na imię nieba...

Ale młodzieńcy nie słuchali wcale, obaj pojechali z wielką chęcią, a krzyki nauczyciela tylko zwróciły uwagę hiszpanów. Zaraz też owi trzej, którzy byli na koniu, popędzili na spotkanie obojwóch młodzieńców, gdy trzej inni kończyli rabować dwóch podróżnych, młodzieńcy bowiem, zbliżywszy się, zobaczyli leżące na ziemi nie jedno, lecz dwa ciała.

Z odległości dziesięciu kroków de Guiche wystrzelił pierwszy i chybił; hiszpan, pędzący naprzeciw Raula, także wystrzelił. Raul uczuł w lewym ramieniu ból, jakby od uderzenia bata. Z odległości czterech kroków dał ognia, i hiszpan, ugodzony w piersi, wyciągnął ręce i przewrócił się w tył konia, który zaraz skręcił i uniósł umierającego.

W tejże chwili Raul ujrzał, jakby przez mgłę, lufę muszkietu. wymierzoną ku niemu. Zaraz mu przysłała na myśl rada Athosa i ruchem szybkim, jak błyskawica, spiął konia w górę, tak, że zwierzę stanęło dęba. Zagrzmiął strzał. Koń skoczył w bok, zachwiał się i padł, przygniatając nogę Raulowi. Hiszpan sam rzucił się, schwyciwszy muszkiet w rękę, ażeby głowę Raulowi roztrzaskać kolbą.

Na nieszczęście, w położeniu takim, w jakim się znajdował Raul, nie mógł on ani wydobyć szpady z pochwy, ani pistoletu z olster; widział kolbę, młynkującą nad jego głową, i mimowoli chciał już zamknąć oczy,

gdy jednym skokiem de Guiche wpadł na Hiszpana i przyłożył mu pistolet do gardła.

— Poddaj się!... — zawołał — albo zginiesz!...

Muskiet wypadł z rąk żołnierza, który poddał się natchmiast! Guiche przywołał jednego ze swych służących, oddał mu jeńca do pilnowania, rozkazując, ażeby mu palnął w łeb przy najmniejszym usiłowaniu ucieczki, potem zeskoczył z konia i zbliżył się do Raula.

— Dalibóg — rzekł Raul ze śmiechem, chociaż bladeść zdradzała wzruszenie, nieuniknione przy pierwszej walce — pan bardzo prędko spłacasz swe długi, nie chcąc być winny. Gdyby nie pan — dodał — byłbym już pewno nie żył.

— Mój przeciwnik, uciekłszy — rzekł hrabia — dał mi wszelką łatwość przyjścia panu na pomoc; ale czy jesteś pan ciężko ranny?... cały pan zakrwawiony.

— Zdaje mi się — rzekł Raul — że muszę być zadraśnięty w ramię. Pomóż mi więc pan wydostać się z pod konia, a spodziewam się, że nic nie przeszkodzi mi pojechać dalej.

Pan d'Arminges i Olivan już zsiadli na ziemię i podnosili konia, miotającego się w drgawkach konania. Raul zdołał nareszcie wyjąć nogę ze strzemienia, a potem z pod konia i stanął w jednej chwili.

— Nie złamał sobie pan czego?... — spytał Guiche.

— Nie, dzięki Bogu — odpowiedział Raul — ale co się stało z biedakami, których tamci nędznicy mordowali?...

— Przybyliśmy za późno: zdaje mi się, że ich pozabijali i uciekli, zabrawszy z sobą cały łup; nasi lokaje są przy trupach.

— Chodźmy zobaczyć, może jeszcze nie umarli, może da się im co pomóc — rzekł Raul. — Olivanie, odziedziczyliśmy dwa konie, ale stracił swego; weź najlepszego z tych dwóch, a mnie swego oddaj.

I podeszli do miejsca, gdzie leżały dwa trupy.

ROZDZIAŁ XXXIV

M N I C H

Leżeli dwaj ludzie, jeden nieruchomy, twarzą ku ziemi przewrócony, przeszyty trzema kulami, cały we krwi. Ten już nie żył.

Drugi, oparty przez dwóch lokajów o drzewo, z oczyma, ku niebu wzniesionemi, i ze złożonemi rękoma, modlił się gorąco. Kula strzaskała mu zebro.

Ranny uśmiechnął się smutnie.

— Uratować mnie, o nie!... — rzekł — tylko dopomóż umrzeć.

— Czy pan jest księdzem?... — zapytał Raul.

— Nie, panie.

— Bo pański towarzysz nieszczęśliwy, jak mi się zdaje, należał do kościoła.

— To proboszcz z Béthune, proszę pana, przewoził w miejsce bezpieczne cenne rzeczy ze skarbca kościelnego, bo ksiązę pan opuścił wczoraj nasze miasto, a Hiszpanie może tam będą już jutro. Otóż, ponieważ wiadomo było, że oddziały nieprzyjacielskie pokazują się w okolicy i że droga dlatego jest niebezpieczna, nikt nie chciał mu towarzyszyć, wtedy ja się ofiarowałem.

— A ci nędznicy napadli na was i strzelali do księdza.

— Panowie — rzekł ranny, rozglądając się dokoła — ja bardzo cierpię, a jednak pragnąłbym być przeniesiony do jakiego domu.

— Gdzie możnaby pana leczyć — rzekł de Guiche.

— Nie, gdzie mógłbym się wypowiedać.

— Ale — rzekł Raul — może nie jesteś pan wcale tak niebezpiecznie ranny, jak sądzisz.

— Panie — odrzekł ranny — wierzaj mi, niema czasu do stracenia; kula strzaskała mi żebro i uwięzła głęboko. Znam ja się na ranach i rękę, że ta jest śmiertelną. Bądźcie, panowie, łaskawi albo mnie przenieść gdzieś, gdzie mógłbym znaleźć księdza, albo raczcie sprowadzić mi tu spowiednika, a Bóg wynagrodzi wam ten święty uczynek; ratować trzeba moją duszę, bo ciało już zgubione.

— Miałbyś pan umrzeć przez spełnienie dobrego uczynku; Bóg ci dopomoże.

— Panowie, na miłość nieba — rzekł ranny, zbierając wszystkie siły, jakby chciał powstać — nie traćmy czasu na daremne słowa; albo pomóżcie mi się dostać do bliskiej wsi, albo przysięgnijcie mi na zbawienie, że przysłecie mi tutaj pierwszego mnicha, pierwszego proboszcza, pierwszego księdza, którego napotkacie. Ale — dodał z akcentem rozpaczony — może nikt nie ośmieli się pójść, bo wiadomo, że hiszpanie plądrują okolicę, umrę więc bez rozgrzeszenia.

— Uspokój się pan — rzekł de Guiche — przysięgam ci, że będziesz miał pociechę, której żądasz. Powiedz nam tylko, gdzie jest jaki dom, w którym moglibyśmy prosić o pomoc, i wioska, dokąd moglibyśmy udać się po księdza.

— Dziękuję, niech Bóg panów wynagrodzi! O parę wiorst stąd jest oberża, a o niecałą milę od niej znajdziecie wioskę Greney. Stamtąd weźcie panowie proboszcza, a jeżeli go nie zastaniecie w domu, wejdźcie do klasztoru, stojącego na końcu osady po prawej stronie i sprowadźcie mi braciszka jakiego, byleby miał władzę przez ewangelję świętą dać rozgrzeszenie *in articulo mortis*.

— Panie d'Arminges — rzekł de Guiche — zostań tu przy nieszczęśliwym i dopilnuj, ażeby go przeniesiono jak najdelikatniej. Zróbcie nosze z gałęzi, połóżcie na nie wszystkie wasze płaszcze; dwóch lokajów go poniesie, a trzeci będzie zawsze gotów zastąpić tego, który się zmęczy. Tymczasem wicehrabia i ja poszukamy księdza.

— O! panie hrabio — rzekł nauczyciel — na imię nieba, nie narażaj się pan.

— Bądź pan spokojny. Zresztą jesteśmy na dziś ocaleni; znasz pan pewnik *non bis in idem*, dwa razy nie powtarza się jedno.

— Odwagi, panie — rzekł Raul do rannego — spełnimy pańskie życzenie.

Dwaj młodzieńcy pojechali galopem we wskazanym kierunku, gdy jednocześnie nauczyciel księcia de Guiche zarządzał układanie noszy. Po dziesięciu minutach jazdy, młodzieńcy spostrzegli oberżę. Raul, nie zsiadając, zawołał gospodarza, uprzedził go, że przyniosą do niego rannego, i prosił go, ażeby tymczasem przygotował wszystko, co mogło być potrzebne do opatrzenia ran, to jest łożko, bandażę, szarpie, a zarazem prosił go, ażeby, jeżeli zna w okolicy jakiego doktora, chirurga lub operatora, posłał po niego, a posłaniec będzie przez nich zapłacony.

Gospodarz — na widok dwóch młodych, bogato ubranych panów — obiecał uczynić wszystko, czego żądali, a nasi dwaj jeźdźcy, widząc, że przygotowania do przyjęcia rannego zostały rozpoczęte pojechali znów szybko, tym razem do Greney. Przebyli już około mili i rozróżnili już pierwsze domy wsi, których dachy, pokryte czerwonymi dachówkami, wyraźnie odbijały od zieloności otaczających je drzew, gdy ujrzeli nadjeżdżającego ku nim na mule biednego mnicha, którego wzięli za augustjanina, bo miał kapelusz szeroki i szarą suknię wełnianą.

Tym razem znaleźli, jak się zdawało, czego szukali.

Był to człowiek lat dwudziestu dwóch do dwudziestu trzech. Blady był; włosy jego krótkie, ledwie wyglądające z pod kapelusza, były blado płowe, a oczy jasno niebieskie jakby pozbawione były wszelkiego wyrazu.

— Wszak pan jesteś duchownym?... — zapytał Raul ze zwykłą sobie grzecznością.

— A po co mnie pan o to pytasz?... — rzekł nieznajomy z niewzruszonym spokojem.

— Ażeby wiedzieć!... — odrzekł hrabia de Guiche wyniośle.

Nieznajomy popędził muła i jechał dalej. De Guiche jednym skokiem znalazł się przed nim i zagroził mu drogę.

— Odpowiadaj pan — rzekł — zapytano cię grzecznie, a na każde zapytanie należy się odpowiedź.

— Wolno... zdaje mi się — rzekł — nie odpowiadając pierwszemu lepszem, komu przyjdzie ochota zapytywać.

Guiche z wielką trudnością powstrzymał gwałtowną chęć połamania kości mnichowi.

— Przedewszystkiem—wyrzekł, usiłując zapanować nad sobą — nie jesteśmy pierwszemi lepszymi osobami; mój przyjaciel jest wicehrabią de Guiche. Wreszcie pytamy pana nie dlatego, że się nam tak podoba, ale że mamy człowieka rannego, który potrzebuje pomocy kościoła. Jeżeliś pan księdzem, wzywam cię w imię ludzkości, ażebyś pojechał z nami dopomóc temu człowiekowi; jeżeli nie jesteś księdzem, to rzecz inna; ale uprzedzam cię w imię grzeczności, jakiej wcale, zdaje się nie znasz, iż ukarzę twoje zuchwalstwo.

Bładość mnicha stała się siną i uśmiechnął się tak dziwnie, że Raul, który mu się przypatrywał, uczuł, że mu się na ten uśmiech serce ściska, jakby przy doznanej zniewadze.

— To jakiś szpieg hiszpański, czy flamandzki — rzekł, kładąc rękę na kolbie pistoletu.

Spojrzenie groźne i do błyskawicy podobne odpowiedziało Raulowi.

— I cóż — podchwycił de Guiche — odpowiesz pan czy nie?

— Jestem księdzem, moi panowie — wyrzekł młodzieniec.

I twarz jego przybrała znów poprzedni spokój.

— W takim razie, mój ojczu — rzekł Raul, opuszczając pistolety w olster i nadając wyrazom akcent uszanowania, nie pochodzący wcale z serca — skoro jesteś księdzem, to, jak panu powiedział przyjaciel mój, znajdziesz pan sposobność oddać posługę, stosowną twemu stanowi; oto pewien biedak ranny podąży ku nam i ma zatrzymać się w pobliskiej oberży; błaga on o kapłana; towarzyszą mu nasi służący.

— Jadę — odrzekł mnich.

— Jeżeli nie pojedziesz pan — odrzekł de Guiche — to wiedz, iż mamy konie, zdolne dogonić twego muła, a przytem takie stosunki, że wszędzie możemy cię schwytać, a wtedy przysięgam, sprawa twoja krótko potrwa, bo wszędzie znaleźć można drzewo i postronek.

Oko mnicha znowu się zaświeciło, mimo to — pojechał.

— Jedźmy za nim — rzekł de Guiche — będzie to pewniejsze.

— Miałem właśnie to samo zaproponować — rzekł Bragelonne.

Młodzieńcy ruszyli w drogę, stosując bieg koni do biegu mnisiego muła, za którym podążali w odległości strzału pistoletowego.

W pięć minut później mnich odwrócił się, ażeby zobaczyć, czy jest śledzony.

— Widzi pan — rzekł Raul — żeśmy dobrze uczynili.

— Szkaradną ma gębę ten mnich!... — odezwał się troskliwie de Guiche.

— Szkaradną — odpowiedział Raul, ze szczególną miłą — te włosy żółte, te oczy blade i usta, które nikną, gdy wymawia choćby jedno słowo...

— Tak, tak — podchwycił de Guiche. Tak, szczególna jakaś figura.

— No! — rzekł Raul — ale nasz biedak będzie miał księdza, chociaż, na Boga, penitent zdaje się posiadać lepsze sumienie, niż sam spowiednik. Co do mnie, przyzwyczajony jestem do widoku innych ludzi.

— O!... — rzekł de Guiche — to musi być jeden z tych wędrownych braciszków, którzy włóczą się po drogach, żebrząc, dopóki im nie spadnie z nieba pensja; są to przeważnie cudzoziemcy, Szkoci, Irlandczycy, Duńczycy. Pokazywano mi już takich.

— Takich brzydkich?

— Nie... ale pod względem charakteru obmierzłych.

— Jaka to szkoda, że nasz ranny dostanie się w takie ręce.

— E!... — rzekł de Guiche — rozgrzeszenie pochodzi nie od tego, który je daje, ale od Boga. Jednakże wiesz, co ci powiem? ja wolałbym umrzeć bez spowiedzi, niż mieć takiego spowiednika. Wszak jesteś mojego zdania, wicehrabio? widziałem, jakieś trzymał już kolbę pistoletu tak, jakbyś chciał mu palnąć w łeb.

— Tak, hrabio, dziwna rzecz... doznałem wobec tego człowieka uczucia nieprzewyciężonego wstrętu... Czyś nie napotkał czasem żmii na drodze?

— Nigdy — rzekł de Guiche.

— Otóż mnie się zdarzyło w lasach Blairois, i przypominam sobie, że na widok żmii, gdy spojrzała na mnie

mglistemi oczyma zwinęta w kłębek, potrząsając łbem i wysuwając język, stanąłem nieruchomo, blady i jakby zaczarowany, dopóki hrabia de la Fère...

— Ojciec pański?... — zapytał de Guiche.

— Nie, mój opiekun — odpowiedział Raul, rumieniąc się.

— Więc...

— Dopóki — podchwycił Raul — hrabia de la Fère nie powiedział mi: „No, Bragelonne, skończ z nią“. Wtedy podbiegłem do płazu i przeciąłem go na dwoje, w chwili, gdy wspinał się, sycząc, ażeby się na mnie rzucić. Otóż przysięgam panu, że doznałem właśnie takiego samego uczucia na widok tego człowieka, kiedy powiedział: „Dlaczego mnie, panowie, o to pytacie?“ i kiedy na mnie spojrział.

— Więc wyrzucasz pan sobie, żeś go nie rozplątał na dwoje, jak ową zmiję?

— Na honor, tak... prawie — odrzekł Raul.

W tejże chwili dojechali już prawie do oberży i zobaczyli z drugiej strony nadciągający orszak z rannym, prowadzony przez pana d'Arminges. Młodzieńcy spięli konie swe ostrogami.

— Oto ranny!... — rzekł de Guiche, mijając braciszka augustjanina — bądź łaskaw pośpieszyć się trochę, panie mnichu.

Podążyli na spotkanie rannego i oznajmili mu dobrą nowinę. Ranny podniósł się, zobaczył zbliżającego się mnicha i osunął się na nosze z twarzą, rozjaśnioną promieniem radości.

— Teraz — rzekli młodzieńcy — uczyniliśmy dla pana wszystko, cośmy mogli, a ponieważ pilno nam połączyć się z armją księcia pana, musimy w dalszą udać się drogę; wybacysz nam pan, nieprawdaz? Mówią, że będzie bitwa, a nie chcielibyśmy się na nią spóźnić.

— Jedźcie, moi młodzi panowie — odrzekł ranny — i niech was Bóg błogosławi za waszą litość; rzeczywiście, jakieście powiedzieli, uczyniliście dla mnie wszystko, coście mogli, ja zaś mogę wam tylko powiedzieć: Niech was Bóg strzeże i tych wszystkich, którzy wam są drodzy!

— Panie — odezwał się de Guiche do swego nauczyciela — pojedziemy naprzód, a pan spotka się z nami na drodze do Cambrin.

Gospodarz stał we drzwiach; przygotował już wszystko, łożko, bandażę, szarpie, a parobek poszedł sprowadzić doktora z Lens, to jest z najbliższego miasta.

— Dobrze — zapewniał oberżysta — zrobi się, jak panowie sobie życzą, ale czyż się pan nie zatrzyma, ażeby opatrzyć swą ranę?... — zapytał, zwracając się do Bragelonna.

— O! moja rana to bagatela — odrzekł wicehrabia — dość jeszcze będzie czasu zająć się nią na następnym popasie; tylko jeżeli będzie tu przejeżdżał pewien jeździec i zapyta o młodego pana na koniu alezjańskim, powiedz mu pan z łaski swej, żeś mnie widział i że pojechałem dalej, mając zamiar zjeść obiad w Mazingarde, a prześpać się w Cambrin. Ten jeździec będzie to mój służący. nazywam się wicehrabia de Bragelonne, a on Grimaud.

— Panie mnichu — rzekł de Guiche — wypowiadaj dobrze tego człowieka i nie troszcz się o wydatki za siebie i muła; wszystko już zapłacone.

— Dziękuję panu — odrzekł mnich z uśmiechem, który wstrząsnął Bragelonna do głębi.

— Chodź, hrabio — rzekł Raul, który jakby instynktownie nie mógł znieść obecności mnicha — chodź tutaj, jakoś mi niedobrze.

W tejże chwili dwaj lokaje wchodzili z noszami do oberży. Gospodarz i jego żona, która nadbiegła, stali na stopniach schodów. Nieszczęśliwy ranny zdawał się cierpieć straszne męczarnie, a jednak zajęty był tylko myślą, czy mnich idzie za nim.

Na widok tego człowieka bladego i zakrwawionego — żona schwyciła gwałtownie męża za ramię.

— A to co?... — zapytał tenże. — Czy ci się zrobiło niedobrze?

— Nie, ale patrz — odrzekła gospodyni, pokazując mężowi rannego.

— A tak!... — odpowiedział tenże — zdaje się, że bardzo chory.

— Nie o tem chcę mówić — ciągnęła dalej kobieta, cała drżąca — pytam ci się, czy go nie poznajesz.

— Tego człowieka?... Poczekaj...

— A! widzę, że go poznajesz — rzekła żona — bo i ty zbladłeś.

— Tak! tak!... — wykrzyknął gospodarz. — Biada memu domowi! to dawny kat z Béthune.

— Dawny kat z Béthune!... — wyszeptał młody mnich, zatrzymując się nagle i nie tając zgoła wstępu, jaki obudził w nim penitent.

Pan d'Arminges, stojący przy drzwiach spostrzegł jego wahanie.

— Panie mnichu — wyrzekł — pomimo że ten człowiek jest, lub był katem, to niemniej jest człowiekiem; oddaj mu tę ostatnią posługę, jakiej od ciebie żąda, a uczynek twój tem godniejszy będzie pochwałą.

Mnich, nie odpowiedział nic, poszedł w milczeniu do niskiej izby, gdzie lokaje złożyli umierającego na łożku. Widząc sługę bożego, zbliżającego się do łoża, lokaje wyszli, zamknawszy drzwi i zostawiając mnicha razem z konającym. D'Arminges i Olivan już na nich czekali i wszyscy czterej ruszyli kłusem, podążając tą drogą, na której skręcie znikli już Raul i jego towarzysze.

W chwili gdy nauczyciel i jego eskorta znikali również, nowy podróżny zatrzymał się na progu oberży.

— Czego pan sobie życzy?... — zapytał gospodarz, jeszcze blade i drżący po odkryciu, jakie uczynił.

Podróżny pokazał ręką, że chce pić, a zsiadłszy na ziemię, wskazał konia i potarł go ręką.

— O! do diabła!... — rzekł do siebie gospodarz — to widocznie jakiś niemy.

— A gdzie pan chce pić?... — zapytał.

— Tu — wyrzekł podróżny, wskazując stół.

— Omyliłem się — pomyślał gospodarz — on nie jest jednak całkiem niemy.

Przyniósł butelkę wina i biszkopty i postawił je przed swym milczącym gościem.

— Czy panu czego więcej nie potrzeba?... — zapytał.

— I owszem — odrzekł podróżny, — chciałbym dowiedzieć się, czy pan nie widział przejeżdżającego tędy młodego szlachcica piętnastoletniego, na koniu alezjańskim, wraz z lokajem.

— Wicehrabiego de Bragelonne?... — rzekł gospodarz.

— Właśnie.

— Więc to pan jest panem Grimaud?

Podróżny skinął twierdząco.

— Tak — podchwycił gospodarz — pański młody pan

był tutaj przed niespełna kwadransem; zamierza on jeść obiad w Mazingarde, a przenocuje w Cambrin.

— Jak daleko stąd do Mazingarde?

— Dwie mile.

— Dziękuję.

Grimaud, upewniwszy się, że spotka się ze swym młodym panem przed schyłkiem dnia, wydał się spokojniejszy, otarł sobie czoło i nalał kieliszek wina, które wypił w milczeniu. Postawił kieliszek na stole i miał znowu go napełnić, kiedy krzyk straszny rozległ się z pokoju, gdzie się znajdowali mnich i umierający.

Grimaud powstał.

— Co to jest — rzekł — skąd ten krzyk?...

— Z pokoju rannego — rzekł gospodarz.

— Cóż to za ranny?... — zapytał Grimaud.

— Dawny kat z Béthune, którego na śmierć poranili żołnierze hiszpańscy; przywieziono go tutaj i spowiada się teraz przed braciszkiem augustjaninem; musi widać bardzo cierpieć.

— Dawny kat z Béthune — wyszeptał Grimaud, zbierając wspomnienia. — Mężczyzna lat pięćdziesięciu pięciu, czy sześćdziesięciu, niski, silny, ogorzały, z włosami i brodą ciemną?...

— Tak, tylko broda już posiwiała, a włosy całkiem zbieleły. Czy go pan zna?... — zapytał gospodarz.

— Widziałem go raz — rzekł Grimaud, a czoło mu się zasepiło na widok, przedstawiający mu się w wyobraźni.

Oberżystka nadbiegła drżąca.

— Słyszałeś?... — zapytała męża.

— Słyszałem — odpowiedział gospodarz, spoglądając niespokojnie w stronę drzwi.

W tejże chwili krzyk, mniej głośny od pierwszego, ale połączony z długim i przeciągłym jękiem rozległ się znowu. Wszyscy troje spojrzeli po sobie.

— Trzeba zobaczyć, co to jest — rzekł Grimaud.

— Tam jakby kogo zabijano — szepnęła gospodarz.

— Jezu Chryste!... — wyrzekła żona, żegnając się.

Wiadomo, że Grimaud mało mówił, ale dużo robił. Rzucił się ku drzwiom i wstrząsnął niemi silnie, ale zamknięte były na zasuwki z wewnątrz.

— Otworzyć!... — zawołał gospodarz — panie mnichu!... otwórz, panie mnichu!... otwórz natychmiast!...

Nikt nie odpowiedział.

— Otworzyć!... albo drzwi wyłamiemy!...

Znow cisza. — Grimaud rzucił okiem dokoła i spostrzegł drąg żelazny, który przypadkiem stał w kącie; rzucił się na niego i zanim gospodarz zdołał sprzeciwić się planowi, już drzwi wyważył.

Pokój zalany był krwią, ciekącą przez materac. Ranny nie mówił nic, tylko rzęził. Mnich uciekł.

— Mnich!... — krzyknął gospodarz — gdzie jest mnich?...

Grimaud podbiegł do otwartego okna, które wychodziło na podwórze.

— Uciekł tędy!... — zawołał.

— Tak pan sądzisz?... — zapytał gospodarz przerażony — chłopcze, zobacz-no, czy muł mnicha jest w stajni.

— Niema go!... — zawołał ten, do którego zwrócony był rozkaz.

Grimaud zbliżył się do rannego, patrząc na te rysy ostre i wyraziste, które mu przywodziły na pamięć wspomnienie tak straszliwe. Po chwili posepnego przyglądania się w milczeniu, wyrzekł:

— Tak, to on...

— Czy żyje jeszcze?... — zapytał gospodarz.

Grimaud, nie nie odpowiedziawszy, odpiął mu surduty, ażeby zbadać serce, gdy oberżysta także przystąpił, lecz nagle obaj cofnęli się, przerażeni.

W lewej piersi kata zatopiony był sztylet po samą rękkojęść.

— Biegnij pan po pomoc!... — rzekł Grimaud — ja zostanę przy nim.

ROZDZIAŁ XXXV

ROZGRZESZENIE

Widzieliśmy, że mnich — wcale nie z własnej woli, lecz przeciwnie, pod przymusem — towarzyszył rannemu, który został mu polecony w tak szczególny sposób; może nawet postarałby się uciec, gdyby to było możliwe, ale pogroźki dwóch młodych szlachciców, świta, która pozostała i zapewne otrzymała wskazówki, a wreszcie może nawet sama rozważa — zniewoliły mnicha do grania, jakby z dobrej woli aż do końca roli spowiednika. To też wszedłszy już do pokoju, przystąpił wprost do łoża rannego.

Kat spojrzeniem bystrem, właściwem tym, którzy mają umrzeć, a więc liczą się z każdą chwilą, przyjrzał się twarzy tego, co stać się miał jego pocieszycielem; poruszył się ze zdumienia i rzekł:

— Bardzo młody jesteś, mój ojczy.

— Ludzie, którzy noszą mą sukienkę, nie mają wcale wieku — odpowiedział mnich oschle.

— O! mów do mnie łagodniej, mój ojczy — rzekł ranny — potrzebuję przyjaciela w tych ostatnich moich chwilach.

— Cierpisz bardzo?... — zapytał mnich.

— Tak, ale dusza więcej cierpi, niż ciało.

— Ocalimy twą duszę — wyrzekł młodzieniec — ale czy rzeczywiście jesteś katem z Béthune, jak mi mówili tu ludzie.

— To jest — żywo podchwycił ranny, bojąc się zapewne, ażeby nazwa kata nie pozbawiła go ostatniej pomocy, o jaką prosił — to jest... byłem nim, ale już nie jestem. Przed piętnastu laty usunąłem się od tych obo-

wiązków. Bywam jeszcze obecny przy egzekucjach, ale sam ich nie wykonywam, o nie!...

— Więc się brzydzisz swym stanem?

Kat westchnął głęboko.

— Dopóki zabijałem ludzi w imieniu prawa i sprawiedliwości, — rzekł — mój stan pozwalał mi sypiać spokojnie, pod opieką sprawiedliwości i prawa, ale od tej pory okropnej, kiedy posłużyłem za narzędzie zemście prywatnej, kiedy podniosłem miecz z nienawiści dla stworzenia bożego; od tego dnia...

Kat zamilkł, potrząsając głową z wyrazem rozpaczny.

— Mów — wynzekł mnich, który usiadł przy łóżku rannego i z ciekawością już zaczynał się przysłuchiwać widocznie zajmującemu go opowiadaniu.

— O!... — wykrzyknął umierający z uniesieniem bóleści, oddławna powstrzymywanej, która wreszcie wybuchła — a przecież starałem się zagłuszyć te wyrzuty sumienia dobrymi uczynkami przez lat dwadzieścia; pozbyłem się okrucieństwa, właściwego ludziom, przelewającym krew; przy każdej sposobności życie swe narażałem dla ocalenia życia tych, którzy znajdowali się w niebezpieczeństwie, i zachowałem na świecie sporo istot, wzamian tej, którą zgładziłem ze świata. Nie dość na tem; pieniądze, zebrane na mej posiadzie, rozdałem ubogim, bywałem stale w kościele, a ludzie, którzy naprzód uciekali przede mną, przyzwyczajali się do mnie. Wszyscy mi przebaczyli, byli nawet tacy, co mnie polubili, ale zdaje mi się, że Bóg mi nie przebaczył, bo wspomnienie tej egzekucji ściga mnie bezustanku, bo co noc zdaje mi się, że widzę przed sobą widmo tej kobiety.

— Kobiety?... Więc zamordowałaś kobietę?

— I ty także, mój ojczel!... — zawołał kat — i ty także używasz słowa, jakie huczy mi w uszach; zamordowałaś!... Więc ja zamordowałem, nie zaś egzekucji dokonałem; jestem więc mordercą, nie zaś sługą sprawiedliwości!

I zamknął oczy, wydając jęki. Mnich bał się widocznie, ażeby nie umarł, nie powiedziałwszy nic więcej, bo żywo podchwycił:

— Mów pan dalej, ja nic nie wiem... nic, dopiero kiedy skończysz opowiadanie, Bóg i ja cię osądzimy.

— O! mój ojczel!... — mówił dalej kat, nie otwierając

oczu, jak gdyby lękał się, otworzywszy je, zobaczyć jakiś przedmiot przerażający — szczególnie, gdy podczas nocy przepływam się przez rzekę, trwoga ta nieprzecieżona podwaja się we mnie; zdaje mi się wtedy, że ręka moja drętwieje, jak gdyby w niej ciążył mój miecz, że woda nabiera koloru krwi i że wszystkie głosy w przyrodzie, szelest drzew, szmer wiatru, plusk fali łączą się razem, tworząc głos płaczący, rozpaczający, straszny, który do mnie woła: „Niech się dzieje sprawiedliwość Boska!“.

— Maligna!... — wyszeptał mnich potrząsając głową.

Kat otworzył oczy, z wysiłkiem obrócił się w stronę młodzieńca i pochwycił go za ramię.

— Maligna!... — powtórzył — powiadasz, ojcze, że to maligna! O! nie, bo wrzuciłem jej ciało do rzeki, bo słowa te, które mi powtarzają wyrzuty sumienia, są to te same słowa, które wyrzekłem w swej dumie; ja wówczas sądziłem, że, będąc zawsze narzędziem sprawiedliwości tylko ludzkiej, stałem się narzędziem sprawiedliwości bożej!

— Ale jakże się to stało? powiedz!... — rzekł mnich.

— Pewnego wieczoru przyszedł po mnie jakiś człowiek i pokazał mi rozkaz. Wzięli mnie z sobą zamaskowanego. Postanowiłem w każdym razie oprzeć się, gdyby posługa, której ode mnie zażądają, wydała mi się nie sprawiedliwa. Przejechaliśmy cztery czy pięć mil posępnie milczący, nie zamieniwszy z sobą prawie ani słowa; narazie przez okno małej chaty pokazali mi jakąś kobietę, podpartą łokciem na stole, i rzekli do mnie:

— Na tej wykonasz egzekucję!

— O! zgrozo!... — wyrzekł mnich. — I ty byłeś posłuszny!

— Mój ojcze, ta kobieta była potworem; mówiono, że otruła drugiego męża, usiłowała zamordować swego szwagra, który znajdował się pomiędzy tymi ludźmi; otruła tylko co młodą kobietę, która była jej rywalką, a w Anglii kazała, jak mówiono, zasztyletować ulubieńca królewskiego.

— Buckinghamu?... — zawołał mnich.

— Tak, Buckinghamu.

— Więc ta kobieta była Angielką?

— Nie, była Francuską, tylko wyszła za mąż w Anglii.

Mnich zbladł, otarł pot i poszedł zamknąć drzwi na zasuwkę. Kat sądził, że go opuszcza, i opadł na łóżko, jęcząc.

— Nie, nie, oto jestem!... — podchwycił mnich żywo, powracając do niego — mów dalej, co to byli za ludzie?...

— Jeden z nich był cudzoziemcem, zdaje się, że Anglikiem. Czterej inni byli Francuzami i nosili strój muszkietierów.

— Jak się nazywali?... — zapytał mnich.

— Nie znałem ich. Ci czterej nazywali Anglika mi-lordem.

— A czy ta kobieta była ładna?

— Młoda i ładna! o, tak! szczególnie piękna! Widzę ją jeszcze, jak u nóg moich błagała z głową, w tył pochyloną. Później nigdy nie mogłem pojąć, jak ściałem tę głowę tak piękną, tak bladą...

— Jak się nazywała ta kobieta?... — zapytał.

— Nie wiem. Jak powiedziałem ojcu, dwa razy była zamężna, a, jak się zdaje, raz we Francji, drugi raz w Anglii.

— Powiadasz, że była młoda.

— Miała dwadzieścia pięć lat.

— Piękna?

— Do zachwytu.

— Blondynka?

— Tak.

— Z dużemi włosami, nieprawdaz, spadającemi, aż na ramiona?

— Tak.

— Z oczyma o zachwycającem spojrzeniu?

— Kiedy chciała... o! tak! zupełnie tak.

— Z głosem dziwnie słodkim?

— Skąd wiesz o tem, ojcze?

Kat wsparł się na łóżku i utkwiał pełen przerażenia wzrok w mnichu, który pobladł.

— I ty ją zabiłeś!... — rzekł mnich — za narzędzie służyłeś nikczemnym, którzy nie śmieli jej zabić!... li-tości nie miałeś nad tą młodością, nad tą pięknnością!... nad tą słabością!... i ty, ty kobietę zabiłeś!...

— Niestety!... — podchwycił kat — jużem ci to, oj-cze, powiedział, ale ta kobieta, pod temi pozory aniel-skimi, ukrywała umysł szatański, i kiedy ją poznałem,

kiedy przypomniałem sobie wszystko to złe, jakie wyrządziła i mnie samemu...

— Tobie!... A cóż ona mogła zrobić tobie?...

— Zbałamuciła i zgubiła mego brata, który był księdzem; uciekła z nim ze swego klasztoru.

— Z twym bratem?...

— Tak... Brat mój był pierwszym jej kochankiem; ona też była przyczyną jego śmierci. O!... mój ojciec, miej litość!... nie patrz tak na mnie!... A!... więc jestem takim grzesznikiem!... O!... więc mi nie przebacysz?...

Mnich zmienił wyraz twarzy

— I owszem — rzekł — przebaczę ci, jeżeli mi powiesz wszystko.

— O!... — zawołał kat — wszystko!... wszystko!... wszystko!...

— To odpowiadaj... Jeżeli zbałamuciła twego brata... Powiedziałeś, że go zbałamuciła, nieprawdaż?...

— Tak.

— Jeżeli przyczyniła się do jego śmierci... Powiedziałeś, że się przyczyniła do jego śmierci?...

— Tak — powtórzył kat.

— W takim razie nazwisko tej młodej kobiety musi ci być wiadome.

— O!... mój Boże!... — rzekł kat — mój Boże!... zdaje mi się, że już umieram. Rozgrzeszenia, mój ojciec!... rozgrzeszenia!...

— Powiedz mi jej nazwisko!... — zawołał mnich — a dam ci rozgrzeszenie.

— Nazywała się... mój Boże!... ulituj się nade mną!... — wyszeptał kat i upadł na łóżko blady, drżący, podobny do człowieka umierającego.

— Nazwisko jej!... — powtórzył mnich, nachylając się nad nim, jak gdyby chciał wyrwać mu to nazwisko niewyrzeczone — nazwisko jej!... nazwisko!... albo nic z rozgrzeszenia!...

— Anna de Bueil — wyszeptał ranny.

— Anna de Bueil!... — zawołał mnich, wyprostowując się i podnosząc obie ręce ku niebu.

— Tak... tak się nazywała... a teraz daj mi rozgrzeszenie, bo umieram...

— Ja rozgrzeszyć cię mam?... — zawołał ksiądz ze śmiechem, na który włosy powstały na głowie konającej

mu — ja mam cię rozgrzeszyć?... ja nie jestem księdzem.

— Nie jesteś księdzem?... — wykrzyknął kat — więc kimże jesteś?...

— Zaraz ci powiem, nędzniku!...

— O!... Boże!... mój Boże!...

— Jestem John Franciszek de Winter!... a ta kobieta...

— Ta kobieta?...

— To była moja matka!...

Kat wydał pierwszy okrzyk, ten okrzyk straszny, który usłyszano najpierw.

— O!... przebacz mi, przebacz, — wyszeptał — jeżeli nie w imieniu Boga, to przynajmniej w imieniu swoim; jeżeli nie jako kapłan, to jako syn!...

— Mam ci przebaczyć!... — zawołał fałszywy mnich — przebaczyć ci?... Bóg może ci przebaczyć, ale ja nigdy!...

— Przez litość!... — rzekł kat, wyciągając ręce ku niemu.

— Nie mam litości dla tego, kto nie miał litości!... umieraj bez rozgrzeszenia, umieraj w rozpacz, umieraj i bądź przeklęty!...

I, wciągnąwszy z pod sukni sztylet, zatopił w jego piersiach.

— Oto rozgrzeszenie twoje!... — wyrzekł.

Wówczas to usłyszano ten drugi krzyk, słabszy od pierwszego, a połączony z przeciągłym iękiem.

Kat, który się podniósł na łóżku, upadł całym ciałem.

Mnich zaś, pozostawiając sztylet w ranie, podbiegł do okna, otworzył je, wyskoczył na kwiaty w małym ogródku, wślizgnął się do stajni, wziął muła i wymknął się tylnymi drzwiami, dopadł do pobliskiego lasku; tu zrzucił suknie mnisie, wyjął z kufierka kompletne ubranie cywilne, przebrał się, pieszo dostał się na pierwszą stację pocztową; — tu najął konie i popędził do Paryża.

ROZDZIAŁ XXXVI

GRIMAUD MÓWI

Grimaud pozostał przy kacie; gospodarz pobiegł po pomoc; oberżystka modliła się. Po chwili ranny otworzył oczy.

— Ratunku!... — szeptał — ratunku!... O, mój Boże!... mój Boże!... czyż nie znajdę przyjaciela na świecie, który dopomoże mi żyć, albo umrzeć?...

I z wysiłkiem podniósł rękę do piersi; ręka napotkała rękojęść sztyletu.

— O!... — rzekł, jakby przypominając sobie.

I opuścił rękę.

— Odwagi — wyrzekł Grimaud — już poszli po ratunek.

— Kto pan jesteś?... — zapytał ranny, wlepiając w Grimauda nadmiernie rozszerzone źrenice.

— Dawny znajomy — odrzekł Grimaud.

— Pan?...

Ranny usiłował przypomnieć sobie twarz tego, który do niego mówił.

— W jakich okolicznościach spotkaliśmy się?... — zapytał.

— Przed dwudziestu laty, w nocy. Pan mój zabrał cię w Béthune i zawiózł do Armentières.

— O!... teraz poznaję pana — zawołał kat — jesteś jednym z czterech lokajów.

— Tak.

— Skąd się pan tutaj wziąłeś?...

— Przejeżdżałem tędy; zatrzymałem się w tej oberży, ażeby dać koniom wytchnąć. Opowiadano mi, że kat z Béthune leży tu ranny, gdy wtem krzyknąłeś pan dwukrotnie.

Na pierwszy krzyk pośpieszyliśmy, na drugi wyważyliśmy drzwi.

— A mnich?... — rzekł kat — czyście widzieli mnicha?...

— Jaki mnich?...

— Mnich, który się zamknął ze mną.

— Nie, jego tu już nie było; zdaje się, że uciekł oknem.

Czy to on cię ugodził?...

— Tak — odrzekł kat.

Grimaud poruszył się, ażeby wyjść.

— Co pan chcesz uczynić?... — zapytał ranny.

— Trzeba go ścigać.

— Nie czyn pan tego!...

— Czemuż to?...

— Zemścił się... i dobrze zrobił. Teraz spodziewam się, że mi Bóg przebaczy, bo już mnie spotkała kara.

— Wytłumacz się pan — rzekł Grimaud.

— Ta kobieta, którą panowie wasi i wy kazaliście mi zabić...

— Cóż ma wspólnego mnich z milady?

— To była jego matka...

Girmaud zachwiał się i spojrział na umierającego okiem błędnem i jakby osłupiałem.

— Jego matka?... — powtórzył.

— Więc tajemnica ta jest mu znana?...

— Miałem go za mnicha!... wyjawilem mu ją na spowiedzi.

— Nieszczęśliwy!... — zawołał Grimaud — któremu czoło się spociło, gdy pomyślał, jakie następstwa mieć może takie odkrycie — nieszczęśliwy!... spodziewam się, że nie wymienięś nikogo?...

— Nie powiedziałem niczyjego nazwiska, bo żadnego nie znam; powiedziałem tylko, jak z domu nazywała się jego matka i po tem nazwisku ją poznał; ale wie, że stryj jego znajdował się wśród sędziów.

I upadł wyczerpany. Grimaud chciał mu nieść pomoc i rękę zbliżył do rękoności sztyletu.

— Nie dotykaj mnie pan — rzekł kat — gdyby wydość ten sztylet, zarazbym umarł.

Grimaud pozostał z wyciągniętą ręką; potem nagle, uderzając się pięścią w czoło, zawołał:

— O!... ale jeśli ten człowiek dowie się, kim byli inni, mój pan wtedy zgubiony.

— Śpiesz się, pan, śpiesz się — zawołał kat — uprzedź go, jeżeli żyje jeszcze, uprzedź jego przyjaciół; śmierć moja, wierzaj mi pan, nie jest jeszcze rozwiązaniem tej strasznej historii.

— Dokąd on jechał?... — zapytał Grimaud.

— W stronę Paryża.

— A kto go zatrzymał?...

— Dwóch szlachciców, udających się do armji, z których jeden nazywa się wicehrabia de Bragelonne.

— I to ten młodzieniec przyprowadził panu mnicha?...

— Tak.

Grimaud podniósł oczy ku niebu.

— Więc to wola boża! — wyrzekł.

— Bezwątpienia — odrzekł ranny.

Grimaud wahał się między litością, jaka mu zabraniała opuścić tego człowieka bez pomocy, a obawą, która mu nakazywała jechać natychmiast i zawieźć ostrzeżenie hrabiemu de la Fère, gdy nagle usłyszał szmer na korytarzu; niebawem wszedł oberżysta z chirurgiem, którego znaleziono nareszcie. Lekarz zbliżył się do chorego, który jakby zemdlął.

— Trzeba najpierw wyjąć żelazo z piersi — rzekł.

Grimaud przypomniał sobie przepowiednię, jaką uczynił ranny, i odwrócił oczy.

Żelazo, jak powiedzieliśmy, wepchnięte było po samą rękojęść. Chirurg odsunął ubranie, rozdarł koszulę, obnażył piersi i ujął za rękojęść sztyletu. W miarę, jak go wyciągał, ranny otwierał oczy, patrząc przeraźliwie...

Kiedy klinga wyszła już całkiem z rany, piana czerwona wystąpiła na usta rannego, potem, gdy odetchnął, fala krwi trysnęła z rany; umierający wlepił wzrok w Grimauda ze szczególnem spojrzeniem, wydał jęk stłumiony i natychmiast wyzionął ducha. Wtedy Grimaud podniósł sztylet, zalany krwią, który wszystkich przejmował wstrętem, skinął na oberżystę, ażeby za nim poszedł, zapłacił mu z hojnością, godną jego pana i dosiadł konia.

Grimaud zamierzał z początku powrócić do Paryża, ale zastanowił się nad tem, jak bardzo zaniepokoiłby Raula swą przedłużającą się nieobecnością; przypomniał sobie, że Raul znajduje się zaledwie o milę i że w pół godzi-

ny może być już przy nim, — puścił więc konia galopem i w kwadrans zatrzymał się przed *Mulnikiem ukoronowanym*, przed oberżą w Mazingarde.

Raul siedział przy stole z hrabią de Guiche i jego nauczycielem, ale posępna przygoda jaka ich spotkała zrana, pozostawiła na czołach młodzieńców smutek, którego nie zdołała rozproszyć wesołość pana d'Arminges, bardziej filozoficznie patrzącego na rzeczy, jako przywykłego w życiu do różnych wypadków. Nagle drzwi się otworzyły i stanął w nich Grimaud, blady, zakurzony i pokryty jeszcze krwią nieszczęśliwego rannego.

— Grimaud! pocziwy mój Grimaud! — zawołał Raul — jesteś nareszcie! Wybaczcie, panowie, to nie służący, to przyjaciel.

I, powstawszy, podbiegł do niego.

— Jakże się miewa pan hrabia? — ciągnął dalej — czy żałuje mnie choć trochę? Czyś się z nim widział po rozstaniu się naszym? — Mów, bo ja także mam ci do powiedzenia dużo rzeczy. Tak, od trzech dni mieliśmy wiele przygód, ale co to?... jakiś ty blady! Krew na tobie! skądże ta krew?

— Rzeczywiście i ja widzę krew — rzekł hrabia, powstając. — Czyś ranny, mój przyjacielu?

— Nie, panie — odrzekł Grimaud — to nie moja krew.

— A czyja? — zapytał Raul.

— To krew tego nieszczęśliwego, którego zostawiliście w oberży; umarł on mi na rękę.

— Na rękę umarł ci ten człowiek, a wiesz, kto to był?

— Wiem — rzekł Grimaud.

— To był dawny kat w Béthune.

— Wiem.

— I ty go znałeś?

— Znałem.

— I umarł?

— Tak.

— Cóż chcecie, moi panowie — wtrącił d'Arminges — to prawo ogólne, — i kaci nie są od niego wyłączeni. Kiedym tylko zobaczył ranę, odrazu pomyślałem sobie, że z nim jest źle, a wiecie, że i on tak sądził, skoro prosił o mnicha.

Na wzmiankę o mnichu Grimaud zbladł.

— No, no, do stołu! — rzekł d'Arminges, który, — jak wszyscy ludzie jego epoki, zwłaszcza w jego wieku, — nie lubił wzruszeń przy jedzeniu.

— Tak, masz pan słuszność — rzekł Raul. — No, Grimaudzie, każ sobie podać jeść, rozkazuj, co chcesz, a kiedy odpoczniesz, pomówimy ze sobą.

— Nie, panowie, nie — odrzekł Girmaud — nie mogę się zatrzymać ani chwili, muszę wracać do Paryża.

— Jakto! musisz wracać do Paryża? Mylisz się chyba, przecie to Olivan ma jechać, a ty zostajesz.

— Przeciwnie, Olivan zostaje, a ja jadę. Przybyłem tu tylko, ażeby panu to oznajmić.

— Ale skądże ta zmiana?

— Nie mogę tego powiedzieć.

— Wytłumacz się!

— Nie mogę się wytłumaczyć.

— Co takiego? cóż to za żarty?

— Panu wicehrabiemu wiadomo, że ja nigdy nie żartuję.

— Tak, ale wiem również, że hrabia de la Fère polecił ci zostać przy mnie, a Olivanowi powrócić do Paryża. Ja chcę stosować się do rozkazów pana hrabiego.

— Ale nie w tych okolicznościach, proszę pana.

— Czyżbyś zamyślał przypadkiem być mi nieposłuszny?

— Tak, panie, tak trzeba.

— Więc obstajesz przy swoim?

— Tak, jadę! szczęśliwej drogi, panie wicehrrabio.

Grimaud skłonił się i zmierzał ku drzwiom, ażeby wyjść. Raul wściekły i niespokojny zarazem podbiegł doń i zatrzymał go za ramię.

— Grimaud — zawołał Raul — zostań, ja tak chcę.

— To pan chcesz — rzekł Grimaud — ażebym pozwolił zabić pana hrabiego.

Grimaud zawrócił i miał już wyjść.

— Grimaud, mój przyjacielu — rzekł wicehrabia — tak nie odejdziesz przecie, nie zostawisz mnie tak niespokojnego. Grimaud, mów, mów na imię Nieba!

I Raul, chwając się, upadł na fotel.

— Jedno tylko mogę panu powiedzieć, bo tajemnica, o którą mnie pan pyta, do mnie nie należy. Spotkał pan mnicha, nieprawdaz?

— Tak.

Obaj młodzieńcy spojrzeli po sobie ze zgrozą.

— Panowie sprowadzili go do rannego?

— Tak.

— Toście panowie mieli czas mu się przyjrzeć?

— Tak.

— I możebyście go, panowie, poznali przy spotkaniu?

— O! tak, przysięgam — rzekł Raul.

— I ja również — rzekł de Guiche.

— Otóż, jeżeli go, panowie, spotkacie — rzekł Grimaud — gdziekolwiek bądź na drodze, na ulicy, w kościele, wszędzie, gdziekolwiek go zobaczycie, zdepczcie go, zgniećcie bez litości, bez miłosierdzia, jakbyście to uczynili z węzłem, że zmiją, z padalcem; zgniećcie go, a nie odejdźcie, dopóki żyć nie przestanie. Lękać się będę o życie pięciu ludzi, póki on żyć będzie!

I, nie dodawszy ani jednego słowa, Grimaud skorzystał ze zdziwienia i z przerażenia, w jakie pogrążył tych, którzy go słuchali, i wybiegł z izby.

— I cóż, hrabio — rzekł Raul, zwracając się do Guiche'a — czyż ci nie mówiłem, że ten mnich sprawia na mnie wrażenie gada?...

W dwie minuty później usłyszano na drodze tętent galopującego konia. Raul podbiegł do okna. To Grimaud pędził w stronę Paryża. Ukłonił się wicehrabiemu, powiewając kapeluszem, i znikł wkrótce na zakręcie gościńca.

W drodze Grimaud zastanowił się nad dwiema rzeczami. Po pierwsze, że koń w takim pędzie dalej go nie zanieśie, niż ośm mil. Po drugie, że nie ma pieniędzy. Ale Grimaud posiadał wyobraźnię tem bujniejszą, im mniej mówił. Na pierwszym popasie sprzedał konia swego, a za otrzymane pieniądze najął pocztę.

ROZDZIAŁ XXXVII

W PRZEDDZIEŃ BITWY

Raul ocknął się z ponurej zadumy, gdy oberżysta, wszedł do pokoju, gdzie się odbyła opowiedziana przez nas scena, wołając:

— Hiszpanie! Hiszpanie!

Okrzyk ten był dostatecznie poważny, ażeby wszelkie myśli ustąpiły przed temi, które on wywoływał.

Młodzieńcy zapytali o kilka objaśnień i dowiedzieli się, że nieprzyjaciel posuwa się rzeczywiście przez Houdain i Béthune. Kiedy pan d'Arminges wydawał rozkazy, ażeby konie popasające gotowe były do jazdy, młodzieńcy stanęli przy oknach najwyżej położonych w domu, który panował nad okolicą, i zobaczyli istotnie liczny zastęp piechoty i konnicy, wynurzający się w stronie Lens.

Tym razem nie byli to luźni żołnierze, było to wojsko. Należało posłuchać rady pana d'Arminges, jako najlepszej, i zabrać się do odwrotu. Młodzieńcy wyszli śpiesznie z oberży. Pan d'Arminges siedział już na koniu. Oliven trzymał cugle wierzchowców dla młodzieńców, a lokaje pana de Guiche troskliwie pilnowali więźnia hiszpańskiego, wsadzonego na szkapę, umyślnie dla niego kupioną. Dla większej pewności związano mu ręce.

Mały oddział pojechał kłusem ku Cambrin, gdzie spodziewano się zastać księcia; nie było go już tam jednak, gdyż w przeddzień cofnął się, — wskutek fałszywej pogłoski o marszu nieprzyjaciela na Lys Estaire.

Rzeczywiście, — książę, wprowadzony w błąd tą wiadomością, cofnął swe wojsko z Béthune, zebrał je między Vieille Chapelle i Venthie, a sam, odbywszy przegląd wojsk na całej linii z marszałkiem de Grammont, powró-

cił i zasiadł do stołu, wypytując przybocznych oficerów o wiadomości, których zasięgnąć każdemu z nich polecił; nikt nie wiedział jednak nic pewnego. Wojsko nieprzyjacielskie znikło od czterdziestu ośmiu godzin, jakby się pod ziemię zapadło.

Nigdy zaś wojsko nieprzyjacielskie nie jest tak blisko, a zatem nigdy nie jest tak groźne, jak wtedy, gdy niknie zupełnie. Książę był więc w złym humorze i zafrasowany, wbrew zwykłemu usposobieniu, gdy wszedł oficer służbowy i oznajmił marszałkowi de Grammont, że ktoś pragnie z nim pomówić.

Książę de Grammont wzrokiem poprosił wodza naczelnego o pozwolenie i wyszedł. Książę podążył za nim oczywiście, a ponieważ spojrzenie jego pozostało utkwione we drzwi, nikt nie śmiał się odezwać, ażeby nie przerwać jego myśli.

W tej chwili rozległ się głuchy huk. Książę powstał żywo, wyciągając rękę, w stronę, skąd odgłos ten pochodził. Był to znany dlań odgłos strzału armatniego. Wszyscy powstali. W tejże chwili otworzyły się drzwi.

— Wasza książęca mość — rzekł marszałek de Grammont rozpromieniony — czy Wasza wysokość pozwoli, ażeby mój syn, hrabia de Guiche, i jego towarzysz podróży, wicehrabia de Bragelonne, podali mu wiadomości o nieprzyjacielu, którego szukamy, a którego oni znaleźli?

— Jakto, czy pozwolę?... — odrzekł żywo książę — ależ nietylko pozwalam, ale i pragnę tego. Niech wejdą!...

Marszałek popchnął obu młodzieńców, tak, że znaleźli się naprzeciw księcia.

— Mówcie, panowie — rzekł książę, kłaniając się im — mówcie najprzód, a później uczynimy zadość formom obyczajowym. Teraz najpilniejsza dla nas sprawa dowiedzieć się, gdzie się znajduje nieprzyjaciel i co robi.

Hrabiemu de Guiche wypadło zabrać głos; był on nietylko starszy wiekiem, lecz nadto przedstawiony księciu przez ojca. Zresztą znał on oddawna księcia, którego Raul widział po raz pierwszy. Opowiedział więc, co widzieli w oberży w Mazingarde.

Ludwik Burbon, książę Kondeusz, którego od czasu śmierci ojca jego, Henryka Burbona nazywano przez skrócenie i podług obyczaju ówczesnego Księciem Pa-

nem, był to młodzieniec średniego wzrostu — dwudziesto- sześćcio, dwudziestosiedmioletni zaledwie, o wzroku orlim, *agl'occhi Grifagni*, jak powiada Dante, o nosie zakrzywio- nym, o długich splotach włosów. Miał on wszystkie przy- mioty znakomitego rycerza, oko pewne, energję i bajecz- ną odwagę; był też człowiekiem eleganckim i dowcipnym.

Z pierwszych słów hrabiego de Guiche ksiązę zrozumiał wszystko. Nieprzyjaciel ciągnął ku Lens, chcąc widocznie zająć miasto i odciąć je od wojska francuskiego. Te ar- maty, których huk chwilami panował nad innemi, były to działa dużego kalibru, odpowiadające armatom hiszpań- skim i lotaryńskim. — Ale jak silne było wojsko nieprzy- jacielskie? Czy był to oddział, przeznaczony poprostu dla zajęcia uwagi i rozdwojenia sił? Czy była to już cała armja?

Na to ostatnie pytanie księcia de Guiche nie mógł dać odpowiedzi. A ksiązę pragnął przedewszystkiem na nie mieć odpowiedź stanowczą, ścisłą, dokładną. Wtedy Raul przezwyńczył naturalną nieśmiałość, jakiej doznawał wo- bec księcia, — i, zbliżywszy się, zapytał:

— Czy Wasza ksiązęca mość pozwoli mi wtrącić kilka słów, które może wybawią go z kłopotu?

Ksiązę obrócił się i jakby jednym spojrzeniem objął ca- łego młodzieńca, uśmiechnął się, poznając w nim piętna- stoletnie zaledwie dziecko.

— I owszem, mów pan — rzekł, łagodząc ostry głos, jak gdyby przemawiał do kobiety.

— Wasza wysokość — odpowiedział Raul, rumieniać się — mógłby wybadać więźnia hiszpańskiego.

— Macie jeńca hiszpańskiego?... — zawołał ksiązę.

— Tak, Wasza ksiązęca mości!

— A! prawda — podchwycił de Guiche — zapomnia- tem.

— Nic dziwnego, pan sam go wzięteś do niewoli — rzekł Raul z uśmiechem.

Stary marszałek zwrócił się do wicehrabiego, wdzięcz- ny za tę pochwałę dla syna, a ksiązę zawołał:

— Ten młodzieniec ma słusność, niech przyprowadzą jeńca.

Tymczasem ksiązę wziął de Guiche'a na stronę i wypy- tywał go, w jaki sposób jeńiec wzięty został do niewoli, a zarazem zapytał go o młodego towarzysza podróży.

— Panie — rzekł książę, podchodząc następnie do Raula — wiem, że masz list od siostry mojej, pani de Longueville, ale widzę, że wolałeś sam mi się przedstawić, dając dobrą radę.

— Wasza książęca mość — rzekł Raul, rumieniąc się — nie chciałem Waszej wysokości przerywać rozmowy tak ważnej, jaką wszczął z panem hrabią. Ale oto list.

— Dobrze — odrzekł książę — dasz mi go pan później. Teraz, pomyślmy o najpilniejszej rzeczy.

Przyprowadzono żołnierza. Był to jeden z tych żołdaków wędrownych, którzy każdemu sprzedawali swą krew. Książę spojrział na niego z niewystłowionem niedowierzaniem.

— Jakiej jesteś narodowości?... — zapytał książę.

Jeniec odpowiedział kilka słów w języku cudzoziemskim.

— O! o! zdaje się, że to Hiszpan. Czy mówisz, Grammont, po hiszpańsku?

— Dalibóg, Wasza wysokość, bardzo mało.

— A ja wcale nie — rzekł książę ze śmiechem — panowie — dodał, zwracając się do otaczających — czy między wami mówi kto po hiszpańsku i zechce mi służyć za tłumacza?

— Ja, Wasza wysokość — rzekł Raul.

— A! mówisz pan po hiszpańsku?

— O tyle przynajmniej, że, jak sądzę, będę mógł w danym razie spełnić rozkazy Waszej wysokości.

— Jego wysokość pyta cię, jakiej jesteś narodowości — odezwał się młodzieniec, jak najczyściej po bastylsku.

— *Ich bin ein Deutscher* — odpowiedział jeniec.

— Co on, u diabła mówi?... — zapytał książę — i cóż to znowu za szwargot?

— Powiada, że jest Niemcem, Wasza wysokość — podchwycił Raul — jednakże bardzo wątpię, bo akcent niemiecki ma zły i wymowę wadliwą.

— Więc pan mówisz także i po niemiecku?... — zapytał książę.

— Tak, Wasza wysokość — odpowiedział Raul.

— Tak, że możesz go pan wypytywać w tym języku?

— Tak, Wasza wysokość.

— To go pan wpytaj.

Raul rozpoczął badanie, a fakty poparły jego domysł.

Jeniec nie rozumiał, czy też udawał, że nie rozumie tego, co mówił Raul, a Raul ledwie zrozumieć mógł jego odpowiedzi w języku flamandzkim, pomieszonym z narzeczem alzackiem. Jednakże wśród tych wszystkich usiłowań jeńca, chcącego uniknąć formalnego badania, Raul rozróżnił naturalne dźwięki i odkrył narodowość tego człowieka.

— Non siete spagnuolo (nie jesteś hiszpanem) — rzekł — non siete tedesco (nie jesteś Niemcem), — siete italiano (jesteś Włochem).

Jeniec poruszył się i przygryzł usta.

— A! to rozumię już wybornie — rzekł książę Kondusz — a ponieważ jest Włochem, to sam go wybadam.

— Dziękuję ci, wicehrabio — mówił dalej książę ze śmiechem — mianuję cię odtąd moim tłumaczem.

Lecz jeniec nie kwapił się odpowiadać po włosku tak samo, jak i w innych językach; chciał on przedewszystkiem wymigać się od odpowiedzi. Nie wiedział więc o niczem, ani o liczbie nieprzyjaciela, ani, kto nim dowodzi, ani o zamierzonym marszu wojska.

— To dobrze!... — wyrzekł książę, pojmując powody tej nieświadomości — człowiek ten ujęty został na rabunku i morderstwie; mógłby być jeszcze okupić życie, mówiąc, ale ponieważ mówić nie chce, weźcie go, i niech go rozstrzelają.

Jeniec zbladł; dwaj żołnierze, którzy go przyprowadzili, ujęli go pod ręce i powiedli go ku drzwiom, a książę, zwracając się do marszałka de Grammont, zdawał się już zapomnieć o wydanym rozkazie. Podeszedłszy ku drzwiom, jeniec zatrzymał się; żołnierze, pomni rozkazu, chcieli go prowadzić przemocą.

— Chwilę jeszcze... — odezwał się więzień po francusku — gotów jestem mówić, Wasza książęca mość.

— Ho! ho!... — rzekł książę ze śmiechem — wiedziałem, że się tak skończy. Mam wyborny sposób na rozwiązywanie języków... moi młodzi panowie, zapamiętajcie go, kiedy sami będziecie dowodzili.

— Ale pod warunkiem — mówił dalej jeniec — że Wasza wysokość przysięgnie, iż daruje mi życie.

— Słowo szlacheckie — rzekł książę.

— To proszę mnie pytać.

— Którędy przeszło wasze wojsko?

— Między Saint - Venant i Aix.

— Kto niem dowodzi?

— Hrabia de Fuensaldagna, generał Beck i sam arcyksiążę.

— Z ilu ludźmi nadchodzi?

— Z 18 tysiącami ludzi i 36 armatami.

— A idzie?...

— Na Lens.

— A widzicie, panowie!... — wyrzekł książę; zwracając się z miną triumfującą do marszałka de Grammont i innych oficerów.

— Tak, Wasza książęca mość — odrzekł marszałek — odgadłeś wszystko, co tylko może odgadnąć umysł ludzki.

— Wezwijcie Plessis - Belliera, Villequiera i d'Erlau — wołał książę — zbierzcie te wojska nasze, które są poza Lys, niech gotowe będą do marszu tej nocy; jutro prawdopodobnie zaatakujemy wroga.

— Ależ — rzekł marszałek de Grammont, niech Wasza książęca mość pomyśli, że, choćbyśmy zebrali tu wszystkie oddziały naszego wojska, nie będziemy mieli więcej nad 13 tysięcy ludzi.

— Panie marszałku — odrzekł książę ze wspaniałem spojrzeniem, jemu tylko właściwem — wielkie bitwy wygrywa się z małym wojskiem.

Poczem, zwracając się ku jeńcowi, dodał:

— Wyprowadzić tego człowieka, a pilnować go dobrze. Życie jego zależy od dokładności wskazówek, jakie nam dał; jeżeli prawdziwie są, będzie wolny, jeżeli fałszywe, będzie rozstrzelany.

Wyprowadzono jeńca.

— Hrabio de Guiche!... — podchwycił książę — dawno już nie widziałeś się z ojcem, zostań z nim. A ty, panie — mówił dalej, zwracając się do Raula — jeżeliś niezbyt zmęczony, chodź ze mną.

— Choćby na koniec świata! Wasza książęca mość!... — zawołał Raul, czując nieznaną mu dotąd zapał dla tego młodego generała, tak godnego swej reputacji.

Książę uśmiechnął się; nie cierpiał pochlebców, ale cenił wielce ludzi gorących.

— Tak, panie — rzekł — jesteś dobry do rady, mieliśmy już tego dowód; jutro zobaczymy, jak się weźmiesz do czynu.

— A ja Wasza książęca mość, — rzekł marszałek — co mam czynić?

— Zostań tu celem przyjęcia wojsk; albo sam po nie przybędę, albo przyślę kurjera z zawiadomieniem, byś mi je przyprowadził.

— Ja teraz potrzebuję dla siebie eskorty tylko dwudziestu gwardzistów, najlepiej uzbrojonych.

— To bardzo mało — rzekł marszałek.

— O! dosyć!... — odrzekł książę. Czy dobrego masz konia, panie de Bragelonne?

— Mój zabity został dziś rano, Wasza wysokość, i mam tymczasowo konia mojego lokaja.

— Zażądaj i wybierz z mych stajni tego, który ci się spodoba. Tylko bez ceremonji, weź najlepszego konia. Może ci się przyda jeszcze dziś wieczór, a jutro — z pewnością.

Raul wiedział, że wobec zwierzchników — zwłaszcza, gdy ci zwierzchnicy są książętami, należy być bezzwłocznie posłusznym. Poszedł do stajni, wybrał konia andaluzyjskiego maści izabelowatej, osiodłał go sam, założył mu uprząż i powrócił do księcia w chwili, gdy tenże wsiadał na konia.

— Teraz — odezwał się do Raula — daj mi pan list, który masz dla mnie?

Raul podał księciu list.

— Jedź pan przy mnie — rzekł tenże.

Książę spiał konia, zatknął cugle na gałce u siodła, jak zwykle to czynił, gdy chciał mieć wolne ręce, odpięczętował list pani de Longueville i pojechał galopem drogą do Lens, wespół z Raulem i małą eskortą, gdy wysłańcy, mający sprowadzić oddziały wojska, rozbiegli się, pędząc w różne strony. Książę, galopując, czytał list.

— Panie — odezwał się po chwili — mówią o panu jak najlepiej; ja zaś mogę ci tylko powiedzieć, że z tego, co już trochę widziałem i słyszałem, jeszcze lepiej o panu myślę.

Raul skłonił się. Tymczasem — w miarę zbliżania się do Lens — coraz wyraźniej rozbrzmiewały strzały armatnie. Książę utkwiał w tym kierunku wzrok tak bystry, jakby u ptaka drapieżnego. Rzecz możnaby, iż zdolny był nim przeniknąć gęstwinę drzew, ukazującą się na widnokręgu przed jadącymi.

Od czasu do czasu rozszerzały mu się nozdrza, jakby wciągał zapach prochu, a dyszał, jak koń. Wreszcie usłyszano strzały armatnie tak blisko, że widocznie pole bitwy było już tylko o kilka stająn.

Na zakręcie gościńca zobaczono małą wioskę d'Aunay. Ludność wiejską ogarnął wielki przestach; wieść o okrucieństwach hiszpanów przerażała każdego; kobiety już uciekały, chroniąc się ku Vitry; pozostało tylko kilku mężczyzn. Na widok księcia nadbiegli; — jeden z nich go poznał.

— O! Wasza książęca mość, — rzekł — czy zamierzasz wygnać tych łotrów hiszpanów i wszystkich tych rabusiów lotaryńskich?

— Tak... — rzekł książę. — Czy chcesz mi posłużyć za przewodnika.

— I owszem, Wasza książęca mość; dokąd Waszą wysokość mam zaprowadzić?

— Na jakie bardziej wyniosłe miejsce, skąd mógłbym widzieć Lens i okolicę.

— Dobrze, wiem już, wiem.

— A mogę ci zaufać, czy dobry z ciebie francuz?

— Jestem starym żołnierzem z pod Rockroy, Wasza książęca mość.

— Masz za Rockroy — rzekł książę, dając mu sakiewkę.

Wieśniak pobiegł przed koniem księcia, potem o sto kroków od wioski skręcił w jakąś ustronną ścieżkę w głębi ładnej doliny. Tak podążano czas jakiś pod sklepieniem drzew, a strzały armatnie rozlegały się tak blisko, że przy każdej salwie słyhać było świst kul. Wreszcie wieśniak zapuścił się na drożynę, pnąc się ku górze, zachęcając księcia, ażeby go naśladował.

Książę zsiadł z konia, rozkazał jednemu ze swych adjutantów i Raulowi uczynić to samo, a innym czekać na jego rozkazy, dając baczenie na wszystkie strony, sam zaś jął wdrapywać się na urwistą drogę.

Po upływie dziesięciu minut przybyli do ruin starego zamczyska; zwaliska te wykończyły wierzchołek wzgórza, wznoszącego się pośród okolicy. Opodal rozpościerało się Lens, a przed Lens całe wojsko nieprzyjacielskie.

Jednym spojrzeniem objął książę całą przestrzeń, rozciągającą się przed jego oczyma między Lens i Virony.

W jednej chwili cały plan bitwy, mającej nazajutrz zba-
wić Francję po raz drugi od najazdu, rozwinął się w jego
umyśle. Wziął ołówek, wydarł kartkę z notatnika i na-
pisał:

„Drogi mój marszałku!

„Za godzinę Lens dostanie się w ręce nieprzyjaciela.
Ja będę w Vandin, ażeby zająć stanowisko. Jutro odbie-
rzemy Lens i pobijemy nieprzyjaciela“.

Potem, zwracając się do Raula, rzekł:

— Jedź pan co koń wyskoczy i oddaj ten list panu de
Grammont.

Raul skłonił się, wziął papier, zeszedł szybko z góry,
wskoczył na konia i ruszył galopem. W kwadrans potem
znajdował się przy marszałku.

Część wojsk już przybyła, reszty spodziewano się lada
chwila. Marszałek Grammont na czele całej rozporządzał-
nej piechoty i konnicy ruszył drogą ku Vandin, pozosta-
wivszy księcia de Châtillon, ażeby zaczekał i przyprowa-
dził resztę wojska. Artylerja była w pogotowiu i natych-
miast wyruszyła.

O godzinie siódmej wieczorem marszałek stawił się na
miejsce spotkania. Księżę czekał na niego. Jak przewidy-
wał, Lens wpadło w ręce nieprzyjaciela prawie natych-
miast po odjeździe Raula. Zresztą uciszenie się kanonady
zwiastowało ten wypadek.

W miarę, jak zapadały ciemności, wojska, wezwane
przez księcia, przybywały kolejno. Wydany był rozkaz,
ażeby nie bito w bębny i nie grano na trąbach. O godzinie
dziewiątej zapadła już istna noc.

Pomaszerowano w milczeniu, księżę prowadził kolum-
nę wojska. Poza Aunay armja ujrzała Lens; dwa czy
trzy domy stały w płomieniach i głucha wrzawa, znamio-
nująca pładrowanie miasta, zdobytego szturmem, dolaty-
wała aż do żołnierzy.

Księżę wskazał każdemu miejsce, marszałek trzymać
się miał na lewo i opierać się o Medicourt; księżę de Châ-
tillon zajmował środek, wreszcie księżę z prawem skrzy-
dłem miał stanąć przed Aunay. Bitwa jutrzejsza odbywać
się miała podług stanowisk, zajętych w przeddzień. Całe
to rozmieszczenie wojska odbyło się wśród najgłębszej ci-
szy i z jaknajwiększą dokładnością. — O godzinie dzie-
siątej już każdy znajdował się na swoim stanowisku,

Trzy rzeczy przedewszystkiem zalecone zostały dowódcom.

Po pierwsze, ażeby różne oddziały oglądały się na siebie w marszu, tak, iżby kawalerja i piechota znajdowały się na jednej linii, a każda w odpowiednich przerwach. Po wtóre, ażeby do ataku iść marszem. Po trzecie, pozwolić, ażeby nieprzyjaciel dał pierwszy ognia.

W przeddzień bitwy przychodzi tysiące oddawna zapomnianych myśli. W przeddzień bitwy obojętni stają się przyjaciółmi, a przyjaciele braćmi. Chyba zbyt cenne byłoby dodawać, że, gdy kto ma w sercu jakie uczucie jeszcze żywsze, dochodzi ono wtedy do najwyższego napięcia. Widocznie każdy z młodzieńców doświadczył takiego uczucia, bo po chwili każdy z nich usiadł w narożniku namiotu i pisał na kolanach.

Listy były długie; cztery strony zapełniły się kolejno literami cienkimi i zwartemi. Od czasu do czasu młodzieńcy spoglądali na siebie z uśmiechem. Rozumieli się dobrze, nic też do siebie nie mówili.

Skończywszy pisanie, każdy włożył swój list do dwóch kopert, ażeby nikt bez rozdarcia pierwszej koperty, nie mógł przeczytać nazwiska, zaadresowanego na drugiej kopercie; potem obaj zbliżyli się do siebie i z uśmiechem zamienili między sobą te listy.

— Gdyby mnie spotkało nieszczęście... — rzekł Bragelonne.

— Gdybym został zabity... — rzekł de Guiche.

— Bądź spokojny!... — wyrzekli równocześnie.

Potem ucałowali się, jak bracia, owinęli się płaszczami i zasnęli owym snem, pełnym młodości i wdzięku, jakim śpią ptaki, kwiaty i dzieci.

ROZDZIAŁ XXXVIII

OBIAD, JAK ZA DAWNYCH CZASÓW

Drugie spotkanie dawnych muszkietierów było mniej pompatyczne i groźne, niż pierwsze.

Athos bystrym swym umysłem osądził, że najlepszym miejscem dla zebrania będzie wspólna biesiada. To też pierwszy zaproponował, ażeby zasiąść razem do dobrze zastawionego stołu, przy którym każdy dałby swobodnie folgę charakterowi swemu i upodobaniom, bo właśnie ta swoboda utrzymywała między nimi taką zażyłość, że ich nazywano nierozłącznymi.

Propozycja spodobała się wszystkim, a szczególnie d'Artagnanowi, który gorąco pragnął odzyskać smak i wesołość rozmów z czasów młodości, bo oddawna umysł jego subtelny i delikatny nie doznawał dostatecznego zadowolenia i miał tylko lichą strawę. Porthos, spodziewając się iż lada chwila zostanie baronem, zachwycony był, że znajdzie sposobność wystudjowania u Athosa i Aramis, jakie jest obejście ludzi dystyngowanych. Aramis chciał dowiedzieć się przez d'Artagnana i Porthosa, co słychać w pałacu królewskim, i zachować sobie na wszelki przypadek przyjaciół tak przywiązanych, którzy niegdyś popierali jego sprawy szpadami chybkami i niezwyciężonemi.

Tylko Athos nie myślał wcale o odniesieniu korzyści, a powodowało nim jeno uczucie szczerzej, bezinteresownej przyjaźni...

Ułożono się, że każdy da swój adres dokładny, a — na wezwanie jednego ze stowarzyszonych — zebranie zwołane będzie w słynnej restauracji pod godłem „Pustelni“. Pierwszą schadzkę oznaczono na następną środę, punkt

o godzinie ósmej wieczorem. Rzeczywiście dnia tego czterej przyjaciele stawili się punktualnie o oznaczonej godzinie, choć każdy z osobna.

Pierwsze słowa, zamienione przez przyjaciół, właśnie skutkiem przesady, jakiej każdy używał w swych objaśnieniach, były trochę wymuszone, i biesiada zaczęła się nieco sztywno.

Znać było, iż d'Artagnan przymuszał się do śmiechu, Athos do picia, Aramis do opowiadania, Porthos do milczenia. Athos prędko zauważył to zakłopotanie i, ażeby znaleźć na nie lekarstwo, kazał podać cztery butelki wina szampańskiego. Na to zlecenie, wydane ze spokojem, właściwym Athosowi, twarz gaskończyka uwolniła się od zmarszczek i wypogodziło się czoło Porthosa. Aramis był zdziwiony. Wiedział, że Athos — nietylko już nie pije wcale — ale, że czuje nadto pewną odrazę do wina. Zdziwienie to podwoiło się, gdy Aramis zobaczył, że Athos nalewa sobie pełen kieliszek i pije z uniesieniem, jak za dawnych czasów.

D'Artagnan natychmiast napełnił i wypróżnił swój kieliszek. Porthos i Aramis tręcili się z sobą. W jednej chwili cztery butelki zostały wypróżnione: rzeczby można, że biesiadnicy chcieli czempredzej wziąć rozwód ze swemi wstecznemi myślami.

W jednej też chwili wyborny ten specyfik rozproszył najmniejszą nawet chmurkę, jaka pozostała w głębi ich serc. Jęli mówić głośniej, nie czekając, aż jeden skończy, aby drugi zaczął, i każdy przybierał przy stole swoją ulubioną postawę.

Wkrótce... — rzecz niezwykła! — Aramis odpiął dwa guziki u surduta, co widząc Porthos, rozpiął się zupełnie.

Bitwy, dalekie podróże, ciosy otrzymywane i rozdawane, — oto, co najpierw jęli wspominać. Potem przeszli do głuchych walk przeciw temu, którego nazywali teraz wielkim kardynałem.

— No, dalibóg! — rzekł Aramis ze śmiechem — dosyć już pochwał dla umarłych, porozmawiajmy teraz trochę o żyjących. Ja naprzykład wziąłbym się zaraz do Mazariniego. Czy wolno?

— O! i zawsze — rzekł d'Artagnan, wybuchając śmiechem — opowiedz swą historję, — a będę ci bić brawo, jeżeli zabawna.

— Pewien wielki książę, — rzekł Aramis — o przy-
mierze z którym starał się Mazarini, proszony był przez
niego, ażeby mu przysłał wykaz warunków, za jakie ze-
chce go zaszczycić swym sojuszem.

Książę, który czuł wstręt do traktowania z takim hul-
tajem, w gniewie napisał wykaz i posłał mu go. Na li-
ście tej były trzy warunki, które się nie spodobały Ma-
zariniemu; zaproponował księciu, żeby się ich zrzekł za
dwadzieścia tysięcy talarów.

— Ho! ho! ho! — zawołali dwaj przyjaciele — to
niezbyt drogo. I cóż uczynił książę.

— Książę posłał natychmiast pięćdziesiąt tysięcy li-
wrów Mazariniemu, prosząc go, ażeby nigdy już do nie-
go nie pisał i ofiarowując mu dwadzieścia tysięcy franków
jeszcze — pod warunkiem, ażeby zobowiązał się też
nigdy do niego nie mówić.

— Cóż uczynił Mazarini?

— Rozgniewał się — rzekł Athos.

— Kazał oćwiczyć posłańca? — spytał Porthos.

— Przyjął pieniądze?... — rzekł d'Artagnan.

— Zgadłeś, d'Artagnanie — odrzekł Aramis.

I wszyscy wybuchnęli tak głośnym śmiechem, że go-
spodarz natychmiast się zjawił, pytając, czy goście cze-
go sobie nie życzą. Myślał, że się biją. Wreszcie ucichła
wesołość.

— Dalibóg — rzekł d'Artagnan do swych dwóch przy-
jaciół — macie słuszną złość do tego Mazariniego, bo
i on, zaprzysiędz mogę, wcale wam dobrze nie życzy.

— Doprawdy! — podchwycił Athos — gdybym przy-
puszczał, że ten hultaj zna moje nazwisko, swojebym za-
raz zmienił, z obawy, aby nie myślano, że ja także się
z nim znam.

— On nie zna cię z nazwiska, ale z czynów; wie on do-
brze, iż szczególnie dwóch szlachciców dopomogło księ-
ciu de Beaufort do ucieczki, i ręczę wam, że każe ich
szukać energicznie?

— A komu każe?

— Mnie.

— Jako? tobie?...

— Tak, bo już przysłał dziś po mnie z zapytaniem, czy
mam jaką wiadomość o tych dwóch szlachcicach?

— A cóżes mu odpowiedział?...

— Że nie mam jeszcze, ale że będę jadł obiad z dwiema osobami, które mogłyby udzielić o nich wiadomości.

— Tak mu powiedziałeś?... — rzekł Porthos — ze śmiechem na szerokiej twarzy. — Brawo! I to cię, Athosie, nie przestrasza?...

— Nie — odrzekł Athos — ja się nie poszukiwań Mazariniego boję.

— A czegoż ty się boisz?... — podchwycił Aramis.

— Niczego, przynajmniej w teraźniejszości.

— A w przeszłości — zapytał Porthos.

— O!... w przeszłości, to rzecz inna, w przeszłości i w przyszłości.

— Czy się boisz o swego młodego Raula? — zapytał Aramis.

— E!... — odrzekł d'Artagnan — nikt nie ginie w pierwszej bitwie.

— Ani w drugiej — rzekł Aramis.

— Ani w trzeciej — rzekł Porthos.

— Nie — odrzekł Athos — i nie o Raula się niepokoję, bo spodziewam się, iż postępować będzie, jak szlachcic, a jeżeli zginie, będzie to nieszczęście, ale gdyby to nieszczęście go spotkało, to...

— To cóż?... — zapytał Aramis.

— Uważałbym to nieszczęście za karę.

— O!... — rzekł d'Artagnan — wiem, co chcesz przez to powiedzieć.

— I ja również — rzekł Aramis — ale nie trzeba o tem myśleć, Athosie; co przeszło, to przeszło.

— Nic nie rozumiem — rzekł Porthos.

— Sprawa z Armentières — szepnęła d'Artagnan.

— Sprawa z Armentières?... — zapytał tenże.

— Milady.

— A! tak — rzekł Porthos — doprawdy jużem o niej zapomniiał.

Athos spojrział na niego głębokim wzrokiem.

— Zapomniałeś o niej, Porthosie?... — rzekł.

— Dalibóg — odrzekł Porthos — to już tak dawno.

— Więc ta rzecz nie ciąży ci na sumieniu?

— Dalibóg, że nie — odparł Porthos.

— A tobie, Aramisie?

— Czasem o niej myślę — rzekł Aramis — jak o wypadku, nad którym trzeba się zastanowić.

— A cóż ty, d'Artagnanie?

— Ja wyznaję, że kiedy myślą znów zatrzymuję się na tej epoce strasznej, przypominam sobie tylko złodowaciele zwłoki pani Bonacieux. Tak, tak — wyszeptał — bardzo wiele sobie wyrzucałem względem ofiary, lecz nigdy nie miałem wyrzutów z powodu jej morderczyni.

Athos potrząsnął głową z powątpiewaniem.

— Pomyśl — rzekł Aramis — jeżeli przyjmujesz istnienie sprawiedliwości boskiej i udział jej w sprawach tego świata, kobieta ta ukarana została z woli bożej. Myśmy byli tylko narzędziami.

— Ale myśmy byli samowolnymi sędziami, Aramisie!

— A cóż czyni sędzia, on także skazuje bez obawy. Co czyni kat? jest on panem swej ręki, a jednak uderza bez wyrzutów sumienia...

— Kat — wyszeptał Athos — i zamilkł, widocznie na to wspomnienie...

— Wiem, że to przerażające — rzekł d'Artagnan — ale, kiedy sobie pomyślę, żeśmy zabijali anglików, roszelan, hiszpanów, nawet francuzów, którzy nam nie wyrządzili innej krzywdy prócz tej, że nas brali na cel i chybiali, lub że krzyżowali z nami żelaza i nie umieli się zasłonić, dalibóg, słowo honoru, ja siebie nie obwiniam za udział w morderstwie tej kobiety!

— Ja — rzekł Porthos — kiedyś mi przypomniał. Athosie, widzę znów, jak się odbywała scena: milady była tam, gdzie ty jesteś (Athos zbladł), ja byłem na tem miejscu, gdzie jest teraz d'Artagnan. Miałem szpadę, tnącą, jak stal damasceńska, przypominasz ją sobie, Aramisie, nazywałeś ją Belizardą?... Otóż przysięgam wam tu oto wszystkim, że gdyby nie było wtedy tam kata z Bèthune, byłbym gardło poderznął tej zbrodniarce bez żadnego żalu. To była zła kobieta.

— Najbardziej zaś to uspakaja, — rzekł d'Artagnan — iż z całej tej przeszłości niema ani śladu.

— Ona miała syna — rzekł Athos.

— A! tak, wiem dobrze — odrzekł d'Artagnan — i mówiłeś mi o nim; ale kto wie, co się z nim stało? Czy sądzisz, że de Winter stryj, wychował tę małą gadzinę? De Winter byłby skazał syna, jak skazał matkę.

— To biada Winterowi — rzekł Athos — bo dziecko nic przecie nie zawiniło.

— Dziecko nie żyje, niech mnie djabli porwą!... — rzekł Porthos. — Taka tam mgła w tym okropnym kraju, jak przynajmniej utrzymywał d'Artagnan. Do szklanek!... panowie... do szklanek.

W chwili, gdy wniosek Porthosa miał znów przywrócić wesołość na zaszępione nieco twarze, na schodach rozległ się hałas i zapukano do drzwi.

— Proszę wejść — rzekł Athos.

— Panowie — rzekł gospodarz — tam jakiś człowiek pragnie pomówić z jednym z panów.

— Z którym?... — spytali czterej przyjaciele.

— Z hrabią de la Fère.

— To ze mną — rzekł Athos. — A jak się zowie?

— Grimaud.

— O!... — wyrzekł Athos, błędąc — już z powrotem?... Cóż się więc stało z Bragellonem?

— Niech wejdzie!... — rzekł d'Artagnan — niech wejdzie!

Ale Grimaud sam już przeskoczył schody i czekał na progu; wbiegł do pokoju i odprawił gospodarza ruchem ręki. Gospodarz zamknął za sobą drzwi. Wzruszenie Grimauda, twarz spocona, kurz na ubraniu, wszystko to zapowiadało, iż jest zwiastunem jakiejś ważnej i strasznej wiadomości.

— Panowie — rzekł — ta kobieta miała dziecko, stało się człowiekiem; tygrysica miała szczenię, ono wyrosło już na tygrysa, tygrys biegnie ku wam, strzeżcie się!

Athos patrzył na przyjaciół z melancholijnym uśmiechem; Porthos szukał przy sobie szpady, którą zawiesił na ścianie, Aramis pochwycił nóż, d'Artagnan powstał.

— Co chcesz przez to powiedzieć, Grimaudzie?... — zawołał.

— Że syn milady opuścił Anglię, że jest we Francji, że przybywa do Paryża, a może już tu jest.

— Do djabła!... — rzekł Porthos — czyś pewny?

— Pewnym! — odrzekł Grimaud.

Przeciągłe milczenie przyjęło to oświadczenie. Grimaud był tak zadyszany, tak zmęczony, że upadł na krzesło. Aramis przyniósł mu kieliszek szampana.

— No, więc — rzekł d'Artagnan — i cóż z tego, że przybędzie do Paryża?... Nie takich widzieliśmy!... Niech przybywa!...

— Zresztą, to prawie dziecko — rzekł Aramis.

Grimaud powstał.

— Dziecko — rzekł — czy panowie wiecie, co to dziecko zrobiło?... Przebrany za mnicha, odkrył całą historję, spowiadając kata z Béthune, a, wypowiadawszy go, dowiedziawszy się od niego o wszystkim, na rozgrzeszenie utopił mu w sercu ten oto sztylet. Patrzcie, panowie, czerwony on jeszcze i mokry, bo zaledwie trzydzieści godzin temu wyszedł z rany.

I Grimaud rzucił na stół sztylet, zostawiony przez mnicha w ranie kata. D'Artagnan, Porthos i Aramis powstali i ruchem mimowolnym pobiegli do swych szpad. Tylko Athos pozostał na krześle spokojny i zadumany.

— I powiadasz, Grimaudzie, że przebrany jest za mnicha?...

— Tak, za mnicha, augustjanina.

— Jakże on wygląda?...

— Wzrostu takiego, jak ja, o ile mi mówił oberżysta, chudy, blady, z oczyma jasno-niebieskimi i jasnymi włosami.

— Ale... Raula nie widział?... — spytał Athos.

— Przeciwnie, spotkali się i to właśnie wicehrabia przyprowadził go do łoża umierającego.

Athos powstał, nie mówiąc nic, i podszedł także zdjąć szpadę.

— O!... panowie!... — rzekł d'Artagnan — przymuszając się do śmiechu — wiecie... panowie, że wyglądamy, jak baby!... Jako, my czterej, cośmy bez zmrżenia oka stawiali czoło wojskom, teraz drżymy przed dzieckiem!...

— Tak — wyszeptał Athos — ale to dziecko przychodzi od Boga.

I wyszli śpiesznie z restauracji.

ROZDZIAŁ XXXIX

LIST KAROLA I-GO

Trzeba teraz, aby czytelnik przebył wraz z nami Sekwanę i udał się aż do bram klasztoru Karmelitek przy ulicy św. Jakóba.

Była godzina jedenasta rano, a pobożne siostrzyczki tylko co wysłuchały mszy, odprawionej za powodzenie wojsk Karola I-go. Z kościoła wyszła kobieta w czarnych wdowich szatach — obok niej młode dziewczę w sukni sieroczej, — i do celi swej powróciły. Kobieta upadła na klęcznik, a młode dziewczę stanęło w pobliżu, wsparło się na krzesło i płacze.

Pierwsza nosiła ślady piękności, lecz lży widocznie starością twarz jej oblekły. Druga jest ślicznem dziewczętkiem, a płacz wdzięku jej jeszcze dodaje. Starsza wygląda na lat czterdzieści, młodsza ma — czternaście.

— Boże!... — mówiła błagalnie klęcząca — zachowaj małżonka mego, zachowaj syna, a zabierz moje smutne i nędzne życie.

— Mój Boże!... — mówiło dziewczę, zachowaj mi matkę!

— Matka twoja, Henryko, niczem jest już dla ciebie na tej ziemi — przemówiła, zwracając się do niej w smutku pogrążona kobieta. — Twoja matka niema już ani tronu, ani małżonka, ani syna, pieniędzy ani przyjaciół; matka twoja, biedne moje dziecię, od wszystkich na świecie jest opuszczona.

I, chyląc się w objęcia córki, podtrzymującej ją z czułością, wybuchnęła gorzkim płaczem.

— Odwagi! matko droga — przemówiło dziewczę.

— A! bardzo są nieszczęśliwi królowie w tym roku —

mówiła matka, wspierając głowę na ramieniu córki. Zastawiłam resztę moich klejnotów, twoją i moją odzież wyprzedziałam, by wypłacić pensję służbie, która, gdyby nie to moje poświęcenie, odmówiłaby towarzyszenia mu. A teraz zmuszone jesteśmy żyć kosztem służebnic bożych. Jesteśmy ubogiemi, które Bóg jeden wspomaga.

— Dlaczego nie udasz się, matko, do królowej, bratowej twojej?... — zagadnęło dziewczę.

— Niestety! królowa — odparła strapiona — nie jest zgoła królową... kto inny rządzi w jej imieniu. Przyjdzie czas, w którym to zrozumiesz, moje dziecię.

— Udajmy się więc do Boga — zakończyło młode dziewczę.

I uklękała przy matce. Z modlących się tak na jednym klęczniku kobiet jedna była córką, a druga wnuczką Henryka IV-go, czyli były one żoną i córką Karola I-go.

Gdy tak klęczały pogrążone w modlitwie, zakonnica lekko zapukała do celi.

— Proszę wejść, siostró — powstawszy i ocierając łzy, odezwała się starsza.

Zakonnica uchyliła drzwi nieśmiało.

— Wasza wysokość raczy przebaczyć, iż przerywam jej rozmyślenia — odezwała się, ale w sali gościnnej oczekuje nieznajomy pan, przybywający z Anglii, i pragnie mieć zaszczyt oddania Waszej wysokości listu.

— O! list! list od króla może! Wiadomości od ojca twego zapewne, czy słyszysz Henryko?

— Tak, słyszę i nabieram otuchy.

— Cóż to jest za jeden ten człowiek?

— Milord de Winter.

— Milord de Winter!... — zawołała królowa — przyjaciel mego małżonka! O! niech tu wejdzie, niech wejdzie!

I królowa wybiegła na spotkanie wysłannika, ujmując jego rękę z pośpiechem.

Lord Winter, wszedłszy do celi, przyklęknął i podał królowej list, zwinięty w złotym futerale.

— A! milordzie — przemówiła królowa — przynosisz nam trzy rzeczy dawno przez nas niewidziane: przyjaciela naszego, złoto i list od króla, naszego małżonka i pana.

— Milordzie!... — rzekła królowa, wskazując list —

pojmujesz, że pilno mi dowiedzieć się, co ten papier zawiera.

— Odchodzę, pani — rzekł de Winter.

— Pozostań, przy tobie przeczytamy; pojmujesz pewnie, że mam ci zadać tysiące pytań!

De Winter ustąpił parę kroków i stał w milczeniu. Matka zaś i córka podeszły do framugi okna i, wzajem wsparte o siebie ramionami, chciwie czytały list.

„Droga małżonko moja i pani!

„Stanęliśmy u kresu. Wszystkie siły, jakie mi Bóg pozostawił, zbierane są wozozie Naseby, skąd piszę naprędce. Tu wyczekuję zastępów moich zbuntowanych poddanych i po raz ostatni jeszcze walczyć przeciw nim będę. Jeślim zwycięzcą, walczę do ostatka; zwyciężony, ginę bezpowrotnie. W ostatnim razie (niestety! w położeniu naszym, wszystkiego spodziewać się można), chcę spróbować, czy przedostać się będę mógł do Francji. Lecz czy to możebne będzie, czy zechcą przyjąć tam nieszczęśliwego króla, który wniesie zgubny przykład do kraju i tak już wzburzonego domowemi rozterkami? Rozsądek Twój i przywiązanie posłużą mi za przewodnika. Oddawca listu tego, powie Ci to, pani, co lękam się powierzyć niepewnym wypadkom. On Cię objaśni, jakich kroków oczekuję z Twej strony. Polecam mu także wszelkie błogosławieństwa dla dzieci moich i przepelniające me serce uczucia dla Ciebie, pani i droga małżonko“.

U dołu widniał podpis, — zamiast Karol, - król, Karol, - jeszcze król.

Odczytanie tego smutnego pisma roznieciło jednak promień nadziei w oczach królowej.

— Niechaj królem już nie będzie!... — zawołała — zwyciężony, wygnany, czy wyjęty z pod prawa, byle tylko żył! Niestety! tron w dzisiejszych czasach jest stanowiskiem zbyt najeżonem niebezpieczeństw, bym pragnąć mogła, ażeby na nim pozostał.

Lecz mów, milordzie — ciągnęła dalej królowa — nie ukrywaj przede mną. Gdzie jest król? Czy położenie jego jest tak rozpaczliwe, jak sądzi?

— Nieszczęściem! pani, więcej, niż sam nawet przypuszczać może. Jego Królewska Mość jest tak dobrego

serca, że nie pojmuje, co to nienawiść; a tak prawy, iż nie przewiduje zdrady. Anglję taki płomień szału ogarnął, iż lękam się, że we krwi tylko ugasić go można.

— A teraz, milordzie, skoro wiem, że położenie króla jest rozpaczliwe, niech usłyszę, co masz mi do powiedzenia od mojego królewskiego małżonka.

— Pani — rzekł Winter — król żąda, byś starała się zbadać usposobienie króla i królowej dla niego.

— Wiesz przecie — odparła królowa — iż król dzieckiem jest jeszcze, a królowa słabą kobietą tylko. Wszystkiem tu Mazarini.

— Miałżeby on chcieć odegrać we Francji rolę, jaką w Angliji Cromwell odgrywa?

— O! nie, to Włoch giętki i przebiegły, który być może marzy o zbrodni, lecz zabraknie mu śmiałości, by ją spełnić: gdy Cromwell rozporządza dwiema izbami, Mazarini w walce z parlamentem królową ma za jedyną podporę.

— Tembardziej zatem winien popierać króla, prześladowanego przez parlamenty.

Królowa z goryczą potrząsnęła głową.

— Mojem zdaniem, milordzie, kardynał nic nie uczyni dla nas, a nawet może przeciw nam jeszcze będzie. Obecność moja i córki mojej we Francji ciężarem jest już dla niego; tembardziej więc zechce uniknąć króla. Milordzie — dodała Henryka ze smutnym nad wyraz uśmiechem — ciężko i wstyd wyznać, lecz przepędziłyśmy w Luwrze zimę bez grosza, bez bielizny, bez chleba niedwie, z łóżek nie wstając, dla braku ognia.

— O zgrozo!... — wykrzyknął Winter — córka Henryka IV-go, żona króla Karola! Pani, czemu nie udałaś się do pierwszego lepszego z nas?

— Taką jest gościnność, jaką obdarza królową minister, od którego król ma zamiar także jej się domagać.

— A! milordzie — mówiła dalej królowa, nie myśląc już powstrzymać łez, płynących po twarzy, — stokroć lepiej walczyć, jak król, i umrzeć, jak mu to może sądzono, niż tak, jak my, wieść życie żebracze.

— Pani, nie należy tracić odwagi — odezwał się Winter, — nie należy rozpaczać: w interesie korony francuskiej tak zachwianej obecnie, leży tępienie buntu w narodzie

sąsiednim. Mazarini jest mężem stanu i zrozumie tę potrzebę.

— Czy jednak zaręczysz — rzekła z powątpiewaniem królowa — że nas ubiegnięto?

— Kto taki?... — zapytał Winter.

— Joyce, Priedge, Cromwell.

— Ten krawiec! ten oracz! ten piwowar. A! pani, spodziewam się, iż kardynał nie przystąpi do związku z ludźmi tego rodzaju.

— A kimże on sam jest?... — wtrąciła Henryka.

— Ale dla honoru króla, królowej...

— Miejmy wreszcie nadzieję, że zrobi cokolwiek dla tego honoru — rzekła Henryka. — Wymowa przyjaciela jest tak przekonywająca, milordzie, iż poczynasz mnie uspakajać; podaj mi więc rękę i jedźmy do ministra.

— Pani — rzekł Winter z pokłonem — czuję się onieśmielony tym zaszczytem.

— Lecz gdyby odmówił ostatecznie — mówiła, zastanawiając się, Henryka — a król bitwę przegrał?

— Wtedy Jego Królewska Mość schroniłby się do Holandji, gdzie, jak mi mówiono, przebywa książę Walji.

— A czy Jego Królewska Mość mógłby przy ucieczce liczyć na więcej takich, jak ty, milordzie, przyjaciół?

— Niestety, nie, pani! lecz właśnie w przewidywaniu tego wypadku, przybywam szukać we Francji sprzymierzeńców.

— Sprzymierzeńców!... — odezwała się królowa, potrząsając głową.

— Pani!... — odparł Winter — niech tylko odnajdę starych przyjaciół, których niegdyś miałem, a za wszystko zaręczam.

— Dałby to Bóg — rzekła królowo z bolesnem zwątpieniem, właściwem ludziom, co oddawna są nieszczęśliwi — oby Bóg cię wysłuchał!

Królowa wsiadła do swego powozu, de Winter zaś ruszył konno, a za nim dwóch służących — po bokach drzwiczek karety.

ROZDZIAŁ XI

LIST CROMWELLA

W tym samym czasie, gdy królowa Henryka opuszczała klasztor Karmelitek, by udać się do Palais-Royal, jakiś jeździec stanął u bram królewskiej siedziby, oznajmiając stróżom, iż ma coś wielce ważnego do powiedzenia kardynałowi Mazariniemu.

Kardynał, jakkolwiek często bywał w strachu, częściej jeszcze doznawał potrzeby zasięgnięcia rad i wiadomości, to też był on przystępny. Pierwsze drzwi nie przedstawiały istotnych trudności, drugie nawet przebyć łatwo, lecz trzecie strzeżone były prócz straży i woźnych przez wiernego Bernouina, żadnym słowem nie ulegającego cerbera, nieprzystępnego żadnej pokusie, nawet pod postacią złota. Ci więc, co żądali lub prosili posłuchania, przy trzecich dopiero drzwiach skazani byli na urzędowe badanie.

Jeździec uwiązał konia u sztachet dziedzińca, wszedł na główne schody i, zwracając się do straży, znajdującej się w pierwszej sali, zapytał:

— Pan kardynał Mazarini?

— Proszę dalej — odrzekli gwardziści, nie podnosząc nosa, jedni od kart, inni od gry w kości, chętnie dając do zrozumienia, iż nie do nich należy pełnić służbę lokajską.

Wysłaniec wszedł do drugiej sali. Była ona strzeżona przez muszkieterów i woźnych.

— Czy masz pan kartę adjuncjonalną? — zapytał woźny, podchodząc do przybyłego.

— Mam, lecz nie od kardynała Mazariniego.

— Proszę wejść i zapytać pana Bernouin — rzekł woźny, otwierając drzwi od trzeciej sali.

Przypadkowo, czy też, stojąc, jak zwykle, na czatach, dość, że Bernouin znalazł się pod drzwiami i wysłuchał rozmowy.

— Jestem tym, o którego panu chodzi — powiedział. — Od kogo jest list, który masz dla jego Eminencji?

— Od generała Oliviera Cromwella — odparł przybyły — proszę nazwisko to oznajmić jego Eminencji i przynieść mi odpowiedź, czy mnie przyjmie, lub nie.

I stanął w postawie chmurnej i wyniosłej, właściwej purytanom. Bernouin, obrzuciwszy młodzieńca wzrokiem badawczym, wszedł do gabinetu kardynała, któremu powtórzył słowa wysłańca.

— Jakiś człowiek, oddawca listu od Oliviera Cromwella? — rzekł Mazarini — cóż to za jeden?

— Prawdziwy Anglik, Ekscelencjo, włosy blond, — raczej rude, niż jasne, — oczy siwe, niebieskie, — siwe raczej, niż niebieskie, — a cały dumny i sztywny.

— Niechaj odda list.

— Jego Eminencja żąda listu — rzekł Bernouin, wychodząc z gabinetu do przedpokoju.

— Jego Eminencja nie ujrzy listu bez oddawcy — odrzekł młodzieniec — lecz, aby wam dowieść, iż rzeczywiście jestem w jego posiadaniu, proszę patrzeć, oto jest.

Bernouin popatrzał na pieczęć, a widząc, że istotnie pochodzi od generała Oliviera Cromwella, zawrócił już do Mazariniego.

— Proszę dodać — odezwał się jeszcze młodzieniec, iż nie jestem prostym posłańcem, lecz przybywam z nadzwyczajnem zleceniem.

Bernouin wszedł do gabinetu i w chwilę potem powrócił, mówiąc:

— Proszę wejść.

To chodzenie tam i napowrót potrzebne było Mazariniemu, by móc ochłonąć ze wzruszenia, jakie na nim sprawiła wieść o liście; lecz chociaż bystry i przezorny był umysł jego, napróżno się głowił, jakie powody mogły skłonić Cromwella do wejścia z nim w stosunki.

Młody człowiek ukazał się w progu, trzymając w jednej ręce kapelusz, a w drugiej list. Mazarini powstał.

— Pan masz list dla mnie? — zapytał.

— Oto jest, Ekscelencjo — rzekł młodzieniec.

Mazarini odebrał list, złamał pieczęć i czytał:

„Pan Mordaunt, jeden z moich sekretarzy, wręczy jego Eminencji kardynałowi Mazariniemu w Paryżu tę kartę wstępu; prócz tego posiada on dla jego Eminencji i drugi list treści poufnej.

„*Olivier Cromwell.*“

— Bardzo dobrze, mości Mordaunt — rzekł Mazarini — oddaj mi ten drugi list i siadaj.

Młodzieniec dobył pismo z kieszeni, wręczył kardynałowi i usiadł.

Kardynał odebrał list i w głębokiem zamyśleniu jął go obracać na wszystkie strony, nie mogąc odważyć się na otworzenie koperty, lecz, chcąc odwrócić uwagę wysłańca, począł, według swego zwyczaju, wypytywać go, mając to przekonanie z doświadczenia, że mało kto potrafi ukryć się z czemś przed nim, gdy pytał i wpatrywał się jednocześnie.

— Bardzo młody jesteś, panie Mordaunt — mówił — na ten ciężki zawód ambasadora, w której to roli często nie powodzi się najstarszym nawet dyplomatom.

— Ekscelencjo, mam lat dwadzieścia trzy, myli się jednak Wasza Eminencja, mówiąc, iż tak młody jestem. Starszy jestem od niego, tylko mądrości tej nie posiadam.

— Co to znaczy, mój panie? — zapytał Mazarini — nie rozumiem cię.

— Mówię, monsiniorze, że lata cierpienia liczą się podwójnie, a ja cierpię od lat dwudziestu.

— Ach! pojmuję — rzekł Mazarini — z powodu ubóstwa, jesteś biedny, wszak tak?

I w duchu dodał:

— Ci rewolucjoniści angielscy, wszystko to włóczęgi i żebraki.

— Eminencjo, miałem być sześciomiljonowym posiadaczem, lecz wydarto mi majątek.

— A!... zatem nie pochodzisz z ludu — zapytał Mazarini zdziwiony.

— Byłbym lordem, gdybym tytułu przynależnego mi używał; gdybym nosił moje nazwisko, usłyszałbyś pan jedno z najznakomitszych imion Anglii.

— Jakże się więc nazywasz? — zapytał Mazarini.

— Nazywam się Mordaunt — rzekł, kłaniając się młodzieniec.

Mazarini zrozumiał, że wysłaniec Cromwella pragnie zachować incognito. Zamilkł na chwilę, lecz za to przypatrywał się gorliwie z większą jeszcze, niż przedtem, uwagą. Młodzieniec zachowywał się obojętnie.

— Djabli nadali z tymi purytanami! — szepnął Mazarini — wszyscy, jak z marmuru wykuci.

A głośno dodał:

— Ale krewnych masz jeszcze.

— Jednego tylko, Ekscelencjo.

— Musi on ci dopomagać?

— Po trzykroć byłem u niego, błagając o pomoc, i po trzykroć rozkazał służbie, by mnie wypędziła.

— Och! Boże! mój drogi mości Mordaunt — zawołał Mazarini, w nadziei, iż tą litością zmyśloną uwikła młodzieńca. — Mój Boże!... jakże mnie opowiadanie twoje zajęło!... Nie znasz zatem pochodzenia swego?...

— Poznałem je niedawno.

— A dotąd nieznanne ci było...

— Uważałem się za dziecię opuszczone.

— Więc nigdy matki swej nie widziałeś?...

— I owszem, Ekscelencjo: gdy dzieckiem jeszcze byłem, odwiedziła mnie trzy razy u mamki; ostatnia jej bytność stoi mi tak w pamięci, jak gdyby to było dzisiaj.

— Dobrą masz pamięć widocznie — rzekł Mazarini.

— Oh!... dobrą, Ekscelencjo — odpowiedział młodzieniec tak osobliwym głosem, że kardynałowi dreszcz przeszedł po skórze.

— Kto cię wychował?... — pytał dalej Mazarini.

— Mamka francuzka, która, gdy miałem pięć lat, wyprowadziła mnie, widząc, że jej nie płacą już więcej, i powiedziała mi nazwisko krewnych, o których matka moja jej mówiła.

— I cóż się z tobą stało?...

— Płakałem i zebrałem na drogach publicznych, aż pewien mister z Kingston przygarnął mnie, wychował w religji kalwińskiej, dał wiedzę, jaką sam posiadał i dopomógł mi w poszukiwaniu mojej rodziny.

— A poszukiwania te?...

— Były bezowocne; wypadek wszystko zdziałał.

— Wykryłeś więc, co z matką swoją się stało?...

— Dowiedziałem się, że została zamordowana przez tego krewnego, przy pomocy czterech przyjaciół; dowiedziałem się nareszcie, że zostałem zdegradowany ze szlachectwa i odarty z majątku przez króla Karola I-go.

— A!... teraz rozumiem już, dlaczego służysz Cromwellowi. Nienawidzisz króla.

— Tak, nienawidzę go!.. Eminencjo!

Wyraz szatański, z jakim te słowa wypowiedziane zostały, mocno zadziwił kardynała; twarze pospolite krwią się zabarwiają, na oblicze zaś młodzieńca napłynęła żółć, nadając jej barwę nieledwie zieloną.

— Straszne są twoje dzieje, panie Mordaunt, wzruszyły mnie one do żywego; szczęście twoje, iż służysz Panu Wszechmocnemu. Winien ci on dopomóc w poszukiwaniach twoich. My na naszym stanowisku dużo miewamy wiadomości!...

— Ekscelencjo, pies rasowy niech tylko raz wpadnie na ślad, trafi z pewnością do końca.

— Chcesz może, bym pomówił z owym krewnym, o którym mi wspomniałeś? — odezwał się Mazarini, pragnąc zjednać sobie przychylnego w otoczeniu Cromwella.

— Dziękuję, mosiniorze, ja sam będę z nim mówił.

— Wszak powiedziałeś, że cię źle traktował?

— Obejdzie się ze mną lepiej za pierwszym razem. gdy się z nim zobaczę.

— Masz więc sposób, aby go zmiękczyć?

— Mam taki, żeby się mnie obawiał.

Spojrzał na niego Mazarini, lecz błyskawica, tryskająca z oczu młodzieńca, zmusiła go do spuszczenia głowy, a, nie chcąc przedłużyć tej rozmowy, otworzył list Cromwella. Oczy młodzieńca z wolna stawały się znowu przyćmione, szkliste, jak zazwyczaj; aż zapadł w głęboką zadumę.

Po przeczytaniu początkowych wierszy, Mazarini spojrział z pod oka na Mordaunta, czy nie śledzi czasami jego fizjognomji, lecz, dostrzegłszy jego zupełną obojętność, szepnął zcicha, wzruszając ramionami:

— Powierzajże tu sprawy ludziom, którzy jednocześnie swoje ułatwiają. Zobaczymy, czego w tym liście żądają ode mnie.

Przytaczamy list ten dosłownie:

„*Do Jego Eminencji monsiniora kardynała Mazarini.*

„Chciałem, monsiniorze poznać wasze zamiary odnośnie do spraw obecnych Anglii. Dwa te królestwa nadto są bliskie sobie, aby Francja nie zajmowała się i naszym położeniem, tak, jak my zajmujemy się Francją. Wszyscy prawie Anglicy zjednoczeni są dążnością zwalczania tyranji króla Karola i jego stronników. Postawiony na czele tego ruchu przez zaufanie publiczne, lepiej, niż ktokolwiek, oceniam stan rzeczy i jego następstwa. Teraz prowadzę wojnę i wydam bitwę stanowczą królowi Karolowi. Wygram ją, bo nadzieja narodu i duch boży są ze mną. Gdy to nastąpi, król nie znajdzie żadnego schronienia w Anglii, ani też w Szkocji, a jeżeli nie zostanie wzięty do niewoli, lub zabity, będzie próbował przedostać się do Francji dla zrekrutowania wojska, zdobycia broni i pieniędzy. Przyjęła już Francja królową Henrykę i nie-
naumyślnie zapewne podtrzymywała ogniska nieuśmierzonej wojny domowej w mym kraju; lecz królowa Henryka jest córką panującej rodziny francuskiej, zatem należała się jej gościnność. Co zaś do króla Karola, kwestja przedstawia się inaczej: przyjmując go i wspomagając, Francja nie uznawałaby czynów narodu angielskiego i najoczywiściej szkodziłaby Anglii, a nadewszystko zamierzeniom rządu, a taki stan rzeczy równałby się wrogicmu usposobieniu“.

W tej chwili Mazarini, zaniepokojony zwrotem, jaki przybierał ton listu, przerwał czytanie i znowu spojrzął z pod oka na młodzieńca. Ten trwał w swojej zadumie. Mazarini czytał tedy dalej:

„Niezbędne jest zatem, monsiniorze, abym wiedział, co mam sądzić o zamiarach Francji; interesy tego królestwa, jakoteż Anglii, jakkolwiek w przeciwnych kierunkach prowadzone, zbliżają się jednak więcej, niż możnaby sądzić. Anglja potrzebuje spokoju wewnętrznego, by dopełnić wygnania króla; tego samego potrzebuje Francja dla utrwalenia tronu młodego swojego monarchy; narówni z nami potrzebujecie tego spokoju wewnętrznego, którego jesteśmy bliscy, dzięki energii naszego rządu.

„Kłótnie wasze z parlamentem, głośnie poróżnienia z księżętami, którzy dziś walczą za was, a jutro przeciw

wam będą, zaciętość gmin, podtrzymywana przez koadjutora, prezydenta Blancmesnila i radcę Broussela; cały ten nieład nareszcie, przebiegający rozmaite stopnie rządu, winien wam przedstawić nieunikniony wynik wojny ościennej; wtedy bowiem Anglja, podniecona ogniem nowych idei, połączy się z Hiszpanją, która już związku tego pożąda. Znając więc, monsiniorze, rozsądek wasz i stanowisko czysto osobiste, jakie wytworzyły wam dzisiejsze wypadki, myślałem, iż wolelibyście skupić siły wasze wewnątrz królestwa Francji, a pozostawić Anglji jej nowy rząd angielski. Cała ta neutralność zasadzałaby się jedynie na wydaleniu króla Karola z terytorjum francuskiego i niedopomaganiu ani bronią, ani pieniędzmi, ani też wojskiem, temu królowi, najzupełniej obcemu dla waszego kraju.

„List mój więc jest natury najzupełniej poufnej, dlatego też posyłam go przez człowieka, posiadającego moje zupełne zaufanie; poprzedzać on będzie kroki moje w przyszłości, które przedsięwezmę stosownie do stanowiska, jakie Wasza Eminencja w sprawie pisma mojego zajmie“.

Olivier Cromwell sądził, iż lepiej uczyni, trafiając do przekonania człowiekowi wyższego umysłu, jakim jest Mazarini, aniżeli, udając się do królowej stanowczej niechybnie, lecz hołdującej próżnym przesądom urodzenia i władzy od Boga nadanej.

„Adieu, monsiniorze, jeżeli za dwa tygodnie odpowiedzi mieć nie będę, list mój uważać będę za niebyły.

„*Olivier Cromwell*“.

— Panie Mordaunt — odezwał się kardynał głosem podniesionym, jak gdyby chcąc zbudzić zadumanego — odpowiedź moja na list ten o tyle więcej będzie zadawalająca dla generała Cromwella, o ile większą pewność mieć będę, iż nikomu wiadome się nie stanie, że mu ją dałem. Jedź zatem oczekiwać na nią w Boulogne-sur-mer i przyrzeknij mi, że jutro rano już cię tu nie będzie.

— Przyrzekam, monsiniorze, — odparł Mordaunt — lecz ile dni każe Wasza Eminencja czekać na odpowiedź?

— Jeżeli za dziesięć dni nie otrzymasz jej, możesz odejść.

Mordaunt skłonił się.

— To jeszcze nie wszystko, mój panie — kończył Ma-

zarini — osobiste twoje przygody żywo mnie obeszły; nadto list pana Cromwella nadaje ci w oczach moich znaczenie ambasadora. Raz więc jeszcze zapytuję, co mogę dla ciebie uczynić?

Zastanowił się chwilę Mordaunt i po pewnem wahaniu otworzył usta, by przemówić, gdy naraz wszedł z pośpiechem Bernouin i szepnął coś kardynałowi do ucha.

— Monsiniorze — mówił — królowa Henryka, w towarzystwie szlachcica angielskiego, w tej właśnie chwili wchodzi do Palais - Royal.

Żachnął się Mazarini, co nie uszło uwagi młodzieńca i powstrzymało go od zwierzenia, które już miał na ustach.

— Panie — rzekł do niego kardynał, wszak zrozumiałeś mnie?... Oznaczyłem ci Boulogne w przekonaniu, że wszystkie miasta francuskie są ci obojętne; wszelako, gdybyś inne nad to przekładał, wymień je; gdyż, jak łatwo pojmujesz, otoczony różnemi wpływami, uniknąć ich mogę jedynie przy zachowaniu najgłębszej dyskrecji, pragnę więc, aby obecność twoja w Paryżu pozostała w tajemnicy.

— Odjadę, panie — rzekł Mordaunt, postępując ku drzwiom wchodowym.

— Nie tędy, proszę cię!... — gwałtownie zawołał kardynał — zechciej iść przez galerję do przedsionka. — Chcę, aby nie widziano, jak wychodzić będziesz; widzenie nasze winno być zatajone.

Mordaunt wyszedł, poprzedzony przez Bernouina, który przeprowadził go przez salę sąsiednią i powierzył woznemu, wskazując drzwi do wyjścia. Potem pośpiesznie wrócił do pana swego, aby wprowadzić królowę Henrykę, przechodzącą już pod oszkloną galerją.

ROZDZIAŁ XLI

MAZARINI I KRÓLOWA HENRYKA

Zerwał się z miejsca kardynał na powitanie królowej Anglii. Spotkał ją w połowie galerji, wiodącej do gabinetu. Tem więcej wysiłał się na dowody szacunku dla tej królowej bez dworu i blasku, im bardziej miał sobie do wyrzucenia skąpstwo swoje względem niej i brak serca.

Lecz zanoszący prośbę umięją zmusić twarz swoją do przybrania wyrazu stosownego do okoliczności; tak też i córka Henryka IV-go z uśmiechem szła na spotkanie nienawistnego sobie człowieka, którym się szczerze brzydziła.

— A!... — mówił w duchu Mazarini — co za słodkie oblicze! może pieniądze przychodzi pożyczyc?

I zerknął z niepokojem na zatrask u swojej kasy; odwrócił nawet do spodu wspaniały djament w pierścieniu, zwracający uwagę na piękną i białą jego rękę. Niestety, pierścień ów nie miał własności pierścienia owego Gygesa, który go czynił niewidzialnym w takiej sytuacji, w jakiej obecnie znajdował się kardynał.

Mazarini pragnął stać się niewidzialny. Odgadywał bowiem, iż — skoro tak źle traktowana przez niego Henryka zjawiała się przed nim z uśmiechem na twarzy, zamiast słów groźby na ustach, — przychodziła widocznie w roli proszącej.

— Panie kardynale — odezwała się dostojna odwiedzająca — zrazu miałem zamiar pomówienia z królową, siostrą moją w sprawie, która mnie tu sprowadza, lecz zastanowiłam się, iż rzeczy takie przedewszystkiem do mężczyzn należą.

— Pani — odparł Mazarini — chciej wierzyć, iż zmie-

szany się czuję tem pochlebnem wyróżnieniem Waszej Królewskiej Mości.

— Strasznie uprzejmy — pomyślała w duchu królowa — miałaby mnie odgadnąć?

Przybyli już do gabinetu. Podsunął królowej fotel, a gdy usiadła, rzekł:

— Rozkazuj, pani, najpokorniejszemu słudze swemu.

— Niestety! panie — odparła królowa — odwykłam od dawania rozkazów, a nauczyłam się prośby zanosić. Przychodzę prosić i szczęśliwa będę, jeżeli mnie wysłuchasz.

— Słucham cię, pani — rzekł Mazarini.

— Panie kardynale, chodzi tu o wojnę, którą król mój małżonek podtrzymuje przeciw swoim buntowniczym poddanym. Być może, iż nie wiadomo ci, iż biją się w Anglii — dodała królowa ze smutnym uśmiechem — i że wkrótce nastąpi starcie więcej stanowcze, niż te, które były dotąd.

— Tak, pani, najzupełniej nie wiem o niczem — odezwał się kardynał, dodając do słów swoich lekkie wzruszenie ramion. — Niestety! własne nasze wojny pochłaniają czas i umysł biednego, niezdolnego i słabego ministra, jak ja.

— A zatem, panie kardynale — mówiła dalej królowa — donoszę ci, że Karol I-szy, małżonek mój, jest w przededniu przedsięwzięcia kroku stanowczego. W razie niepowodzenia (Mazarini drgnął), należy przewidywać wszystko — kończyła królowa — w razie niepowodzenia, pragnie usunąć się do Francji i żyć tu najzupełniej prywatnie. Co mówisz, panie, o tym zamiarze?

Kardynał słuchał bez najmniejszego drgnienia w twarzy, mogącego zdradzić doznane wrażenie; słuchał z jednostajnym niezmiennym uśmiechem, fałszywym i pieśczośliwym, aż królowa skończyła.

— Czyż pani sądzisz — rzekł miodowym głosem — iż Francja, tak niespokojna i wzburzona, jak obecnie, może być zbawienną przystanią dla króla zdetronizowanego. Chwieje się korona na głowie Ludwika XIV-go, jakżeby mógł on znieść podwójny jej ciężar?

— Nie był on zbyt wielki, jak dla mnie — wtrąciła królowa z bolesnym uśmiechem — i nie żądam, aby więcej świadczone mężowi mojemu, aniżeli mnie. Jak widzisz, panie, jesteśmy nader skromnymi królami.

— O! ty, pani, ty — z pośpiechem przemówił kardynał, aby przerwać wymówki, które przeczuwał — pani, to co innego zupełnie; córka Henryka IV, tego wielkiego, wzniosłego króla...

— Co ci jednak nie przeszkadza odmówić gościnności zięciowi jego, nieprawdaż, mój panie? Wszelako winieś sobie przypomnieć, jak ten wielki, wzniosły król, gdy przyszedł czas wywołania go z kraju, tak jak to z moim mężem będzie, udał się do Anglii o pomoc i ta mu jej udzieliła; prawdę zaś mówiąc, królowa Elżbieta siostrzenicą jego nie była.

— *Peccato!*... — syknął Mazarini, wijąc się pod tą tak prostą logiką.

— Nie rozumie mnie Wasza dostojność; moje zamiary źle są przez nią tłumaczone, i to dlatego chyba, że niejasno wyrażam się po francusku.

— Proszę mówić po włosku, mój panie! Królowa Maja de Medecis, nasza matka, nauczyła nas tego języka, zanim kardynał, poprzednik pański, nie wysłał jej, aby na wygnaniu umarła. — Jeżeli pozostały jeszcze szczątki tego króla wielkiego, tego wzniosłego Henryka, o którym mówiłeś przed chwilą, mocno zdziwione być muszą owem głębokiem uwielbieniem dla nich, w połączeniu z takim brakiem litości dla jego rodziny.

Pot kroplisty wystąpił na czoło Mazariniego.

— Przeciwnie, pani, uwielbienie to jest tak głębokie i rzeczywiste — odezwał się Mazarini, nie korzystając z udzielonej mu przez królowę propozycji mówienia po włosku, że gdyby król Karol I-szy — niech go Bóg strzeże od nieszczęść wszelkich! — przybyć miał do Francji, dom własny, mój dombym mu otworzył; niestety jednak! schronienie to niezbyt byłoby pewne! Nadejdzie dzień, w którym lud spali ten dom, jak już z domem marszałka d'Acre uczyniono. Biedny Concino Concini! a jednak on dobra Francji pragnął jedynie.

— Tak,... jak pan, monsiorze — z ironią rzekła królowa.

Mazarini udał, iż nie rozumie dwuznaczności własnego frazesu, i rozwodził się w dalszym ciągu nad nieszczęśliwym losem Conciniego Concini.

— Lecz ostatecznie, panie kardynale, — przerwała mu zniecierpliwiona królowa — jaką mi dasz odpowiedź?

— Pani!... — zawołał coraz więcej rozrzewniający się kardynał — czy Wasza wysokość pozwoli dać sobie jedną radę? Rozumie się, iż nim zdobędę się na tę śmiałość, poczynam od tego, iż ścielę się do stóp Waszej wysokości z gotowością na wszystko, co może jej sprawić przyjemność.

— Mów pan — odparła królowa — rada człowieka tak, jak pan, przezornego będzie dobra z pewnością.

— Wierzej mi, pani, król winien bronić się do ostatka.

— Tak też uczynił, a ostatnia bitwa, którą ma wydać z siłami o wiele niższymi, aniżeli siły jego nieprzyjaciół, dowodzi, iż nie myśli ulec bez walki; lecz ostatecznie, jeżeli zostanie zwyciężony...

— W takim razie, zdaniem mojem, czuję całe zuchwałstwo moje, objawiając to Waszej wysokości, lecz, zdaniem mojem, król nie powinien opuszczać swego królestwa; królowie nieobecni szybko bywają zapomniani: jeżeli schroni się do Francji, sprawa jego przepadła!

— Jeżeli takie twoje zdanie, monsiorze, i jeżeli cię prawdziwie obchodzi, pošlij mu posiłki w ludziach i pieniądzech, bo ja nic już więcej zrobić dla niego nie mogę, bo ja, aby mu dopomóc, wyprzedałam się do ostatniego brylantu; nic mi już nie pozostało, wiesz o tem panie, wiesz lepiej, niż ktokolwiekbądź. Gdyby mi był klejnot, jaki pozostał, kupiłabym drzewa, aby ogrzać tej zimy siebie i córkę.

— A! pani — odezwał się Mazarini — Wasza wysokość nie pojmuje, czego ode mnie żąda: w dniu, w którym obca pomoc wkroczy z królem, ażeby go na tron powrócić, tem samem nastąpi przyznanie, iż utracił miłość swoich poddanych.

— Do rzeczy, panie kardynale — rzekła królowa, znużona śledzeniem subtelności słów, w których labiryncie sam kardynał się gubił — do rzeczy, odpowiedz mi: tak czy nie. Jeżeli król obstawać będzie przy pozostaniu w Anglii, czy pošlesz mu posiłki? A jeżeli do Francji przybędzie, czy mu udzielisz gościnności?

— Pani — odparł kardynał, po mistrzowsku udając szczerłość — mam nadzieję dowieść Waszej wysokości, jak oddany jej jestem i jak pragnę zakończyć sprawę, tak mi na sercu ciężącą, poczem spodziewam się, iż Wa-

sza wysokość przestanie powątpiewać o gorliwej mej chęci usłużenia jej.

Królowa, przygryzając usta, niecierpliwie poruszyła się w fotelu.

— Ciekawa jestem, co pan przedsięwzięmiesz? no, powiedz!... — rzekła nareszcie.

— Idę natychmiast do królowej poradzić się w tej sprawie, a następnie roztrząśniemy ją w parlamencie.

— Z którym toczysz wojnę, wszak tak, kardynale? Poddasz ją pod sąd Broussela. Dosyć, dosyć, panie kardynale! Rozumiem cię, a raczej jestem w błędzie; idź do parlamentu, gdyż on to jest głównym nieprzyjacielem tych królów, którzy przyszli w pomoc córce owego wielkiego, wzniosłego Henryka IV-go i nie dopuścili, aby umarła tej zimy z głodu i zimna.

Z temi słowy królowa powstała z wyniosłością i wyrazem oburzenia na twarzy. Kardynał wyciągnął do niej złożone ręce.

— A! pani, pani, jakże mnie nie znasz, o Boże!

Lecz królowa, nie obejrzawszy się nawet na tego, co wylewał te łzy krokodyl, przeszła przez gabinet, sama drzwi otworzyła i pośród licznej straży Jego Eminencji, dworzan, cisnących się z czołobitnością, pośród tego przepychu królewskiego — ujęła ramię Wintera; sama, opuszczona, biedna upadła królowa, przed którą schyłano jeszcze głowy, lecz przez etykietę jedynie, w rzeczywistości miała jedno tylko ramię, na którym wesprzeć się mogła.

— Swoją drogą — rzekł do siebie Mazarini — przykrość mi to sprawiło, ciężką też rolę musiałem odegrać. Nic nie powiedziałem jednak, ani jednej, ani drugiej stronie. Hum! twardy myśliwy na królów z tego Cromwella; nie zazdrośczone ministrom, jeżeli ich mieć kiedy będzie.

— Bernouin!...

Bernouin nadbiegł.

— Trzeba zobaczyć, czy młodzieniec w czarnym spencerze, z krótkimi włosami, którego wprowadziłeś do mnie niedawno, znajduje się jeszcze w pałacu?

Bernouin wyszedł. Chwili tej użył kardynał na odwrócenie brylantu do góry i przetarcie takowego, podziwia-

nie jego wody, a ponieważ łzy zapływały mu jeszcze oczy i przyćmiewały wzrok, osuszył je dłonią pośpiesznie.

Bernouin powrócił z panem Comminges, który był na służbie.

— Monsiniorze, — rzekł Comminges — gdy przeprowadzałem młodzieńca, o którego Wasza Eminencja zapytuje, zbliżył się do oszklonych drzwi galerji i przypatrywał się czemuś zdziwiony, niezawodnie obrazowi Rafaela nawprost nich umieszczonemu; potem zadumał się chwilę i zeszedł na dół. Zdaje mi się, iż go widziałem, jak wsiadał na siwego konia, i wyjeżdżał z pałacowego dziedzińca; lecz czy Wasza Eminencja nie pójdzie do królowej?

— Po co?

— Pan de Guitaut, mój wuj — mówił mi właśnie, że Jej wysokość odebrała wiadomość z armji.

— To dobrze, idę... idę.

Mordaunt zachował się tak, jak powiedział pan Comminges. Przechodząc galerją, równoległą do wielkiej galerji oszklonej, zobaczył Wintera, oczekującego tam na królową, prowadzącą układy z kardynałem.

Na ten widok — młodzieniec stanął, jak wryty, bynajmniej nie w uwielbieniu przed obrazem Rafaela; wytrzeszczył oczy, dreszcz przebiegł mu po ciele, zdawało się, że chce przebyć zaporę szklaną, dzielącą go od wroga, i gdyby Comminges widział był wyraz nienawiści w oczach młodzieńca, zwróconych na Wintera, nie miałby wątpliwości najmniejszej, iż tenże zobaczył w angliku śmiertelnego nieprzyjaciela.

Wstrzymał się jednak, aby się namyślić zapewne, bo zamiast pójść za pierwszym popędem, który skłaniał go do rzucenia się na Wintera, zeszedł powoli ze schodów, z głową schyloną opuścił pałac, wskoczył na siodło, przystanął za rogiem ulicy Richelieugo, i z wzrokiem utkwionym, w sztachety, czekał na ukazanie się na dziedzińcu karety królowej.

Niedługo to trwało, bo bytność królowej u Mazariniego kwadrans czasu zaledwie zabrała; lecz czas ten wiekiem był dla oczekującego; nareszcie ciężka machina, karetą wówczas zwana, z hukiem z za krat się wytoczyła, obok niej Winter na koniu, pochylony do drzwiczek, rozmawiał z Jej wysokością.

Konie szły truchtem i zawróciły drogą do Luwru, gdzie

się zatrzymały. Przed odjazdem z klasztoru, królowa Henryka poleciła córce oczekiwać na siebie w pałacu, przez dłuższy czas przez nią zamieszkiwanym, który opuściła, jako że wśród tych sal złożonych nędza ich tem cięższa im się wydawała.

Mordaunt podążył za nimi, a widząc powóz wtaczający się pod ciemne sklepienie, przycisnął się z koniem do muru, podobny do płaskorzeźby Jana Goujon, przedstawiającej posąg konny.

I teraz znów czekał, jak poprzednio w Palais - Royal.

ROZDZIAŁ XLII

NIESZCZĘŚLIWI BIORĄ NIEKIEDY PRZYPADEK ZA ZRZĄDZENIE OPATRZNOŚCI

— I cóż, pani?... — zagadnął de Winter, skoro królowa oddaliła służbę.

— Stało się, co powiedziałam, milordzie.

— Odmawia?...

— Czyż nie mówiłam tego z góry?

— Kardynał odmawia przyjęcia króla, Francja wzdraga się udzielić gościnności nieszczęśliwemu księciu?... ależ, pani, nigdy tego nie było!...

— Milordzie, nie powiedziałam Francja, tylko kardynał, a on nawet nie jest francuzem.

— A królowa, czy Wasza wysokość z nią się widziała?...

— Na co się to przyda — odrzekła Henryka, smutnie potrząsając głową — królowa chyba nie powie: tak, gdy kardynał powiedział już: nie. Alboż nie wiesz, milordzie, iż Włoch ten wszystkiem kieruje jak wewnątrz, tak i na zewnątrz?... Co więcej, powtarzam ci to raz jeszcze, nie zdziwiłoby mnie, gdybyśmy zostali uprzedzeni przez Cromwella; rozmawiając ze mną, mocno był zaambarasowany, a pomimo to wytrwał w odmowie. Zresztą, uważałeś zapewne ten ruch w Palais - Royal, ową bieganinę wyższych urzędników?... Mielizby jakie nowiny, milordzie?...

— Chyba nie z Anglii, pani; śpieszyłem się tak, iż pewny jestem, że nikt mnie nie mógł uprzedzić; trzy dni temu wyruszyłem, cudem przedarłem się przez armję purytańską; wziąłem ze służącym moim Tony pocztowe konie, a te, które nam służą obecnie, kupiłem w Paryżu. Tembar-

dziej pewny jestem, że król, zanim coś przedsięweźmie, zaczeka na odpowiedź Waszej wysokości.

— Odpowiesz mi, milordzie, — odparła królowa zrozpaczona — że nic już nie mogę, że nawet więcej jeszoze, jak on, przecierpiałam, zmuszona jeść chleb wygnańczy, domagając się gościnności u fałszywych przyjaciół, szydzących z łez moich. Pozostaje mi już chyba tylko poświęcić się i zginąć, jak przystało królowi. Pójdę i ja przy jego boku skonać.

— Pani!... pani!... — zawołał de Winter — Wasza wysokość poddaje się rozpaczy, a kto wie, czy nie pozostaje nam jeszcze choć promyk nadziei.

— Nie mamy przyjaciół na całym świecie, prócz ciebie, milordzie! O Boże, mój Boże!... — zawołała królowa, wznosząc ku niebu ręce — czyż ani jednego serca szlachetnego nie zostawiłeś na ziemi?...

— Spodziewam się, iż tak nie jest, — odparł, zamysłając się de Winter — wspominałem pani o czterech ludziach.

— I cóż z nimi dokażesz?...

— Dużo mogą czterej ludzie wierni i śmierci śmiało patrzący w oczy, wierzaj mi, pani, a ci, o których mówię, wiele w swoim czasie zrobili.

— Gdzież oni są?...

— A!... właśnie, że nie wiem. Dwadzieścia lat prawie, jak straciłem ich z oczu, a jednak ile razy widziałem króla w niebezpieczeństwie, oni przychodzili mi na myśl.

— Byłeś pan z nimi w przyjaźni?...

— Jeden z nich miał w swoich rękach życie moje i darował mi je; nie wiem, czy przyjaźń dla mnie dotąd zachował jeszcze, lecz to wiem, iż ja pozostałem mu wierny.

— Czy oni znajdują się we Francji, milordzie?...

— Tak sądzę.

— Powiedz mi ich nazwiska; być może, obity mi się one kiedyś o uszy i będę w stanie pomóc ci w poszukiwaniach.

— Jeden z nich nazywał się kawaler d'Artagnan.

— O! milordzie! ten jest porucznikiem gwardji i, o ile się nie mylę, słyszałam to nazwisko, lecz miej się na baczności, obawiam się, iż człowiek ten oddany jest kardyna-

— Byłoby to ostatecznym nieszczęściem, i gotówbym uwierzyć, iż rzeczywiście jesteśmy przeklęci.

— A inni — rzekła królowa, czepiając się ostatniej nadziei, jak rozbitek czepia się szczątków okrętu — a inni, milordzie?

— Drugi, którego nazwisko słyszałem wypadkowo, bo ci czterej panowie powiedzieli je, zanim przyszło między nami do pojedynku; drugi nazywał się hrabia de la Fère. Co do dwóch zaś pozostałych, ponieważ przywykłem nazywać ich imionami przybranymi, prawdziwe wyszły mi z pamięci.

— O! mój Boże! najpilniejszą jednak rzeczą byłoby odnaleźć ich — mówiła królowa — skoro sądzisz pan, iż zacni ci ludzie mogliby królowi być przydatni.

— O! bezwątpienia — odrzekł Winter — są to bowiem ci sami, którzy... ale, zechciej pani tylko przywołać wspomnienie swoje. Czy nie słyszałaś pani, jak Anna austriacka została niegdyś wybawiona z największego niebezpieczeństwa, jakie kiedykolwiek grozić mogło królowej?

— Pamiętam coś takiego z czasów jej miłostek z Buckinghamem — z powodu jakichś zapinek djamentowych.

— To właśnie, pani, oni wybawili królową i śmiech politywania mnie bierze na myśl, że królowa puściła ich w niepamięć, (skoro imiona tych szlachetnych ludzi nie są ci znane) — gdy tymczasem winna była uczynić ich najpierwszymi dygnitarzami w królestwie.

— Trzeba ich zatem odnaleźć, milordzie! lecz czegoż dokazać może czterech, a raczej trzech ludzi, gdyż mówię ci, iż na d'Artagnana niepodobna liczyć.

— O jedną dzielną szpadę byłoby mniej, pozostanie nam wszakże trzy, nie licząc mojej: czterech zatem wiernych ludzi przy boku króla od nieprzyjaciółby go strzegło, osłaniało w bitwie, radą wspomagało, przeprowadzało w ucieczce. Nie wystarczą oni na to, aby zwyciężskim króla uczynić, lecz, aby ocalić zwyciężonego, dopomóc w przeprawie morskiej, i niech Mazarini, co chce, mówi, lecz, dostawszy się na brzegi Francji, tyle chociaż schronienia znalazłby królewski wasz małżonek, ile ptak morski w burzy może go znaleźć.

— Odnajdź ich, odnajdź, milordzie, a gdy to już nastąpi, jeżeli zechcą przedostać się do Anglii, każdego z nich

księstwem obdarzę w dniu powrotu naszego do tronu, a nadto dam jeszcze tyle złota, ile byłoby potrzeba na za-
brukowanie zamku Witehall. Szukaj ich, szukaj, milor-
dzie, zaklinam cię na wszystkie świętości.

— Szukałbym ich, pani, i bezwątpienia znalazłbym, lecz
nie mam na to czasu. Czy Wasza wysokość zapomina, że
król czeka jej odpowiedzi i to z wielkiem utęsknieniem?

— Zatem jesteśmy zgubieni! — zawołała królowa z wy-
buchem rozdartego serca.

W tejsze chwili ukazała się we drzwiach młoda Henry-
ka, a wtedy królowa siłą nadludzką, która jest cechą bo-
haterstwa matek, stłumiła łyzy na dnie serca, dając Winte-
rowi znak porozumienia, aby zmienił rozmowę.

Jakkolwiek działanie odporne było potężne, nie uszło
oczom młodej księżniczki; stanęła na progu, westchnęła
i, zwracając się do królowej, zapytała:

— Czemu, mameczko, płaczesz zawsze beze mnie?

Uśmiechnęła się królowa i zamiast odpowiedzieć —
rzekła.

— Widzisz, Winterze, jedno przynajmniej zyskałam
na tem, iż napół tylko królową jestem, bo oto, dzieci na-
zywają mnie matką, zamiast tytułować panią.

A zwracając się następnie do córki — zapytała:

— Czego chcesz ode mnie, Henryko?

— Matko — odparła młoda księżniczka — jeździec ja-
kiś przybył do Luwru i chce cześć swoją złożyć Waszej
wysokości; przybywa z armji i mówi, iż ma list do wrę-
czenia ci od marszałka de Grammont, o ile mi się zdaje.

— Al to jeden z życzliwych mi... Czy zauważyłeś, dro-
gi milordzie, iż córka moja musi pełnić obowiązki wpro-
wadzającej?

— Miej litość nade mną, pani — odezwał się Winter-
ranisz mi serce.

— A któż jest tym jeźdźcem, Henryko? — pytała kró-
lowa.

— Z okna widziałam, pani, jest to młodzieniec, wyglą-
dający na szesnaście lat zaledwie, a zwie się wicehrabia
de Bragelonne.

Królowa z uśmiechem skinęła głową, księżniczka drzwi
otworzyła i Raul stanął na progu.

Postąpił trzy kroki i przyklęknął przed królową.

— Pani — rzekł — przynoszę Waszej wysokości list od

przyjaciela mojego, hrabiego de Guiche, który polecił mi służby swoje jej świadczyć; list ten zawiera ważną nowinę i wyrazy jego szacunku.

Nazwisko hrabiego de Guiche wywołało rumieniec na lica młodej księżniczki; królowa prawie surowo na nią spojrzała.

— A powiedziałaś mi, Henryko, iż list miał być od marszałka de Grammont? — rzekła.

— Zdawało mi się, pani — wyjąkało dziewczę.

— Moja w tem, pani, wina — odezwał się Raul — de Grammont, lecz, on ranny w prawą rękę, nie mógł pisać, za sekretarza więc służył mu hrabia de Guiche.

— To była bitwa? — mówiła królowa, dając znak Raulowi, aby się zbliżył.

— Tak, pani — odrzekł młodzieniec, podając list Winterowi, który zaniósł go królowej.

Na wieść o bitwie, młoda księżniczka poruszyła ustami, chcąc o coś zapytać widocznie, lecz słowa jej zamarły, a natomiast rumieniec, kraszające jej lica, zaczęły znikać.

Królowa to spostrzegła, a serce macierzyńskie zrozumiało, bo, zwracając się do Raula, zapytała:

— A czy młodemu hrabiemu de Guiche nie stało się coś złego? on nietylko przychylny nam jest, jak panu to sam powiedział, lecz należy do przyjaciół naszych.

— Nie, pani — odrzekł Raul — przeciwnie, zyskał w dniu tym ogromną sławę i spotkał go ten zaszczyt, iż księżę uściskał go na polu bitwy.

Księżniczka klasnęła w dłonie, lecz zawstydzona, iż dała się zdradzić swojej radości, pochyliła się nad wazonem z różami, udając, że napawa się ich wonią. — Królowa złamała pieczętkę i czytała:

„Królowo i pan!

„Będąc sam pozbawiony zaszczytu pisania do Waszej wysokości — z przyczyny rany, otrzymanej w prawą rękę, — wyřęczam się moim synem, hrabią de Guiche, który jest sługą pani narówni z ojcem swoim, i donoszę, iż wygraliśmy bitwę pod Lens i że to zwycięstwo nada niechybnie wielką przewagę kardynałowi Mazarini i królowej w sprawach europejskich. Jeżeli Wasza wysokość zechce usłuchać rady mojej, to skorzystać może z chwili, by poprzeć u urzędu królewskiego sprawę dostojnego swo-

jego małżonka. Pan de Bragelonne, zaszczycony powierzeniem mu tego listu, jest przyjacielem mojego syna, któremu według wszelkiego prawdopodobieństwa ocalił życie: jest to szlachcic, któremu Wasza wysokość w pełni zaufać może, w razie, gdyby miała mi do przesłania piśmienny lub ustny rozkaz.

„Mam zaszczyt pozostawać z winnym szacunkiem, etc.
Marszałek de Grammont“.

W miejscu, gdzie była mowa o wyświadczeniu przysługi młodemu hrabiemu, Raul spojrział mimowolnie na księżniczkę i dostrzegł w oczach jej, na siebie zwróconych, wyraz bezbrzeżnej wdzięczności. Nie było żadnej wątpliwości; córka Karola I-go kochała jego przyjaciela.

— Wygrana bitwa pod Lens! — odezwała się królowa. — Szczęśliwi zwyciężają! Tak, marszałek ma słusność, że postać rzeczy zmieni się przez to; obawiam się jednak, iż na sprawy nasze nie wpłynie bynajmniej, byleby tylko szkody nie przyniosła.

— Wiadomość ta jest najświeższa — kończyła królowa — umiem ocenić pośpiech pana w udzieleniu mi jej; gdyby nie pan i nie ten list, doszłaby do mnie jutro, pojutrze, a może najpóźniej w całym Paryżu.

— Pani — odezwał się Raul — Luwr jest drugim pałacem, gdzie wieść ta się dostała, a nikt więcej o tem nie słyszał jeszcze i przysięgam hrabiemu de Guiche doręczyć ją pierwej Waszej wysokości, zanim powitam mojego opiekuna.

— Czy opiekun pana to samo, co pan, nosi nazwisko? — zagadnął de Winter. — Znałem niegdyś Bragelonna, lecz nie wiem, czy żyje jeszcze?

— Umarł już, panie, po nim zaś opiekun mój, jako bliiski krewny, odziedziczył ziemię, której noszę imię.

— A jak się nazywa twój opiekun? — zapytała królowa, nie mogąc się oprzeć zajęciu, jakie wzbudzał w niej młodzieniec.

— Hrabia de la Fère, pani — odpowiedział, kłaniając się.

De Winter poruszył się zdziwiony, królowa spojrzała na niego z wybuchem radości.

— Hrabia de la Fère! — zawołała — wszak to nazwisko mi wymieniłeś?

Winter uszom swoim nie wierzył.

— Hrabia de la Fère — wykrzyknął z kolei — oh! powiedz mi, błagam: czyż to nie ten, którego znałem, jako pięknego i dzielnego muszkietera za Ludwika XIII-go? teraz mógłby mieć około czterdziestu ośmiu lat?

— Tak, panie, co do słowa.

— Służył pod przybranem nazwiskiem?

— Pod imieniem Athosa. — Ostatniemi czasy słyszałem, jak przyjaciel jego pan d'Artagnan tak go nazywał.

— Ten sam, ten sam. Chwała ci Boże! Czy jest w Paryżu? — pytał dalej Raula de Winter. Następnie, zwracając się do królowej: — Nie trać nadziei, pani, Opatrzność sprzyja nam widocznie, skoro odnajduję w sposób cudowny tego dzielnego i szlachetnego człowieka. Gdzie on mieszka, powiedz mi pan, proszę?

— Hrabia de la Fère mieszka przy ulicy Guenégaud, w hotelu du Grand-Roi-Charlemagne.

— Dzięki. Oznajmij pan temu zacnemu przyjacielowi, aby nie wychodził z domu; niezwłocznie pośpieszę go uściskać.

— Panie, spełnię z ochotą zlecenie wasze, skoro tylko Jej wysokość zechce mnie oddalić.

— Idź już, wicehragio de Bragelonne — odezwała się królowa — idź i bądź przekonany o całej życzliwości naszej.

Raul złożył głęboki ukłon i odszedł.

De Winter rozmawiał jeszcze czas jakiś z królową, by młoda księżniczka dosłyszeć nie mogła; ostrożność ta była bezcelowa: księżniczka stała pogrążona we własnych myślach. Gdy de Winter zabierał się do odejścia, królowa rzekła:

— Słuchaj, milordzie, zachowałam jeszcze ten krzyżyk djamentowy, pochodzący od matki, i gwiazdę Świętego Michała od męża mojego; wartość ich wynosi około pięćdziesięciu tysięcy liwrów. Przysięgłam umrzeć raczej z głodu, zanim pozbędę się tych drogich pamiątek, dziś jednak, gdy te klejnoty mogą być pomocne jemu lub obrońcom jego, dla tej nadziei wszystko poświęcić należy. Zabierz je i jeżeli potrzebujesz pieniędzy na wyprawę swoją sprzedaj je bez obawy, milordzie, sprzedaj. W razie jednak, gdy znajdziesz sposób zachowania ich, pomnij, milordzie, iż policzone ci to będzie za najwyższą przysługę, jaką szlachcic może świadczyć królowej, i że ten,

kto w dniach powodzenia mego odniesie mi ten krzyżyk i gwiazdę, błogosławiony będzie przeze mnie i przez dzieci moje.

— Pani — rzekł de Winter — sprawy tej strzec będzie człowiek, oddany całą duszą Waszej księżęcej mości. Śpieszę złożyć te dwa przedmioty w miejscu bezpiecznym i użyję ich tylko, gdy nasze mienie starczyć nam już nie będzie; bo skonfiskowano nam dobra, gotówka się wyczerpała i zeszliśmy na to, iż zmuszeni jesteśmy ratować się tylko tem, co posiadamy jeszcze. Za godzinę będę u hrabiego de la Fère, a jutro będzie miała Wasza królewska mość stanowczą odpowiedź.

Królowa podała mu rękę, którą ucałował z pełnym szacunkiem, poczem rzekła, zwracając się w stronę swej córki:

— Milordzie, miałeś przekaz jakiś od ojca dla tego dziecięcia.

Staął — zdziwiony, — nie pojmując znaczenia tych słów królowej. Widząc to, Henryka podeszła uśmiechnięta i zarumieniona, podając mu czoło:

— Powiedz, milordzie, ojcu memu, — odezwała się księżniczka — że król, czy wygnaniec, zwycięzca czy zwyciężony, wszechwładny, czy biedny, ma zawsze we mnie córkę najuleglejszą i najbardziej przywiązaną.

— Wiem o tem — odparł de Winter, dotykając ustami czoła Henryki.

I odszedł nieprzeprowadzony, przez te puste i ponure pokoje, ocierając łzy, których pomimo zobojętnienia lat pięćdziesięciu nie mógł powstrzymać na widok nieszczęścia tak wielkiego, a znoszonego z godnością i spokojem.

ROZDZIAŁ XLIII

STRYJ I SYNOWIEC

Pachołek Wintera czekał na niego wraz z koniem u bramy: w zamyśleniu zmierzał ku domowi, oglądając się za siebie od czasu do czasu i przypatrując milczącej i ponurej fasadzie Luwru.

Naraz zdało mu się, jakoby od muru oderwał się jeździec i postępował za nim w oddali; przyszła mu wtedy na myśl, że przy wyjeździe z Palais - Royal, taki sam cień za nim podążał.

Pachołek Wintera, jadący o kilka kroków za nim, z niepokojem nie spuszczał go z oczu.

— Tony!... — odezwał się szlachcic, przywołując słującego skinieniem.

— Jestem jaśnie panie.

I zrównał się ze swoim panem.

— Czy zauważyłeś człowieka, jadącego za nami?...

— Tak, milordzie.

— Któż to taki?...

— Nie wiem; nie odstępuje on Waszej miłości od samego Palais - Royal, zatrzymał się w Luwrze, oczekując widocznie ukazania się pańskiego i stąd znowu nam towarzyszy.

— Może to szpieg kardynalski — pomyślał de Winter — udajmy, że go nie spostrzegamy.

I, spiąwszy konia, zapuścił się w kręte ulice, prowadzące do hotelu, położonego w okolicy Marais; przez długi czas zamieszkiwał przy placu Royal, więc teraz pomieścił się w pobliżu dawnej swojej siedziby. Nieznajomy puścił konia galopem.

De Winter stanął przed domem i wszedł do mieszkania

z zamiarem obserwowania szpiega, lecz gdy składał rękawiczki i kapelusz na konsoli, ujrzał w lustrze, nad nią wiszącym, postać zarysowującą się we drzwiach pokoju. Odwrócił się, Mordaunt stał przed nim. De Winter pobladał i stanął, jak wryty. Mordaunt zaś nieruchomy, zimny i groźny, patrzył na niego na podobieństwo statui komandora. Nastąpiła chwila mrozącego milczenia.

— Panie!... — odezwał się de Winter — o ile mi się zdaje, dałem ci już do zrozumienia, iż prześladowanie to nuży mnie; oddal się więc, lub każę cię, jak w Londynie, wypędzić. Stryjem twoim nie jestem i nie znam cię wcale!...

— Mylisz się, mój stryju — odparł ostrym i drwiącym głosem Mordaunt — tym razem nie ośmielisz się wypędzić mnie. Co zaś do zaprzeczania pokrewieństwa naszego, namyśl się nieco, zanim to zrobisz teraz, gdym się dowiedział wielu rzeczy, których nie znałem przed rokiem.

— E!... nie obchodzi mnie zgoła to, czegoś się dowiedział!

— O!... mój stryju; przekonany jestem, iż obchodzi cię mocno; niebawem przyznasz mi słusność, — dodał z uśmiechem, który zmroził krew w żyłach Wintera. — Po raz pierwszy, gdym w Londynie stanął przed tobą, chciałem tylko zapytać, co z imieniem mojem się stało; za drugim razem, izapytać choiałem, kto zbeszczył imię moje. Teraz stoję przed tobą, aby rzucić ci straszniejsze, niż wszystkie inne pytanie, aby odezwać się do ciebie, jak odezwał się Bóg do pierwszego mordercy: „Kainie, co zrobił z bratem swoim, Ablem?“. Milordzie, co zrobił z siostrą swoją, która matką moją była?...

De Winter cofnął się przed błyskawicą tych oczu palących.

— Z twoją matką?... — rzekł.

— Tak, milordzie, z moją matką — odparł młodzieniec, potrząsając głową.

De Winter, usiłując zapanować nad sobą, sięgnął w odległe wspomnienia, aby z nich zaczerpnąć i odżywić dawną nienawiść, potem zawołał:

— Pytaj piekiel, nieszczęsny, co się z nią stało, piekło ci tylko odpowie.

Młodzieniec postąpił na środek pokoju, aż znalazł się twarzą w twarz z lordem de Winter i, skrzyżowawszy rę-

ce na piersiach, z obliczem, pozieleniałem z wściekłości i bólu, rzekł głosem stłumionym:

— Kata z Béthune pytałem już o to.

De Winter, jak piorunem rażony, padł na krzesło, usiłując daremnie na odpowiedź się zdobyć.

— A co — kończył młodzieniec — przyznasz? iż słowo te wszystko w sobie zawiera, jest ono kluczem, co otwiera otchłań. Matka moja była spadkobierczynią męża swego, a tyś ją zamordował!... Nazwisko moje zapewniało mi majątek ojcowski, a tyś mnie go pozbawił. Odsądziwszy najpierw od imienia, wydarłeś mi następnie majątek, który mi się z prawa należał. Teraz już się nie dziwię, iż uznać mnie nie chciałeś; nie dziwię się tem wcale! Nie przystoi, gdy się jest wydziercą, nazywać synowcem człowieka, do nędzy przez siebie doprowadzonego, a gdy jest się mordercą, człowieka, którego się uczyniło sierotą.

Słowa te wywołały wrażenie wprost przeciwne, niż to, jakiego Mordaunt oczekiwał: przypomniał sobie de Winter, jakim potworem była miłady; spokojny i poważny powstał z krzesła, paraliżując surowem spojrzeniem przyszywający wzrok młodzieńca.

— Chcesz zbadać tę straszliwą tajemnicę? — rzekł de Winter — niech i tak będzie! Wiedźże, czem była ta kobieta, z której życia przychodzisz żądać ode mnie dziś rachunku: ona to, według wszelkiego prawdopodobieństwa otruła mi brata, i, ażeby odziedziczyć po mnie, i mnie o mało nie zamordowała: mam dowody. Cóż powiesz na to?

— Powiem, że to była moja matka!

— Człowiekowi przedtem uczciwemu i dobremu, kazała zasztyletować nieszczęśliwego księcia de Buckingham. Co powiesz na tę zbrodnię, której mam dowody?...

— To była moja matka!

— Powróciwszy do Francji, otruła w klasztorze Augustjanek w Béthune młodą kobietę, która kochała jednego z jej nieprzyjaciół. Czy ta zbrodnia zdoła cię przekonać o sprawiedliwości kary?... Zbrodni tej mam także dowody.

— To była moja matka! — zawołał młodzieniec, podnosząc stopniowo głos za każdym tym wykrzyknikiem.

— Nakoniec, obciążona morderstwami, rozpustą, wstrętem wszystkich, groźna, jak pantera, krwią opita, uległa pod ciosami ludzi, przyprowadzonych przez siebie do roz-

paczy, ludzi, którzy najmniejszej nie wyrządzili jej krzywdy; znalazła tylko sędziów, których wywołały obmierzłe jej występki; a ten kat, którego widziałeś i który opowiedział ci wszystko, tego nie przemilczał z pewnością, iż drżał z rozkoszy, biorąc z niej zemstę za hańbę i za samobójstwo swego brata. Dziewczyna skażona, małżonka wiarolomna, siostra wyrodna, mężobójczyni, trucicielka, wstrętna wszystkim, co ją tylko znali, społeczeństwu, które do łona ją swego przyjęło, umarła przeklęta w niebie i na ziemi; oto, jaką była ta kobieta.

Łkanie silniejsze, niż wola, rozdarło piersi Mordaunta.

— Milcz, to matka moja była! nie znam jej nierządu, jej występków, nie znam jej zbrodni. To tylko wiem, iż miałem matkę i że ludzie, sprzysiężeni na kobietę, zabili ją potajemnie, okrutnie, jak podli tchórze! To wiem, żeś ty, panie, należał do nich, ty, stryju mój, i razem z innymi wyrzekłeś, a nawet głośniej, niż inni: *Ona powinna umrzeć!* Zatem, uprzedzam cię, posłuchaj słów moich, niech ci się wyrują w pamięci, aby się w niej nie zatarły nigdy: Morderstwo to wszystko mi wydarło, uczyniło mnie nędzarzem bez mienia, zepsutym, szkodliwym, nieprześląganym; zażądam z niego rachunku od ciebie najpierwej, potem od tych, co współnikami twoimi byli..

— Chcesz mnie zamordować, mój panie? — gotów będę uznać cię za synowca, jako nieodrodnego syna swej matki.

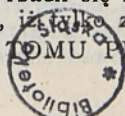
— Nie — odpowiedział Mordaunt, zadając gwałt wszystkim nerwom swej twarzy, wszystkim muskułom ciała, aby przywołać je do porządku i uciszyć — nie, nie zabiję cię jeszcze, gdyż bez ciebie poznałbym innych. Lecz, gdy to nastąpi, drzyj, panie!... Kata z Béthune zasztyletowałem, zabiłem go bez litości, bez miłosierdzia, a on z was wszystkich najmniej był winny.

Z temi słowy oddalił się, zszedł ze schodów spokojny pozornie, aby uwagi niczyjej nie zwrócić; przeszedł mimo Tony'ego, który, wsparty na poręczy, nadśluchiwał głosu swego pana, aby podążyć ku niemu.

Ten nie zawołał jednak: przybity, obezwładniony, stał z wyteżonym słuchem, a gdy nareszcie usłyszał tętent oddalającego się konia, rzucił się na krzesło mówiąc:

— Dzięki ci, Boże, iż stałko zna mnie jednego.

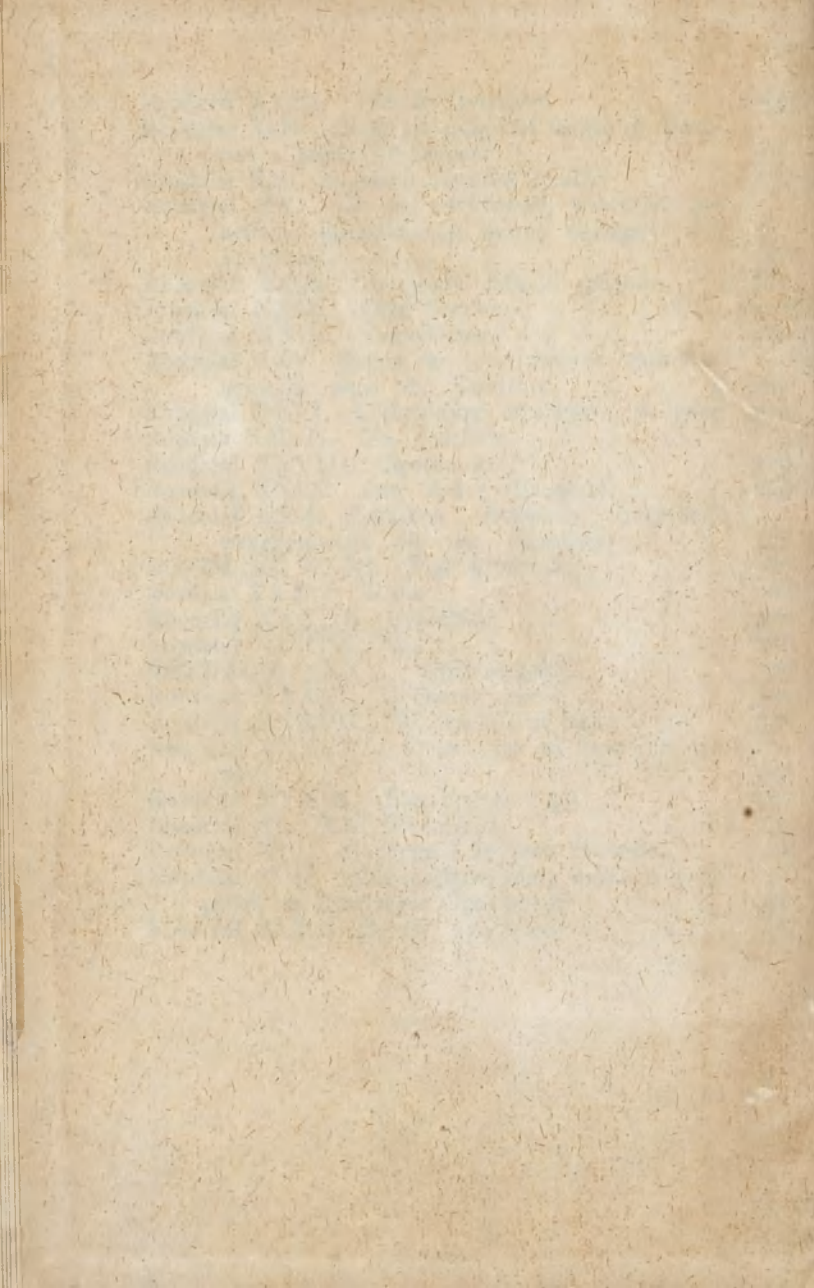
KONIEC TOMU PIERWSZEGO



SPIS RZECZY

Rozdział I. Widmo Richelieu'go.	7
Rozdział II. Patrol nocny.	17
Rozdział III. Dwaj dawni nieprzyjaciele.	26
Rozdział IV. Anna Austrjacka w 47-ym roku życia.	42
Rozdział V. Gaskończyk i włos.	53
Rozdział VI. D'Artagnan w 40-ym roku życia.	60
Rozdział VII. Zakłopotanemu d'Artagnanowi przy- chodzi w pomoc dawna znajomość.	66
Rozdział VIII. Jak różny wpływ wywierać może pół pistola na szwajcara kościelnego i na dziecko z chóru.	74
Rozdział IX. Jak d'Artagnan, szukając Aramisa bardzo daleko, spostrzegł, że siedzi on na koniu z tyłu za Planchetem.	83
Rozdział X. Opat d'Herblay.	91
Rozdział XI. Dwaj gaspardowie.	99
Rozdział XII. Porthos du Vallon, pan na Bra- cieux i Pierrefonds.	109
Rozdział XIII. D'Artagnan przekonują się, odna- lazłszy Porthosa, że majątek szczęścia nie daje.	115
Rozdział XIV. Gdzie pokazuje się, że, jeżeli Por- thosowi nie wystarczało jego stanowisko, Mousqueton ze swego zadowolony był naj- zupełniej.	125
Rozdział XV. Dwie anielskie główki.	130
Rozdział XVI. Zamek Bragelonne.	139
Rozdział XVII. Dyplomacja Athosa.	147

Rozdział XVIII. Pan de Beaufort.	158
Rozdział XIX. Czem się zabawiał książę de Beaufort w wieży Vincennes?	165
Rozdział XX. Grimaud zaczyna działać.	175
Rozdział XXI. Co się znajdowało wewnątrz pałacu, sporządzonego przez następcę ojca Marteau?	187
Rozdział XXII. Przygody Marji Michon.	197
Rozdział XXIII. Opat Scarron.	211
Rozdział XXIV. Saint-Denis.	216
Rozdział VVV. Jeden ze czterdziestu sposobów ucieczki pana de Beaufort.	233
Rozdział XXVI. D'Artagnan przybywa w porę.	244
Rozdział XXVII. Na gościńcu.	254
Rozdział XXVIII. Spotkanie.	260
Rozdział XXIX. Pan radca Broussel.	269
Rozdział XXX. Czterech dawnych przyjaciół przygotowuje się do rozmowy.	277
ROZDZIAŁ XXXI. Plac królewski.	286
Rozdział XXXII. Prom.	292
Rozdział XXXIII. Utarczka.	300
Rozdział XXXIV. Mnich.	308
ROZDZIAŁ XXXV. Rozgrzeszenie.	318
Rozdział XXXVI. Grimaud mówi.	324
Rozdział XXXVII. W przeddzień bitwy.	330
Rozdział XXXVIII. Obiad, jak za dawnych czasów.	340
Rozdział XXXIX. List Karola I-go.	347
Rozdział XL. List Cromwella.	352
Rozdział XLI. Mazarini i królowa Henryka.	360
Rozdział XLII. Nieszczęśliwi biorą niekiedy przepadek za urządzenie Opatrzności	367
Rozdział XLIII. Stryj i synowiec.	375





Biblioteka Śląska w Katowicach

Id: 0030000026972



I 862316